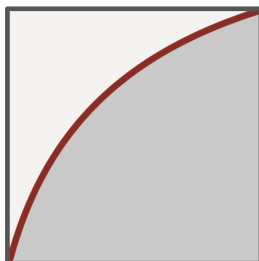


**NAUKOWY PROJEKT  
WYDAWNICZY – SERIA**



**przełomy**  
**pogranicza**  
studia literackie

Przełomy/Pogranicza  
Studia Literackie  
XVII

KATEDRA BADAŃ FILOLOGICZNYCH  
„WSCHÓD – ZACHÓD”  
WYDZIAŁ FILOLOGICZNY  
UNIwersytetu w Białymstoku

NAUKOWY PROJEKT WYDAWNICZY  
– SERIA „PRZEŁOMY/POGRANICZA”

**Redakcja Serii:**

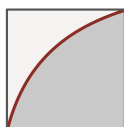
Jarosław Ławski [Redaktor Naczelny], Małgorzata Burzka-Janik,  
Joanna Dziejdzic, Anna Janicka [Zastępca, Red. Cyklów Tematycznych],  
Maria Kalinowska, Zbigniew Kaźmierczak, Grzegorz Kowalski [Sekretarz],  
Halina Krukowska, Dariusz Kukiełko, Dariusz Kulesza, Agnieszka  
Nietresta-Zatoń, Barbara Olech [Zastępca], Marek Olesiewicz,  
Iwona E. Rusek, Michał Siedlecki, Konrad Szamryk, Maciej Tramer,  
Anna Wydrycka, Łukasz Zabielski

Recenzent tomu: **prof. dr hab. Bogdan Mazan**  
(Uniwersytet Łódzki, Łódź)

Redakcja techniczna, korekta: Anna Janicka i Paulina Kowalczyk  
Indeks nazwisk sporządził: dr Michał Siedlecki  
Streszczenia: dr Jacek Partyka, mgr Małgorzata Biergiel  
Opracowanie komputerowe tekstu: Dariusz Kukiełko  
Ilustracje: Jarosław Ławski, Grzegorz Kowalski

Na okładce wykorzystano fragment obrazu Gustawa Klimta  
*Ein Blumenfest* (1896)

ISBN 978-83-7657-103-4



przełomy  
pogranicza  
studia literackie



K B F  
WSCHÓD – ZACHÓD



Copyright by Anna Janicka, Białystok 2015  
Copyright by Paulina Kowalczyk, Białystok 2015

Skład: Ewa Frymus-Dąbrowska

Wydawnictwo PRYMAT, Mariusz Śliwowski  
ul. Kolejowa 19; 15-701 Białystok, tel. 602 766 304,  
e-mail: prymat@biasoft.net, www.prymat.biasoft.net

Gabriela Zapolska

# **KWIAT ŚMIERCI**

**Powieść kryminalna  
ze stosunków krakowskich  
w dwóch tomach**

**Redakcja tomu i wstęp  
ANNA JANICKA**

**Opracowanie tekstu, postłowie  
PAULINA KOWALCZYK**

BIAŁYSTOK 2015

NAUKOWY PROJEKT WYDAWNICZY  
– SERIA „PRZEŁOMY/POGRANICZA”

Dziedzictwo przeszłości nie jest czymś danym raz na zawsze. Wymaga nowych odczytań, ponowień interpretacji, odwagi zapytywania o to, o co nasi poprzednicy nie mogli bądź nie mieli śmiałości pytać. Odnawianie znaczeń, przekraczanie utrwalonych stereotypów analitycznych, akty zerwania z kanonem interpretacyjnym stanowią część tego samego, żywego procesu tworzenia kultury, którego równie fundamentalną częścią są nieustanne powroty do tradycji i szacunek żywiony dla autorytetów przeszłości.

Naukowy Projekt Wydawniczy „Przełomy/Pogranicza” publikuje prace:

1. Stanowiące próbę nowego odczytania tekstów i autorów, zjawisk literackich i kulturowych dobrze już, zdawać by się mogło, znanych i rozpoznanych.
2. Studia ujmujące problematykę literacką w ujęciu komparatystycznym i interdyscyplinarnym, innymi słowy: „pogranicznym”.
3. Prace z zakresu najszerzej rozumianej wiedzy o kulturze i sztuce, proponujące monograficzne lub/ oraz nowe, „przełomowe” ujęcia tematu.
4. Książki autorów, których uznać można za klasyków badań nad pewną dziedziną humanistycznego dyskursu.
5. Dzieła o literaturze, kulturze i sztuce, które – z różnych powodów – nie mogły się niegdyś ukazać, nie znalazły właściwego momentu.
6. Nowe, krytyczne opracowania zapomnianych tekstów dawnych.

Pragniemy, by książki publikowane w Naukowym Projekcie Wydawniczym „Przełomy/Pogranicza” tworzyły niewielkie serie i cykle tematyczne, skoncentrowane wokół pojedynczego dzieła, osoby, wątku.



STUDIA O LITERATURZE KOBIECEJ – II

Redaktorka cyklu: Anna Janicka

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY  
UNIwersytetu w Białymstoku



RADA NAUKOWEGO PROJEKTU WYDAWNICZEGO  
– SERIA „PRZEŁOMY/POGRANICZA”:

Zdzisław Jerzy Adamczyk (AH, Pułtusk)  
Józef Bachórz (UG, Gdańsk)  
Grażyna Borkowska (IBL PAN, Warszawa)  
Bogdan Burdziej (UMK, Toruń)  
Małgorzata Czermińska (UG, Gdańsk) – Przewodnicząca  
Michał Głowiński (IBL PAN, Warszawa)  
Margreta Grigorowa (Wielkie Tarnowo, Bułgaria)  
Krystyna Jakowska (UwB, Białystok)  
Irena Jokiel (UO, Opole)  
Zbigniew Kaźmierczyk (UG, Gdańsk)  
Anna Kieźuń (UwB, Białystok)  
Krzysztof Kłosiński (UŚ, Katowice)  
Alina Kowalczykowska (IBL PAN, Warszawa)  
Jan Leończuk (Książnica Podlaska, Białystok)  
Ryszard Löw (Tel-Aviv, Izrael)  
Natalia Maliutina (Odessa, Ukraina)  
Gabriela Matuszek (UJ, Kraków)  
Michael J. Mikos (Milwaukee University, USA)  
Swietłana Musijenko (Grodno, Białoruś)  
Ewa Nawrocka (UG, Gdańsk)  
Maria Jolanta Olszewska (UW, Warszawa)  
Ewa Paczoska (UW, Warszawa)  
Jerzy Paszek (UŚ, Katowice)  
Magdalena Popiel (UJ, Kraków)  
Rościsław Radyszewski (Kijów, Ukraina)  
German Ritz (Zürich Universität, Szwajcaria)  
Adam Skreczko (AWSO, Białystok)  
Jerzy Snopek (IBL PAN, Warszawa)  
Magdalena Saganiak (UKSW, Warszawa)  
Włodzimierz Szturc (UJ, Kraków)  
Zofia Zarębianka (UJ, Kraków)  
Igor Żuk (Grodno, Białoruś)



Stanisław Janowski, *Portret Gabrieli Zapolskiej* (1903)

## SPIS TREŚCI

<b>Od Redakcji</b> .....	9
<b>Anna Janicka</b>	
<i>Gabriela Zapolska w kręgu narracji sensacyjno-kryminalnej</i> .....	11
<b>Zasady wydania</b> .....	31
<b>Walery Tomicki [Gabriela Zapolska]</b>	
<i>Kwiat śmierci. Powieść kryminalna ze stosunków krakowskich</i> <i>w dwóch tomach</i> .....	35
Tom I .....	37
Tom II .....	127
<b>Nota edytorska</b> .....	221
<b>Paulina Kowalczyk</b>	
<i>Postowie. O XIX-wiecznej modzie na „kryminał”</i> .....	225
<b>Bibliografia</b> .....	255
<b>Summary</b> .....	259
<b>Zusammenfassung</b> .....	261
<b>Indeks nazwisk</b> .....	263



Gabriela Zapolska, *Pan Policmajster Tagiejew*, wydanie Lektora (okładka)

## OD REDAKCJI

Przedstawiamy oto Państwu pierwszą książkową edycję powieści kryminalnej Gabrieli Zapolskiej *Kwiat śmierci. Powieść kryminalna ze stosunków krakowskich w dwóch tomach*, drukowanej przez znakomitą i znaną już wtedy pisarkę w 1903 roku w krakowskich „Nowinach dla Wszystkich” pod pseudonimem *Walery Tomicki*. Jest Gabriela Zapolska swoistym fenomenem twórczym: kobietą-autorką, która prawie sto lat po śmierci wciąż publikuje. Wydane niedawno w dwóch tomach *Niedrukowane dramaty Gabrieli Zapolskiej* (opracowane przez Jana Jakóbczyka we współpracy z Krystyną Kralkowską-Gątkowską, Krystyną Kłosińską, Jerzym Paszkim i Magdaleną Piekarą, Katowice 2012) nie zamykają bynajmniej teki utworów niepublikowanych Zapolskiej. Jak się okazuje, była ona również autorką utworów pisanych bez wysokich ambicji artystycznych, a współtworzących – jak *Kwiat śmierci* – dzieje polskiej powieści kryminalnej i w ogóle literatury popularnej.

Uważamy, iż nastał już czas, gdy i tę część dorobku autorki *Córki Tuśki* trzeba poddać interpretacji z użyciem narzędzi współczesnego literaturoznawstwa. Utwór Zapolskiej, o czym zapominać nie można, to także ciekawy epizod życia literackiego Krakowa; epizod również w życiu pisarki, słabo przy tym poznany.

Edytorki tomu dziękują serdecznie panu prof. Bogdanowi Mazanowi za wszystkie, niezwykle cenne, uwagi do przygotowanego wydania. Inspiracjom Pana Profesora książka ta wiele zawdzięcza.

Z nadzieją, że publikacja książkowa ożywi dyskusję o wielotematycznym, przebogatym estetycznie i gatunkowo piarstwie Zapolskiej przedkładamy tę krytyczną edycję *Kwiatu śmierci*, powieści – jak głosi podtytuł – „ze stosunków krakowskich”.

*Anna Janicka, Paulina Kowalczyk*



Pierwsze odciski palców, zdjęte w 1860 roku przez Williama Jamesa Herschela (1833-1917)

Anna Janicka  
(Białystok)

## GABRIELA ZAPOLSKA W KRĘGU NARRACJI SENSACYJNO-KRYMINALNEJ

„Umarły szał się czai w tej dławiącej woni...”

Bronisława Ostrowska, *Tuberozy*<sup>1</sup>

### *Nieznane ogniwo*

Wydanie niedrukowanej do tej pory kryminalnej powieści Gabrieli Zapolskiej nie wymaga szczególnych uzasadnień, tłumaczy się bowiem w sposób niejako oczywisty zarówno w porządku twórczości pisarki, jak też w perspektywie rozwoju kultury popularnej w Polsce na początku XX wieku. Z jednej strony włącza się przecież *Kwiat śmierci* w szereg przypominanych ostatnio i wydawanych, a także znakomicie komentowanych tekstów pisarki<sup>2</sup>, które wcześniej – odrzucone arbitralnie jako „grafomańskie”<sup>3</sup> – w świetle nowych metodologii nabierają nie tylko historycznego znaczenia<sup>4</sup>. Z drugiej zaś strony powieść ta stanowi, być może istotne, a z całą pewnością zapoznane, ogniwo w rozwoju polskiej powieści kryminalnej (może nawet współtworzy jej kobiecy wariant?).

---

<sup>1</sup> B. Ostrowska, *Tuberozy*, cyt. za: A. Wydrycka, *Elementy florystyczne – kwiat i drzewo*, w: tejsze, „...rymów gałgaczki skrzydlate...”. *W świecie poetyckim Bronisławy Ostrowskiej*, Białystok 1998, s.65; zob. też: W. Gutowski, *Nagie dusze i maski. O młodopolskich mitach miłości*, Kraków 1992; B. Olech, *Harmonia, liryzm, trwoga. Studia o twórczości Bronisławy Ostrowskiej*, Białystok 2012.

<sup>2</sup> Zob. *Niedrukowane dramaty Gabrieli Zapolskiej*, pod red. J. Jakóbczyka, we współpracy z K. Kralkowską-Gątkowską, K. Kłosińską, M. Piekara i J. Paszkim, t. 1: *Nerwowa awantura, Pariasy*, t. 2: *Carewicz, Asystent*, Katowice 2012.

<sup>3</sup> Por. opinie Zbigniewa Raszewskiego, który uważał, że „większa część jej [Zapolskiej] spadku dramatycznego to zawstydzająca grafomania”, że „wartość literacka tych dramatów jest bardzo skromna”, zaś „znaczenie ich polega na czymś innym – zrozumie je ktoś, kto zna dzieje teatru polskiego jako instytucji”. Zob. Z. Raszewski, *Zapolska – pisarka teatralna*, cz. I: 1883–1898, w: G. Zapolska, *Dramaty*, t. 1, opr. A. Raszewska, wstęp Z. Raszewski, Wrocław 1960.

<sup>4</sup> Por. J. Jakóbczyk, *Zapolska – pisarka teatralna (ostatnia dekada)*, w: *Niedrukowane dramaty...*, t. 1, s. 7-14.

Warto więc nie tyle szukać uzasadnień dla tego typu edycji, co przyrzeć się okolicznościom powstania tego mało znanego utworu autorki *Moralności pani Dulskiej*; okolicznościom chyba równie mało znanym.

Propozycję napisania fabuły kryminalnej otrzymała pisarka od Ludwika Szczepańskiego, wówczas – w 1903 roku – wydawcy i redaktora naczelnego dopiero co powstającego dziennika krakowskiego „Nowiny dla Wszystkich”<sup>5</sup>. Propozycję tę przyjęła nie tylko bez obaw, ale wręcz entuzjastycznie, przechodząc od razu do konkretów: „Szanowny Redaktorze! Ależ dobrze, najchętniej. To mnie nawet trochę rozerwie. Prosiłabym o przesłanie mi tematu. Może coś, jakiś trup, który wypłynął podczas wylewu Rudawy, potem poszukiwania za zbrodniarzem itd. Proszę mi przesłać swój temat, rozmiar”<sup>6</sup>.

Lektura powieści pokazuje, że Zapolska została jednak przy swoim pomysle, który już w liście kolejnym uszczegółowił się i rozrósł w zgrabną całość intrygę. Po miesiącu mniej więcej donosiła więc Szczepańskiemu z Zakopanego, gdzie przebywała na jednej ze swoich licznych kuracji: „Zbrodnia zaraz od I numeru. Tak jak mówiłam. Podczas wylewu Rudawy z wikliny wypływa trup młodej, nieznannej kobiety, pięknej i elegancko ubranej. Zatrzymuje się u wiązań mostu. Awantura – nikt w Krakowie nie zna tej kobiety. Agent policyjny, uważany za niedołęgę, znajduje uczepiony u sukien zgniły kwiat tuberozy, tak jak noszą w butonierce mężczyźni światowi, z odrobiną kłaczek sukna frakowego. Bierze to i zaczyna poszukiwania na własną rękę. Te poszukiwania stanowią treść powieści. Rezultatem – znalezienie zbrodniarza w osobie szkodliwego panicza, który miał się żenić bogato w Krakowie i który zamordował w dorożce (udusił) swą dawną kochankę (może żonę), przybyłą do niego z Finlandii, gdzie się ożenił (lub zaręczył), trupa wrzucił do Rudawy i przekupiwszy dorożkarza gotuje się do bogatego małżeństwa, którym ma pokryć długi. Osoby: agent, dorożkarz, typowy krak[owski] Antek zwierzyniecki, panicz – ptak niebieski”<sup>7</sup>.

Ciąg dalszy listu przynosi już negocjacje finansowe z redaktorem<sup>8</sup>, a także wzmocnioną powtórzeniem, bardzo wyraźną – graniczącą nawet z żądaniem – prośbę o dochowanie tajemnicy związanej z autorstwem

<sup>5</sup> Pierwszy numer pisma ukazał się 16 maja 1903 roku.

<sup>6</sup> G. Zapolska, *Listy*, t. II, zebrała S. Linowska, Warszawa 1970, s. 63.

<sup>7</sup> Tamże, s. 66. Podkreślenie moje – A. J.

<sup>8</sup> Pisze o nich obszerniej Paulina Kowalczyk w *Postwuiu*.



*Kwiatu śmierci* (autorka rezerwuje sobie: „bezwzględną tajemnicę”<sup>9</sup>). Zapolska nie chce, aby środowisko artystyczne Krakowa rozpoznało w niej autorkę kryminałów. Wstydzi się (czy tylko obawia?) tej „ludycznej konwencji”, ale ryzyko podejmuje. Czy tylko dla pieniędzy?

### *Mistrzini trudnego początku*

Najłatwiej byłoby odpowiedzieć, że *tak* i odpowiedzią taką utracić inne przypuszczenia; tym bardziej, że odpowiedź taka znajduje przecież swoje wyraźne uzasadnienie w listach pisarki. Wspomina ona kilkakrotnie o dramatycznej wręcz potrzebie zarabiania pieniędzy i pisania dla zarobku – trudnego, niewygodnego, czasami wręcz wstydliwego, ale koniecznego w przypadku kobiety, która sama się utrzymuje. Przypomina o tym choćby w liście do swojej szwagierki – Bronisławy Rychter-Janowskiej – właśnie w czasie, kiedy zmagą się z fabułą *Kwiatu śmierci*, to jest w czerwcu 1903 roku:

„Moja droga Broniu, cieszę się bardzo, że Ci idzie dobrze. Ty masz jakiś spryt w wynajdywaniu dróg zarobku. Co prawda my, kobiety, wszystkiego się chwytamy i gdy jedno zawiedzie, bierzemy się do drugiego. Nie znamy wygórowanych miłości własnych i nasze ja podporządkować potrafimy pod los, aby tylko życie szło! W tym filozofia, a może, kto wie, głupota życia. Często aspiracja artystyczna, miłość własna odzywa się i w nas i cierpi. Lecz my, kobiety, musimy mieć dużo sił, dużo energii!”<sup>10</sup>.

Odkrywamy tu wyraźną świadomość podporządkowania się życiowej konieczności zarobkowania, więc mamy też prawo przypuszczać, że sformułowana powyżej konkluzja odnosi się właśnie do sytuacji zmagania z powieścią kryminalną. Można zatem poprzestać na stwierdzeniu, że *Kwiat śmierci* „popełniła” Zapolska dla pieniędzy. Wniosek tak zbudowany doprowadzi nas do wniosków ogólniejszych, ale niestety spodziewanych, bo już obecnych w refleksji badawczej nad twórczością pisarki, a odnoszących się do wtórności jej talentu i jego wyraźnie naśladowczego charakteru. Okaże się wówczas, że Zapolska była artystką niewyrobioną, bez wyraźnych preferencji estetycznych czy światopo-

<sup>9</sup> G. Zapolska, dz. cyt., s. 67. Podkreślenie – Zapolskiej.

<sup>10</sup> Tamże, s. 99.

głądowych, pozbawioną artystycznej świadomości i własnych preferencji twórczych; artystką zagarniętą przez estetyki i konwencje, które przyszło jej stosować.

Gdyby jednak osłabić znaczenie owych „konieczności”, wówczas okazałoby się, że Zapolska jest przede wszystkim pisarką, która w y b i e r a , a dynamikę jej artystycznego dojrzewania kształtuje ciągłe napięcie pomiędzy wyborami a koniecznościami. Te ostatnie nie stanowią wówczas jedynie przestrzeni artystycznego przymusu, a tylko jeden z elementów zmieniającego się na początku XX wieku kontekstu kulturowego, swoistą sygnaturę nowoczesności. Jak podkreśla jedna z badaczek: „Wraz ze zmianą publiczności i jej zainteresowań zmieniała się też pozycja artysty. Do nowej wersji kultury, w której traciła na znaczeniu oryginalność i doskonałość, nie przystawał obraz artysty jako kogoś obdarzonego niepowtarzalnym talentem i wrażliwością”<sup>11</sup>.

Procesy homogenizacji kultury wyraźnie na początku XX wieku przyspieszają<sup>12</sup>. Zapolska ma tego nie tylko znakomitą świadomość, ale też umie dotrzymać kroku temu – budzącemu wtedy tyle skrajnych emocji – procesowi. Wie, że talent staje się teraz towarem na rynku zmieniających się, a nader niewybrednych, gustów publiczności i wychodzi gustom tym naprzeciw – z konieczności, to prawda, ale też dlatego, że chce i potrafi. Ma w sobie odwagę ryzykantki. Tę jej gotowość do – widzianych wtedy jako rewolucyjne – zmian i niezwykłą jak na ówczesne czasy umiejętność dostosowania się do nowych konwencji podkreśla też Małgorzata Hendrykowska, przyglądająca się decyzyjom

<sup>11</sup> M. Hendrykowska, *Śladami tamtych cieni. Film w kulturze polskiej przełomu stuleci 1895–1914*, Poznań 1993, s. 266.

<sup>12</sup> Przy tym postrzegane są jako zagrożenie dla religii, moralności, kultury. Publicyści łączą zbrodnię z upadkiem moralnym społeczeństwa, bandytyzm z rozwojem ducha rozbeztwionego indywidualizmem, który rozkwita od Oświecenia, a kulminuje w filozofii materialistycznej. Ks. Andrzej Krześciński (*Kultura nowoczesna i jej tragizm*, Kraków 1934, s. 115) tak tłumaczy ten związek:

„Grasujący obecnie nagminnie bandytyzm ma wszelkie usprawiedliwienie w zasadach nowoczesnego materializmu. Jest on tylko pewną odmianą egoizmu, wyrosłego na podkładzie autonomizmu i indywidualizmu, i zasadniczo nie różni się od egoizmu, dokonyującego rozbojów na szkodę poszczególnych osób, związków lub samego państwa. Różnica na tym chyba jeno polega, że pierwszy natychmiast rzuca się w oczy i jest prawnie ścigany, drugi zaś umie się osłaniać i zazwyczaj uchodzi bezkarnie. Nowoczesny materialista na drodze swego życia natknął się na autonomizm i indywidualizm innych ludzi, i stał się bezradnym. Własne jego zasady zwracają się przeciwko niemu, i w tym tkwi jego tragizm.”

Zapolskiej z punktu widzenia rozwoju sztuki filmowej: „Późniejszy – jakże typowy dla kultury masowej – kompromis między osobistą wizją świata a wymaganiami i potrzebami rynku, na razie dał o sobie znać próbą nawiązania współpracy z filmem. Być może, tak właśnie myślała Zapolska: jedną ręką napiszę dla teatru *Kobietę bez skazy*, drugą – *Niebezpiecznego kochanka* dla filmu”<sup>13</sup>.

Przypomnijmy także, że Zapolska nie jest jedynym artystą przełomu wieków próbującym wejść na rynek produkcji popularnej. Stefan Żeromski wyraża zgodę na sfilmowanie *Dziejów grzechu* (1908), kontaktów z filmem szuka Stanisław Przybyszewski (*Dla szczęścia* zekranizował w roku 1919 Aleksander Hertz), zaś wybitni aktorzy teatralni z chęcią przyjmują propozycję grania w filmie<sup>14</sup>.

Powieść kryminalna nie wymaga aż takiej odwagi jak „romans” z kinematografem. U progu wieku XX, a więc wtedy, kiedy Zapolska próbuje się z nią mierzyć, jest już przecież konwencją w miarę oswojoną, choć ciągle jednak pozostaje „tą trzecią”<sup>15</sup>. „W kręgach elitarnych – podkreśla Renata Stachura-Lupa – literatura kryminalna czy o wątkach sensacyjnych uchodzi za rozrywkę niewysublimowaną, płytką, a nawet prostacką, pozbawioną walorów ideowych i estetycznych. Jest oskarżana o amoralność, epatowanie brutalnością i okrucieństwem, szokowanie dla poklasku”<sup>16</sup>.

W literaturze Zachodu obecna od lat 40. XIX wieku, w Polsce zyskuje prawo obywatelstwa w latach 70., nie tylko za sprawą licznych i cieszących się ogromnym wzięciem czytelniczym tłumaczeń, ale też za sprawą takich pisarzy, jak na przykład Kazimierz Chłędowski czy Walerj Przyborowski. Pamiętajmy jednak, że żaden z twórców, sięgających po konwencję kryminalną czy sensacyjną, nie zмага się, jak Zapolska, z etykietą skandalisty. W ich przypadku krótszy lub dłuższy związek z „tą trzecią” nosi cechy niewinnego flirtu, w przypadku osaczonych sensacjami Zapolskiej – mógłby zostać osądzony jako niewybaczalna zdra-

<sup>13</sup> Tamże, s. 266.

<sup>14</sup> Tamże. Badaczka wymienia kilka najważniejszych nazwisk: Kazimierza Kamińskiego, Bolesława Leszczyńskiego, Stanisława Knake-Zawadzkiego, Aleksandra Zelwerowicza, Józefa Węgrzyna i Stefana Jaracza.

<sup>15</sup> Pożyczam tu formułę od Anny Martuszewskiej. Zob. tejeż, *Ta trzecia. Problemy literatury popularnej*, Gdańsk 1997.

<sup>16</sup> R. Stachura-Lupa, *Pisać jak Gaboriau. O „Po nitce do kłębka” Kazimierza Chłędowskiego*, „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historicolitteraria XIII”, Folia 134, s. 20.

da<sup>17</sup>. Poza tym od sytuacji skandalicznego debiutu pisarka posądzana jest przez krytykę niemal rutynowo o skłonność do przesady, gust przy najmniej niewybredny, a z pewnością niewyrobiający, pornograficzne skłonności czy naturalistyczną przesadę. Nieprzypadkowo więc chyba Teodor Jeske-Choiński, podsumowując w roku 1905 ewolucję twórczości autorki *A gdy w głęb duszy wnikiemy...* na podstawie jej ostatnich powieści, sytuuje jej talent pomiędzy skłonnością do naśladownictwa a patologiczną potrzebą destrukcji<sup>18</sup>.

Warto też zauważyć, że ujawnienie autorstwa *Kwiatu śmierci* natchmiast niemal znalazło swój satyryczny oddźwięk w postaci prześmiewczej *Szarady obrazkowej* na łamach „Liberum Veto”<sup>19</sup>, zaś w przypadku Chłędowskiego czy Przyborowskiego przyniosło jedynie stonowane krytyczne i merytorycznie uzasadniane głosy krytyki, choć przecież to ich powieści chronologicznie wyprzedzały kryminalną fabułę Zapolskiej, a więc to im, a nie *Kwiatowi śmierci*, przynależy walor (sensacyjnej) nowości. Można więc w przerażeniu Zapolskiej, spowodowanym ujawnieniem autorstwa własnej powieści kryminalnej, zobaczyć sporą przesadę bądź epistolarną konwencję, można jednak też dostrzec uzasadnioną obawę, że konwencja kryminalna na nowo ożywi sensacyjny paradygmat pisania o autorce *Małaszk*:

„Rozniosło się to wszędzie – donosiła na początku lipca Szczepańskiemu – że to ja piszę tę powieść i z tego powodu mam masę przykrości. Sądziłam, że to będzie sekret. Tymczasem przedostało się z redakcji, a jedynie sądząc, że będę miała zapewnioną tajemnicę, pisałam”<sup>20</sup>.

Pomimo doznawanych przykrości i zapewne obaw związanych z użyciem fabuły kryminalnej, Zapolska nie walczy chyba z – nazwijmy to może przesadnie nieco – sensacyjną czy detektywistyczną dyspozycją swego talentu. Dość przypomnieć, że już w jej głośnym, skandalicznym debiucie znajdziemy w fabule zbrodnię (tytułowa Małaszk, powodowana patologiczną chęcią uwiedzenia swego

<sup>17</sup> Zob. A. Janicka, *Sprawa Zapolskiej. Skandale i polemiki*, wyd. 2, Białystok 2015, Część III: *Pisarka i skandale* (s. 81-110).

<sup>18</sup> T. Jeske-Choiński, [bez tyt.], „Kurier Warszawski” 1905, nr 285, s. 2-3. Krytyk omawia też przy tej okazji inną powieść Zapolskiej, osadzoną również w realiach krakowskich, osnutą zaś na perypetiach bohaterów związanych ze środowiskiem cyganerii krakowskiej – *A gdy w głęb duszy wnikiemy... Powieść współczesna*, T. I-III, Warszawa 1904.

<sup>19</sup> *Szarada obrazkowa* [satyra], „Liberum Veto” 1903, nr 12, s. 20. Cyt. za: J. Czachowska, *Gabriela Zapolska. Monografia bio-bibliograficzna*, Kraków 1966, s. 313.

<sup>20</sup> G. Zapolska, *Listy*, t. II, s. 104.

pracodawcy, niechcący zabija dziecko hrabiego) i odpowiedni rodzaj związanego z tym napięcia. W dramacie *Tamten* z roku 1898 (wystawionego w roku 1902) wątek dochodzenia policyjnego wplątany został odważnie w kontekst patriotyczny i erotyczny, z kolei mistrzowsko skonstruowana nowela *Szakale* z cyklu *Menażeria ludzka* rozpoczyna się sceną oględzin ciała młodej samobójczyni i rozwija się w naturalistyczną przypowieść o mechanizmach okrucieństwa. Ponadto, równoległe z pisaniem *Kwiatu śmierci*, dojrzewa kryminalna intryga powieści *Pan policmajster Tagiejew*, zamówionej u Zapolskiej na początku maja 1903 roku<sup>21</sup> przez krakowski, popularny dziennik ilustrowany „Wiek Nowy”<sup>22</sup>. W tym przypadku sensacyjna fabuła powieści uwikłana została w konteksty polityczne i melodramatyczne, co było literackim odbiciem wydarzenia autentycznego – w roku 1900 młoda kobieta, obłąkana na skutek więzienia w Cytadeli, popełniła w Wiedniu samobójstwo<sup>23</sup>.

Zwieńczeniem tej kryminalnej nici w twórczości Zapolskiej pozostaje niewątpliwie scenariusz powstałego w 1911 roku, a zekranizowanego rok później *Niebezpiecznego kochanka*<sup>24</sup>, zgodnie z duchem czasu reklamowanego w prasie jako zamotana erotycznie intryga kryminalna właśnie:

„Lokaj jest kochankiem służącej jakiejś damy noszącej jakoby pie niądze w woreczku na szyi. Dowiaduje się o tym lokaj. Dama idzie spać, lokaj zakrada się do sypialni; zabija damę, zabija służącą i uśituje zbiec. Ale sąsiedzi łapią go i oddają w ręce policji. Okazuje się też, że

---

<sup>21</sup> Pisarka już znacznie wcześniej, mniej więcej od roku 1901, planowała napisanie sztuki pod takim właśnie tytułem (por. J. Czachowska, dz. cyt., s. 325), jednak już w sierpniu 1902 pisała – ukrywając autorstwo pod używanym przez siebie pseudonimem – do Ludwika Masłowskiego, redaktora „Przeglądu Politycznego, Społecznego i Literackiego” o gotowym pomysle na powieść: „Szanowny Panie Redaktorze! Przyjaciel mój Maskoff [Zapolska] zaczął pisać sensacyjną i interesującą powieść pt. *Pan policmajster Tagiejew*. Rzecz na tle szantaży policmajstrów w Królestwie, ich walka z żandarmerią i propaganda narodowa. Jest i miłość – słowem, rzecz tak napisana, jak Maskoff potrafi” (G. Zapolska, *Listy*, t. II, s. 14).

<sup>22</sup> J. Czachowska, dz. cyt., s. 326.

<sup>23</sup> Tamże. Dodajmy, że *Pan policmajster Tagiejew* wydawany był kolejno w 1905 roku (Lwów, T. I-II, pierwodruk), 1911 (Lwów), 1922 (wydanie „Lektora”, Warszawa), 1930 (wydanie niemieckie *Der Polizeimeister*, Berlin).

<sup>24</sup> *Niebezpieczny kochanek*, reżyseria Kazimierz Kamiński, scenariusz Gabriela Zapolska, premiera: 23 kwietnia 1912 (Polska), występują: Irena Horwath (Pani Helenka), Kazimierz Kamiński (Lokaj), Stanisława Lubicz-Sarnowska (Służąca Maryna). Zdjęcia do filmu nakręcono w Warszawie.

przedmiot łupu, owa książeczka, byłaby dla mordercy bez wartości z powodu «zawinklowania»<sup>25</sup>.

Wielość wątków i sytuacji o charakterze sensacyjnym, w jakie obfituje twórczość Gabrieli Zapolskiej<sup>26</sup>, nie pozwala wskazać na *Kwiat śmierci* jako powieść zrywającą ze stosowanymi dotychczas przez pisarkę sposobami uprawiania literatury, pozwala jednak wskazać na powieść tę jako pierwszą konsekwentną próbę świadomego wykorzystania intrygi kryminalnej do zbudowania powieściowej fabuły. Jest to więc z pewnością kolejny już raz, kiedy pisarka zaczyna coś od początku, na własną rękę.

„Każden początek jest trudny”<sup>27</sup> – pisała Zapolska w roku poprzedzającym pracę nad *Kwiatem śmierci* do swojej teściowej, Malwiny Janowskiej, przy okazji zmagani organizacyjnych i środowiskowych w związku z zakładaną przez siebie szkołą teatralną. Pisarka знаła już bowiem sytuację przekraczania przypisanych ról czy konwencji, zaś jej twórczość obfitowała w liczne i zaskakujące zmiany światopoglądowe czy estetyczne. Można więc powiedzieć, że w momencie, kiedy debiutowała jako autorka powieści kryminalnej, była już pisarką wielu (estetycznych, światopoglądowych, gatunkowych) porządków, które przyswajała i porzucała z właściwą sobie chyba tylko dezynwolturą. „(...) pisać to, do czego mnie mój talent ciągnie”<sup>28</sup> – wyznała w jednym z listów do Heleny Modrzejewskiej. Kilka miesięcy później, przynaglany finansową koniecznością, talent pociągnął ją w stronę powieści kryminalnej.

<sup>25</sup> Zapolska i Kamiński na płótnie kina, „Lwów Teatralny” 1912, nr 14, s. 10. Cyt. za: J. Czachowska, dz. cyt., s. 447.

<sup>26</sup> Można by wymienić jeszcze kilka przynajmniej tytułów, w których mamy do czynienia z sytuacjami o charakterze sensacyjnym, jak na przykład sytuacja śmierci/samobójstwa, choroby psychicznej, ucieczek, zbrodni, prostytucji. Zob. na przykład: *Kaškę Kariatydę, Jankę, Córkę Tuški, Szaleństwo, O czym się nie mówi, O czym się nawet myśleć nie chce*. Warto też w tym miejscu przypomnieć, że Zapolska od 1 października 1900 roku podjęła się pracy dziennikarskiej (prowadziła kronikę miejscową, zagraniczną, prowincjonalną) i reporterskiej (felietony *Przez moje okno*) we lwowskim „Słowie Polskim” i szczególnie aktywność reporterska przybliżyła jej kryminalne aspekty funkcjonowania przestrzeni miejskiej, odsłoniła Lwów jako „miasto kryminalne” (określenie Ewy Ihnatowicz – por. też: *Miasto kryminalne?*, w: *Miasto – kultura – literatura – wiek XIX*, red. J. Data, Gdańsk 1993).

O dziennikarskiej aktywności Zapolskiej zob. A. Janicka, *Widok z okna. Lwowskie felietony Gabrieli Zapolskiej*, w: *Życie i twórczość Gabrieli Zapolskiej*, pod red. H. Ratusznej i A. Jarosza, Stuttgart 2013.

<sup>27</sup> G. Zapolska, *Listy*, t. II, s. 19.

<sup>28</sup> Tamże, s. 33.

Czy pisarka, ta mistrzyni trudnego początku, poradziła sobie z nową ciągle konwencją – ustaloną już jednak w swoich granicach, ale jeszcze nie do końca oswojoną?

### *Podobieństwa, różnice, powinowactwa*

Tę ostentacyjną gotowość do zmian przypłaciła Zapolska równie ostentacyjną niechęcią (większości) krytyków<sup>29</sup>. Opinie nieprzychylnie jej twórczości oscylowały pomiędzy skrajnościami: od debiutanckiego posądzenia o plagiat, poprzez zarzuty marnego naśladownictwa aż po, ponawiany nieustająco, zarzut naturalistycznej przesady czy fizjologicznie umocowanej, przekładanej na rozhisteryzowaną narrację, kobiecości. Emocjonalna temperatura sporów o Zapolską zawsze była bardzo wysoka, bliska wrzenia. Spierano się zazwyczaj tak zapalczywie, że zarzuty dotyczące twórczości pisarki rzutowano wprost na zarzuty dotyczące osoby pisarki, co – jak wskazują badacze – jest przeniesieniem typowym dla sytuacji skandalicznej<sup>30</sup>. Już w roku 1885, a więc wówczas, kiedy w aurze literackiej sensacji i obyczajowego skandalu („sprawa” *Małazki*) wkraczała pisarka do literatury polskiej, jeden z anonimowych krytyków „Przeglądu Tygodniowego” pisał o niej jako o autorce głośniejszej od książki<sup>31</sup>.

Krytyczna konsternacja brała się zazwyczaj z faktu, że twórczość Zapolskiej charakteryzowała się, z jednej strony, jakimś swoistym, estetycznym i światopoglądowym nadmiarem, z drugiej – stylistyczną niejednoznacznością. Pisarka umiała bowiem łączyć niespójne dla innych porządku, przekraczać nieprzekraczalne dla innych granice, budować własny świat przedstawiony wbrew obowiązującym regułom. Efekty bywały różne, nie zawsze artystycznie satysfakcjonujące, zawsze jednak – intrygujące i ciekawe.

<sup>29</sup> Co nie oznacza oczywiście, że nie pojawiały się w odniesieniu do niej opinie przychylnie czy wręcz entuzjastyczne. Por. A. Janicka, *Sprawa Zapolskiej. Skandale i polemiki*, dz. cyt.; K. Kłosińska, *Kobieta-autorka*, w: tejsze, *Ciało, pożądanie, ubranie. O wczesnych powieściach Gabrieli Zapolskiej*, Kraków 1999.

<sup>30</sup> Zob. M. Tramer, *Literatura i skandal. Na przykładzie okresu międzywojennego*, Katowice 2000; tegoż, *Rzeczy wstydlive, a nawet mniej ważne*, Katowice 2007.

<sup>31</sup> „Przegląd Tygodniowy” 1885, nr 25, s. 361. Por. A. Janicka, dz. cyt., s. 82.

Dość zająrzeć do przywoływanej już kilkakrotnie debiutanckiej *Małtaszki*, by odkryć w niej okaleczony melodramatycznie (a więc odmienny, niepełny czy po prostu – inny?) naturalizm; dość przyjrzeć jej się bliżej, by odkryć – podążając tropem skonsternowanych krytyków – rzadkie niezwykle w polskiej literaturze drugiej połowy XIX wieku zerwanie z konwencją przedstawiania bohatera ludowego. Czym innym jest bowiem połączenie bohaterki z ludu z nihilistyczną niemal, konwulsyjną i świadomą seksualnością? Bezradność wobec tak ostatecznego zerwania z ugruntowanym w literaturze stereotypem współczesna pisarce krytyka nazywa nieuzasadnionym nadmiarem i zdecydowanie się wobec niego dystansuje – jak bowiem prostą dziewczynę z ludu może trawić głód piękna?<sup>32</sup> Jak może ona, niczym modernistyczna *femme fatale*, zbrodniczo wykorzystywać własną seksualność?

Przekroczenie/zerwanie stało się więc regułą pisarstwa Zapolskiej, potwierdzaną zarówno fabułami jej utworów prozatorskich, jak i eksperymentami teatralnymi. Pisarka łączyła swobodnie na przykład symbolistyczną manierę z naturalistycznym szczegółem, melodramatyczną rozlewność z feministyczną wrażliwością, reporterską dociekliwość z – ocierającym się o stereotyp – uogólnieniem; stylistycznie zaś niebezpiecznie balansowała na granicy pomiędzy kiczem a wzniosłością.

Jeszcze większą odwagą wykazywała się w przypadku form dramatycznych. Nieprzypadkowo przecież Zbigniew Raszewski, często niezwykle krytyczny wobec jej artystycznych posunięć, przydał jej zaszczytne miano teatralnej eksperymentatorki, „zwierzęcia teatralnego”, które ożywiło zastygłą w konwencji polską sztukę dramatyczną drugiej połowy XIX wieku, osobowości twórczej na miarę Bogusławskiego i Wyspiańskiego. Badacz dostrzegał więc w niej talent dramaturgiczny, który – jako pierwszy i jedyne – przekraczał granice trzech zaborów, nadto zaś widział ją jako dramatopisarkę, która – znów jako pierwsza – „przedostała się do wewnątrz nieprzenikalnego świata teatru”<sup>33</sup>.

I na koniec jeszcze jedna kwestia: zarówno wyrafinowani myśliciele 2. połowy XIX stulecia i początku XX, jak i szeroka publiczność,

<sup>32</sup> „Skąd poczucie piękna w *tym* [tj. zwykłego, chłopskiego dziewczęcia] zwrócone kierunku?” – pyta zdeorientowany anonimowy krytyk. Zob. *Akwarele w książce*, „Kurier Codzienny” 1885, nr 214, s. 3. Więcej na ten temat zob. A. Janicka, *Nieuzasadniony nadmiar piękna – zerwanie*, w: tejsze, dz. cyt., s. 94-98.

<sup>33</sup> Z. Raszewski, dz. cyt., s. XIII.



chciwie pożądana sensacyjnych narracji, wiąże rozwój sztuki masowej, w tym powieści sensacyjno-kryminalnej, z tzw. duchem czasów. A ten, jak ze szczególną gorliwością podkreślają wtedy polemisi o zacięciu konserwatywnym, objawiać się ma w rozluźnieniu tradycyjnej moralności, nadwątleniu jej zasad ufundowanych na Dekalogu. Stąd, grzmią, biorą się straszne zbrodnie „współczesne”, stąd wypływa niezdrowe zainteresowanie nimi czytelników i widzów, co wywołuje ogólną etyczną dezorientację. Zachwianiu temu – nierozróżnialności dobra i zła – zdają się służyć nawet filozofia i nauka. Teodor Jeske-Choiński rzuca gromy na „antropologów kryminalnych”, których najślawniejszym przedstawicielem staje się Cesare Lombroso, autor *Geniuszu i obłąkania* (1864), lecz także obszernej pracy *Człowiek-zbrodniarz w stosunku do antropologii, jurysprudencki i dyscypliny więziennej: zbrodniarz urodzony, obłąkaniec zmysłu moralnego* (T. I-II, 1891)<sup>34</sup>. Przekonywał Jeske-Choiński:

Prawowitym dzieckiem etyki niezawisłej jest antropologia kryminalna, kwitnąca najbujniej pod modrym niebem Włoch. Ferri, Lombroso, Garofolo, Sergi, Colojani i i. są jej autorami.

Ponieważ człowiek nie posiada wolnej woli, przeto grzeszy prawo karne, potępiając, karząc w zbrodniarzu rozmyślnie wolę – oświadczył pierwszy Ferri w swoim dziele *La teorica dell' Imputabilita*. Ze stanowiska ewolucjonistycznego bardzo to słuszny wniosek.

Tłumacząc istotę zbrodni, wyszli antropologowie kryminalni z jednej z podstaw ewolucjonizmu, mianowicie z atawizmu. Ponieważ jednak nauka nie ustaliła dotąd reguł atawizmu, który odbywa czasami dziwne skoki, ponieważ wykazano, że wady i przymioty ojca i matki przechodzą nie zawsze na synów i córki, ponieważ, słowem, nie wykryto jeszcze, w jaki sposób dziedziczność działa, przeto dopełnili kryminaliści włoscy atawizm Darwina t. z. atawizmem przeplatany, przerywanym, co znaczy, że na potomków mogą spadać instynkty najdalszych nawet przodków. – Teoretykiem tej mądrości był profesor turyńskiego uniwersytetu Cezary Lombroso, którego główne dzieło pt.: *Człowiek-Zbrodniarz* miało u nas, przełożone na język polski (w r. 1891), szeroki rozgłos sensacji.

Wychodząc z zasady, że zbrodniarz nie jest zbrodniarzem z własnej woli, lecz tylko bezwolnym narzędziem instynktów odziedziczonych, za które nie powinien odpowiadać, żądają antropologowie kryminalni, aby państwa zniosły

---

<sup>34</sup> Tomy Lombroso tłumaczył (sic!) Jan Ludwik Popławski, z którym Zapolska, jak wiadomo, z wielkim rozgłosem się procesowała.

domy karne i budowały zamiast więzień i szafotów domy zdrowia, w których by leczono indywidua anormalne<sup>35</sup>.

Nadwątlony wpływ religii na społeczeństwo i jednostkę, którego symptomem miała już być „niemoralna” filozofia pozytywistyczna<sup>36</sup>, przyniósł w końcu zatruty owoc – powiedzielibyśmy: kwiat śmierci – w postaci dekadentckiego i artystowskiego immoralizmu, któremu z niezdrową ekscytacją przypatrywała się filisterska, drobnomieszczańska publiczność. Ksiądz Aleksander Mohl tak tłumaczył ten związek filozoficznego upadku z rozwojem nowoczesnej literatury, głównie powieści:

Faktem jest niezaprzeczoną – czytamy w „Myśli Katolickiej” (No. 40, 1909) – że główną przyczyną upadku moralnego społeczeństw obecnych jest w gruncie rzeczy fałszywa filozofia, na której świat dzisiejszy oparł swe życie.

Filozofia ta oddziaływała na wszystkich, nawet na tych, którzy nieledwie że ją z imienia tylko znają.

Różnymi drogami wsiąka ona w życie.

Elita umysłowa czerpie ją z poważnych dzieł naukowych, ogół zaś – przeważnie z literatury pięknej.

Z działów literatury dramat i powieść, a zwłaszcza ta ostatnia, największy dziś wpływ wywiera. Są to niejako dwa główne strumienia, przez które błędna filozofia nowoczesna w sposób barwny, popularny i dla każdego przystępny, rozlewa się po świecie i w moralność społeczeństwa wsiąka.

Wpływ powieści i sceny jest prawie jeden i ten sam, z tą tylko różnicą, że teatr, jakkolwiek działa na razie silniej od powieści, mniejszą jednak w życiu społeczeństwa gra rolę<sup>37</sup>.

Zapolska nie tylko swoim *Kwiatem śmierci* wpisała się w ten nurt sztuki, która adresowana jest do najszerszego, niewybrednego odbiorcy. Ale, jak to u niej bywa, w oprawie powieści kryminalnej przemyciła modernistyczne, *findesieclowe* treści i symbole. Obce przecież filistrom.

<sup>35</sup> *W pogoni za prawdą. Seria piąta*, przez T. Jeske-Choińskiego, Poznań 1910, s. 60-61.

<sup>36</sup> Zob. S. Pawlicki, *Studia nad pozytywizmem*, Warszawa 1886. Jest to właściwie polemika z pozytywizmem prowadzona ze stanowiska metafizyki.

<sup>37</sup> *W pogoni za prawdą*, przez Aleksandra Mohla, *Seria trzecia*, wyd. 2, Poznań 1910, s. 320-321.

### *Zapolska kryminalna*

W kontekście powyższych uwag warto przyjrzeć się następującej sprawie: jak Zapolska – obdarzona odwagą ryzykantki i otwartością eksperymentatorki – wykorzystuje dziewiętnastowieczną konwencję powieści kryminalnej na użytek własnych strategii artystycznych? Kwestia wydaje się istotna, szczególnie w odniesieniu do – podejrzanej jeszcze wówczas artystycznie – formuły powieści kryminalnej, ale przede wszystkim w odniesieniu do Zapolskiej – pisarki raz po raz mierzącej się z pogardliwym podejrzeniem naśladownictwa, a i posądzanej niejednokrotnie o grafomańskie skłonności.

Jednak zanim ta kwestia zostanie rozstrzygnięta, wypada zapytać, jak po tę konwencję sięga sama pisarka? Pytanie wydaje się zasadnicze, ponieważ odpowiedź na nie wskazuje bezpośrednio na różnicę pomiędzy artystą a grafomanem. Oto bowiem artysta świadomie operuje (mniej lub bardziej szlachetną) konwencją, grafoman zaś jest jej podporządkowany, niejako przez nią prowadzony, nie potrafi się wobec niej zdystansować. Podkreśliśmy więc raz jeszcze – Zapolska sięga po narrację kryminalną celowo i z rozmysłem; wie, że uczestniczy w niewybrednej grze rynkowej, w której zmieniają się – wskutek procesów określanych dziś mianem homogenizacji kultury – gracze i ich estetyczne preferencje. Zmiany te zachodzą szybko i artystka dotrzymuje im kroku. W wywiadzie udzielonym Ignacemu Nikorowiczowi na łamach „Słowa Polskiego” w roku 1901 odpowiada jednoznacznie na zarzuty „znikczemnienia” artystycznego stawiane wobec niej przez krytyków „Dziennika Polskiego”<sup>38</sup>:

(...) nie obchodzi mnie to nic, że mnie nazywają fabrykantką sztuk i gromią mnie za efekta, którymi ubarwiam swoje sztuki. Życie ma mnóstwo efektów, którymi ubarwia nasze istnienie, a ja staram się to, co piszę, czerpać z życia. Że podam nawet publiczności i trochę muzyki, i trochę tańca – to przecież nie grzech. W teatrze nie tylko dla ucha, ale i dla oka trzeba dać coś publiczności. Każdy autor ma swój «genre», dlaczego ja nie mogę mieć swego? Nie naśladowuję nikogo, nie wzoruję się na nikim, jestem sobą<sup>39</sup>.

<sup>38</sup> „Dziennik Polski”, jako pismo konserwatywne, prowadził stałą kampanię przeciw Zapolskiej, w trakcie której szczególnie ostro napiętnował jej demokratyczne sympatie i wspierane przez pisarkę akcje charytatywne. Zob. J. Czachowska, dz. cyt., s. 244.

<sup>39</sup> Nik [J. Nikorowicz], *Z biurka do biurka. (Interview z autorką „Życia na żart”)*, „Słowo Polskie” 1901, nr 175, s. 2-3. Cyt. za: J. Czachowska, dz. cyt., s. 245.

I zaraz potem dodaje przenikliwe wcale rozpoznanie:

(...) ja znam m o j ą publiczność – to jest duże, szerokie, przeciętne masy. Ja nie mam pretensji do zbyt wielkich aspiracji. Boże mój! Dla każdego widza – scena coś przynieść musi. Są pewne umysły, które lubią się w małych, ciemnych kapliczkach, są takie, które lubią popatrzeć na oświetlony barwnie salon lub widzieć życie nie przez kratę grobu, a tak po prostu... przez okno. Pan nie uwierzy, jak ja się cieszę, gdy na moich sztukach widzę... tłum<sup>40</sup>.

Sprzeciętnienie, degrengoladę gustów traktuje pisarka jako naturalną konsekwencję przemian społecznych i kulturowych. Można więc przypuszczać, że inwazję zaspokajających tę przeciętność konwencji literackich przyjmuje równie ostrożnie, jako swego rodzaju kulturową konieczność. Bez zachwyty może, ale ze zrozumieniem.

Jaką formułę powieści kryminalnej ma do dyspozycji i jak z niej korzysta?

Wczesna polska powieść kryminalna, w jej najpopularniejszym wariantcie detektywistycznym, nie była jeszcze na przełomie XIX i XX wieku „gatunkiem zmaconym”<sup>41</sup>. Charakteryzowała się dość wyrazistym zestawem cech gatunkowych i jasno określoną tradycją. W pewnym sensie stanowiła popularną syntezę dwóch zasadniczych, tak je tu określimy, porządków kultury: gotycko-romantycznego i pozytywistyczno-realistycznego<sup>42</sup>. I to zarówno w wymiarze antropologicznym, jak i estetycznym, gatunkowym czy językowym. Rozpięta pomiędzy tajemnicą zbrodni a banałem mieszczańskiego salonu, miała przewidywalną kompozycję i ustaloną strukturę<sup>43</sup>. Spajała poetykę wyrażania irracjonalności z estetyką tryumfującego rozumu.

<sup>40</sup> Tamże.

<sup>41</sup> Określenia tego używa Mariusz Czubaj dla oznaczenia współczesnej kondycji genologicznej powieści kryminalnej, będącej – jego zdaniem – „jeszcze jednym świadectwem zasadniczej zmiany w kulturze współczesnej, której efektem jest wymieszanie się form dyskursu”. Zob. tegoż, *Etnolog w Mieście Grzechu. Powieść kryminalna jako świadectwo antropologiczne*, Gdańsk 2010, s. 28, 29.

<sup>42</sup> W tym sensie oto, że łączyła elementy estetyczne rodem z XVIII wieku (gotycyzm, frenezja, libertynizm, estetyka nocy) i pierwszej połowy XIX (elementy melodramatyczne, realistyczne, poetyka tajemnicy) z elementami literatury realistycznej i naturalistycznej z drugiej połowy XIX stulecia.

<sup>43</sup> Pisze o nich w *Postwoiu* Paulina Kowalczyk.

Zapolska realizuje tę konwencję z całkowitą swobodą i konsekwencją jednocześnie. Czytelnik otrzymuje schemat konstrukcyjny opierający się na trójkącie: detektyw – ofiara – morderca<sup>44</sup>, zbrodnia i miłość stanowią awers i rewers ludzkich namiętności, fabuła powieści rozgrywa się zgodnie z – opisaną przez Rogera Caillois – logiką „porządku odkrywania” (choć w wersji osłabionej), będącego odwrotnością linearnego porządku zdarzeń<sup>45</sup>.

Niemniej jednak, realizując schemat zgodnie z regułami konwencji i zasadami gry z czytelnikiem, Zapolska wprowadza własne rozwiązania, które można nazwać „oswajaniem modernizmu”<sup>46</sup>. Jej wariant powieści kryminalnej łączy bowiem – w większym zakresie zapewne niż na przykład u Chłędowskiego czy Przyborowskiego – oswojoną przez sensacją powieść modernistyczną z uatrakcyjnioną przez zbrodnię powieścią mieszczańską, „realistyczną”. Tak jakby pisarka, znając zasady przemieszczania się porządków w przestrzeni kultury masowej, uproszczone fragmenty modernistycznej wyobraźni osadziła w mieszczańskim salonie i wpisywała je w obowiązujący tu system wartości. Innymi słowy – wzbogaciła Zapolska kryminalną i romansową intrygę swojej powieści elementami z modernistycznego *imaginarium* w wersji „spauperyzowanej” znaczeniowo, ujednoznacznionej i sfunkcjonalizowanej. Uproszczona, skonwencjonalizowana, „realistyczna” dosłowność przepłata się tu z – wyzutą z wieloznaczności i podporządkowaną powinności melodramatycznej – młodopolską symboliką: „Mamy tu do czynienia – pisze, omawiając inną powieść popularną, Jacek Kolbuszewski – z klinicznie czystym przykładem symbolu oswojonego, łatwo czytelnego, niestawiającego przed czytelnikiem żadnych właściwie zadań interpretacyjnych, ale budującego swoistą aurę emocjonalną”<sup>47</sup>.

Już na początku charakteryzujący powieść kryminalną odmet zbrodni i miłości<sup>48</sup> zyskuje fabularne ukonkretnienie w wylewie przepływającej przez Kraków Rudawy. Zmętniałe fale niosą jednak nie tylko

<sup>44</sup> R. Stachura-Lupa, dz. cyt., s. 27.

<sup>45</sup> Por. T. Bujnicki, *Między „Nocą z 3-go na 4-go Grudnia” a „Liściami akcji” Walerego Przyborowskiego, czyli początki polskiej powieści kryminalnej*, „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historicolitteraria XIII”, Folia 134, s. 49-66.

<sup>46</sup> J. Kolbuszewski, *Oswajanie modernizmu. O poetyce powieści popularnych lat 1896–1905*, w: *W kręgu historii i teorii literatury. Księga ku czci Profesora Jana Trzynadłowskiego*, pod red. B. Zakrzewskiego i A. Bazana, Wrocław 1987.

<sup>47</sup> Tamże, s. 69.

<sup>48</sup> R. Stachura-Lupa, dz. cyt., s. 27.

brud rozumiany dosłownie, ale też kryją zgniliznę ludzkiej zbrodni. Rzeka – symbol wzburzonych i zmętliwych namiętności – niesie też ze sobą ciało (wziętej jakby z oswojonego konwencją literatury popularnej modernistycznego *imaginarium*) topielicy:

Z wody wynurzyła się teraz głowa i biust kobiety młodziutkiej. Bladej jak opłatek twarzy.

Oczy przymknięte, złote włosy dokoła czoła rozpuszczone przez fale, czyniły ją podobną do jakiegoś zjawiska, wylaniającego się nagle spośród wody.

Algi i inne wodorosty, trawy, kawałki wikliny poczepiały się dokoła jej głowy. Mech śliski sływał po jej szyi. Pomiędzy tą zgniłą zielenią znów coś sypnęło promiennymi skrami. Głowa wynurzyła się kilkakrotnie i zapadła w rude fale, opierając się jakby na żółtej aureoli. Dokoła ramion rozwiewały się po wodzie różowe jakby skrzydła. Biust był owinięty liliową draperią jedwabną<sup>49</sup>.

Autorem tego kryminalnego odkrycia staje się zwierzyński łobuziak, sentymentalnie i łotrzykowsko wyprofilowany „czarny Antek” – ulicznik o złotym i szlachetnym sercu, mający już jednak na koncie niejeden zatarg z krakowską policją<sup>50</sup>. Jego niespodziewana a przerażająca „zdobycz” dopiero po tym symbolicznym upozowaniu zyskuje kształt – co prawda ciągle wykwintnego, ale jednak – trupa, któremu przydana zostaje dawka kryminalnej konkretności:

Sily chłopaka wyczerpały się, ręce mu omdlały, nogi ugięły się. Czarny Antek upadł wycieńczony na trawę obok »księżniczki«. Na sekundę przymknął oczy.

Gdy je otworzył, wzrok jego padł na leżącego na ziemi trupa.

<sup>49</sup> G. Zapolska, *Kwiat śmierci. Powieść kryminalna ze stosunków krakowskich w dwóch tomach*, s. 8. Można by tu się, oczywiście, dopatrywać i ech fantastyki ludowej (topielice), mitologii, przetworzonego obrazu Ofelii, obrazów kobiecości, a nawet motywu „wody śmierci” – czy jednak Zapolska idzie aż tak daleko w powieści kryminalnej? Por. A. Czabanowska-Wróbel, *Wyobraźnia akwaticzna w poezji Młodej Polski*, „Pamiętnik Literacki” 1987, z. 1; A. Nawarecki, *Akwatyki. Woda i przedmioty Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej*, [w:] tegoż, *Rzeczy i marzenia. Studia o wyobraźni poetyckiej skamandrytów*, Katowice 1993, s. 99-119. L. Marzec, *Wody Zofii Nałkowskiej*, „Przestrzenie Teorii” 16, Poznań 2011, s. 81-95; E. Hurnikowa, *Natura w salonie mody. O międzywojennej liroyce Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej*, Warszawa 1995.

<sup>50</sup> Jego poprzedników szukać można w powieściach Wiktora Hugo, Charlesa Dickensa, Józefa Korzeniowskiego, Józefa Dzierzkowskiego. Zob. też: *Dzieci*, t. I-II, wybór, opr. i red. M. Janion i S. Chwin, Gdańsk 1988.

Widocznie ciało nie przebywało długi czas w wodzie, bo nie znać było jeszcze na nim rozkładu. Twarz była tylko blada, poznaczona koło brody kilkoma sinymi plamami. Spod rzęs przymkniętych ciemniały wielkie, szafirowe oczy. Rysy były prześliczne, delikatne, owal cokolwiek wydłużony. Z półotwartych ust połyskiwały zęby, z których jeden był plombowany złotem.

To, co Antek wziął za gwiazdę, było wspaniałym, brylantowym kolczykiem, rzadkiej piękności i ognia. Drugiego kolczyka brakowało w drugim uchu.

Nieznamąca była odziana nadzwyczaj wykwintnie, a nawet z pewną przesadną elegancją. Jasny jej żakiet sukienki podbity był różową materią i te poły od żakietu rozwiewały fale w formie różowych skrzydeł. Złotą aureolą, na której zjawiała się głowa, był płaski, słomiany kapelusz, uczepiony u tyłu fryzury, a liliowa bluzka, wyłaniająca się z mętnej toni, przywodziła wrażenie kwiatu.

Spódnica granatowa, wełniana, jedwabne brązowe pończochy otulały zgrabne, proste nogi. Pantofle widocznie spadły ze stóp, a jedna pończocha rozdarta o gałęzie drzew ukazywała poranione ciało, z którego sęki drzewa powyrywały kawałki skóry<sup>51</sup>.

Jak widać, na kryminalną zagadkę usymbolicznionej a skonwencjonalizowanej tajemnicy śmierci składa się z jednej strony oswojony modernizm, z drugiej – obłaskawiony niewybrednymi gustami mieszczkańskich czytelników – naturalistyczny szczegół.

Ujawniająca się w opisie i dalszym rozwoju fabuły schematyzacja powieściowych zasad realistycznych i modernistycznych przynosi nie tylko ukrytą w symbolice zmętniałej wody tajemnicę śmierci i namiętności (uproszczony wariant Erosa i Thanatosa), ale też domaga się zwielokrotnienia tej uproszczonej symboliki. Czytelnik otrzymuje jej uderzeniową dawkę już na początku powieści – wstępny opis pięknej topielicy zostaje bowiem dopełniony przez odnalezienie zgniłego kwiatu tuberozy i wijących się pasm złotych, długich włosów: „W sęku odciętym i zaostrzonym przez Antka w formie haka tkwił jakiś obcy przedmiot, omotany jakby w pajęczynę, w złote jedwabie czy włosy. (...) oto oczom jego ukazał się przegniły, żółkły kwiatek tuberozy”<sup>52</sup>. To właśnie ten kwiat i pasmo zamotanych na nim złotych włosów stanowią antropologię śladu, zaś ich seksualny podtekst wydaje się oczywisty – funkcjonują tu one jako łatwe do „odgadnięcia” znaki grzesznych namiętności:

<sup>51</sup> Tamże, s. 10.

<sup>52</sup> Tamże, s. 15.

Kwiat tuberozy zawsze robił na nim dziwne wrażenie.  
 Wiedzące tuberozy wydają woń trupią.  
 Ich białe, gładkie i zimne zawsze liście przypominają także marmur tru-  
 piego ciała. Stanowczo, tuberoza jest kwiatem śmierci.  
 Pomimo to ciągnie ku sobie i nęci w dziwny, tajemniczy sposób.  
 I ten kwiat zgnił w wodzie, groźny przez to, że tyle dni pozostawał  
 przy trupie, opląany włosami topielicy, ma jakiś urok (...) <sup>53</sup>.

Po wstrząsającym odkryciu czarnego Antka na scenie powieścio-  
 wych wydarzeń pojawiają się inni bohaterowie: agent policji Ślimak,  
 który „zyskał opinię niedołęgi i człowieka bez energii i sprytu” <sup>54</sup>, będą-  
 cy zaprzeczeniem detektywistycznej dociekliwości, kochana przez niego  
 skrycie cnotliwa córka dorożkarza ojca Jazdy – Wandzia Jazdówna, po-  
 jawiający się od razu w aurze podejrzeń hrabia Jasnośław Zamierowski  
 oraz nieprzychylny dotarciu do prawdy sędzia śledczy Targiewicz.

Mamy tu także symetryczny układ zbrodni i namiętności: grzeszne  
 uczucie, które zadaje śmierć (hrabiego do jego nieszczęsnej ofiary)  
 i czyste uczucie, które tajemniczą zagadkę śmierci pomaga rozwikłać  
 (Ślimaka do Wandzi). Także Kraków coraz bardziej pogrąża się w aurze  
 kryminalnej niejednoznaczności, coraz wyraźniej staje się „miastem  
 kryminalnym” <sup>55</sup>. Zapolska tak buduje opisy miejskie, by zdemaskować  
 pozorny spokój krakowskich przestrzeni. I tak na przykład łagodny wie-  
 czór na Plantach, gdzie: „Mnóstwo jasno ubranych kobiet spacerowało  
 wolnym krokiem” <sup>56</sup>, okazuje się podszyty „zbrodnią”, kiedy: „Wszyscy  
 chustkami, lub gałązkami oganiali się od niezliczonej ilości komarów,  
 które z całą żarłocznością rzucały się na krew ludzką” <sup>57</sup>. Nie jest przy-  
 padkiem, że tytuł powieści eksponuje krakowski koloryt – to przecież:  
*Kwiat śmierci. Powieść kryminalna ze stosunków krakowskich w dwóch  
 tomach*. „Stosunki”, czyli relacje społeczne, kumulujące się w zgęsz-  
 czonej przestrzeni miasta, mają tu wyraźnie swojski, galicyjsko-  
 krakowski wymiar <sup>58</sup>.

<sup>53</sup> Tamże, s. 16.

<sup>54</sup> Tamże, s. 12.

<sup>55</sup> Określenie Ewy Ihnatowicz. Por. teźże, dz. cyt.

<sup>56</sup> G. Zapolska, dz. cyt., s. 25.

<sup>57</sup> Tamże.

<sup>58</sup> O mistrzowskim wycuciu konwencji przez Zapolską świadczy i to, że jej utwory no-  
 szą te same tytuły, które autorzy lub tłumacze dzieł o sto lat późniejszych nadadzą wła-  
 snym romansowo-kryminalnym intrygom i narracjom. Zob. D. Shobin, *Kwiat śmierci*,  
 przeł. M. Mastalerz, Warszawa 2000 (oryginał: *The Seeding*, powieść amerykańska



Akcja powieści wyraźnie zagęszcza się z każdym akapitem. Przybywają nowi bohaterowie, mamy też klasyczne złamanie zakazu służbowego, a także rozpacz – będącej na granicy utraty cnoty i godności – dziewczycy, a nawet jej samobójczą próbę. Można powiedzieć, że im bardziej rośnie szlachetne i czyste uczucie agenta Ślimaka do Jadzi, tym bardziej tajemnica zbrodni zostaje nadwątlona – moc uczucia deszyfruje strategię zbrodniarza, dzięki miłości w Ślimaku potężnieją nie tylko przeczucia, ale też wzmacnia się siła logicznego myślenia.

Zapolska konsekwentnie stosuje zasadę symetrii i kontrastu, zgrabnie budując przebieg akcji i horyzont jej sfunkcjonalizowanych melodramatycznie, symbolicznych odniesień. Jak zwykle więc w dziewiętnastowiecznej narracji kryminalnej, świat ujawnia swoją uporządkowaną strukturę<sup>59</sup>. Sprawy, choć w punkcie wyjścia zamotane jak pukiel włosów na złotej szpilce białej w gnijącą tuberozę, w punkcie dojścia zyskują melodramatyczną wyrazistość brylantu, który ojciec Jazda próbuje ukryć za obrazem przedstawiającym Napoleona.

Trupi zapach wydzielany przez gnijącą tuberozę<sup>60</sup> zostaje więc ostatecznie pokonany przez niewinną woń bukieciku rezedy i lewkonii,

---

z 1982 roku); C. Brockway, *Niebezpieczny kochanek*, przeł. R. Januszewski, Warszawa 2006 (oryginał: *The Passionate One*, romans historyczny, amerykański z roku 1999).

<sup>59</sup> R. Stachura-Lupa, *Odnaleźć to, co zginęło*, w: tejsze, dz. cyt.

<sup>60</sup> O literaturze popularnej i symbolicznej florystycznej w XIX wieku zob. I. Sikora, *Młodo-polska florystyka poetycka*, Wałbrzych 2007; tegoż, *Przyroda i wyobraźnia. O symbolicznej roślinie w poezji Młodej Polski*, Wrocław 1992; *Róże, lilie, tuberozy. Młodopolskie wiersze o kwiatach*, wybór i wstęp I. Sikora, Szczecin 1998; M. I. Maciotti, *Mity i magie ziół*, przeł. I. Kania, Kraków 2006; B. Adamkiewicz-Iglińska, *Duch, co „kwiatem rozkwitnął”*. *Flora w genezyjskiej twórczości Juliusza Słowackiego*, Olsztyn 2015; B. Sawicka-Lewczuk, *Kwiatowe „ornamentum” Juliusza Słowackiego*, w: *Światło w dolinie. Prace ofiarowane Profesor Halinie Krukowskiej*, red. K. Korotkich, J. Ławski, D. Zawadzka, Białystok 2007; B. I. Kuryłowicz, *Semantyka nazw kwiatów w poezji Młodej Polski*, Białystok 2012; A. M. Kielak, *Zielnik Elizy Orzeszkowej. Nieznany zabytek botaniczny przechowywany w zbiorach PTPN*, Poznań 2015; D. Piekarczyk, *Kwiaty we współczesnym językowym obrazie świata*, Lublin 2004; *Modernizm. Zapowiedzi, krystalizacje, kontynuacje*, red. A. Grzelak, M. Kurkiewicz, P. Siemaszko, Bydgoszcz 2009; M. Kurkiewicz, *Tęmno epoki. Miejsca i rola motywu krwi w literaturze Młodej Polski*, Bydgoszcz 2013; M. Popiel, *Oblicza wzniosłości. Estetyka powieści młodopolskiej*, wyd. 2, Kraków 2003; *Literatura popularna*, T. I: *Dyskursy wielorakie*, red. E. Bartos, M. Tomczok, Katowice 2013; J. Szocki, *Literatura popularna w II połowie XIX i na początku XX wieku: dzieła, gatunki i kody*, „Z Polskich Studiów Słowistycznych”, S. 9, Warszawa 1998; A. Gemra, „Kwiaty zła” na miejskim bruku. *O powieści zeszytowej XIX i XX wieku*, Wrocław 1998; *Literatura kryminalna. Śledztwo w sprawie gatunków*, red. A. Gemra, Kraków 2014.

który zakochany Ślimak wręcza na początku powieści szlachetnej Wandzi. Pisarka sprawnie wprowadza tropy i umiejętnie je wykorzystuje, nie przesadza też z budowaniem napięcia ani wyrazistością naturalistycznego szczegółu. Oswaja dyskursy i dopasowuje je do popularnej i poczytnej formuły kryminalnej.

Ta mistrzyni sprzeczności okazuje się także mistrzynią konwencji.

## ZASADY WYDANIA

Niniejsza krytyczna edycja popularnonaukowa (typu B) powieści Gabrieli Zapolskiej *Kwiat śmierci. Powieść kryminalna ze stosunków krakowskich w dwóch tomach* jest pierwszym książkowym wydaniem utworu, który Zapolska opublikowała pod pseudonimem *Walery Tomicki*. Powieść drukowana była w 1903 roku w krakowskim dzienniku „Nowiny dla Wszystkich” od 16 maja do 29 września w numerach: 1-37, 41-47, 49, 53-54, 58-61, 64-67, 75-85, 87, 88, 101-111. Poszczególne numery gazety można znaleźć w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie i Biblioteki Narodowej w Warszawie, przy czym w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej brakuje numeru 84.

„Nowiny dla Wszystkich” ukazywały się w Krakowie w latach 1903–1913, od grudnia 1905 roku jako „Nowiny”. Wydawcami gazety byli Ludwik Szczepański (1903–1904) i Lucyna Szczepańska (1904–1912) oraz Krakowskie Towarzystwo Wydawnicze (1912). Dziennik miał charakter informacyjny i sensacyjny. Pierwszy numer dziennika – z fragmentem *Kwiatu śmierci* Zapolskiej – ukazał się 16 maja 1903 roku, z kolei ostatni 21 grudnia 1913 roku. Pismo ukazywało się w nakładzie 4 tys. egzemplarzy.

Dla edycji niniejszej przyjęto zasady modernizacji tekstu określone w książce Romana Lotha *Podstawowe pojęcia i problemy tekstologii i edytorstwa naukowego* (Warszawa 2006).

Przyjęto następujące zasady wydania:

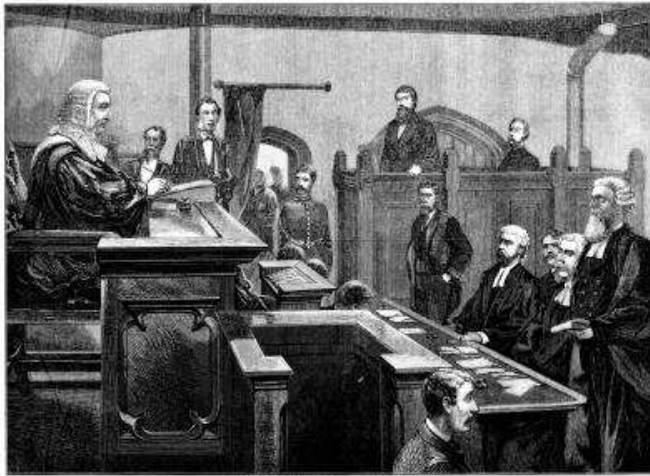
- zmodernizowano interpunkcję i ortografię;
- uwspółcześniono pisownię joty i dostosowano użycie samogłosek *i, j* i *y* do dzisiejszych reguł ortografii;
- zmodernizowano końcówki *-im, -ym, -em, -imi, -ymi, -emi*;
- samogłoskę *y* znajdującą się w miejscu dzisiejszego *e* zmodernizowano i zamieniono na *e*;
- pozostawiono formy służące stylizacji gwarowej;
- zmodernizowano pisownię łączną i rozłączną;
- zmodernizowano samogłoski znajdujące się w wygłosie, zamieniając je z ustnych na nosowe, jeśli wymagała tego zgodność z zasadami dzisiejszej ortografii;

- pozostawiono wygłosowe *-ę* w słowach dzisiaj kończących się na *-ą*, np. *jednę* zamiast *jedną*, w niektórych przypadkach *baronową* zamiast *baronową* jako celowe zastosowanie archaicznych form przez autorkę;
- zmodernizowano dobór w wyrazach odpowiednich spółgłosek szczelinowych;
- uwspółcześniono słowa posiadające w swej pisowni samogłoski: ó, o i u;
- przestarzałe *-en-* zmieniono na *-ę-*, zgodnie z dzisiejszą ortografią, np. *frendzle* zastąpiono formą *frędzle*; *-on-* na *-ą-*, np. *bronżowa* zmieniono słowem *brązowa*; natomiast *-q-* na *-om-*, np. *kląbu* zastąpiono formą *klombu*;
- pozostawiono bez zmian podział na akapity;
- ujednolicono pisownię dużą i małą literą, przyjmując następujące formy: *Czarne Antki* (jako nazwa własna bandy), *czarny Antek* (czarny – rozumiany jako przymiotnik opisujący chłopaka, ze względu na jego ciemne włosy), *Czarny* (określenie występujące bez imienia potraktowane zostało jako przezwisko i dlatego pisane jest dużą literą, podobnie jak: *Kozioł*, *Trąbinos*, *Ślimak* itp.), *ojciec Jazda* (słowo pospolite pisane małą literą, a nazwisko wielką), *Żydówki* (jako nazwy narodowości), *topielica* (uznano w tym wypadku pisownię dużą literą za nieuzasadnioną), *Teatr Ludowy* (jako nazwa własna instytucji), *dyrekcja policji* (jako nazwa pospolita); formy grzecznościowe *pan/pani* itp. oraz zaimki osobowe pisano małymi literami; nazwy geograficzne zmodernizowano;
- ujednolicono wersje zapisu nazwiska Ślimaka, wybierając formę *Mick* jako pojawiającą się częściej niż *Mik*; pozostawiono natomiast formę *Mix* w sytuacji użycia jej w dialogu, uznając ją za celowy zabieg autorki;
- ujednolicono wersję zapisu słowa *smoking/smocking*, wybierając polską: *smoking*;
- pozostawiono starsze formy wyrazów, w tym: *słowy* zamiast współczesnego *słowami*, *insze* zamiast *inne*, *jakowychś* zamiast *jakowyś*, *poczepiały* zamiast *poprzcypiały*, *jaką* zamiast *jakąś*, *punkta* zamiast *punkty*, *pokrają* zamiast *pokrajają*, *sentymenta* zamiast *sentymenty*, *podziwienie* zamiast *podziw*, *takąż* zamiast *taką*, *żakieta* zamiast *żakietu*, *komediancy* zamiast *komedianci*,

*mię* zamiast *mnie*, *dokumenta* zamiast *dokumenty*, *melodramata* zamiast *melodramaty*, *temata* zamiast *tematy*, *niespokoju* zamiast *niepokoj*, *stronnicy* zamiast *stronicy*, *moranse* zamiast *romanse*, *najprzód* zamiast *naprzód*, *obejrz* zamiast *obejrzyj*, *wschodach* zamiast *schodach*, *pomieszkanku* zamiast *mieszkania*, *rozświeconej* zamiast *rozświetlonej*, *instynktowo* zamiast *instynktownie*, *adresa* zamiast *adresy* jako charakterystyczne dla języka epoki;

- pozostawiono pisownię z dzisiejszego punktu widzenia niepoprawną w wyrazach, które mogą być reliktem idiolektu środowiskowego określonych grup społecznych – słowa te występowały w powieści przede wszystkim w wypowiedziach Antka i członków jego bandy oraz ojca Jazdy – na przykład: *dzisiaj*, *tuta*, *lepi*, *dopiero*, *poczekaj*, *tyż*, *psiokrew*, *wypaproszą*, *śrybro*, *abo*, *wnątrzu*, *namyśleć*, *tańcowałnie*, *klabriasz*, *świżo*, *dzież*, *ni*, *rozkazowania*, *zyrka*, *cysarz*, *zbrodzień*, *Jantek*, *kubity*, *perun*, *śmieli*, *zcerować* itp.;
- zmodernizowano takie formy wyrazów, jak: *oczów* na *oczu*, *uszów* na *uszu*, *bledej* na *bladej*, *rozśmiał* na *roześmiał*, *paznogieć* na *paznokieć*, *zakupno* na *zakup*, *omatany* na *omotany*, *każden* na *każdy*, *gieście* na *geście*, *zeszedł* na *zszedł*; *przedśmiertelnej* na *przedśmiertnej*, *podeszedł* na *podszedł*, *napowrót* na *powrót*, *cięży* na *cięży*, *swojem* na *swoim*, *siędzie* na *siądzie*, *wprędce* na *prędco*, *zegaru* na *zegara*, *pozbędź* na *pozbydź*, *szczególniej* na *szczególnie*, *ajent* na *agent*, *śmieli* na *śmiali*, *bolu* na *ból*, *straktuje* na *potraktuje*, *teras* na *taras*;
- poprawiono numerację rozdziałów – w gazetowym druku bowiem po trzecim rozdziale tomu II pojawia się rozdział piąty, a po szóstym ósmy;
- oczywiste *lapsus calami* znajdujące się w druku prasowym poprawiono.

Powieść opatrzone przypisami, które objaśniają nieznanne dziś słowa, zwroty obcojęzyczne, gwarowe, środowiskowe, a także przybliżają – oczywistą prawie zawsze dla współczesnych mieszkańców miasta – topografię Krakowa.



THE JUDGE'S BENCH—THE COURT IN COURT

Proces Neda Kelly`ego, 1880, State Library of Victorias Pictures Collection

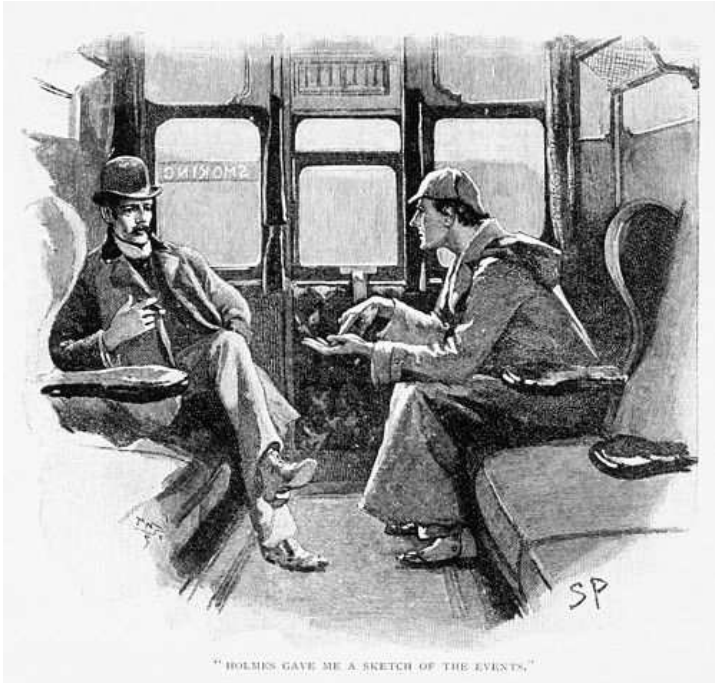
**Walery Tomicki<sup>1</sup>**

# **KWIAT ŚMIERCI**

**Powieść kryminalna  
ze stosunków krakowskich  
w dwóch tomach**

---

<sup>1</sup> Jest to pseudonim, którym posłużyła się Gabriela Zapolska (zob. *Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich oraz Polski dotyczących*, oprac. A. Bar, t. II, Kraków 1980, s. 171 oraz *Słownik pseudonimów pisarzy polskich*, oprac. zespół pod red. E. Jan-kowskiego, t. III, Wrocław 1996, s. 357).



"HOLMES GAVE ME A SKETCH OF THE EVENTS."

Sidney Paget, Sherlock Holmes i Doktor Watson, „The Strand Magazine” 1892



**TOM I**



DZIEŃ LIPCOWY

ANTONI PIOTROWSKI

„Tygodnik Ilustrowany” 1903, nr 27, s. 521

## I

### Wódz Czarnych Antków – Jego adiutant – Pan inspektor Ślimak – Wszyscy na Błonia!<sup>1</sup>

– A żebyś mi się nie ważył lecieć do wody, hyclu jeden – upominała Antka Jakubowa, stojąca na progu izby.

Spod pierzyny coś zapiszczało niewyraźnie.

– A panu inspektorowi zanieś bułki, pamiętaj, o ósmej.

Znów coś pod pierzyną kwiknęło.

– A wstań leniu... Słyszysz? dosyć się wylegujesz, choć dzień taki duży!

Antek spod pierzyny łeb wyścibił<sup>2</sup>.

– Matka!

– No... a czego?

– Co tam tak szumi?

– Gdzie?

– A no na dworze. Woda?

– Głupiś, we łbie ci trociny szumią.

Z tymi przyjaznymi słowy wyszła Jakubowa ze stancji<sup>3</sup> i z koszykiem, na dnie którego spoczywał różaniec i garnuszek na ogórki, udała się w stronę rynku.

Idąc, rozmyślała.

Ciężki los wdowy, zwłaszcza gdy ma dziecko do wyżywienia. Nikt jej nie przyjdzie z pomocą. Chłopiec rośnie jak młode cielę i wciąż po ulicach ugania. Utrzymać go na uwięzi nie może, niepodobna, cały dzień za domem zajęta, wynajmuje się jako kucharka.

Coś przecie trzeba z Antkiem zrobić, bo Jakubowa czuje, że się jej chłopak zmarnuje. Już zwąchał się z innymi Antkami<sup>4</sup> ze Zwierzynca<sup>5</sup> i pan inspektor mówił jej nie dalej jak wczoraj, że policja ma na niego oko. Wszędzie Antek pierwszy i prowadzi bandę, takich jak on łobu-

---

<sup>1</sup> Błonia – część Krakowa; rozległa łąka, położona w pobliżu Starego Miasta, przez którą przepływa rzeka Rudawa.

<sup>2</sup> Wyścibić – wyściubić, wytknąć, wychylić, wysunąć.

<sup>3</sup> Stancja – mieszkanie, pokój.

<sup>4</sup> Antki – tu: chłopcy podobni do niego, należący do bandy, przyjaciele, rówieśnicy.

<sup>5</sup> Zwierzyniec – dziś: obszar Krakowa, wtedy: wieś rozciągająca się między Rudawą a Wisłą.

zów, którzy są dobrze znani i na Dębnikach<sup>6</sup>, i na Zwierzyńcu pod ogólną nazwą Czarnych Antków.

– Panienko Najświętsza! miejże nas w opiece – wzdycha Jakubowa, przechodząc mimo kościoła Franciszkanów<sup>7</sup>.

Westchnęła i weszła, aby choć na chwilkę przy ołtarzu przyklęknąć. I zaraz jej się zrobiło jak w raju, jakby do ogrodu precudnego weszła, a ze ścian lecieć poczęły na nią żywe róże, bławaty i fiołki. Takie to cudne kwiaty na ścianach franciszkańskiego kościoła kwitną<sup>8</sup>.

Zapomniała o troskach, jeno się Bogu wraz z Antkiem wśród tych kwiatowych piękności oddawała.

Tymczasem po wyjściu matki czarny Antek na przód łeb, jakby atramentem umaczany, wytknął, obejrzał się dokoła i nagle pierzynę aż na sufit stancji rzucił i na równe nogi się porwał. Jak szalony chwycił porcięta połatane, co na krzesła leżały, wciągnął, katankę<sup>9</sup> nadział, palcami po włosach przejechał i już był gotów.

Na stole stało trochę mleka i leżała kromka chleba. Mleka tylko chlipnął, chleb za pazuchę zatknął i bosymi piętami podudnił po podłodze.

Wypadłszy przed bramę, rozejrzał się i przeraźliwie gwizdnął. Odpowiedziało mu ciche gwizdnięcie. Antek roześmiał się i czekał chwilę.

Spoza węgła<sup>10</sup> Karmelickiej<sup>11</sup> ulicy pokazała się malutka figurka kulejąca i dążyła, skacząc dziwacznie, w stronę Antka.

Ten nie czekał, lecz gorączkowo podleciał do nadchodzącego kulasa.

– No co, Kozioł? co?

Nazwany kozłem należał widocznie także do bandy Antków, bo stanął przed Czarnym wyprostowany, o ile mu pozwalało jego kalectwo, jak żołnierz przed szefem.

– Wylała.

– A nasi?

---

<sup>6</sup> Dębniaki – podobnie jak Zwierzyniec, dzisiaj są dzielnicą Krakowa, natomiast w 1903 r. były jeszcze graniczącą z nim wsią.

<sup>7</sup> Krakowski klasztor Franciszkanów istnieje od XIII w. i jest w Polsce jedynym, który istniał nieprzerwanie przez tyle wieków. Znajduje się on przy ul. Franciszkańskiej 2.

<sup>8</sup> W 1895 r. wschodnia część kościoła została ozdobiona polichromią Stanisława Wyspiańskiego, były to głównie malowidła o motywach roślinnych.

<sup>9</sup> Katanka – rodzaj krótkiego, męskiego ubioru; coś na kształt kaftana bądź kurtki.

<sup>10</sup> Węgieł – róg, narożnik, kant, winkiel.

<sup>11</sup> Ulica Karmelicka – jedna z reprezentacyjnych ulic Krakowa, główna ulica dzielnicy Piasek, przedłużenie ulicy Szewskiej, łączy się z Placem Inwalidów.

– Wszyscy na Błoniach rekognoskujom<sup>12</sup>, strażaki też, policja, lament, bety<sup>13</sup> z suteryn wynoszą.

– Klawo! Ekielski<sup>14</sup> zalany?

– Ni, jeszcze nie doszło. Chodźmy...

Antkowi aż się oczy świeciły. Rwał się cały tam, gdzie wylew Rudawy doroczne zamieszanie sprowadzał.

– Poczekaj Kozioł! muszę inspektorowi bułki zanieść i wody przywindować<sup>15</sup>. Zaraz będę...

Zwrócił się do bramy, lecz zatrzymał się w pędzie, bo w bramie pojawił się jasnowłosy mężczyzna o płaskiej, dziwnie flegmatycznej twarzy. Odziany w zniszczone, zielonawe palto wyszedł powoli na ulicę, spojrzął na pochmurne niebo, wyciągnął rękę, jakby chcąc się przekonać, czy deszcz pada i nacisnąwszy zmięty kapelusz na uszy, skierował się w stronę ulicy Wolskiej<sup>16</sup>.

– Pan inspektor! – szepnął Franek do Antka.

Antek usta wyduł.

– Phi... to nie żaden inspektor, tylko agent<sup>17</sup>. Matka go tak honoruje. Dziś spóźnił się, jak zawsze... Ślimaki<sup>18</sup> tam są wszyscy – a on dopiero lezie. To lepiej, bułek nie trza mu nosić. No, a teraz giry<sup>19</sup> za pas i megaj<sup>20</sup> na Błonia.

– A ty?

– Durnyś mikrus<sup>21</sup>, ja będę przed tobą. Zanim ty swoje odskakasz, to ja już po pas będę siedział we wodzie.

Potrząsnął czarną czupryną i puścił się jak strzała środkiem ulicy, szklącej się od błota. Bose jego nogi rozbijały dokoła maź błotną. Pędził jak szalony, wydając od czasu do czasu dźwięki dla dodania sobie animu-

<sup>12</sup> Rekognoskować – tu: badać okolicę.

<sup>13</sup> Bety – pościel.

<sup>14</sup> Ekielski – prawdopodobnie chodzi o dom znanego, krakowskiego architekta Władysława Ekielskiego, który znajduje się na rogu ul. Piłsudskiego 40 oraz alei Krasińskiego 25.

<sup>15</sup> Przywindować – wciągnąć, przydźwigać.

<sup>16</sup> Ulica Wolska – ulica usytuowana na Starym Mieście, ciągnąca się od Plant i ul. Straszewskiego w pobliżu Collegium Novum w kierunku zachodnim do alei Trzech Wieszczów. Nazwa „Wolska” funkcjonowała w latach 1807–1933. Następnie zmieniono ją na ul. Piłsudskiego.

<sup>17</sup> Agent – zwykły urzędnik policyjny; inspektor – wysoki stopień w polskiej policji.

<sup>18</sup> Ślimaki – tu: inni policjanci, ludzie wykonujący ten sam zawód co Ślimak.

<sup>19</sup> Giry – wielkie ciężary do wag; tu: gw. nogi.

<sup>20</sup> Megać – stanąć, tu: biegnąć.

<sup>21</sup> Mikrus – młody chłopak, malec.

szu. Przeleciał obok idącego wolnym krokiem „inspektora”. Lecąc, krzyknął:

– Moje uszanowanie panu inspektorowi! – i nie zatrzymując się, poleciał dalej.

W głosie jego nie było znać ani zbytej trwogi, ani respektu. Wiodocześnie Ślimak nie był postrachem Czarnych Antków i ich naczelnego wodza.

Wreszcie Antek przeleciał ulicę Wolską i wdrapawszy się na nasyp kolejowy, dopadł Błoni. Nic jeszcze nie zdawało się wróżyć katastrofy wylewu, lecz wprawne oko i nos Antka odczuły niebezpieczeństwo. Przystanął chwilę.

Ogarnął wzrokiem Błonia, ponad którymi unosił się w szarej, dżdżystej mgłę kopiec Kościuszki<sup>22</sup> i zaczął się orientować w sytuacji.

Wielkiej akcji ratunkowej jeszcze nie rozwinęto. Czekano wiodocześnie, aż woda da więcej znać o sobie. Tu i ówdzie widać było gromadki strażaków, gdzieniegdzie połyskiwały mundury żołnierzy. Ciemno ubrani urzędnicy policyjni stali nieruchomi na wale kolejowym, zbici w niewielką gromadkę.

Wszyscy zdawali się czekać nadejścia jakiegoś wroga, z którym zmierzyć się bynajmniej nie pragnęli. Nie chcieli także walczyć z nim, bo wszelka walka była tu trudną i bezowocną.

Stali i czekali.

Tymczasem powoli, bardzo powoli, a w istocie bardzo szybko, podnosiła się ze swego wąskiego koryta Rudawa<sup>23</sup> i dwoma ramionami mętными, żółtymi obejmowała przestrzeń Błoni, ogarniając chaty Czarnej wsi<sup>24</sup>, majaczące w oddali. Daleki, ledwo dosłyszalny szmer, szum jakby wielu ptaków burzących trzciny i wikliny nadbrzeżne<sup>25</sup>, dolatywał od strony wody. Martwo, spokojnie podnosiły się fale i jakby podstępnie zagarniały coraz to większą przestrzeń, lśniąca żółtawą swą powłoką.

Niebo przybrało także ten zgniły, rdzawy ton Rudawy.

---

<sup>22</sup> Kopiec Kościuszki – jeden z czterech krakowskich kopców, które zostały usypane bohaterom narodowym. Powstał w latach 1820-1823 i znajduje się na Wzgórzu św. Bronisławy w dzielnicy Zwierzyniec.

<sup>23</sup> Rudawa – rzeka przepływająca m.in. przez Kraków, lewy dopływ Wisły.

<sup>24</sup> Czarna wieś – dzisiaj: część Krakowa, wtedy: wieś położona 2 km na zachód od tego miasta.

<sup>25</sup> Wikliny nadbrzeżne – jedne z największych polskich traw, rosną nad wodami, pokrywając niekiedy całe wybrzeża.

I wszystko tam w dali zdawało się być jedną masą gnijącej, błotnistej mazi. Nawet wikliny nadbrzeżne nie odznaczały się silniej, a drzewa zaledwie szarzały.

Ranek wstawał chmurny, ciężki. Antek jednak zatarł z uciechą ręce. Odkąd przyszedł do rozumu<sup>26</sup>, czekał z roku na rok tego wylewu, który był dla niego obfitym źródłem uciech.

Lecz w tym roku gratka była niemała. Deszcz lał już od dwóch tygodni i Rudawa wezbrała ponad zwykłą miarę – wylała powtórnie w czerwcu, całą masą żółtych, mętnych wód, które niosła ku Krakowowi szeroką, rozlewną masą.

– Będzie frajda! – zakonkludował Antek.

Gwizdnął raz i drugi – cicho i trochę lękliwie ze względu na obecność urzędników policyjnych. Nikt się nie odezwał.

Widocznie banda operowała na własną rękę, nie troszcząc się o swego wodza.

Antek nawet i rad był z tego. Pozostawała mu swoboda działania. Powziął śmiały plan.

Zapraęnął iść na spotkanie Rudawy.

– O! co mi zrobi? Poknajam<sup>27</sup> sam! zajrzę jej w pysk i plunę cholezre, a potem z nią razem wjadę pod Ekielskiego – obejrzał się dokoła.

Gromadki ludzi ściągać zaczęły na wał kolejowy.

Wszyscy wytężonym wzrokiem śledzili to, co się działo w oddali. Niektórzy machali rękami jak drogowaskazy.

Znad nasypu kolejowego powoli wychyliła się postać „inspektora”.

– Wlecze się dziwaczysko – roześmiał się Antek.

W gruncie rzeczy Antek lubił tego powolnego, cichego agenta policyjnego.

Często Antkowi stanął w przygodzie<sup>28</sup>, obronił przed matką, ba, nawet raz poszedł za nim do policji i wstawiał się – wtedy, gdy Czarna Banda pod dowództwem Antka powięzała wieczorem stojące na placu dorożki jedną do drugiej, tak że nagle cały szereg dorożek ruszył z miejscy ku ogólnej rozpaczy dorożkarzy.

„Ślimak”, bo tak ogólnie nazywano powolnego agenta, miał słabość do czarnego Antka.

<sup>26</sup> Przyjść do rozumu – zmądrzeć, dorosnąć, uświadomić coś sobie.

<sup>27</sup> Poknajać – (z ros.) pójść, pobiec.

<sup>28</sup> Stanąć w przygodzie – pomóc w trudnej sprawie.

Nieraz mu darował jakiś drobiazg, pogadał, a nawet, co niezmiernie rzadkie, na widok chłopca uśmiechał się przelotnie.

I teraz, przechodząc przez nasyp, zaczął kiwać przyjaźnie na Antka głową...

– Juści ten? – zapytał, a smutne jego oczy rozjaśniły się na chwilę.

– A tak, proszę pana inspektora – odparł Antek – pójdę się z nią spotkać.

– Z kim?

– A no, z tą szelmą Rudawą, przyprowadzę ją ze sobą.

– Oszalałeś?

– Ale gdzie! Jak się kopnę, to aż się zatrzymam, jak se w niej pięty zmaczam.

I podniósłszy porcięta tak wysoko, jak zdołał, kopnął się Antek w stronę żółtej masy wodnej, trzymając się przezornie śladu wiklin.

– Poczekaj cholero... ja cię przychycę<sup>29</sup> – rzucił jakby wyzwanie szumiącej, podstępnej, zdradzieckiej rzeczulce.

Ślimak stanął jak wryty i śledził z zajęciem i niepokojem drobną postać dziecka, niknącą z błyskawiczną szybkością w żółtawej przeszczeni.

– Jeszcze się utopi! – pomyślał, a po jego chorobliwej, zmienionej twarzy, przesunął się wyraz prawdziwego niepokoju.

Widocznie Ślimak naprawdę lubił czarnego Antka.

Chłopaka już prawie widać nie było.

Czarna, drobna kulka, łażyła po powierzchni, podskakiwała, aż wreszcie znikła.

## II

### Co czarnemu Antkowi Rudawa przyniosła

Antek pędził, co mu sił starczyło. Minął park Jordana<sup>30</sup> i wreszcie zatrzymał się dla nabrania oddechu. Był sam jeden i nagle poczuł się

<sup>29</sup> Przychycić – przenośnie: pochwytać.

<sup>30</sup> Park Jordana – krakowski park sąsiadujący z Błoniami.



drobny i mały. Taki wielki bezmiar wydał mu się, że bardzo blisko rozlała się Rudawa stalowa, błyszcząca, mętna, posępna.

I fala za falą postępowała, rozszerzając boki, jakby jakiś gad rozszerzał swe zaspiane, żółte cielsko na obszarze swego państwa. Antek przycisnął ręce do piersi, otworzył usta i wpatrywał się w tę masę rozlewającej się wody.

Zawsze widział wylew już dokonany wtedy, gdy Rudawa spod nasypu kolejowego wylewała się w ulicę Wolską, Smoleńsk<sup>31</sup> i inne, lecz było to mniej groźne, mniej straszne, bo dokoła były domy, byli ludzie, którzy krzatali się i obecnością swoją dodawali sobie nawzajem otuchy. Ale tu on, Antek, choć taki nieustraszony, choć postrach dorożkarzy, przekupek na Szczepańskim placu<sup>32</sup>, Żydówek na Kazimierzu<sup>33</sup>, kociarek<sup>34</sup> na całej Batorego, Szlaku, Łobzowskiej<sup>35</sup>, on przecież czuje się strwożonym, bo oto woda idzie naprzeciw niemu wielka, szara, groźna, a on sam mały, drobny stoi i zatrzymać jej nie jest w stanie.

Ale to była tylko krótka chwila.

Szybko się Antek opamiętał i fantazja mu wróciła.

Potrząsnął czarną czupryną i zaczął się zastanawiać, jakie korzyści może ze swej sytuacji wyciągnąć.

Zginać, nie zginie.

Pływa dobrze, więc w ostateczności wjedzie na kark Rudawie i przyjedzie na niej jak w tramwaju do miasta.

A skorzystać trzeba z tego, że mu się udało przedrzeć się aż tutaj.

W mózgu ulicznika zaczęły się powoli układać myśli w pewnym porządku.

Jeżeli Rudawa płynie z daleka, to musiała już niejedno zagarnąć po drodze.

Kto wie, jakie tam skarby mogą nieść ze sobą te brudne, żółte fale.

Należy zrekonoskować. Środkiem płynie woda płytko, lecz im bliżej do koryta, tym głębsze i więcej szemrzą fale.

Widać deski, snopy słomy, dachówki, jakieś szmaty.

<sup>31</sup> Smoleńsk – ulica Krakowa należąca do dzielnicy Stare Miasto.

<sup>32</sup> Szczepański plac – krakowski plac usytuowany między ulicami św. Tomasza i Szczepańską a Plantami, spełniał funkcje targowiska.

<sup>33</sup> Kazimierz – część Krakowa wchodząca w skład Starego Miasta.

<sup>34</sup> Kociarka – miłośniczka kotów.

<sup>35</sup> Ulice: Batorego, Szlak, Łobzowska – krakowskie ulice znajdujące się w obszarze Starego Miasta.

Należałoby przedmioty godniejsze uwagi przyciągnąć do siebie, aby się im przyjrzeć. Kto wie, co one z bliska za wartość przedstawiają.

Antek obejrzał się dokoła.

Smutnie sterczało jakieś niewielkie drzewko, jakby biadając nad losem, jaki je niedługo spotka.

Chłopak z nadzwyczajną wprawą podskoczył, porwał za gałąź, nagiął drzewo, wyłamał gałąź, która mu się najlepiej do jego celu nadawała i wyjąwszy z kieszeni kozik<sup>36</sup>, zaczął strugać rodzaj zakrzywionego wiosła. Strugając, kłął i gwizdał na przemian.

Antek inaczej nie umiał pracować.

Gdy skończył, woda łechtala mu już pięty.

Podskoczył i roześmiał się wesoło.

– Pycha, klawo<sup>37</sup> zmajstrowane! – zawołał radośnie.

Wszedł we wodę po kolana, nie uważając już teraz na nic.

Jedna myśl go pochłonęła: wydobyć coś z wody, coś przedstawiającego wysoką wartość, coś, czym mógłby się pochwalić później, nie tylko przed swoją bandą, ale przed światem całym.

– Żeby tak szkatułkę ze srebrem albo mundur ułański, albo baldachim z frędzlami, albo i co insze – myślał, wyteżając wzrok. Fala rosła, szumiała coraz więcej rwąc go ze sobą.

Opierał się z całej siły i dwukrotnie musiał rejterować<sup>38</sup>, poszukując płytszego miejsca.

– A to rwie psia para<sup>39</sup>! – zaklął, zarzucając swą gałąź hen jakiegoś przedmiotowi, wartko unoszonemu przez wodę.

Lecz prędko otrząsł gałąź. To była wiązka przegniłego siana. Coś go trąciło w kolano.

Podskoczył, nachylił się. Był to rozbity garnek. Ze złością odrzucił go Antek na środek fal.

– A szczeźnij<sup>40</sup>!

Stał wytrwale, pomimo że woda sięgała mu do pól brzucha. Słońce powoli rozdzierało chmury. Jakiś promyk przedarł się i zaczął migotać w płynącej wodzie.

<sup>36</sup> Kozik – mały składany nóż.

<sup>37</sup> Klawo – świetnie, wybornie.

<sup>38</sup> Rejterować – uciekać, cofać się.

<sup>39</sup> Psia para – dawne przekleństwo.

<sup>40</sup> Szczeźnać – zniknąć, zginąć.

– Tyż – wzruszył ramionami Antek, patrząc z pogardą na słońce – wybrało się!

Nagle uwagę jego zaprzął jakiś wir, który tworzył się o kilkadziesiąt kroków od niego, około tego drzewka, z którego Antek ułamał gałąź.

Fale płynęły, rozbijały się o drzewko, kręciły się, szarpały. Robiło to wrażenie, iż o drzewko zatrzymał się jakiś przedmiot znacznych rozmiarów, który opierał się sile wody i nie chciał posunąć się naprzód.

Rudawa jednak, pewna swej mocy i zagarniająca wszystko pod swą władzę, rzucała się z coraz większą wściekłością na tę niespodziewaną zaporę.

– Ki diabeł? – wyszeptał Antek, posuwając się z wolna ku drzewu. – W ślepiach mi się dwoi. Toć to z daleka jakby dużo kwiecica rozmaitych kolorów i coś złotego jak zboże... Ki diabeł? Co mi też ta Rudawa niesie?

### III

#### Księżniczka o złotych włosach

Potrącany przez fale, z wolna posuwał się Antek naprzód. Im więcej zbliżał się do owego tajemniczego przedmiotu szarpanego przez wodę, tym więcej ciekawość jego rosła.

Fala rozsypywała i zbierała znów do siebie, jakby liście zielone mieniące, jakby kłosa złote, a wśród tej zieleni coś białego, to znów jakby ogromny fioletowy kwiat ukazywało się i nikło.

Chwilę Antek czuł wielką trwogę.

– Takem wyzywał złotości i jakowychś bogactw... kto wie, co mi ta diabeł w tej przeklętej powodzi przed ślepią naraja<sup>41</sup> – pomyślał i ręka, którą już kierował z gałęzią, opadła mu na wodę.

Może to go zły kusi takimi mamidłami po to, aby go w wodę wciągnąć – kto wie.

Ciarki przeszły po chłopaku.

---

<sup>41</sup> Narajać – nasuwać.

Drżał, ale oczu oderwać nie mógł, tak go to wabiło i ciągnęło ku sobie.

A tymczasem woda przybierała ciągle i Antek tak stojąc na miejscu nie opatrzył się, jak zanurzył się już po pas.

Uczucie zimna przywiodło go do przytomności.

– Trza się na coś namyśleć, bo jeszcze mnie psiokrew zaleje – pomyślał, strząsając się z tej martwoty.

– A jeśli to skarb... – rozważał – kto wie. A zresztą bierz diabli diabła, już ja sobie z nim poradzę, byle tylko coś mi w łapę grubo wpadło.

Rozstawił silnie nogi, wyciągnął rękę i zarzucił gałąź.

Kilkakrotnie ponowił swe usiłowania, nie mogąc dopiąć celu. Nie mógł dosięgnąć owych barwnych przedmiotów, migających szybko w wodzie. Rozróżnił jednak, że to były części sukien kobiecych o jasnych kolorach.

– Jaki tłumok<sup>42</sup> z kieckami – pomyślał i podwoił usiłowania.

Słońce błyszczało znów promieniem i nagle pomiędzy wirującymi w mętnych toniach płatami coś zamigotało jak gwiazda i sypnęło światłem, i kolorowymi iskrami. Antek aż zmrzył oczy i cofnął się olśniony.

– Gwiazda spadła czy co! – wyszeptał przecierając mokrą ręką oczy.

Lecz to podnieciło jego chęci. Z całym wysiłkiem zarzucił gałąź i wreszcie udało mu się zaczepić o długie, złotawe jakby nici, które się o pień drzewa owinęły.

Pociągnął lekko, bojąc się zerwać tę złotą przędzę i na chwilę zabrakło mu po prostu tchu w piersiach. Z wody wynurzyła się teraz głowa i biust kobiety młodziutkiej, bladej jak opłatek twarzy.

Oczy przymknięte, złote włosy dokoła czoła rozpuszczone przez fale, czyniły ją podobną do jakiegoś zjawiska, wyłaniającego się nagle spośród wody.

Algi i inne wodorosty, trawy, kawałki wikliny poczepiały się dokoła jej głowy. Mech śliski spływał po jej szyi. Pomiędzy tą zgniłą zielenią znów coś sypnęło promiennymi skrami. Głowa wynurzyła się kilkakrotnie i zapadała w rude fale, opierając się jakby na żółtej aureoli. Dokoła ramion rozwiewały się po wodzie różowe jakby skrzydła. Biust był owinięty liliową draperią jedwabną.

Tego zjawiska nie spodziewał się czarny Antek i nie był na nie przygotowany.

---

<sup>42</sup> Tłumok – zawiniątko z rzeczami, pakunek.

Nie wypuścił jednak z dłoni trzymanej gałęzi.

– Księżniczka jaka, czy co? – wyszeptał oczarowany pięknnością tego widziadła.

Równocześnie jednak cała prawda przesuwawała mu się przed oczy.

– Topielica!

Szukał skarbu, znalazł trupa. Trup ten jednak był tak czarująco piękny, taki niezwykle, że Antkowi zdawało się, iż to jakaś zaczarowana księżniczka chyba spod wody wypłynęła – taka księżniczka, o jakiej czytał kiedyś w książce, którą mu pan „inspektor Ślimak” na gwiazdkę darował.

Tamta z bajki miała także złote włosy i gwiazdy w uszach, i naokoło szyi, a ubrana była w takie jedwabie, co lśniły jak listki róż i tulipanów takich, jakie tylko na wystawie u Freegowej<sup>43</sup> albo Michalskiej<sup>44</sup> zobaczyć można.

Antek zawsze marzył, ażeby choć raz zobaczyć taką cudną pannę, ale pan „inspektor” śmiał się z niego i mówił, że takie księżniczki tylko w bajce się znachodzą<sup>45</sup>. A tu nagle Rudawa przynosi Antkowi takie widziadło i choć martwa ta panna, ale śliczna i ma złote włosy, i gwiazdy się pomiędzy nimi świecą.

Wszystko to trwa bardzo krótko, bo woda zewsząd napływa i kołysz trupem księżniczki, i Antkiem, i drzewkiem, które łamie się, gnie i trzeszczy.

– Nie zostawię jej tu! – postanawia Antek – zabiorę ją ze sobą!

Ale jak?

Należy trupa wyciągnąć na wyższe miejsce Błoń, tam, gdzie woda jeszcze nie dosięgła. Tylko, że uwiąż w gałązkach drzewka i Antkowi trudno się tam zbliżyć, aby go wyplątać.

Potem strach go trochę ogarnia. W oddali ta kobieta poruszana falami robi chwilami wrażenie żywej istoty...

A jeżeli to zasadzka, jeżeli Rudawa wysłała ją swoją topielicę po to, aby Antka oplątać i utopić...

Nie wiadomo!

---

<sup>43</sup> Freegowa – firma „Ludwik Freege”, znajdowała się przy ul. Lubicz 30 z filią w Sukiennicach 15, wykonywała takie same zamówienia w postaci bukietów, wiązanek i dekoracji kwiatowych jak kwaciarnie.

<sup>44</sup> Michalska – kwaciarnia Karoliny Michalskiej na ul. Szewskiej 23, urządzająca piękne wystawy kwiatowe.

<sup>45</sup> Znachodzić – znajdować, znaleźć.

Czy tak, czy tak, Antek „księżniczki” tu nie zostawi. Jeżeli to czarownica na jego zgubę zesłana, pozna ona, co to jest czarny Antek. Weźmie ją w plen<sup>46</sup> i tak ludziom pokaże.

A jeśli to biedna jaka topielica, to lepiej przecież uczciwy mieć będzie pogrzeb i w ziemi zaśnie, niż żeby miała zgnić w wodzie jak jakie szczyenię albo wiązka siana.

Antek zaczyna z forsą<sup>47</sup> ciągnąć ku sobie trupa. Przez długą chwilę usiłowania jego pozostają bezowocne. Wreszcie przypadek przychodzi mu z pomocą. Trup nie odczepia się od drzewka, ale drzewko, już nadłamane poprzednio przez Antka, łamie się do reszty i nagle topielica na gałęziach drzewka jakby na tratwie sływa, kierowana gałęzią Antka na suchsze miejsce, gdzie ją zmordowany i drżący ze wzruszenia i zimna chłopak wyciąga.

Gdy topielica okazała się teraz cała, ludzka groza ogarnęła Antka. Zrozumiał, że ma do czynienia z trupem prawdziwym, nie żadną zwodnicą<sup>48</sup> Rudawy.

W coraz jaśniejszym świetle dnia mógł Antek dokładnie przyjrzeć się swej „złotowłosej księżniczce”, bo choć chłopakowi trupa Rudawa przyniosła, niemniej przeto ta martwa, śliczna kobieta była dla wyobraźni Antka ciągle „złotowłosą księżniczką”.

Inaczej bowiem sobie księżniczki wyobrazić nie mógł.

## IV

### Jak wyglądała złotowłosa księżniczka

Antek pociągnął jak mógł najdalej ułamane drzewo, na którym spoczywał trup kobiety. Biegł szybko, ciągnąc ile mu sił starczyło na sam środek Błoni, na miejsce pokryte jeszcze trawą, oddalając się o ile możliwości najwięcej od podążających ku miastu wód.

Pot mu czoło zraszał, padał, kilka razy zawadzał o kamienie, lecz włókł dalej swój ciężar nad siły, przejęty jakąś gorączkową chęcią

---

<sup>46</sup> Plen – (z ros.) niewola.

<sup>47</sup> Forsa – tu: siła, moc, wysiłek.

<sup>48</sup> Zwodnica – zwodzicielka, uwodzicielka.

ucieczki wraz z trupem kobiety od tych wód śmiertelnych, które zionęły taką zgnilizną i śmiertelną siłą.

Jak długo tak Antek włókł za sobą owo ciało, nie wiedział sam. Szum wody ścigał go ciągle. Uchwycił się już oburącz ułamanego pniaka i dążył dalej, dysząc ciężko.

Chwilę zdawało mu się, że „księżniczka” żyje i że uciekając tak z nią, ocala ją od śmierci.

Lecz była to krótka chwila gorączkowego podniecenia wyobraźni. Siły chłopaka wyczerpały się, ręce mu omdlały, nogi ugięły się. Czarny Antek upadł wycieńczony na trawę obok „księżniczki”. Na sekundę przymknął oczy.

Gdy je otworzył, wzrok jego padł na leżącego na ziemi trupa.

Widocznie ciało nie przebywało długi czas w wodzie, bo nie znać było jeszcze na nim rozkładu. Twarz była tylko blada, poznaczona koło brody kilkoma sinymi plamami. Spod rzęs przymkniętych ciemniały wielkie, szafirowe oczy. Rysy były prześliczne, delikatne, owal cokolwiek wydłużony. Z wpółotwartych ust połyskiwały zęby, z których jeden był plombowany złotem.

To, co Antek wziął za gwiazdę, było wspaniałym, brylantowym kolczykiem, rzadkiej piękności i ognia. Drugiego kolczyka brakowało w drugim uchu.

Nieznajoma była odziana nadzwyczaj wykwintnie, a nawet z pewną przesadną elegancją. Jasny jej żakiet sukienny podbity był różową materią i te poły od żakietu rozwiewały fale w formie różowych skrzydeł. Złotą aureolą, na której zjawiała się głowa, był płaski, słomiany kapelusz, uczepiony u tyłu fryzury, a liliowa bluzka, wyłaniając się z mętej toni, przywodziła wrażenie kwiatu.

Spódnica granatowa, wełniana, jedwabne brązowe pończochy otulały zgrabne, proste nogi. Pantofle widocznie spadły ze stóp, a jedna pończocha rozdarta o gałęzie drzew ukazywała poranione ciało, z którego seki drzewa powyrywały kawałki skóry.

Spod bluzki zwieszał się pasek, a u niego uczepiona mała, żółta torebka, zamknięta była widocznie na kluczyk.

Wszystkie te szczegóły ogarnął Antek w jednej chwili, gdyż chłopak miał zmysł orientacyjny nadzwyczaj rozwinięty.

Razem ze zrozumieniem sytuacji wracał mu jego zwykły rozsądek.

– Morowa brzana<sup>49</sup> – pomyślał – ale już kima<sup>50</sup> na prawdziwą śmierć, trzeba ją polikierom<sup>51</sup> oddać. Niech ją tam sekundują<sup>52</sup>. Co mi ta z niej. Ja jej tam pogrzebu sprawić nie mam za co!

Porwał się z miejsca już rześki i wypoczęty. Duma teraz go rozpie-rała na myśl, jak on to odkryciem swoim całemu miastu zaimponuje.

– W gazetach wieczorem będą grypsać<sup>53</sup>, jako to Antek, zwany Czarny, z Łobzowskiej, ułowił we wodzie taką ci brzanę, co ma złote włosy i brylant w uchu.

Obejrzał się ku Rudawie.

Lśniła stalowym blaskiem i wciąż rozlewała się powoli, posuwając się stale ku miastu.

– Psiokrew! widzisz... od czego u Antka makówa<sup>54</sup> na karku! Zna-lazłem ci!

I splunął triumfalnie w stronę rzeki.

Odwrócił się ku miastu i dojrzał czarne punkta na Błoniach, dążące ku niemu.

Widocznie z wałów coś zaobserwowano i ludzie ruszać się zaczęli.

– Kopnę<sup>55</sup> się naprzeciw – pomyślał i zaraportuję polikierom pierwszy. A potem trza się spieszyć, bo ją woda zaleje.

Obejrzał się raz jeszcze na „księżniczkę”, bo mu żal było rozstawać się z nią i oddawać ją ludziom.

– Oj pokrają cię, wypaproszą, jak kurczę, niebożę – zakonkludował i szarpnął silnie swoją gałąź, która była do tej chwili zaplątana w złote włosy topielicy.

Głowa szarpnięta podniosła się i znów opadła. Antek machnął ga-łęzią i poleciał jak strzała ku miastu.

Na zielonej trawie Błoiń pozostał trup księżniczki, który z daleka robił wrażenie całego klombu nagle rozkwitłego kwiecia.

<sup>49</sup> Brzana – gatunek ryby, tu: pieszczołliwie o ładnej kobiecie.

<sup>50</sup> Kimać – spać.

<sup>51</sup> Polikier – policjant.

<sup>52</sup> Sekundować – tu: czuwać, opiekować się.

<sup>53</sup> Grypsać – pisać.

<sup>54</sup> Makówa – tu: głowa.

<sup>55</sup> Kopnąć – tu: popędzić, skoczyć.



## V

**Antek oddaje przysługę Ślimakowi – Zbrodnia czy samobójstwo?**

Pierwszą osobą, na którą się natknął Antek, był inspektor Ślimak.

– Antek wariacie! co ty wyprawiasz? – zawołał agent – mogłeś się utopić!

– Ale! – odparł Antek – co ma wisieć, nie utonie<sup>56</sup>, panie inspektorze... A po co pan inspektor sam idzie naprzeciw Rudawy?

– A no... po ciebie wisusie<sup>57</sup>!

Antek wytrzeszczył oczy.

Ten polikier był dobry widać człek, skoro się o niego tak troszczył. Ale teraz nie czas było na sentymenta. Ślimak, choć to był tylko Ślimak, zawsze reprezentował dla Antka władzę. Przed nią należało czym prędzej zdać sprawę.

Wyprostował się i zameldował:

– Panie inspektorze... trup!

Ślimak aż usta utworzył.

– Gdzie? jak?

– Znalazłem we wodzie. Wyciągnąłem na gałęzi. Leży w suchym miejscu, ale niedługo ta choroba Rudawa nadciągnie i księżniczkę znów połknie.

– Księżniczkę?

– To ino może być księżniczka, panie inspektorze. Czy sama się wrzuciła w wodę, czy ją wrzucili, ale księżniczka...

Po bladej twarzy agenta przebiegły płomienie. Nigdy jeszcze nie odkrył sam żadnej zbrodni, pomimo że to właśnie było jego marzeniem.

– Mówisz, że to może być zbrodnia? – zapytał zdławionym ze wzruszenia głosem.

– Nie wiedzieć... ale może... A teraz kopnę się do panów od dykcji, co tam w kupce stoją. Niech ją sobie biorą. Daruję im w prezencie...

Roześmiał się wesół – rad, że żyje.

Już miał biec, gdy poczuł rękę Ślimaka na swoim ramieniu.

– Antek – przemówił „inspektor”, patrząc chłopcu w oczy prawie błagalnie. Oddaj ty mi przysługę.

<sup>56</sup> Co ma wisieć, nie utonie – (zw. fraz.) co ma się zdarzyć i tak się zdarzy.

<sup>57</sup> Wisus – urwis, łobuz, rozpuszczony chłopak.

Antek był charakteru wdzięcznego, przypomniał sobie, że mu Ślimak nieraz w przygodzie stanął, złożył się grzecznie i odpowiedział:

– Proszę pana inspektora.

– Ja sam pójde obejrzeć trupa, a ty zabaw trochę tych panów i poprowadź ich dopiero wtedy, jak zobaczysz, że ja do was idę...

Antek chwileczkę się namyślił. Wydało mu się trochę dziwnym, że Ślimak żąda od niego takiej przysługi, lecz z drugiej strony wejść z „inspektorem” w ugody i mieć go niejako w rękę, było wielką dla herszta Czarnych Antków ponętą.

– Jak pan inspektor chce! – odparł – tylko trza się spieszyć, bo ta bestia Rudawa, choć niby to wolno lezie, ale to zawsze prędzej pędzi, niż się zdaje! Niechże pan inspektor macha<sup>58</sup> tam, gdzie widać kolorowe kiecki, jakby kupa kwiecia.

I Antek pobiegł ku nasypowi kolejowemu, ale niezbyt spiesźnie.

Natomiast Ślimak przeistoczył się nagle, jakby pod wpływem różdżki czarodziejskiej.

Oczy mu zabłyśły, wyprostował się, gorączkowe rumieńce na twarz mu wystąpiły.

Gotował się wreszcie do działania na własną rękę.

Do tej chwili był pionkiem, posuwanym przez innych i tłumić musiał wszelką samodzielność, jaką nieśmiałość jego wrodzona usuwała aż na głąb jego duszy.

Rozpiął palto, aby mu nie przeszkadzało, zdjął je i rzucił na trawę. W zniszczonym surducie, o długich, rozwianych połach, zaczął biec jak strzała w kierunku wskazanym przez Antka.

Widząc, jak Ślimak niedawno sunął wolno przez ulicę Karmelicką, nikt nie mógłby przypuścić, iż ten flegmatyczny człowiek potrafi zdobyć się na taką energię.

Nadzwyczaj szybko dopadł do trupa.

Pierwsze wrażenie, jakie osiągnął, było nadzwyczajne podziwienie dla urody tej kobiety.

Leżąc tak wśród swych złotych włosów, wydawała się rzeczywiście tą uspioną z baśni księżniczką.

Zachwył Ślimaka objawił się inaczej niż zachwył Antka. Agent powoli, jakby ze czcią, zdjął swój zniszczony kapelusz. Lecz to było wszystkim.

---

<sup>58</sup> Machać – tu: pójść szybko.

Zaraz natychmiast gorączka policyjna ogarnęła „inspektora”. Ukląkł na trawie i nie dotykając trupa zaczął sam się bacznie przyglądać.

Przenikliwym wzrokiem ogarnął wszystkie szczegóły stroju i stanowił się nad poszarpaniem bluzki dokoła szyi nieboszczki. Porwana gaza, która tworzyła kołnierzyk, zwisała dokoła. Na szyi i brodzie widniały okrągłe sinawe plamki. Taką samą plamkę odkrył Ślimak na czole zmarłej. Delikatnie, powoli uniósł teraz Ślimak ręce topielicy i zaczął się im przyglądać uważnie.

Palce były długie i wąskie – widocznie rasowe, paznokcie starannie pielęgnowane. U lewej ręki trzeci paznokieć był złamany. Ponadto nie było żadnych oznak, czy to obrony ze strony denatki, czy gwałtu lub morderstwa.

Ślimak zamyślił się głęboko.

Miał przed sobą tajemnicę – tajemnicę śmierci, której spotkania pragnął tak bardzo.

Zawód agenta, który tak go gnębił i wydawał mu się tak mały i żaden wobec majestatu śmierci, wzrósł w jego oczach do rozmiarów jakiegoś posłannictwa.

Wziąć się za bary ze śmiercią i wyrzucić jej tajemnicę, którą z takim triumfem ukryć pragnęła, oto, co było zawsze celem pragnień Ślimaka.

Nie chodziło mu o odznaczenie się, awans – nie, ten człowiek cichy i skromny umiał poprzestawać na małym, lecz była to jakaś dziwna chęć zmierzenia się choć na chwilę z tą potęgą, która zdaje się być silniejszą nad wszystkie potęgi świata.

Na dnie duszy niepozornego, powolnego agenta, którego władza przywykła używać do śledzenia najdrobniejszych przestępstw i marnych przekroczeń, znajdował się widocznie wielki zasób siły i energii życiowej.

Ślimak nie chciał siły tej używać na drobiazgi i dlatego zyskał opinię niedołęgi i człowieka bez energii i sprytu.

Patrząc jednak na niego, jak z ustami zaciętymi, brwiami zmarszczonymi, z twarzą pełną wyrazu i siły, wpatrywał się w leżącego przed nim trupa, nikt nie przypuściłby, iż ten sam agent z całym niedołęstwem spaceruje po placu Szczepańskim w dzień targowy i nie wzbudza żadnej grozy w uwijających się dokoła rzeźmieszkach i rozmaitych urwipociach czyhających tylko na sposobność obłowienia się łatwą zdobyczą.

Czas jednak mijał, a Ślimak wciąż klęczał przed trupem jasnowłosej kobiety, wpatrywał się w jej twarz marmurową, zagadkową i wsłuchiwał się w szmer nadpływającej Rudawy.

Przybiegł tu pełen nadziei, sądząc, że on pierwszy zdoła z jakiegoś śladu rozpoznać, jakim rodzajem śmierci zginęła ta i równie szybko, jak go ogarnęła ta nadzieja, tak równie szybko musiał się jej pozbyć.

Żadnego specjalnego śladu odkryć nie mógł, bo żadnego śladu nie było.

Równie dobrze mogła to być samobójczyni, jak i ofiara mordu.

Mogła sama się utopić, mógł ją ktoś utopić w podstępny i zdraziecki sposób.

Rany na szyi prędzej zdawały się być plamami rozkładu, jak sińcami, pochodzącymi z uduszenia.

To już mogła wykryć sekcja lekarska.

Lecz śladu po zbrodniarzu, jeśli był jaki, śladu tego, który dopuścił się mordu, nie było nigdzie. A przecież w duszy Ślimaka zaczęło się rodzić podejrzenie, iż ta kobieta zamordowaną została.

Podejrzenie to uporczywie uczepiło się jego umysłu. Zwyczajne samobójstwo odrzucił precz od siebie. Tajemne przecucie mówiło mu, iż ten marmurowy spokój trupa kryje w sobie całą tragedię mordu i grozy.

Kobieta była młoda i piękna, lubiła widocznie swą piękność, ceniła życie – to widać było ze staranności jej stroju, z pielęgnowania urody. Odziana była wytwornie, wesoło, z drobiazgową elegancją – nie tak, jak zwykli się odziewać ci, którzy idą odebrać sobie życie. Przypięcie staranne paska złotą szpilką, zawiązanie wstążki od żakietu, znamionowało kogoś, kto raczej idzie na spacer, a nie na śmierć samobójczą.

Lecz kto była ta piękna złotowłosa kobieta?

Ślimak nie znał jej zupełnie. A przecież od lat dwudziestu, pełniąc obowiązki agenta, nauczył się dobrze rozpoznawać twarze krakowskich mieszkańców. Sięgnął po kapelusz nieznajomej. Firma była wiedeńska „Kärtnerstrasse – Josephine”<sup>59</sup>.

Lecz to niczego nie dowodziło.

Do Wiednia jeżdżą wszyscy po zakup sprawunków. Przez Wiedeń przejeżdżając, kobiety zwykle na Kärtnerstrasse<sup>60</sup> wydają masę pieniędzy.

Nie dowodziły więc te ślady, że była to mieszkanka Wiednia.

Delikatnie uniósłszy szyję trupa, zajął Ślimak za kołnierz żakietu.

Nie było firmy, jakkolwiek żakiecik był zrobiony przez dobrego krawca. Na guzikach odczytał Ślimak sakramentalne „Made in Germany”<sup>61</sup>.

<sup>59</sup> „Kärtnerstrasse – Josephine” – Josephine to prawdopodobnie nazwa wiedeńskiej firmy odzieżowej; Kärtnerstrasse to nazwa ulicy, na której zapewne ta firma się znajdowała.

<sup>60</sup> Ulica Kärtnerstrasse – znany wiedeński deptak.

Pozostawała jeszcze torebka, przytwierdzona do paska. Była wprawdzie zamknięta, lecz Ślimak bardzo wprawnie wyczuł, iż oprócz chusteczki i ołówka czy do brwi, czy do ust, nie zawiera nic więcej.

Tymczasem szmer rozlewającej się wody zwiększał się z każdą chwilą. Ślimak powoli i jakby z żalem powstał, i w kierunku wału kolejowego począł iść.

Jakby na ten sygnał oczekując, Antek z szybkością błyskawicy przypadł do grupy urzędników policyjnych, z którymi rozmawiało kilku reporterów.

Ślimak widział, jak wszyscy chwileczkę słuchali chłopca z widoczną uwagą, po czym nastąpiło zamieszanie i jakby narada. Chodziło widocznie o to, aby trupa jak najszybciej z Błoń usunąć.

Właśnie przy rogatce stanęła wśród płytkiej jeszcze wody dorożka, która przywiozła jednego z komisarzy. Po wydaniu rozkazów szybko zaczęto wyprzegać konia i jeden z policjantów bardzo zręcznie wskoczył na grzbiet koński.

Przez ten czas urzędnicy policyjni biegli już przez Błonia. Przodem sadił Antek, wymachując swą gałęzią.

Za chwilę przeleciał obok nich policjant na koniu dorożkarskim i dopadł miejsca, na którym leżał trup. Zsunął się z konia i czekał nieruchomo nadejścia władzy.

Ślimak zatrzymał się, a dziwne uczucie zgnębienia ogarnęło go całego. Zdawało mu się, że ludzie obcy wkraczają na teren jego własności, że mu wydzierają to, co do niego mogło prawnie należeć. Odwrócił oczy, aby nie widzieć, jak trupa topielicy otoczył cały tłum ludzi, pomiędzy którymi połyskiwały guziki policyjnych uniformów.

Nagle wyrwał go z zamyślenia głos jednego z komisarzy.

– Panie Mix, proszę pana, wszak pan pierwszy oglądałeś trupa? Prawda?

Ślimak zbliżył się powoli. Jego twarz była znów apatyczna i bez wyrazu.

– Nie dostrzegłeś pan nic? – badał szybko komisarz – woda nadciąga... nie mamy czasu szczegółowych robić oględzin. No i co... czy nic nie zwróciło pańskiej uwagi?

Ślimak spojrział w żywe i energiczne oczy młodego komisarza swoim przyciemnionym wzrokiem.

---

<sup>61</sup> Made in Germany – (ang.) wyprodukowano w Niemczech.

– Nic, panie komisarzu! Nie dostrzegłem nic nadzwyczajnego!  
Ten i ów wrzucił nieznacznie ramionami. Ten Ślimak nie dostrzeże nigdy nic, szkoda było zwracać do niego to pytanie.

Reporterzy notowali skwapliwie szczegóły stroju topielicy, wszyscy unosili się nad jej urodą.

– Nadzwyczajna!

– Sensacyjna!

– Czy to samobójstwo?

Młody komisarz wyduł usta.

– Zdaje się... afera miłosna.

– Gdyby poczekala, byłbym ją pocieszył – rzucił jeden z reporterów.

Nagle koń rzeń począł...

– Woda!...

– Dalej, bierzcie trupa na konia!

Szybko, dopomagając sobie wzajemnie, porwali policjanci trupa z ziemi i wrzucili na konia. Ciało przeginało się i zwisało w tragicznej pozycji. Długie, złote włosy dotykały prawie ziemi. Jeden z policjantów wskoczył na konia i przytrzymując trupa, pocwałował ku miastu.

Szybko zaczęła biegać gromadka urzędników policyjnych i reporterów, uchodząc przed wzbierającą wodą.

Ostatni szedł Ślimak powoli, wpatrzony w pędzącego policjanta na koniu, z którego zwieszały się barwne suknie i złote włosy topielicy.

– Morderstwo czy samobójstwo? – pytał się sam siebie bezustannie, jakby zahipnotyzowany tą myślą. I jakby odpowiedź doleciały do jego uszu zmieszane głosy urzędników i reporterów:

– A więc... samobójstwo?

– Naturalnie...

– Spodziewam się. U nas takich pięknych kobiet nie zabijają!

Nagle Ślimak poczuł, iż ktoś czepia się jego rękawa.

Był to Antek, rozradowany, rozpromieniony, gdyż on był niejako bohaterem chwili. Nazwisko jego zanotowali reporterzy, a i kazano mu prosto iść na policję dla złożenia relacji.

– Panie inspektorze! – zawołał radośnie – pan wie... o Antku będą grypsali gazetniki<sup>62</sup>!... Jak Boga kocham...

Machnął trzymaną w ręku gałęzią i rzuciwszy ją, popędził w stronę miasta.

---

<sup>62</sup> Gazetnik – redaktor albo współpracownik gazety, dziennikarz.

– Kozioł<sup>63</sup>! – krzyknął na spotkanego po drodze kulawego Franka – powiedz naszym, że są kapunie, kiedy nie przyknajali<sup>64</sup> tuta i nie ma ich pod ręką. Każ im, co by przyknajali dzisiaj wieczorem pod teatr, bo inaczej nie będziemy z nimi trzymali śtamy<sup>65</sup>.

## VI

### Kwiat śmierci

A chodźże pan, panie Ślimak, bo pana woda zatopi! – rzucił Ślimakowi ze śmiechem jeden z komisarzy.

Ślimak machnął ręką i szedł coraz wolniej, ogarnięty nagle jedną myślą.

Pragnął pozostać chwilkę sam, gdyż coś zajęło nagle jego uwagę.

Oto w gałęzi, którą Antek przed chwilą rzucił na trawę Błoń, zaświeciło się coś w migocącym lekko promieniu słońca. Coś jakby złota, pokręcona nitka.

Ślimak zwolnił jeszcze kroku.

Pochłonięty cały pragnieniem wykrycia prawdy, nie zwracał nawet uwagi na to, iż rzeczywiście groziło mu niebezpieczeństwo ze strony mętnych, coraz szerzej rozlewających się fal Rudawy.

Gdy przeczekał oddalenie się gromadki mężczyzn, idących spiesznie śladem uwieszonego przez policjanta trupa, Ślimak zawrócił i dopadł leżącej na ziemi gałęzi.

W sęku odciętym i zaostrzonym przez Antka w formie haka najwidoczniej tkwił jakiś obcy przedmiot, omotany jakby w pajęczynę, w złote jedwabie czy włosy.

Ślimak gorączkowo zaczął odczepiać ten zwitek, zaplątany silnie w korę gałęzi i wreszcie oderwał go zupełnie.

---

<sup>63</sup> W oryginale znajdowało się tu słowo *Kociot*. Biorąc jednak pod uwagę, iż nigdzie później w powieści taka osoba się nie pojawia, uznano to za *lapsus calami* i zmieniono na *Kozioł*.

<sup>64</sup> Przyknajać – przybiec.

<sup>65</sup> Trzymać śtame/sztamę – przyjaźnić się z kimś, popierać się wzajemnie.

Początkowo chciał ukryć swoją zdobycz i dążyć ku miastu, lecz gorączkowa ciekawość przemogła. Czuł i rozumiał doskonale, iż przedmiot ten musiał należeć do zmarłej. Wszak owinięty był i oplątany w jej złote włosy, widocznie wyszarpnięte przez Antka z głowy trupa.

Drżącymi rękami Ślimak rozplątał włosy i oto oczom jego ukazał się przegniły, żółkły kwiatek tuberozy<sup>66</sup>.

Kwiat ten był przekłuty i widocznie przeznaczony do noszenia w butonierce.

Lecz co było szczególne, to drucik, na którym osadzony był kwiatek. Drucik ten był zrobiony przygodnie, nie w sklepie kwieciarki, lecz przez kogoś niemającego pod ręką zwykłych przyrządów ogrodniczych.

Zamiast bowiem zwyczajnego cienkiego drutu, używanego do robienia z tuberoz butonierek, kwiat był przekłuty i osadzony na cieniuchnej złotej szpilce podwójnej, z gatunku szpilek, nazywanych „niewidocznymi” i używanych przez kobiety do przytrzymywania krótkich włosów nowonarodzonych fryzur. Ślimak w pierwszej chwili doznał zawodu. Wszak zmarła mogła zrobić taką zaimprovizowaną butonierkę sama dla siebie.

W przedśmiertnej walce, czy przy wyciąganiu z wody przez Antka, butonierka ta mogła się jej zaplątać we włosy.

Szpilka więc mogła do niej należeć i nie być jeszcze tym śladem, który Ślimak z taką gorączką w sercu poszukiwał.

Powoli, z żalem agent ukrył w pugilaresie znaleziony kwiat i znów iść ku miastu począł.

Idąc, rozmyślał.

Kwiat tuberozy zawsze robił na nim dziwne wrażenie.

Wędnące tuberozy wydają woń trupią.

Ich białe, gładkie i zimne zawsze liście przypominają także marmur trupiego ciała. Stanowczo, tuberoza jest kwiatem śmierci.

Pomimo to przecież ciągnie ku sobie i nęci w dziwny, tajemniczy sposób.

I ten kwiat zgniły w wodzie, groźny przez to, że tyle dni pozostawał przy trupie, oplątany włosami topielicy, ma jakiś urok i nęci Ślimaka, aby go raz jeszcze obejrzał.

---

<sup>66</sup> Tuberoza – kwiat z rodziny liliowatych o silnym zapachu. Pod koniec XIX w. i na początku XX kojarzony był często z rozkoszą miłosną, a jego odurzający zapach nasuwał często myśl, iż kwiat ten ma w sobie coś demonicznego. Uważano, że w pięknie tuberozy tkwi jakaś groza, bije od niej zła woń.



Agent spojrzął przed siebie.

Gromadka urzędników i reporterów już była koło wału kolejowego i tam także widać było konie strażackie i nosze, po które telefonowano z rogatki. Zewsząd biegli ludzie, przywołując się wielkimi gestami.

Policjanci, nagleni przez komisarzy, usuwali ciekawych i opróżniali wał kolejowy w przewidywaniu nadejścia powodzi.

Na szerokiej przestrzeni Błóń był sam jeden Ślimak. Nikt się nim nie zajmował, nikt o nim nie myślał.

Sięgnął do kieszeni po pugilares i wyjął zeń kwiat tuberozy.

Smutny uśmiech przesunął się po jego twarzy.

– Na trupie zakwitł „kwiat śmierci”! – wyszeptał z pewną melancholią.

Nagle drgnął cały.

Dostrzegł teraz szczegół, który przed chwilą uszedł jego uwadze. Na zagiętej szpilce czerniło się coś, jakby przedza czarna i delikatna.

Ślimak wyjął z pugilaresu<sup>67</sup> swój bilet wizytowy i ostrożnie paznokciem rozpostarł trochę tej przedzy na białym tle brystolu. Z piersi jego wydarł się cichy okrzyk.

To, co wziętą za przedzę, było najwyraźniej wyszarpaną cząsteczką czarnego sukna.

Denatka nie miała na sobie nic ciemnego w stroju. Nawet pończochy były brązowe.

Widocznie więc owa tuberoza tkwiła w obcej butonierce i to butonierce czarnej jakiejś odzieży.

A jeżeli to była cząsteczka frakowego stroju...

Ślimak potarł zroszone potem czoło. Mało to było, prawie nic, strasznie wąty ślad, jaki za pomocą tego śmiertelnego kwiatu się ujawniał, lecz zawsze już był to jakiś przebłysk, rozjaśniający ciemności.

– Samobójczyni? – pomyślał Ślimak, ukrywając jak skarb najdroższy ową tuberozę – o! nie!... tu przemówi milczeniem swoim ten tragiczny, a tajemniczy „kwiat śmierci”.

---

<sup>67</sup> Pugilares – rodzaj teczki z kieszonkami na banknoty i papiery, notatnik, notes.

## VII

**Triumf Antka – Ojciec Jazda – Hrabia Jasnosław Zamierowski –  
Jego spotkanie z Antkiem – Co z tego wynikło**

Antek czuł się tak dumny, że ta duma po prostu rozsadała mu piersi.

Zapytany przy protokole o nazwisko głośno i dobitnie powiedział:

– Antoni Kipiel, przy matce zamieszkały.

Chciał dowieść, że i on potrafi mówić politycznie, spokojnie i przyzwoicie.

W ogóle zachowywał się z godnością i aż go paliło we wnętrzu, aby się porwać do swoich Antków i tam, choć to byli morowcy<sup>68</sup>, opowiedzieć im wszystko po swojemu i wykazać, jako oddawszy przysługę Ślimakowi, on, Antek, nie potrzebuje bać się niczego już na świecie.

Duszę jego i zapał ostudziła matka, która dowiedziawszy się, że Antek polecał „naprzeciw Rudawy”, napełniła całą izbę lamentem i przepowiedziała Antkowi szubienicę.

W lamentach tych powściągnął ją trochę pan „inspektor”, który zaszedłszy do stacji, aby oddać Jakubowej klucz od swego pokoju, zawyrokował:

– Antek dobrze zrobił!

Jakubowa otworzyła szeroko usta.

– Jakże to? pan inspektor go broni?

Lecz Ślimak już wyszedł ze stacji.

Pierwszy raz Ślimak z takim pośpiechem wychodził wieczorem. Oczy mu się świeciły, zielone palto narzucone na plecy rozwiewało się na wszystkie strony.

W ślad za nim wyleciał Antek. Nadchodziła godzina teatru, a Antek i jego banda kręcili się zawsze przed podjazdem, otwierając drzwiczki i podając mężczyznom ogień do papierosów.

W podskokach, rad z siebie, dopadł Antek teatru. Znalazł tam już snującego się Franka, Staśka, zwanego Grzybem i Józka, zwanego Rudzielcem. Chłopcy nie zbliżali się do teatru, bo mrok jeszcze nie zapadał zupełnie, a stojący przed podjazdem policjant odpędzał ich bez miłosierdzia.

---

<sup>68</sup> Morowiec – spryciarz, zuch.

Zgromadzili się naprzeciwko pod hotelem Victorią<sup>69</sup> i obąpili z wyrazem czci Antka, który rozpoczął swą przemowę od wysypiania całej sterty przekleństw i obelg na tych, którzy dziś nie znajdowali się, według złożonej przysięgi, na Błoniach.

– My byli – niewinniał się Rudzielec – jeno tak wał obstawili poliikiery, że ani weź było się bez niego przedostać!

– Ale – odrzucił Antek – byliście! Pewnie czuchraliście w kosy<sup>70</sup> gdzie pod murem i zapomnieliście o przysiędze. Ale niech mi to będzie ostatni raz, bo jakim czarny Antek, takie wam sprawię tańcowalnie<sup>71</sup>, że zapamiętacie mnie na całe życie. A teraz bacność, zaraz będzie antrakt<sup>72</sup>!

Rzeczywiście, przed teatrem ruch jakby zamarł. Widocznie przedstawienie się rozpoczęło. Czasem nadjechała spóźniona dorożka. Mrok zupełny zapadł. Cały gmach płonął od świateł jak zaczarowany pałac.

– Niedługo ci już naszego zarobku – westchnął kulawy Franek, zwany Kozłem – zamkną budę. Komedianty<sup>73</sup> podymią na trawę<sup>74</sup>, a my będziemy znowu łapy lizać<sup>75</sup>.

– Głupiś! – odparł Antek – te komedianty poknąją na zielone<sup>76</sup>, to przyjadą inne i zawsze będzie dosyć w budzie wesółych gawrów<sup>77</sup> po to, aby nam co nieco rzucić.

– Ale – upierał się Franek – tobie dobrze, bo matka ci da zawsze czym nadziać kautynę<sup>78</sup>, ale ja...

– To czego nie przyknajesz do mnie? – wrzasnął Antek, dając Frankowi sójkę pod bok – jest na jednego, będzie i na dwóch...

Zamilkli na chwilę, bo cała ich uwaga zajęta została nadjeżdżającą dorożką. Była to zwykła drynda<sup>79</sup> krakowska, trochę lepiej utrzymana i włokąca się noga za nogą. Siwy, duży koń z długim ogonem postępo-

---

<sup>69</sup> Hotel Victoria – być może dzisiejszy Hotel Stary, znajdujący się na ul. Szczepańskiej 5; współcześnie istnieje jedynie hostel o nazwie Victoria (na ul. Górników 11).

<sup>70</sup> Czuchrać w kosy – grać w karty.

<sup>71</sup> Tańcowalnie – tu: bicie się, walczenie, łomot.

<sup>72</sup> Antrakt – przerwa między aktami.

<sup>73</sup> Komediant – aktor grający komedie, aktor.

<sup>74</sup> Podymać na trawę – stracić pracę, stać się bezrobotnym.

<sup>75</sup> Łapy lizać – być w ciężkich warunkach materialnych, cierpieć biedę, niedostatek.

<sup>76</sup> Poknąjąc na zielone – odejść, zrezygnować z pracy, wyjechać.

<sup>77</sup> Gawer – elegant, panicz.

<sup>78</sup> Nadziać kautynę – napchać brzuch, najeść się.

<sup>79</sup> Drynda – powóz do wynajęcia, dorożka.

wał wolno, a siedzący na koźle woźnica z całą filozofią opuścił lejce i zajmował się zapaleniem krótkiej fajeczki.

– Patrzcie... ojciec Jazda! – wykrzyknął Rudzielec.

– Cóż on się dziś tak wlecze? – zapytał Antek i posunawszy na brzeg trotuaru<sup>80</sup>, zawołał donośnie:

– Ojczy Jazdo! hej!... ojczy Jazdo!

Zainterpelowany<sup>81</sup> w ten sposób dorożkarz obrócił się ku gromadce Antków i przyjaźnie im głową skinął.

– Jak się macie włóczykije?! – rzucił im ochryplym głosem.

Jego czerwona, okrągła, pocziwa twarz rozjaśniła się na widok gromadki urwisów.

– Ojczy na dyrdymatkę<sup>82</sup> czy klabriasza<sup>83</sup>? – zapytał Rudzielec, który był specjalistą od kart i zwykle asystował na stacjach dorożkarskich partiom, które rozgrywali dorożkarze, oparci na dorożkach.

Ojczy Jazda potrząsnął melancholijnie głową.

– Nie – odparł – jakoś mię dziś do kart nie ciągnie. Mgli mnie na wnątrzu<sup>84</sup>.

– A no to kieliszek bretnalówki<sup>85</sup> albo sakramenckiej<sup>86</sup> z duchem! – zakonkludował Stasiak, zwany Grzybem, który, jak sam się nazywał, był „prezesem od wilgoci” czy od „wódeczności”.

Lecz i ten projekt nie przypadł ojcu Jazdzie do smaku.

– Nie – odezwał się, zbierając lejce – lepi pojedę do domu, bo i tak dziś pogoda, to goście będą piechotą do domu chodzili! Bądźcie zdrowe, chłopaki! Jazda maluśki!

Koń machnął ogonem i przyspieszył kroku. Dorożka wolno potoczyła się w ulicę Szpitalną<sup>87</sup> i zniknęła w cieniu.

– Coś dziś ojczy Jazda nie bardzo morowy<sup>88</sup> – zaopiniował Antek, plując na trotuar.

<sup>80</sup> Trotuar – chodnik z boku ulicy.

<sup>81</sup> Zainterpelowany – zaczepiony, zagadnięty.

<sup>82</sup> Dyrdymatka – gra hazardowa w bilard.

<sup>83</sup> Kalabriasz – dawna gra w karty.

<sup>84</sup> Mglic na wnątrzu – mdlić.

<sup>85</sup> Bretnalówka – wódka, do której wrzucono gwóźdź lub inny kawałek żelaza dla nadania jej właściwości wzmacniającej.

<sup>86</sup> Sakramencka – nie udało się ustalić żadnych bliższych informacji dotyczących tej wódki.

<sup>87</sup> Ulica Szpitalna – łączy Mały Rynek z ul. Basztową. Na określenie tej ulicy używano również nazw: św. Ducha i św. Krzyża.

- Musiał się przepić! – dorzucił Grzyb.
- Albo zgrać w kosy<sup>89</sup>! – poprawił Rudzielec.

Nie dokończył, bo z teatru zaczęli się wysypywać widzowie, pragnąc palić papierosy na świeżym powietrzu. W mgnieniu oka zaroilo się przed teatrem.

Czarne Antki jakby na komendę rzuciły się ku teatrowi. Każdy z nich dobył z kieszeni pudełko zapalek i poczęli kręcić się wśród widzów, podając usłużnie ognia i zbierając za tę usługę centy<sup>90</sup>. Pod kilkumramienną latarnią stał jeden z komisarzy policyjnych, ten właśnie, który był rano przy wylewie Rudawy. Pragnął zapalić papierosa, lecz zrywał się wicher i gasił mu zapalki.

Usłużnie podbiegł Antek i z nadzwyczajną wprawą, kryjąc zapalkę we wnętrzu pudełka, podał ognia.

Komisarz poznał bohatera dnia i z uśmiechem wskazał na niego stojącemu obok mężczyźnie.

– Oto znalazca tej ślicznej topielicy, którą się dziś cały Kraków zajmuje! – zawołał głośno.

Ten, do którego komisarz te słowa zwrócił, uczynił ruch, jakby chciał cofnąć się kilka kroków, lecz szybko powściągnął to ledwo dostrzegalne poruszenie i podniósłszy głowę, spojrzał na Antka.

Był to wysoki, nadzwyczaj kształtny mężczyzna, ubrany w jasny letni garnitur. Jego twarz o rysach bardzo regularnych, cokolwiek ostrych, miała wyraz stanowczy, chłodny i energiczny. Ciemny zarost okalał brodę. Kontrast z tymi ciemnymi włosami stanowiły jasne, prawie zielone oczy. Spojrzenie ich było tak dziwne, że nawet Antek, pozbawiony wszelkiej wrażliwości nerwowej, odczuł dreszcz, spotkawszy się z oczami tego człowieka.

Komisarz, paląc papierosa, pytał się dalej uprzejmie:

– Pan hrabia słyszał już pewnie, o tej niezwyklej samobójczyni, którą dziś Rudawa na Błonia wyrzuciła?

– A... więc to samobójczyni? – zapytał hrabia.

– Naturalnie. Wszyscy jesteśmy tego zdania. Zresztą sekcja wskaże. Hrabia odrzucił na wół wypalonego papierosa.

---

<sup>88</sup> Morowy – tu: dzielny.

<sup>89</sup> Zgrać w kosy – przegrać w grze w karty.

<sup>90</sup> Cent – moneta zdawkowa, 1/100, część wartości podstawowej jednostki monetarnej w różnych krajach; drobna kwota pieniędzy; tu (w Galicji): setna część reńskiego, krajcar.

– Cóż sekcja wskazać może? – wycedził przez zęby jakby znudzony tym grobowym przedmiotem rozmowy.

– Wiele... bardzo wiele...

– Albo nic.

– Tak, albo nic!

Obaj mężczyźni roześmiali się wesoło. Uśmiechnął się i Antek, choć w tej chwili było mu nie do śmiechu. Przypomniawszy sobie doskonale „złotowłosą księżniczkę” i żał mu się zrobiło tej ślicznej „brzany”. Pokrajali ją, pocięli jak cielę, jeszcze się śmieją!

Antrakt się skończył.

Komisarz, dokończywszy papierosa, skłonił się grzecznie hrabiemu i gotował się do powrotu do sali.

– Pan hrabia nie wraca do teatru? – zapytał.

– Gorąco w sali – odparł hrabia – powrócę za chwilę.

Komisarz odszedł.

Podjazd opustoszał zupełnie. Czarne Antki pociągnęły na Planty<sup>91</sup>, gdzie ich zwabił przeciągły gwizd ze strony Pańskiej ulicy<sup>92</sup>. Przed teatrem pozostał tylko zamysłony hrabia, wpatrzony w ziemię, zupełnie tak, jakby zapomniał o całym świecie i o kilka kroków od niego Antek, śledzący, kiedy hrabia wyjmie papierosa, aby mu podać ognia.

W tej samej chwili hrabia oderwał wzrok od ziemi i spojrzał na Antka. Chłopca znów przebiegł dreszcz, lecz widząc, że hrabia wyjął srebrną, osypaną monogramami papierosnicę, zapalił czym prędzej zapalną i usłużnie podkoczył.

– Ogień, jaśnie panie! – zawołał tonem usługującego kelnera w restauracji.

Lecz, o dziwo! hrabia ruchem, pełnym gniewu, odtrącił chłopca precz od siebie.

– Poszedł precz! – rzucił mu przez zęby i tyle było nienawiści w jego głosie a gniewu w geście, że Antek, przerażony, aż zachwiał się na nogach.

Prędko jednak duma wodza Czarnych Antków zagrała w piersi chłopca. Nikt go z „hrabczków” nigdy nie potrafił, nikt nie odważył się krzyknąć na niego jak na natrętnego psa.

Najeżyła mu się czupryna i aż poblądł z gniewu.

<sup>91</sup> Planty – krakowski park otaczający Stare Miasto.

<sup>92</sup> Ulica Pańska – krakowska ulica odchodząca od ul. Henryka Kamieńskiego.

– Co się pan ciśnie? – zawołał rozstawiwszy szeroko nogi – o!... z czym do gościa? z pięścią? Jaki klawy<sup>93</sup> hrabia!...

Hrabia brwi zmarszczył i aż przygryzł usta.

– Cicho, kanalio! – krzyknął stłumionym głosem – jak będziesz się zuchwalić, oddam cię policjantowi!

Lecz Antek tym ustraszyć się nie dał. Policja nie wydawała mu się tak groźną od chwili, gdy wskutek znalezienia wszedł z nią w bliższe porozumienie. A przy tym „inspektor Ślimak” zawsze mu był przychylny, a teraz zwłaszcza przedstawiał dla niego silne plecy<sup>94</sup>.

– Owa<sup>95</sup>!... – zawołał, wykrzywiając się jakby był z kauczuku – jak ja się boję, aż mi się giry trzęsą!

– Odczep się!... – krzyknął hrabia i aż pobladł ze złości.

– A jakże!... odczep się!... hrabia herbu grabia<sup>96</sup>!... książę, co psy wiąże!...

Hrabia szybko zszedł z podjazdu i okrążywszy klomb, zaczął iść w stronę Plant.

Za nim, pełen mściwości i gniewu, posunął w płasach Antek.

– A!... to ci hrabska krew – pokrzykiwał – do pięści się na uczciwego człowieka zabiera i policję straszysz! – pokrzykiwał, podskakując i przedrzeźniając gniewny i energiczny chód hrabiego.

## IX

### **Mściwość Antka – Co pan hrabia robił na Krowodrzy<sup>97</sup> – Panienska w żółtych bucikach**

Gdy „hrabia” wydostał się na Planty, zaczął oglądać się na prawo i lewo gorączkowo, jakby sama myśl, iż Antek idzie za nim, nieprzyjemnie na niego działała.

<sup>93</sup> Klawy – świetny, wyborny.

<sup>94</sup> Przedstawiać silne plecy – dawać oparcie.

<sup>95</sup> Owa – ojej, fiu fiu, o la Boga.

<sup>96</sup> Hrabia herbu grabia – pseudohrabia.

<sup>97</sup> Krowodrza – dawna wieś, dzisiaj dzielnica Krakowa.

– Aha!... nie chcesz, żebym na ciebie nadeptywał – zaśmiał się Antek – poczekaj, już ty mnie koło swojej nory odnajdziesz!

I postanowił iść w ślad za „hrabią”, niedostrzeżony, ażeby dopiero, gdy ten stanie przed swoim mieszkaniem, znalazł go przed bramą.

Przy tym chciał dowiedzieć się, kto jest ten, który go nazwał „kanalia” i powążył się na niego, czarnego Antka, podnieść rękę.

Idąc, układał plany zemsty i cieszył się już naprzód robotą, jaką rozda pomiędzy swoich Antków, aby panu „hrabiemu” życie umilić i honor swój pomścić.

Sądził, że hrabia uda się na którąś z ulic, zamieszkałych przez ludzi bogatych, szykownych. Przekradł się więc cieniem drzew, strzegąc się ukazać w świetle latarni.

Tymczasem „hrabia” skierował się w stronę ulicy Długiej<sup>98</sup>.

– Gdzie on iść może? – pomyślał Antek – to ciekawe.

Hrabia przeciął gościniec, minął Długą i ku największemu zdumieniu chłopca wszedł w ulicę Krowoderską<sup>99</sup>.

– To ci dopiero! – szepnęła Antek – „hrabia” i na Krowodrzę idzie, no... no...

Hrabia szedł na pozór równym krokiem, a jednak czuć było w jego chodzie, w uderzeniu laski po fatalnym bruku ciemnej i pustej ulicy, że jest silnie zdenerwowany i zirytowany.

Dwa razy przystanął, oglądając się poza sobą. Nie dojrzał Antka, który wprawnie do muru natychmiast nieruchomości przylegał.

– Ty bratku... masz coś do ukrycia, kiedy się tak za siebie oglądasz – pomyślał Antek – ale czekaj... już ja sobie z tobą poradzę!

Mijali Teatr Ludowy<sup>100</sup>, ciemny i zamknięty dnia tego, szli coraz dalej, a dokoła była pustka, pomimo jeszcze wczesnej stosunkowo pory.

Nagle, spoza parkanu okalającego fabrykę gwoździ, oderwała się jakaś postać kobieca i śpiesznie w stronę hrabiego iść zaczęła.

– Takie buty!... – pomyślał Antek – randka z brzana... cóż to? takie to po Krowodrzy hrabiowie tera będą polować na dziewczęta?

<sup>98</sup> Ulica Długa – krakowska ulica znajdująca się w dzielnicy Stare Miasto. W latach 1902–1912 funkcjonował tam tramwaj wąskotorowy, od 1912 szerokotorowy.

<sup>99</sup> Ulica Krowoderska – krakowska ulica, przedłużenie ulicy Mazowieckiej.

<sup>100</sup> Teatr Ludowy – pod koniec XIX w. działał w Krakowie teatr o nazwie Ludowy, w którym grywano wodewile i sztuki oparte na folklorze podmiejskim. Jego pierwszą siedzibą był teatr letni w parku Krakowskim. Następny Teatr Ludowy (stały) powstał w 1900 roku, przedstawienia odbywały się w Sali Strzeleckiej przy ul. Lubicz i na innych scenach Krakowa i Podgórza oraz dość długo przy ul. Krowoderskiej 31.



Tymczasem postać kobieca stanęła w pół drogi, nie mogąc widocznie zdecydować się wyjść z cienia, który rzucały rosnące za parkanem drzewa.

Hrabia natomiast przyśpieszył kroku i do kobiety doszedł.

– Spóźniłem się! – wyrzekł przyciszonym głosem – przepraszam!

Kobieta nie odpowiedziała nic, tylko w cieniu zamajaczyła biała chusteczka.

– Cóż to? ty? – podjął hrabia z pewną niecierpliwością w głosie – zlituj się Wandziu, jeśli masz choć trochę do mnie przywiązania, nie denerwuj mnie ty przynajmniej.

Biała chusteczka znikła w kieszeni ciemnego żakiecika.

– Nie będę płakać – wyszeptła kobieta, powstrzymując łkanie – ale dziś czekałam tak długo... sądziłam, że pan już nie przyjdzie.

Hrabia wzruszył ramionami.

– Ojciec mój przyjechał, musiałem do tej chwili siedzieć w hotelu.

– Okłamuje ją! – pomyślał Antek, który przez ten czas zdołał przekraść się w cień i ukryć poza wystający róg parkanu.

– Tak – zaczęła znów kobieta – ja wiem, że pan nie ma nieraz czasu i to, co robi dla mnie, to już wiele, a przecież czekać tak, to bardzo ciężko!

Hrabia niecierpliwie uderzył laską o bruk uliczny.

– Proszę cię, moja Wandziu, bez żadnych scen. Dziś jestem bardzo zirytowany, rozdrażniony... Pragnę spokoju.

Dziewczyna, nazwana Wandzią, zatrwożyła się widocznie.

– Co panu się stało? Czy mogę się dowiedzieć?

Lecz on nie spieszył z odpowiedzią. Powoli zaczął iść w głąb ulicy Krowoderskiej.

Za nim, jakby magnesem pociągnięta, poszła dziewczyna i prędko zrównała się z jego chodem.

Antek wyciągnął szyję, lecz dużo w ciemności dostrzec nie mógł. Postanowił czekać na raz obranym posterunku i śledzić ich tylko z daleka.

Gdyby skręcili, Antek puściłby się za nimi w pogoń, lecz on był pewny, iż dojdą do rogu i zawrócą ku niemu.

Gdy przechodzili w smugach światła latarnianych, Antek dostrzegł, że mężczyzna raz jeden szybko objął dziewczynę, pochylił się ku niej i puścił prawie natychmiast.

– Klawo! – pomyślał Antek – randka hrabiego z panną z Krowodrzy! To ci frajda!... Oho! ten dumny pan, co uczciwemu Antkowi wy-

myśla, zawraca głupim brzanom kontrafałdę<sup>101</sup> i na fis bierze<sup>102</sup>! Ale czekaj brachu, już ja cię wytropię, ktoś ty i kto ona... Takie wam moranse<sup>103</sup> sprawię, że mnie całe życie popamiętacie.

Przecucie Antka nie zawiodło.

Romansująca para zawróciła i szła teraz po trotuarze wprost ku niemu.

Antek zapał oddech i przycisnął się do deski parkanu.

– Ja ich zobaczę – myślał – ale oni mnie nie zobaczą.

Wcisnął się w szparę pomiędzy dwoma deskami i pozostał tak nieruchomy, jakby nie żył.

Nadchodzili.

Szli powoli, z głowami pochylonymi, rozmawiając półgłosem.

Hrabia był widocznie coraz więcej zdenerwowany, bo uderzał ciężką laską po kamieniach i nerwowo szarpał drugą ręką dewizkę od zegarka.

Dziewczyna była odziana ubogo, ale szykownie, ciemno, w kapelusiku, nazwanym Windhorst<sup>104</sup>, opasanym aksamitką.

Na nogach miała bardzo ładne, nowe, żółte buciki sznurowane i widocznie świeżo kupione, które dość jaskrawo odbijały od ciemnego stroju.

Gdy przechodzili mimo Antka, dziewczyna podniosła głowę i Antek dojrzał, w niewyraźnym świetle dalekiej latarni, okrągłą, świeżą twarzyczkę z dwoma dołkami w rumianych policzkach, z oczyma błękitnymi i pełnymi ustami.

Na ten widok Antek drgnął ze zdziwienia.

– Ależ to Wandzia Jazdówna – pomyślał przerażony – że też ja jej nie poznałem od razu!

Para przechodząca rozmawiała cicho.

Antek zaledwie postyszał kilka wyrazów.

– Muszę wyjechać...

– Dlaczego?

– Nie pytaj. Wróć!... Przedtem zobaczymy się raz jeszcze...

Oddalili się.

Antek stał jak wryty, przejęty zgrozą i gniewem.

---

<sup>101</sup> Zawracać komuś kontrafałdę – zawracać komuś głowę.

<sup>102</sup> Brać na fis – oszukiwać, czynić przedmiotem kpiny, żartów.

<sup>103</sup> Morans – romans, miłośćka, amory.

<sup>104</sup> Windhorst – rodzaj kapelusza damskiego.

– A to ci dopiro! – pomyślał – taka porządna była brzana i co się to z nią zrobiło...

Smutek pokrył jego wyrazistą twarzyczkę.

– Biedny ojciec Jazda! – szepnął, ale zaraz wróciła mu energia. – Czekaj ty hrabio rakowicki<sup>105</sup>!... już ja ci nie pozwolę ją zhańbić... poczkaj!...

Przyszła mu refleksja:

– A może już za późno!...

Zamyślił się chwilę i pogroził pięścią w stronę hrabiego, który pożegnawszy się z Wandzią, oddalał się spieszenie w stronę Plant.

– Ano, zobaczymy! Weźmiemy się i my za bary! – rzucił w ślad za nim Antek, który wylażł wreszcie ze swego ukrycia.

## X

### Co przez ten czas robił inspektor Ślimak – Tajemnica serca Ślimaka – Złota szpileczka

Ślimak, powróciwszy z policji, zamknął się w swoim pokoju i tam pograżył się w myślach. Z każdą chwilą nabierał coraz głębszego przekonania, iż młoda kobieta, której trupa znaleziono w wodzie, nie umarła samobójczą śmiercią. Miał to przekonanie, pochodzące z coraz bardziej wzmacniającego się przeczcucia, a nadto ślady, o których już było wspomniane, przedstawiały mu się w coraz logiczniejszym świetle.

Właśnie miała się odbyć sekcja zwłok w Collegium Medicum<sup>106</sup> i Ślimak jeszcze w nocy pragnął się dowiedzieć o jej wyniku. Lecz był tak pewnym swego, iż to, co sekcja wykryje, zdawało mu się zbytecznym i w niczym niewpływającym na jego przekonanie.

Gdy pozostał sam w swym nadzwyczaj skromnie urządzonego pokoiku, wyjął z kieszeni pugilares i zaczął znów baczenie przyglądać się owej, zdjętej z gałęzi Antka, tuberozie.

Delikatnie, drżącymi palcami wyplątał z włosów i kwiatu ową szpileczkę, rozprostował ją i położył na ceracie, którą stół był pokryty.

<sup>105</sup> Rakowicki – od Rakowice, dzisiaj część Krakowa, dawniej wieś położona obok niego.

<sup>106</sup> Collegium Medicum – wydział medyczny na Uniwersytecie Jagiellońskim.

To samo zrobił z włosami, z odrobiną resztek sukna czarnego i z listkami tuberozy. W teczce, gdzie trzymał papiery listowe, znalazł arkusik angielskiej bibułki<sup>107</sup>. Systematycznie pokrajał niewielkie kwadraciki i każdy z posortowanych przedmiotów zawinął osobno, pisząc na wierzchu, co ten pakiecik zawiera.

Gdy dokonał tej pracy, było już prawie ciemno.

Szary zmrok z bladoliliowym odcieniem wkładał się przez okno, ocienione tanią, koronkową firanką.

Naprzeciw okna stało łóżko, zasłane kocem, dalej szafa, na niej lampa, zniszczony szezlonżek<sup>108</sup>, stół, kilka krzeseł, półki z książkami dopełniały umeblowania. Biednie tu było i jakoś smutno.

Ślimak siedział wciąż koło stołu. Przed nim leżał rozwarty pugilares.

Agent wlepiął wzrok w ów pugilares, lecz teraz już zupełnie inny wyraz miała jego twarz, na pozór apatyczna i bezmyślna.

W oczach Ślimaka, małych, szarych oczach jaśniało jakieś uczucie, coś na kształt rozrzewnienia, właściwego ludziom mocno a skrycie zakochanym.

W pugilaresie Ślimaka była oprawna fotografia młodej panny, ciemnowłosej, z okrągłą buzią i niebieskimi oczkami.

Fotografia była dość grubo kolorowana, lecz Ślimak nie miał widocznie rozwiniętych uczuć artystycznych i ten rodzaj uwiecznienia podobizny był mu wystarczający.

Ślimak, napatrzywszy się na fotografię, sięgnął ręką i z przegródki pugilaresu wyjął jakiś pakiecik, owinięty w bibułę.

Na bibułce drobnuchno ręką Ślimaka wypisane były słowa:

„Włóczka, którą związałem z panną Wandą Jazdówną dnia 3 stycznia”.

W pakieciku był kawałek zielonej włóczki.

Ślimak przez chwilę z widoczną rozkoszą trzymał tę włóczkę w palcach. Wreszcie oderwał swój wzrok od tych romantycznych pamiątek i równocześnie zdawał się budzić z jakiegoś snu rozkosznego.

Wzrok jego padł w lusterko, stojące koło ściany na stoliku i natychmiast smutny uśmiech zwątpienia wykrzywił twarz agenta.

Dojrzał w lusterku swą twarz o szarej, ziemistej cerze, włosy rzadkie i bezbarwne, oczy przygasłe, przypomniał sobie swą postać zgarbioną i ogarnęło go zniechęcenie.

<sup>107</sup> Angielska bibułka – bibułka filtracyjna.

<sup>108</sup> Szezlonżek – mała kanapa.

– Nie dla mnie! nie! – szepnął, chowając fotografię Wandzi i wólczkę do pugilaresu.

Ogarnął go wielki smutek, lecz równocześnie z całą energią usiłował go zwalczyć, przypominając sobie obowiązki, jakie mu jego zajęcie nasuwało.

– Wyśledzę zbrodniarza! – postanowił – wyśledzę i odkryję przyczynę tej niezwyklej zbrodni. Będę działał na własną rękę!

Gorączka go ogarniała. Cały już był przejęty ową sprawą.

– Tak, dowiem się prawdy – myślał, zbierając dokumenta zbrodni i chowając je z całą starannością.

Wziął kapelusz, gotując się do wyjścia.

Uśmiech nagły rozjaśnił jego twarz zachmurzoną.

– Kto wie – pomyślał – kto wie, może to będzie pierwszy szczebel, który wydobędzie mnie z nicości, zwróci na mnie uwagę. A wtedy może i Wandzia...

Ta myśl wydała mu się nadto zuchwałą.

Lecz nie mógł jej stłumić i ona to zaczęła być głównym bodźcem, który kierować zaczął krokami Ślimaka w tej sprawie. Jak na teraz, agent postanowił udać się do sądu karnego, aby dowiedzieć się, któremu sędziemu śledczemu prezydent sądu odda sprawę topielicy z Rudawy, a następnie chciał się poinformować, jaki był wynik sekcji sądowej na zwłokach denatki. Co do tej ostatniej informacji, spełniał tylko formalność, bo Ślimak w sądowe sekcje nie wierzył, znając po trosze tajniki i ciemność, w jakiej błędziły najbardziej rozjaśnione mózgi panów lekarzy.

– Wszystko to są hipotezy – mówił sobie Ślimak, dążąc w stronę sądu.

Ściemniło się zupełnie,

Na ulicach Krakowa ruch się zwiększył.

Od Plant aż szumiało liśćmi drzew i gwarą ludzką.

Przed cukierniami dokoła stolików siedziały grupy ludzi, przypatrujących się przechodniom.

Mnóstwo jasno ubranych kobiet spacerowało wolnym krokiem.

Wszyscy chustkami, lub gałązkami oganiali się od niezliczonej ilości komarów, które z całą żarłocznością rzucały się na krew ludzką.

Ślimak przeciął Planty i uciekł w cień bocznej ulicy. Przechodząc Plantami słyszał, jak wiele osób spacerujących rozmawiało o wylewie Rudawy i pięknej topielicy o jasnych włosach.

– To samobójczyni! – zawyrokowała jakaś piękna dama w jasnoróżowej sukni.

– Podobno z miłości – doniósł podłotek, cały w bieli i koronkach.

Mężczyźni, towarzyszący damom, potwierdzali te słowa.

– Utarło się widać mniemanie, że jest to samobójstwo – pomyślał Ślimak – tym lepiej, ptaszek nie spłoszy się z gniazda!

Ślimak szedł ulicą Sławkowską<sup>109</sup>, gdy nagle wystawa fryzjerska zwróciła jego uwagę.

– Wstąpię i zapytam się – pomyślał.

Wszedł do eleganckiego sklepu, przepojonego zapachami.

Za kontuarem stał subiekt i układał w pudełka porozrzucane na ladzie grzebienie.

– Proszę pana – wyrzekł Ślimak, wyjmując z pugilaesu pakiecik, na którym napisane było „Szpilka” – oto szpileczka do włosów. Potrzebowałbym pakiecik takich samych dla mej żony.

Subiekt uważnie obejrzał podawaną szpilkę, która była zakarbowana<sup>110</sup> pięciokrotnie po obu stronach, a u góry zakończona leciuchną kulką wielkości łebka od szpilki i oddał ją Ślimakowi, mówiąc:

– U nas takich szpilek nie ma! Są inne, proste, ale takie... – I szybko sięgnął do szuflady, a zanurzywszy rękę, rozsypał na szklaną taflę całą masę paczek różowych i żółtych, w których tkwiły maleńkie szpileczki czarne i złote, niepodobne jednak do szpilki, którą Ślimak trzymał w ręku.

– Rzeczywiście, te szpilki są zupełnie inne – wyrzekł agent – może w innym sklepie...

Lecz subiekt zaprzeczył stanowczo.

– Nie... pan nigdzie takich szpilek nie dostanie. Pierwszy raz widzę coś podobnego! A przy tym... ta szpilka wygląda, jakby była zrobiona nie ze zwykłego drutu, ale ze złota. Radzę szanownemu panu udać się do jubilerów!

– A! do jubilerów? – powtórzył Ślimak – dobrze... dziękuję panu za radę, bardzo dziękuję.

Wyszedł ze sklepu uradowany. Gdyby szpilka ta była zwyczajną szpilką, którą kobiety na tysiące kupują po sklepach, trudno byłoby

<sup>109</sup> Ulica Sławkowska – ulica należąca do krakowskiego Starego Miasta.

<sup>110</sup> Zakarbowana – znaczone.

dojść do jakichś rezultatów, lecz sprawa zaczynała być zajmującą, skoro ta szpilka była złota i mogła być zrobiona przez jubilera.

Kraków nie jest tak wielki i można będzie obejść jubilerów, a ci sobie przypomną, kto u nich nabywa złote szpilki do włosów.

Ślimak przyspieszył kroku i wybiegł niemal na Rynek<sup>111</sup>. Skierował się w stronę ulicy Grodzkiej<sup>112</sup>.

Właśnie wybiła dziewiąta godzina i hejnał rozpląnął się w powietrzu<sup>113</sup>.

Tu i ówdzie zamykano sklepy. Jeden z jubilerów miał jeszcze otwarty sklep i do niego dążył szybko Ślimak.

Gdy wyszedł, jubiler był sam jeden za kontuarem i czytał „Nowiny”<sup>114</sup> z najwyższym zajęciem. Na pierwszej stronie pisma znakomity rysownik „Nowin” p. Praszkiwicz umieścił scenę odkrycia zwłok topielicy. Jubiler znał agenta, odłożył dziennik i przywitał się ze Ślimakiem uprzejmie.

– Biedna kobieta! – wyrzekł jubiler, wskazując na rysunek – czy rzeczywiście taka ładna, jak piszą o tym „Nowiny”?

– Nie wiem! – odparł Ślimak.

– Jak to? – zawołał jubiler – co też pan inspektor mówi! wszak tu jest wymienione i pana nazwisko. Pan pierwszy po owym chłopaku obejrzał zwłoki!

Ślimak wzruszył ramionami.

– No tak... ale cóż... trup zawsze trupem... Młoda, ma jasne włosy, ładnie ubrana...

– Dlaczego ona się zabiła?

– Śledztwo wykaże.

– Nietutejsza?

– Nic jeszcze nie wiadomo. Ale ja tu z inną do pana sprawą. Przyślano mi ze wsi szpilkę do włosów, prosząc, ażebym kupił jeszcze tuzin

---

<sup>111</sup> Rynek [Główny] – największy i najpiękniejszy plac Krakowa. Do końca XIX wieku nazywano go „Rynkiem”. Największą jego budowlą jest Kościół Mariacki, mający tytuł bazyliki, ze słynnym ołtarzem Wita Stwosza.

<sup>112</sup> Ulica Grodzka – jedna z najstarszych ulic Krakowa, zaczyna się przy Rynku Głównym i biegnie na południe, do skrzyżowania ulic: Stradom, św. Gertrudy i Bernardyńskiej.

<sup>113</sup> Hejnał Mariacki – melodia grana co godzinę z Wieży Mariackiej kościoła Najświętszej Marii Panny w Krakowie przez trębacza.

<sup>114</sup> „Nowiny” – „Nowiny dla Wszystkich”, dziennik krakowski ukazujący się w latach 1903–1913.

takich... to moja kuzynka. Zdaje mi się, że to złota, więc stosowniej udać się do pana niż do fryzjera. Może mi pan pokaże paczkę takich szpilek i powie cenę!

Jubiler wziął w rękę podawaną przez Ślimaka szpilkę, obejrzał ją dokładnie, spróbował, położył na aksamicie, wreszcie odrzekł:

– Takich szpilek nie mam i nie sądzę, aby ktokolwiek w Krakowie miał na składzie. Jest ona złota i widocznie robiona na obstalunek<sup>115</sup>. Jeżeli pan chce, to się mogę podjąć zrobienia tuzina takich szpilek!

– Proszę, zechciej mi pan powiedzieć cenę, a ja napiszę do mej kuzynki – odparł Ślimak, starając się ukryć swoje zadowolenie.

Podczas gdy jubiler Bąkiewicz robił obliczenia na kawałku papieru, Ślimak orientował się w sytuacji.

Jeśli rzeczywiście szpilka była robiona na obstalunek, łatwiej będzie dowiedzieć się o nazwisku osoby, która ją obstalowała. Ślimak widział się już na ścieżce, która mogła wreszcie rozjaśnić ciemności, w jakich się znajdował.

Pan Bąkiewicz skończył swe wyliczenia i przedstawił cenę Ślimakowi. Ten schował szpilkę i pożegnał się uprzejmie z jubilerem.

– Skoro otrzymam odpowiedź – wyrzekł, wychodząc ze sklepu – natychmiast dam panu znać. A teraz dobranoc!

– Dobranoc!

Ślimak wstąpił jeszcze do trzech jubilerów i wszędzie powtórzyła się mniej więcej ta sama scena. Ślimak wpadał w coraz lepsze usposobienie. Jakkolwiek nie wykrył jeszcze jubilera, który szpileczkę wykonał, jednak już wiedział o wiele więcej, niż się spodziewał.

– Odszukam! znajdę! – myślał, idąc tam.

W policji wiadano już nazwisko sędziego, któremu zostało powierzone śledztwo w sprawie topielicy z Rudawy. Pan sędzia Targiewicz.

Ślimak zachmurzył się. Sprawa trochę będzie ciężka. Pan Targiewicz, nadzwyczaj miły, światowy człowiek, pełen humoru i anegdotek, którymi sypał jak z rękawa, widział rzeczy prosto, bez komplikacji i nie lubił męczyć się rozplątywaniem tajemniczych intryg.

– Wszystko to melodramata! – mawiał, śmiejąc się – to dobre na scenę, ale w życiu się tak nie składa. Prosto, bez intryg idąc, najprędzej dojdzie się prawdy.

---

<sup>115</sup> Zrobić coś na obstalunek – zrobić coś na zamówienie.



– Ha, trudno! – pomyślał Ślimak – będę walczył, zwycięstwo łatwo nie przychodzi, wiem o tym!

Wolno, zamyślony, wyszedł Ślimak z gmachu przy ulicy Mikołajskiej<sup>116</sup> i skierował się ku gmachowi szpitalnemu, w którym odbyła się sekcja sądowa na zwłokach „jasnowłosej księżniczki”. Lecz w gmachu ciemno było już i pusto. Odźwierny objaśnił tylko Ślimaka, że sekcja odbyła się jak zwykle, w obecności dwóch lekarzy, prokuratora i sędziego śledczego Targiewicza. Obecny był także jeden z agentów policyjnych, który przyszedł w ślad za sędzią. Nazwiska jednak odźwierny nie wiedział.

Ślimak wyszedł z izdebki odźwiernego na ulicę, trochę poirytowany, iż nie mógł dowiedzieć się żadnych o denatce bliższych szczegółów.

Cały ten dzień, pełen niezwykłych wrażeń, nadszarpnął trochę jego siły. Uczuł się wyczerpany i zapragnął spokoju.

– Dosyć się dziś napracowałem, czas byłoby odpocząć! – pomyślał.

Lecz nagle serce poczęło mu bić gwałtownie.

W umyśle jego przesunęła się myśl, która rozpromieniła przed nim nawet ciemność uliczną.

– Pójdę do Wandzi! – pomyślał nieśmiało, jakby sam przed sobą wstydił się tego postanowienia. I skierował się w stronę ulicy Długiej.

## XI

### **Kim była Wandzia Jazdówna – Walka ojca z córką – Ślimak zakochany i nieśmiały – Panienska w żółtych bucikach**

Przy ulicy Długiej na trzecim piętrze, w dużej, żółtej kamienicy, mieszkał ojciec Jazda ze swą córką Wandzią.

Zajmowali pokój i kuchenkę. Okna ich wychodziły na ogrody, w których rosły owocowe drzewa i kwitnęły kwiaty. Wandzia bardzo lubiła siedzieć długo w nocy przy otwartym oknie, bo powietrze płynęło czyste i pachnące.

---

<sup>116</sup> Ulica Mikołajska – ulica w Krakowie przebiegająca przez Planty, usytuowana w dzielnicy Stare Miasto, ciągnie się od Małego Rynku do skrzyżowania z ulicami: Westerplatte i Mikołaja Kopernika.

Ojciec Jazda gniewał się na nią za to, nazywając takie późne w oknie siedzenie „wałęsaniem”<sup>117</sup>. On lubił zasiąść przy stole, pod lampą, palić fajkę i rozmawiać, popijając piwo.

Córka zaś nie lubiła tych wieczornych posiedzeń i najczęściej wychodziła do kuchni, gdzie oparta o ramę okna pozostawała milcząca i wpatrzona w gwiazdy.

Ojca Jazdę to irytowało.

Cały dzień na koźle, nie lubił i nie miał zwyczaju zaglądać do szynku. Co najwyżej zgodził się na „partyjkę” z innymi dorożkarzami, ale na wolnym powietrzu, na poduszkach dorożki. Lecz w domu, nieboszczka jego żona, a matka Wandzi przyzwyczaiała go do tego, że miał z kim wieczorem pogadać, gdy powrócił z całodziennej jazdy zmęczony, zmoknięty i zziębnięty. Znajdował zawsze lampę zapaloną, kolację gotową i żonę siedzącą przy stole z robotą, gotową do rozmowy, słuchającą chętnie co ojciec Jazda powie i co tam z miasta za nowiny przyniesie.

Po śmierci żony ojciec Jazda znajdował także lampę zapaloną, kolację gotową, bo córka, choć zajęta w pracowni sukien damskich, zarządzała wszystkim i usługiwała ojcu, jak się należało.

Wandzia była inaczej wychowana jak nieboszczka jego żona. Czytała dużo książek, za mądrych jak dla prostego dorożkarza, wiedziała dużo rzeczy i interesowała się nimi. Były to temata niedostępne dla ojca Jazdy, który choć ciekawy niejednego, co było w świecie i obdarzony zdrowym rozsądkiem, daleko pozostał za córką.

Już za życia matki, Wandzia, gdy podrosła, szła wieczorami do kuchenki i tam osobno albo czytała książki, które przynosiła z miasta, albo siedziała przy oknie, nie mieszając się do pogawędki rodziców. Ojca Jazdę to gniewało niepomiernie, ale matka, zakochana w swej jedynaczce, broniła dziewczynę.

– Daj jej spokój, ona mądrzejsza od nas, wie o wiele więcej. Niech sobie tam siedzi!

– O!... jajko mądrzejsze od kury! – mrucał Jazda zirytowany.

– Takie już czasy! – dorzucała Jazdowa ze swym dobrym uśmiechem.

Lecz gdy Jazdowa zamknęła oczy, w małym mieszkanku zawrzała głucha walka.

---

<sup>117</sup> Wałęsanie – tu: próżniactwo.

Stary dorożkarz chciał zmusić dziewczynę, aby wieczorami zajęła miejsce matki i dotrzymywała mu towarzystwa.

Próżno jednak walczył, uporu Wandy przełamać nie mógł.

I dziś, gdy wrócił do domu jakiś chmurny i zniechęcony, zastał stół nakryty, talerz z mieszaniną, chleb, piwo, kawałek białego sera, lecz Wanda siedziała już po ciemku przy oknie kuchennym i nie wyszła nawet na jego spotkanie.

Dziś jednak ojciec Jazda był tak pogrążony sam w myślach, iż zdjawszy ze siebie płaszcz, opuścił się ciężko na stołek i odsunawszy talerz z mieszaniną, oparł rękę na stole. Jego poczciwa twarz, ogorzała od wichru<sup>118</sup> i osmolona śniegiem i słońcem<sup>119</sup>, smutna. Siwiejące wąsy opuściły się na wysuniętą w zamyśleniu dolną wargę.

Czerwone, splekane ręce dorożkarza drgały nerwowo, a oczy siwe, niewielkie, biegały niespokojnie po kątach.

Wanda nie ruszała się w kuchence. Powróciwszy do domu, zdjęła swoje ładne, nowe żółte buciki i ustawiła je starannie na półce. Siedziała teraz w starych kaloszach i perkalowym kaftaniczku, który nosiła zamiast szlafroka. Siedząc przy oknie, Wandzia płakała.

I miała czego tak płakać cichutko ta biedna mała krakowska szwaczka.

Przed dwoma miesiącami poznała pięknego, strojnego pana, który zwrócił na nią uwagę na ulicy. Powoli ten pan, który działał na nią w dziwny a niezrozumiały dla niej sposób, zaczął zajmować całe jej myśli i duszę.

Wandzia nie była zepsuta.

Wychowana starannie przez matkę, pilnie strzeżona, jakkolwiek obracała się w kółku dziewcząt po większej części już znających ciemne i rozkoszne strony życia, sama była jeszcze czysta i nawet tą myślą nieskażona.

Gdy klękała w kuchence przy swym dziewiczym łóżeczku do pacierza, oczy jej wzniesione ku obrazkowi Maryi, strojnemu w białe róże, miały zachwycający wyraz niewinności, jaki miewają tylko dzieci i uczciwe zwierzęta.

Matka, krzątająca się wtedy po mieszkanku, z lubością zatrzymywała swój wzrok na twarzy córki. Cieszyła się i dumną była, że jej

---

<sup>118</sup> Ogorzała od wichru – przewiana wiatrem.

<sup>119</sup> Osmolona śniegiem i słońcem – przypalona, zniszczona przez warunki atmosferyczne, na które jest nadmiernie wystawiana.

Wandzia idzie przez życie „prostą ścieżką”. W Krakowie, zwłaszcza wieczorami, młoda dziewczyna jest zwykle napastowana przez ludzi, szukających dość łatwych zdobyczy. Wandzia śpieszyła do domu, pomimo, iż uroda jej wzbudzała pomiędzy donżuanami z linii A-B<sup>120</sup> wielkie wrażenie. Dziewczyna była ubrana zawsze skromnie, często biednie. Na jedną kokieteryę zdobywały się jej skromne środki pieniężne. Oto Wandzia nosiła, zimą czy latem, żółte skórkowe buciki sznurowane, zawsze starannie wyczyszczone i o ile możliwości eleganckie.

Nózkę miała małą i instynktem kobiecym wiedzioną odgadła, że starannie obuta nóżka wzbudza pewien zachwyt i przystraja najskromniejsze ubranie kobiece. Dlatego to Wandzia nazywała się w Krakowie „panienką w żółtych bucikach”.

Lecz dziś, gdy siedziała tak w ciemnej kuchence przy oknie, Wandzia nie myśli już o swych bucikach ani o tym, że białe róże dokoła obrazka Matki Boskiej, przysypane kurzem straciły swą białość.

Wandzia, myśląc o swoim „hrabiu”, który dziś zapowiedział jej, że wyjechać musi, gorzko płacze. Pomiędzy nią i „hrabią” nie zaszło jeszcze nic karygodnego, oprócz ukradkiem wymienionych uścisków i całusów. Na próżno bowiem ten piękny pan namawiał Wandzię, aby wstąpiła „na chwilę” do jego mieszkania, „aby odpocząć”. Wandzia odmawiała stale, jakkolwiek słodka to była pokusa.

Dziś, pod wpływem smutku rozstania byłaby może Wandzia dała się namówić na owe „wstąpienie na chwilę”, lecz hrabia nie nalegał pomieszany i nieswój.

Pożegnał się z nią pośpiesznie, naznaczając Wandzi jeszcze jedno widzenie i uciekł prawie, tak biegł szybko. I dlatego to dziś Wandzia ci-chutko przy oknie płakała.

Nie poruszyła się nawet słysząc, jak ojciec Jazda wdychał ciężko i kłął pod nosem. Ojciec Jazda także w nieszczególnym humorze, sapał, stękał i powtarzał ciągle półgłosem: „psia krew zwykła! psia krew słoniowa!”<sup>121</sup>

Drzwi skrzypnęły i w progu ukazał się Ślimak.

<sup>120</sup> Donżuani z linii A-B – uwodziciele z jednej z czterech linii, na które podzielony był Rynek Główny. (Linia A-B ciągnęła się od ul. Sławkowskiej do ul. Floriańskiej, linia C-D od ul. św. Anny do ul. Szczepańskiej, linia E-F od Grodzkiej do Wiślanej, a linia G-H od placu Mariackiego do ul. Grodzkiej).

<sup>121</sup> Psia krew zwykła! psia krew słoniowa! – dawne przekleństwa.

– Dobry wieczór! – wymówił nieśmiało. Na widok agenta ojciec Jazda porwał się od stołu jak szalony. Cofnął się w głąb ku swemu łóżku i szeroko rozwartymi oczami wpatrywał się w nowo przybyłego. Wreszcie wybełkotał:

– Pan inspektor... sam?

Ślimak spojrzał na niego zdziwiony.

– Ależ naturalnie, że jestem sam. Z kimże mam być?

– Pan inspektor... w odwiedzinie?

– Tak, dawno tu nie byłem. Chciałem się dowiedzieć, co u was słychać.

Ojciec Jazda ochłódł powoli z pierwszego wrażenia.

Niedowierzenie jednak jakieś odmalowało się na jego twarzy. Zbliżył się powoli do stołu, patrząc z nieufnością na Ślimaka. Ten ostatni jednak zdawał się daleko więcej zmieszany, jak sam ojciec Jazda.

Oglądał się na prawo i lewo, potykał ślinę i głos mu drżał w dziwny sposób.

To powiększyło jeszcze nieufność dorożkarza, jakkolwiek Ślimak wpadał w ten stan zwykle, ile razy próg mieszkania Jazdów przestąpił. Lecz dziś ojciec Jazda był w wyjątkowym usposobieniu i z jakąś podejrzliwością śledził spojrzenia i zachowanie się agenta.

– Czego pan inspektor szuka? – zapytał wreszcie, cofając się znów do łóżka.

Agent zmieszał się jeszcze więcej i odparł szybko.

– Ja? Patrzę, czy panna Wanda jest w domu... Chciałbym powiedzieć „dobry wieczór”!

Dorożkarz machnął ręką i zbliżył się do stołu.

– A jest!... siedzi tam... sama... nie lubi z ojcem przestawać. Ojciec Jazda za głupi dla takiej panny, co wszystkie rozumy pojadła!

I nagle żał w nim wielki wezbrał, bo pięścią o stół uderzył i krzyknął:

– Psia krew zwykła! psia krew słoniowa taka córka!... albo moranse w książkach czyta! Ją nic nie obchodzi, co się z jej ojcem dzieje!

Ślimak dojrzał przez uchylone drzwi w głąbi kuchni nieruchomą, jasną postać koło rozwartego okna.

Pewny był teraz, iż Wandzia jest w domu i jakaś błogość napełniła mu serce, lecz równocześnie ogarnął go nerwowy niepokój.

Wziął jednak krzesło i usiadł blisko Jazdy.

– Ależ ojczy Jazdo! – zaczął cichszym głosem – nie ma przecież nic w tym zdrożnego, że panna Wanda czyta zajmujące książki. Kształci się, a to tylko chwalebne.

– O wiem, wiem – przerwał mu dorożkarz – że pan inspektor za nią stronę trzyma. Nie muszą jednak te książki uczyć dobrych rzeczy, skoro się panna córka od ojca starego odwraca! Ją nie obchodzi, co się z ojcem stanie... choćby go wzięli do kryminału i wtedy się ta psia krew nie ruszy od swojego okna.

Ostatnie słowa wymówił Jazda w pasji najwyższej, tak, iż zdawać się mogło, że wymówił je bez własnej woli.

– Do kryminału? Was? – zaśmiał się agent – co wy mówicie... ależ do kryminału zabieramy tylko złodziei, morderców, zbrodniarzy... – urwał, urażony wzrokiem, jaki ojciec Jazda wlepił w niego.

– Złodziei... morderców... zbrodniarzy – powtarzał machinalnie Jazda, a oczy jego wyrażały trwogę, graniczącą z obłędem.

– No... tak... – podjął znów Slimak i pragnąc zwrócić myśl Jazdy na inne tory, zaczął mówić z udaną swobodą.

– O!... na przykład: gdyby tak odkryto tego, który zabił tę piękną kobietę, którą Antek dziś znalazł w wiklinach, zaaresztowano by go zaraz... Słyszeliście zapewne o tej topielicy ze złotymi włosami? Cały Kraków o niej mówi.

Ojciec Jazda usunął się z krzesłem, tak że siedział teraz w cieniu. Oddychał ciężko i wreszcie zapytał ochrypłym głosem:

– A dlaczego się mnie pan inspektor o to pyta?

– Chciałbym was rozerwać – tłumaczył się agent.

– Ładne rozerwanie – zaśmiał się gorzko dorożkarz – ho! ho!...

Drzwi się otwały i stanął w nich Antek.

– Dobry wieczór całej kompanii! – wykrzyknął wesoło.

I nie czekając na odpowiedź, poskoczył do stołu.

– Ojca Jazdę buch w łapę, pana inspektora buch w mankiet – mówił ilustrując swe słowa przelotnym całowaniem w rękę i w ramię obu mężczyzn.

Zatrzymał się, przyjrzał się z bliska ojcu Jazdzie i parsknął śmiechem.

– A ojcu co takiego? Woził dziś na Rakowice jakiego nowego obywatela do świeżo kupionej kamienicy?

Dorożkarz nic nie odpowiedział, tylko brwi siwe coraz więcej zmarszczył.

Antek poczekał chwilkę, wreszcie wykręcił się na pięcie.

– No... wesoło tu, nie ma co – roześmiał się – a dzieć panna Wandzia? po ciemku, jak te krety?

Ślimak rzucił się zirytowany.

– Antek, proszę cię, zostaw pannę Wandę w spokoju.

Lecz chłopak już był przy drzwiach kuchennych, które szeroko na roścież otworzył.

– O!... jest panna Wandzia! – zawołał piskliwym głosem – siedzi se w kaloszach koło okna, ręce założywszy niby jaka... hrabina.

Z przyciskiem wymówił słowo „hrabina” i zaczął podskakiwać na jednej nodze.

– Hrabina... drabina – podśpiewywał na nutę „włazł kotek na płótek”. Jasne światło lampy oblało siedzącą u okna Wandę. Porwała się zirytowana i gniewna.

– Wynoś się stąd smarkaczu! – zawołała.

– O!... i zaraz! – przedrzeźniał się Antek – Wandzia mi nic ni ma do rozkazowania. Tylko mój ojciec chrzestny może mnie wyrzucić a nie Wandzia, choćby dziesięć razy jej się zdawało, że jest panią hrabiną!

I zwinnie, i szybko ukrył się za krzesło ojca Jazdy.

Na widok Wandy Ślimak wstał z krzesła, machinalnie poprawił włosy i gotował się przywitać z dziewczyną, lecz ona wypadła z kuchenki, jak wicher przeleciała przez pokój, otworzyła drzwi od sieni i wybiegła na schody.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem i Ślimak pozostał na środku pokoju z niezgrabnie wyciągniętą do powitania ręką.

Natychmiast Antek zaczął tańczyć po pokoju.

– Wypłoszyłem ją klawo z nory! – śmiał się, klaszcząc w ręce.

Ślimaka jednak ogarnął gniew i porwał chłopaka za ramię.

– Jak ty śmiesz – zawołał – obrażać pannę Wandę, tak że z własnego domu przez ciebie ucieka!

Antek zatrzymał się nagle w oznakach swej radości, skrzywił się i złożył jak scyzoryk.

– Panie inspektorze... – zaczął płaczliwie – jak Boga kocham, ja żartowałem...

– Idź... i przeproś zaraz pannę Wandę! – zakomenderował Ślimak.

– Nie potrzeba! – huknął nagle ojciec Jazda – dobrze Antek zrobił, że jej dosolił, tej niegodziwej córce, co ojcem poniewiera.

Antek poczuł się silny poparciem swego ojca chrzestnego.

– A co? a widzi pan inspektor, że ja dobrze zrobiłem! – zawołał, rejterując ku drzwiom – i niech pan inspektor za nią strony nie trzyma, bo ja więcej wiem, niż ona myśli!...

Otworzył drzwi, wypadł do sieni i za chwilę słysząc było jak z łoskotem zbiegał ze schodów.

Ślimak nie mógł powstrzymać swego oburzenia.

– Nie, doprawdy... ojczy Jazdo, ja was nie rozumiem – wyrzekł, biorąc za kapelusz – sami dziewczynie dom zobrażacie. Co dziwnego, że do was nie ma serca!

– Ja o jej serce nie stoję! – burknął Jazda – ja wiem dobrze, jakby ta córka się do ojca przywiązała. Oto żeby jej ojciec nie siedział cały dzień na koźle, ale był panem i dawał jej na stroje, na zabawy.

– Jesteście niesprawiedliwi Jazdo – bronił jeszcze Ślimak – Wandzia jest pracowitą, skromną dziewczyną.

– Ale poczka! – zawołał nagle dorożkarz, grożąc pięścią w stronę drzwi wejściowych – może i ja będę miał pieniądze, to wtedy potrafiśz sobie o ojcu przypomnieć!

Tyle zaciętości i gniewu było w twarzy starego dorożkarza, taki obcy mu dotąd wyraz dzikości odmalował się w jego poczciwych zwykłe oczach, iż Ślimak przerażony cofnął się i wyszedł, nie chcąc słowami pożegnania rozdrażnić jeszcze więcej starca.

Wyszedł na schody, zeszedł na pierwsze piętro i nagle zatrzymał się niezdecydowany.

Koło okna sieni, oświetlona światłem księżyca stała Wandzia, a srebrny blask oświetlał łagodnie jej smutną i pogrążoną w zadumie twarzyczkę.

## XII

### Sam na sam Ślimaka z Wandzią – Zmiana w usposobieniu Wandzi – Ślimak uszczęśliwiony

Krótko trwało wahanie się Ślimaka, szybko bowiem zbliżył się do zamýszonej dziewczyny i wyszeptał:

– Panno Wando!



Ona drgnęła, jakby ze snu zbudzona i śliczne swe źrenice skierowała ku niemu.

Łzy napłynęły jej do oczu i zanosła się łkaniem.

Ślimak czuł, iż i jemu robi się jakoś wilgotno w oczach, a serce boleśnie współczuje płaczowi dziewczyny.

Próbował jednak uspokoić ten wybuch niekłamanej rozpacz.

– Co do Antka – wyrzekł stłumionym głosem – to prawdziwie nie rozumiem, co mu się stało. Wszakże on zawsze trzymał stronę pani. Lubiliście się wzajemnie. Dziś nagle wyjechał z Bóg wie jakimi docinkami... nazywa panią... hrabiną!

Na ten wyraz Wandzia szarpnęła się, jakby ją kto ukłuł sztyletem.

– I pan? i pan? – zawołała z gniewem – radzę panu, niech pan tego słowa nie wymawia, bo ucieknę i nigdy mnie pan widzieć nie będziesz.

Twarz Ślimaka pokryła się trupią bladością.

– Ależ panno Wando... ja powtarzam tylko słowa Antka... ja...

– Dostyc! – krzyknęła Wandzia – zresztą, jakie macie prawo obaj wtrącać się do mego życia? Dlaczego mnie szpiegujecie? dlaczego?...

Gniew i żal odbierał jej prawie przytomność.

Z nienawiścią spoglądała na zgnębnego wielbiiciela.

– O... pan wypełniasz tylko swoje zadania – syknęła przez zęby, a ładna jej, prawie dziecięca, twarzyczka zmieniała się prawie do niepoznania – nie byłbyś pan sobą, gdybyś nie śledził, nie tropił...

Biedny Ślimak oparł się o ścianę, tak obelga, wypowiedziana przez usta ukochanej, była dla niego dotkliwą.

– Jaka pani niesprawiedliwa! – wyszeptał wreszcie z wysiłkiem – nie ośmieliłbym się nigdy panią śledzić. Ublżyłbym tym godności pani. Jeżeli zajmuję się losem pani, to zechciej sobie przypomnieć ostatnie chwile, spędzone przy łożu twej umierającej matki. Przypomnij sobie, ile razy ta święta kobieta mówiła do mnie: „Pan jesteś uczciwym człowiekiem, gdy mnie nie będzie, czuwać nad moją córką...” To chyba pani pamięta, wszak to nie było tak dawno.

Umilkł, oczekując odpowiedzi.

Lecz Wandzia milczała, ukrywszy twarz w dłonie.

Srebrny blask księżyca cudownie osrebrzał jej kręcone włosy i białe kark, wysuwający się z odchylonego kołnierzyka bluzki.

Ślimaka milczenie Wandzi ośmieliło i dodało mu siły.

Nie zmieniając pozycji, ciągle oparty o ścianę, ciągle smutny i blade mówił dalej, a głos jego aż drżał od wzruszenia.

– Smutne to dla nas obojga wspomnienia, ale muszę je odświeżyć, aby siebie przed zarzutami Wandzi osłonić. Pani, panno Wando, zwalasz winę swego nieszczęścia, swego osamotnienia na ojca, na Antka, na... mnie! A przecież, gdybyś zechciała zastanowić się i pomyśleć tylko, jak ciężko obrażasz swego biednego ojca, któremu winna jesteś wszystko...

– Pracuję sama na siebie – odparła cicho Wanda, nie odrywając rąk od twarzy.

– Od niedawna – podjął żywo Ślimak – ale pomyśl, ile lat twój biedny ojciec musiał jeździć dnie całe i noce, aby zarobić na twoje utrzymanie. W śnieg, deszcz, wichurę pies nawet chronił się do szopy, a twój biedny, stary ojciec musiał marznąć, moknąć na zimnie, często chory i zmęczony.

Wanda umilkła znów, tylko silniej jeszcze ukryła głowę w swe dłonie.

– Czy masz mu co do zarzucenia? – ciągnął dalej Ślimak – czy był złym ojcem, złym mężem? Jest prostym człowiekiem, często gburowatym, ale pracując, nie miał czasu się kształcić. Nie tobie, panno Wando, która korzystałaś z jego pracy, robić mu zarzuty z powodu braku jego wykształcenia.

Wanda słuchała w milczeniu, a to milczenie samo zdawało się wskazywać na jakąś przemianę, która dziać się musiała w głębi jej duszy.

Nagle wybuchnęła strasznym płaczem, który zdawało się, że jej piersi rozerwie.

Ślimak nie oczekiwał takiego skutku swej wymowy. Stał więc niepewny i smutny, prawie bezradny, wobec szalejącej z rozpaczny dziewczyny.

– O panie Mick, gdybyś pan wiedział! gdybyś pan wszystko wiedział! – wyłkała wreszcie Wandzia, tłumiąc chustką zbyt głośne szlochanie.

Serce Ślimaka ścisnęło się jakimś bolesnym przecuciem. Odczuł, że Wanda boleje tak nie tylko nad swym stosunkiem do ojca, lecz i nad jakąś tajemniczą przyczyną, która jej życie zatruwa.

Uczuł się w tej chwili obcym i dalekim dla tej dziewczyny, dla której chętnie poświęciłby życie swoje. Próbował jednak dotrzeć do owej tajemnicy, którą Wandzia oplakiwała tak gorącymi łzami.

– Czy nie masz pani do mnie zaufania? – zaczął znowu – powiedz mi wszystko, co cię udręcza, błagam cię. Uczynię wszystko, co tylko w mej mocy, aby los twój uczynić znośniejszym.

Lecz Wanda wstrząsnęła głową.

– Pan dla mnie nic uczynić nie możesz! – wyrzekła – Pan nawet wiedzieć nie powinienes, dlaczego ja płaczę!

Przerwała nagle i potem dodała, ale już bardzo cichym głosem:

– Pan mógłbyś mną pogardzić!

To było dla Ślimaka uderzeniem piorunu.

Pogardzić? ona to wyrzekła? Taka zacna, pocziwa, czysta, święta dziewczynka?

To być nie mogło.

Z rozpaczcy nie wie, co mówi.

I Ślimak porwał jedną rękę dziewczyny i gorąco, serdecznie przycisnął ją do piersi.

– Nie mów tak, panno Wando, bo widzę wtedy, jak mało mnie znasz... Ja tobą pogardzić? – wyrzekł z zapalem – to niemożliwe. Gdybyś nawet uczyniła coś takiego, za co cały świat by cię potępił, pamiętaj, że ja cię zawsze rozgrzeszę i nie cofnę ci mego szacunku.

Wanda podniosła zalane łzami oczy i wpatrzyła się chwilę w pocziwe źrenice Ślimaka.

– Tak... pan jesteś dobrym człowiekiem – wyrzekła powoli – zostawmy jednak na boku moje zmartwienia i troski. Chodzi tu teraz o... mego ojca. Pan w kilku słowach zwróciłeś mnie na właściwą drogę. Zapomniałam, że obowiązkiem dziecka jest nie sądzić swoich rodziców, lecz kochać ich! Dziękuję, żeś mi to pan przypomniał!

Uścisnęła jego rękę gorąco i serdecznie.

Ślimak był tak wzruszony, iż drżał cały jak w febrze.

– Panno Wando! panno Wando!... – zaczął, jękając się – pani jesteś aniołem.

Smutny uśmiech wystąpił na usta Wandy.

– Zdaje się panu! – odparła – ale teraz musimy się rozejść. Muszę wrócić do ojca i wynagrodzić mu przykrość, jakiej stałam się powodem!

Tak! tak! – wracaj pani – wyrzekł uradowany Mick – i staraj się być dla niego dobrą, gdyż dzisiaj jest szczególnie smutny i rozdrażniony. Ja wracam do domu. Już bramę zamknięto!

Uściskiem ręki pożegnał Wandę.

Ona zaczęła szybko iść po schodach na górę.

Na zakręcie przystanąła, odwróciła się i cała oświetlona blaskiem księżycy, rzuciła rozkochanemu Ślimakowi słodkie:

– Dobranoc panu!

Słowa te wymówiła Wandzia z tak miłym uśmiechem, że Ślimakowi zdawało się, iż nagle mu się raj otwiera.

### XIII

#### **Co ojciec Jazda trzymał ukryte za obrazem przedstawiającym Napoleona – Dziwne odkrycie – Tajemniczy brylant**

Gdy Wanda doszła do drzwi mieszkania, ogarnęła ją jakaś trwoga i zmieszanie.

Postanowiła upokorzyć się przed ojcem, prosić go o przebaczenie i uczynić tak, aby, gdy ona nie może być swobodną i szczęśliwą, ojciec jej nie cierpiał i nie czuł się zgnębiony i nieszczęśliwy.

Lecz Wandzia była z natury nieśmiałą i każdy krok, wymagający wprowadzenia w czyn jakiejś decyzji, przejmował ją trwogą. Cichutko więc, z całą ostrożnością nacisnęła klamkę od drzwi i weszła do malutkiej sienki<sup>122</sup>, poprzedzającej ich mieszkanie.

Drzwi od pokoju były uchylone i przez szczelinę we drzwiach Wandzia ujrzała dokładnie ojca, który stał obok stołu z wzrokiem utkwionym w ścianę.

Widocznie nie słyszał, jak weszła i sądził, że jest sam jeden w mieszkaniu.

Cichutko, niepewna i niezdecydowana stała Wandzia w sionce, przejęta trwogą i rozrzewnieniem na widok ojca.

Ślimak miał słuszość.

Ten starzec, sterany ciężką dorożkarską pracą, wystawiony na słoty, zimno, niepogody, przedstawiał bardzo smutny i litości godzien widok.

Wandzia postanowiła całym sercem umilić ojcu życie.

Już chciała poruszyć się i wejść do pokoju, gdy Jazda, rzuciwszy dokoła trwożnym wzrokiem, posunął ku ścianie.

---

<sup>122</sup> Sienka – zdrobnienie od słowa sień.

Obok lusterka, zawieszono nad komodą, znajdował się dość dużych rozmiarów oleodruk, przedstawiający Napoleona, stojącego na brzegu Wypły Świętej Heleny i patrzącego na morze.

Oleodruk ten kupił Jazda od jakiegoś Żyda na ulicy Floriańskiej<sup>123</sup> i darował nieboszczce żonie w dzień imienin.

Grubo złocona rama imponowała niezmiernie obojgu Jazdom i ich znajomym.

– To hrabski landszaft<sup>124</sup>! – mawiał Jazda i pysznił się swoim nabytkiem, jak inni Rembrandtem<sup>125</sup> albo Velázquezem<sup>126</sup>.

Często Jazda stawał przed oleodrukiem i przypatrywał mu się z lubością.

Dziś jednak sposób, w jaki podszedł do obrazu, był tajemniczy i niepewny, tak że Wandzia mimo woli poczuła, iż ojciec jej ukrywa jakąś tajemnicę, o której ona znów nie ma pojęcia.

Jazda, oglądając się ciągle, przysunął się do obrazu i wsunął rękę poza ramy.

Szybko wyjął ją na powrót i Wandzia ujrzała, jak ojciec trzymał w tej ręce kawałek zwiniętej w węzełek szmatki.

Z węzełkiem tym Jazda zbliżył się do stołu i drżącymi palcami rozwiązywać go począł.

W piersi Wandy dech zaparł się z niepokoju i wzruszenia.

Przecucie jej mówiło, iż zobaczy za chwilę coś niezwykłego.

I oto, z brudnych gałganów zabłysło nagle coś takim blaskiem, że Wandzia doznała aż olśnienia.

Zdawało się jej, że ojciec trzyma w rękę jakąś gwiazdę, która lśni się, błyszczący i migoce wszystkimi możliwymi barwami.

Promienie aż tryskały, drżały całe i migwały w ciemności.

Ojciec Jazda odsunął rękę, w której trzymał ową tajemniczą gwiazdę.

Snop promieni wytrysnął czerwonymi i zielonymi blaskami.

Wtedy Wandzia zrozumiała, iż jej ojciec trzyma w rękę brylant. Widziała na wystawach jubilerów w Rynku i naprzeciw Panny

---

<sup>123</sup> Ulica Floriańska – popularna ulica Krakowa, rozciągająca się od Rynku Głównego do Bramy Floriańskiej. Jej nazwa wywodzi się od kościoła św. Floriana powstałego w 1185 roku.

<sup>124</sup> Landszaft – obraz przedstawiający pejzaż, krajobraz.

<sup>125</sup> Hermenszonn van Rijn Rembrandt – siedemnastowieczny malarz holenderski.

<sup>126</sup> Diego Velázquez – siedemnastowieczny malarz hiszpański.

Maryi<sup>127</sup> takie wspaniałe, świecące brylanty. Nieraz długo stała i patrzyła z lubością na grę kolorów w tych czarodziejskich kamieniach, lecz tak wielkiego blasku, jaki bił od brylantu, trzymanego przez Jazdę, nie widziała jeszcze.

Krew jej uderzyła do głowy.

Przestrach ścisnął jej serce niezmierną trwogą.

Wandzia bowiem już rozumiała, że brylanty, to rzecz wielkiej wartości i dostępne tylko dla ludzi bardzo bogatych.

Skąd miał jej ojciec taki klejnot drogi, który wart był, kto wie, jakie pieniądze?

Nie kupił go, więc może znalazł. Gdyby jednak znalazł, ojciec Jazda był tak uczciwy, iż natychmiast byłby ten brylant zaniósł na policję.

Wszak często pokazywał w domu przedmioty, znalezione w doróżce i czym prędzej odnosił je na Mikołajską, nie chcąc, aby pozostawały w jego posiadaniu.

Tak, lecz to były przedmioty małej wagi.

Mufka<sup>128</sup>, kluczyki, książki, nuty, czasem jakiś sprawunek, zawinięty w papier.

Lecz... brylant i to tak wielki, wspaniały brylant!

O tym, że Jazda mógł go ukraść, nie pomyślała nawet Wandzia. To było niemożliwe i nie przyszło jej nawet na myśl.

Jazda tymczasem, napatrzywszy się dostatecznie brylantowi, owinął go w szmaty i schował na powrót za obraz.

Po czym powrócił do stołu i usiadłszy, wypił dwie szklanki piwa, nalewając jedną po drugiej. Wandzia stała jeszcze chwilę jak wryta i wreszcie zdecydowała się wejść do pokoju.

Czuła jednak instynktownie, iż nie powinna zdradzać się z tym, że przeniknęła tajemnicę ojca. Należało przynajmniej do czasu udać, że o niczym nie wie.

Równocześnie jednakże dobre jej postanowienia, co do wzbudzenia w sobie gorętszych uczuć córki dla ojca, rozwiały się zupełnie.

Ten tajemniczy brylant znalazł się nagle pomiędzy nią i ojcem i działał na dziewczynę w sposób odpychający.

Gdyby znalazła ojca smutnego i zgnębionego, pogrążonego w zadumie, byłaby rzuciła mu się do kolan i prosiła o przebaczenie.

<sup>127</sup> [Kościół] Panny Maryi – powstał w 1226 roku, piękny kościół znajdujący się na Rynku Głównym.

<sup>128</sup> Mufka – zaręczawek, część garderoby chroniąca kobiety przed zimmem.

Lecz ojciec jej ukrywał jakąś dziwną tajemnicę, niewytłumaczoną i przejmującą ją trwogą.

I Wandzia weszła do pokoju chłodna i milcząca, przesunęła się obok starego dorożkarza, który drgnął, słysząc skrzypnięcie drzwi i zamknęła się w swojej kuchni.

Tam długo nie mogła zasnąć, przewracając się rozgorączkowana na swym pościeliu.

Własne jej troski, postać hrabiego, jego odjazd przyćmiły się trochę wobec grozy, jaką budził w niej ten tajemniczy brylant, ukryty ręką jej ojca poza ramę obrazu, przedstawiającego Napoleona, zadumanego tragicznie na skalistym wybrzeżu Wyspy Świętej Heleny.

#### XIV

#### **Dziwny sen – Rozmowa z Antkiem – Tajemniczy brylant**

Dziwne sny dręczyły i kołysały Ślimaka tej nocy.

Sniła mu się niemal ciągle Wandzia, lecz ubrana w strój topielicy, wyciągniętej z Rudawy. Wandzię z jakiejś strasznej przepaści ocalał Antek, a ona wesoła i uśmiechnięta szukała wzrokiem Ślimaka i rzucała mu z daleka prześliczne: „dobranoc”.

Nagle nadciągała burza i spadał deszcz samych czaków<sup>129</sup> policjantów i półksiężycze z numerami<sup>130</sup> jak grad leciały, a zbierał je w połę do płaszcza ojciec Jazda i wiózł w swej dorożce w ogromnym triumfie do Hawelki<sup>131</sup>. Lecz już na Rynek wtargnęły z szumem i łoskotem żółte fałe Rudawy, a całe gromady Czarnych Antków pluskały się w nich jak rekiny.

Na wspaniałej łodzi po rozhukanych falach, płynął w stronę ulicy Grodzkiej, pan sędzia Targiewicz, ubrany w czerwoną togę, a dopły-

---

<sup>129</sup> Czako – czapka wojskowa, kaszkiet.

<sup>130</sup> Półksiężycze z numerami – znaczki z numerami policjantów w kształcie półksiężyca.

<sup>131</sup> Hawelka – sklep delikatesowy z tzw. „lokałem śniadankowym”, znajdujący się pod adresem: Rynek Główny 34 (wcześniej 35 i 46), stynący w Krakowie z „piramidalnych kanapek” z papryką, łososiem, kawiosem i serem szwajcarskim.

nąwszy do sklepu Eilego<sup>132</sup>, wrzucił w wodę cały pęk małych złotych szpileczek, które pływały po wierzchu wody, złocąc wspaniale jej fale.

Ślimak z rozpaczą widział te szpileczki, tak podobne do tej, jaką tak starannie ukrytą nosił w głębi swego pugilaresu.

Przeszło mu przez myśl, iż one naprowadzą go na trop zbrodniarza. Nie namyślając się, skoczył w wodę i zaczął pływać ku ulicy Grodzkiej. Lecz fale unosiły go, podrzucały, szarpały i odpychały. Biedny agent walczył z nimi z nadludzką siłą, ginął jednak w odmęcie, kiedy znów zjawiła się przed nim Wandzia i z anielskim uśmiechem podawała mu rękę...

Właśnie miał uchwycić tę zbawczą dłoń, gdy nagle zbudził go jakiś głos o piskliwym dźwięku.

– Panie inspektorze, niech się pan lepiej zbudzi, bo co pan wyrabia.

Ślimak otworzył oczy i ujrzał przed sobą Antka, który przyniósłszy samowar<sup>133</sup>, mleko i bułki, zabierał jego buty i odzież do czyszczenia.

Jeden rzut oka przekonał Ślimaka, że rzeczywiście miał Antek zupełną słuszność, proponując mu obudzenie się.

Zamiast bowiem staczać walki z rozszałymi falami Rudawy, Ślimak staczał walki z własną pościelą.

Kołdra, poduszki, prześcieradło, leżały na ziemi.

Jeszcze kilka sekund – znalazłyby się tam materace i Ślimak z nimi.

Ślimak w jednej chwili oprzytomniał zupełnie.

Wstał z łóżka, pobierał pościel i podszedł do miednicy z wodą, w której powoli, ale bardzo dokumentnie<sup>134</sup> myć się zaczął.

Antek tymczasem wyciągnął zza pieca szuwaks<sup>135</sup> i szczotki, i przykucnąwszy, zaczął czyścić buty.

Pluł i czyścił, ale widoczne było, iż milczenie mu ciąży i że chciałby o czymś powiedzieć ze Ślimakiem, aby zatrzeć niepewność, w jakiej pozostał, co do swego względem Wandzi postępku.

Ślimak jednak nie odzywał się wcale, bo lękał się, aby zbyt gorącą obroną Wandzi nie zdradził swoich dla niej sentymentów.

<sup>132</sup> Sklep Eilego – trudno ustalić, o jaki sklep mogło tu chodzić.

<sup>133</sup> Samowar – urządzenie pochodzące z Rosji, podtrzymujące wodę w stanie wrzenia, dzięki rozżarzonym węglom, znajdującym się na dole dużego metalowego pojemnika. Na górze samowara stawiano imbryk z esencją herbaty.

<sup>134</sup> Dokumentnie – dokładnie, sumiennie, starannie.

<sup>135</sup> Szuwaks – preparat do czernienia i glansowania obuwia.



Biedak nie wiedział, że Antek dawno przejrzał głąb jego serca i znał całą płomiennność uczuć agenta względem „panienki w żółtych bucikach”.

Wreszcie Antek nie mógł znieść dłużej tej naprężonej sytuacji.

Z pasją cisnął szczotką o ziemię i padając na klęczki, wykrzyknął:

– Niech mnie pan inspektor lepi nawymyśla, jak się patrzy, a nie tak milczący na mnie zyrka, jak na jakiego kapusia<sup>136</sup>, a to poknajam nad Rudawę i tam ci się cały het z bebechami<sup>137</sup> utopię!

Ślimak, który właśnie zbierał się do golenia, odwrócił się ku Antkowi i pokiwał głową ze szczerym smutkiem.

– Oj Antek! Antek! – wyrzekł z westchnieniem – Już ja widzę, że z ciebie nic porządnego nie wyrośnie!

– O!... bez co? – zapytał Antek, odzyskując rezon<sup>138</sup> – czy bez to, że tej Jazdównie kolkę pod bok wsunąłem<sup>139</sup>.

– Najprzód, zakazuję ci mówić tak bez szacunku o panie Wandzi.

– Oj, panie inspektorze... już ja jej tam szacunku nie odlepię<sup>140</sup>... Niech no ona lepi patrzy, aby się w jaką zatraconą bidę nie wplątała!

Ślimakowi ścisnęło się serce jakimś dziwnym przecuciem, ale, jak każdy zakochany, lękał się pewności i dlatego zmarszczywszy brwi, krzyknął znów na Antka:

– Cicho! zakazuję ci rzucać nawet podejrzenie na to uczciwe dziewczę! Wyrzucę cię od siebie i widzieć na oczy nie będę, jeżeli jeszcze raz powtórzy się coś podobnego.

Antek wydał usta ironicznie i skurczywszy się przy piecu, zapytał:

– Więc pan inspektor nie chce się nic dowiedzieć?

– Nic! – zawołał doprowadzony do pasji Ślimak – nic nie chcę i zakazuję ci mówić ze mną o Wandzi!

– Klawo! – odparł chłopak – ale prawda jak oliwa na wierzch wypłynie... tylko, że wtedy może być za późno!

– Czyść buty, nie odzywaj się do mnie!

Antek posmutniał.

Uczuł się niezrozumiany, a jego dobre intencje były zniweczone.

---

<sup>136</sup> Kapuś – szpieg, zdrajca.

<sup>137</sup> Bebechy – trzewia, wnętrzności, jelita, flaki.

<sup>138</sup> Rezon – pewność siebie, dobra mina, animusz.

<sup>139</sup> Wsunąć komuś kolkę pod bok – dać kuksańca.

<sup>140</sup> Odlepić szacunek – pozbawić szacunku.

Wszakże on właśnie z przywiązania dla swego ojca chrzestnego i dla Wandzi chciał podzielić się ze Ślimakiem odkrytą tajemnicą i wspólnymi siłami czuwać nad tym, aby nie zginęła w sidłach hrabiego.

Tymczasem Ślimak zakazywał mu nawet odzywać się do siebie. Antek czuł, że gdyby powiedział jeszcze słowo w tym przedmiocie, Ślimak wyrzuci go za drzwi.

– Będę sam czuwał nad nią, a wtedy Ślimak się przekona, że jestem gawer uczciwy, a nie lada jakie co! – postanowił Antek i z obrażoną miną wyszedł z mieszkania agenta.

Ślimak wypił szybko śniadanie i wyszedł na ulicę. Chciał obejść jeszcze innych jubilerów, aby się przekonać, czy szpilka nie była nabyta w Krakowie.

Następnie musiał iść na policję i udać się do sędziego Targiewicza, aby złożyć swoje zeznanie co do stanu, w jakim on pierwszy po Antku zwłoki znalazł.

Wszystkich jubilerów, zamieszkujących przypuszczalnie ulicę, zdążył Ślimak obejść. Pozostawali pomniejsi – Żydzi gnieźdzący się na Grodzkiej, Kazimierzu, nawet na Podgórzu<sup>141</sup>.

Ślimak był przekonany, iż wszyscy odpowiedzą mu to, co pierwszy i drugi jubiler w Rynku, to jest, że szpilka jest zrobiona na obstalunek, ale nie w jego sklepie, lecz dla spokoju sumienia szedł ze stałym postanowieniem obejścia wszystkich jubilerów, tak krakowskich jak i podgórszych.

Idąc, Ślimak walczył ze sobą, nie wiedząc jeszcze, jak postąpić powinien.

Należało, aby pokazał sędziemu ową tuberozę, szpilkę, resztkę sukna, lecz znał dobrze Targiewicza. Wiedział, że weźmie to za drobnostki, bałamucące jasność śledztwa i zniweczy w ten sposób możliwość dojścia prawdy.

Z każdą chwilą bowiem rośło w Ślimaku przekonanie, iż nic innego, tylko ten „kwiat śmierci” doprowadzi go do poznania prawdziwego światła w tej sprawie.

Wszedł już do kilku sklepów jubilerskich i wszędzie posłyszał jedno i to samo. Prawie wszędzie znano go i ofiarowano się z jak najszybszym wykonaniem podobnych szpileczek. Dziękował i wychodził teraz już niemal machinalnie kierując się w tej czynności.

---

<sup>141</sup> Podgórze – dzisiaj część Krakowa, do 1915 roku Wolne Królewskie Miasto Podgórze.

Nagle w jednym ze sklepików na Kazimierzu natknął się na jednego ze swych policyjnych kolegów.

Zajkiewicz, zwany w policji Nosalem, ze względu na doskonały węch policyjny, jakim się odznaczał w powierzonych mu sprawach, zręczny pochlebca, układowy, o lisim wyglądzie<sup>142</sup> i sposobie bycia, stał przed kontuarem jubilerskim w dumnej i rozkazującej postawie. O ile wobec przełożonych umiał się skurczyć i zrobić się małym, układowym człowiekiem, o tyle wobec tych, którym imponowała jego tajemnicza misja, rósł do wielkości imponującej tak wzrostem, jak i gęstą miną, którą przybierał. I w tej chwili, w tym skromnym sklepiku jubilerskim, w którym musiały się przecież dziać rzeczy niezupełnie czyste i gdzie kradzione klejnoty musiały znajdować przytułek i upust wygodny, Nosal z miną groźną i imponującą nakazywał coś skurczonemu za kontuarem staremu Żydowi.

Ślimak wszedł cicho i zbliżył się, tak że ani Nosal, ani jubiler nie widzieli go, zajęci rozmową. Ślimak dojrzał w ręku jubilera przepyszny brylantowy kolczyk, który Żyd uważnie oglądał.

Nosal, dostrzegłszy kogoś trzeciego, żwawo porwał z rąk Żyda brylant, lecz poznawszy Ślimaka, uśmiechnął się przyjacielsko, choć z pewną wyższością.

– Serwus! a ja już od rana w robocie! – wyrzekł, cedząc słowa – zrzucili mi znowu na barki tę sprawę topielicy i muszę obchodzić jubilerów z kolczykiem, znalezionym w uchu trupa. Jednego brak... może na jaki ślad się natrafi, choć wszyscy sądzimy, że to jest... samobójstwo.

Nosal nadał się dziwacznie i usiłował zgnębić swą wyższością Ślimaka. Ten zacisnął rękę na portfelu, w którym ukrywał szpilkę i „kwiat śmierci”.

– W dziennikach już podali moje nazwisko – mówił dalej z pozorowaną niedbałością Nosal – o tu... – wskazał poranne wydanie jednego z dzienników – jest wzmianka o tym, że mam się zająć tą nudną sprawą.

Z kieszeni od spodni wyciągnął przemocowaną na łańcuszku do pasa dużą skórzaną portmonetkę. opatrzoną sztucznym zamkiem. Otworzył ją i wydobył owinięty w bibułkę wspaniały brylantowy kolczyk.

– Obejrż go pan, zważ, zanotuj uwagi szczególnie... tylko prędko, bo mam jeszcze dziś rano obejść was wszystkich.

---

<sup>142</sup> Lisi wygląd – nieszczerzy, sprytny, podstępny.

W ciemnawej głębi sklepu brylant zaświecił wspaniale, jak spadła z nieba gwiazda.

Jubiler z wielkiego podziwu aż plasnął rękami.

– Co za brylant! – wyrzekł poważnym, a nawet wzruszonym głosem.

Ślimak poznał od razu ten wspaniały kolczyk, który tkwił w uchu zmarłej.

Patrzył na niego w milczeniu, mając przecucie, iż nie ten klejnot wyjaśni prawdę i naprowadzi władze na właściwą drogę.

Jubiler tymczasem ujął z szacunkiem kolczyk i zaczął przyglądać mu się, badać, ważyć...

– A zapamiętaj go pan dobrze! – rzucił mu Nosal – i jeżeli się ktoś z podobnym zjawi...

Jubiler przerwał niecierpliwym gestem. Znał swój obowiązek i wiedział, co miał dalej czynić. Cały pogrążony w kontemplacji rzadkiej piękności klejnotu, zachwycony, przypatrywał mu się z uniesieniem.

– Ten kolczyk nie pochodzi z Austryi<sup>143</sup>! – wyrzekł wreszcie – to jest oprawa ściśle paryska. U nas inaczej zaginają się łąпки, a potem podwójny tu jest rząd łąpek od niedawna wprowadzony przez jubilerów z ulicy de la Paix<sup>144</sup>.

Nosal pochylił się i przypatrywał owemu systemowi, Ślimak także przysunął się, wiedziony pewną ciekawością.

– Zresztą... o to nie chodzi! – przerwał wreszcie Nosal – to są sprawy mniejszej wagi – tu chodzi o to, czy kto zgłosi się z drugim kolczykiem. Na to główny nacisk kładziemy.

Owinął kolczyk w bibułę i kładł do kieszeni, kiedy nagle Ślimak odezwał się prawie bezwiednie:

– Dlaczego kolega nazywa wiadomość, iż kolczyk pochodzi z Paryża, sprawą małej wagi?

– A cóż nam właściwie po tej wiadomości? Odzienie denatki jest skupowane po całej Europie. Torebka w Wiedniu, suknia robiona w Lu-cernie, kapelusze z Berlina, guziki żakietu były z fabryk sztokholmskich i tak cała reszta. Dalej żadnego śladu, ani biletu, ani tiketu<sup>145</sup>, nic...

– Tak... lecz wiedząc skąd pochodzi, można by... można by...

– Co? co!...

<sup>143</sup> Austryi – Galicja.

<sup>144</sup> Ulica de la Paix – pod koniec wieku XIX i na początku XX najmodniejsza ulica Paryża.

<sup>145</sup> Tiket – (ang.) ticket – bilet.

Lecz Ślimak zamilkł, jakby chcąc tylko ze sobą dzielić się przypuszczeniami, jakie z powodu owej sprawy snuły się dokoła jego głowy.

Zaczął się nawet pośpiesznie z Nosalem żegnać, lecz ten przytrzymał go za rękę.

– Kolega dziś jesteś zagadkowy – zaczął z drwiącym uśmiechem.

W Ślimaku krew powoli burzyć się zaczęła.

– Jestem takim, jak zwykle.

– O nie! Przed chwilą kolega powiedział, iż w sprawie topielicy można by... dużo... wiele... może więcej niż my robimy?

– Ja? Broń Boże!

– Ależ tak! Zrozumiałem wybornie intonację głosu kolegi. Czy to jednak nie zbytek zarozumiałości? Kolega przypuszcza, iż to w sprawach tak delikatnych, to jest tak łatwo jak z tymi paniami ze Szczepańskiego placu<sup>146</sup>? Kolega się myli i źle postępuje, sądząc surowo władze, którym podlega...

Świdrujące oczy Nosala przesywały spokojne na pozór źrenice Ślimaka. W pierwszej chwili Ślimak miał ochotę wybuchnąć gniewem i odplącić po prostu gradem sarkazmu ten potok jadu, który Nosal sączył na niego ze swych ust wydętych, lecz jakiś takt, jakieś dziwne przeczucie kazało mu usunąć się po prostu z drogi temu człowiekowi, którego zaślepią pycha i doznawane powodzenie.

Wzruszył więc ramionami i zmierzwiwszy Nosala długim, pogardliwym spojrzeniem, wyszedł ze sklepu jubilera.

– Głupi i zły! – pomyślał, dążąc w kierunku policji.

Postanowił nie iść więcej dziś do jubilerów i wstrzymać do jutra swą ankietę<sup>147</sup>, co do szpileczki, gdyż nie chciał spotkać się znów z Nosalem u któregokolwiek złotnika.

Na policji dowiedział się, iż znajduje się dla niego, jako dla świadka, wezwanie od sędziego śledczego, przysłane na ręce policji.

Bezwłocznie udał się w stronę gmachu sądowego, gdzie wiedział, iż sędzia śledczy Targiewicz<sup>148</sup> ma swoją kancelarię.

Idąc, porwany był fatalnym skrupułem.

<sup>146</sup> Panie ze Szczepańskiego placu – prostytutki stojące na rogu ul. Szczepańskiej.

<sup>147</sup> Ankieta – tu: komisja śledcza, grono rzeczoznawców.

<sup>148</sup> W oryginale było tu nazwisko Zajkiewicz, uznano je jednak za pomyłkę, gdyż niejednokrotnie w powieści przywoływany był już sędzia i widniało przy nim nazwisko Targiewicz. Zajkiewicz jest natomiast nazwiskiem policjanta.

Czy powiedzieć ma sędziemu o swoim odkryciu, o tej szpileczce i tuberozie, osnutej przędzą czarnego sukna?

Obowiązkiem jego jako świadka było nic nie ukrywać, z drugiej zaś strony ciężko było biednemu Ślimakowi rzucić na pośmiewisko i w nicość tę kruchą nitczkę przewodnią, po jakiej spodziewał się koniecznie dojść prawdy.

Idąc ulicą, posłyszał nagle, jak ktoś cichutkim głosikiem mówi mu:  
– Dzień dobry!

Podniósł głowę i z radością ujrzał przed sobą Wandzię Jazdównę, która z pakunkiem w rękę, „z dodatkami do sukien”, śpieszyła od Rynku.

– Dzień dobry, panno Wandziu... gdzie pani biegnie? – wybełkotał Ślimak, patrząc na twarz dziewczęcia.

Lecz radość jego z ujrzenia swej ukochanej zmieniła się w smutek.

Wandzia była blada jak opłatek, usta miała spieczone gorączką.

Widoczne było, iż jakaś wewnętrzna troska strawiła ją prawie doszczętnie przez tę noc całą.

– Co pani jest?... czy znów miała pani zatarg z ojcem? – zapytał, pociągając Wandzię pod mur kamienicy.

– Nie – odparła – nie... lecz stało się coś bardzo ważnego. Ja muszę zaciągnąć pana rady, muszę się z panem widzieć...

– Może dziś wieczorem na Plantach.

– Nie. Tam za dużo osób. To, co mam panu powiedzieć, może być tylko słyszane przez nas dwoje. Najlepiej niech pan na mnie czeka u siebie. Ja do pana przyjdę!

Ślimaka ogarnął wielki niepokój.

Przyszło mu bowiem na myśl, że Wandzia musi być rzeczywiście pod wpływem jakiejś nadzwyczajnej wiadomości, skoro sama decyduje się na krok tak stanowczy.

Radość więc, jakiej doznał na myśl, że to ukochane dziewczę będzie w jego ubogim mieszkanku, została zatruta trwogą o niebezpieczeństwo, które jej grozić mogło.

– Przyjdź pani o ósmej, będę czekał – rzucił szybko, podając jej rękę.

Uścisnęła ją i oddaliła się szybko.

Ślimak szedł swoją drogą zamyślony i niepewny. Teraz już zdawało mu się, że od wczoraj pogrąża się w jakiś odmęt i że w tym odmiecie nie może zrozumieć własnych myśli.

W tym usposobieniu zapukał do kancelarii sędziego śledczego, pana Targiewicza, któremu poruczono sprawę topielicy rudawskiej, a z czego mocno był niezadowolony.

## XV

### U pana sędziego śledczego

Pan Targiewicz miał powód być szczerze niezadowolony. Wybierał się właśnie do Tallkirchen<sup>149</sup> do zakładu hydropatycznego<sup>150</sup>. Przy tym pan sędzia z powodu, iż w ucho jego wpadła cała masa przerozmatyłych śledczych sekretów, miał owe ucho mocno nadwyrężone i chore, potrzebujące kuracji.

Pan sędzia miał otrzymać urlop i wyruszyć w świat, aby trochę odetchnąć od malarycznej<sup>151</sup> atmosfery krakowskiej, gdy nagle spadła owa afera topielicy rudawskiej i przedłużyła jego pobyt w owej kancelarii, która była dla wykwintnego dowcipnisa, genialnego winciarza<sup>152</sup> i schorowanego człowieka miejscem prawdziwej katorgi.

Odczuwał to protokolant, typ Bogu ducha winnego człowieka o jasnej kurtce i zgiętym smutnie grzbiecie, który musiał wciągać<sup>153</sup> nie tylko zeznania świadków, ale ich genealogie, ich zatrudnienia, lata, religie itp. zajmujące kwestie.

Dnia tego, gdy Ślimak pojawił się na progu kancelarii, pan Targiewicz, ubrany nader elegancko, chodził nerwowym krokiem po świeżo obciągniętej lakierem podłodze. Buty jego przylepiały się za każdym krokiem podszewami do owej podłogi i odklejały się z przeraźliwym skrzypieniem.

Wzburzenie pana Targiewicza malowało się dość wyraźnie w jego ciemnych, dowcipnych zwykle oczach i na cokolwiek przywiedłej twa-

---

<sup>149</sup> Tallkirchen – prawdopodobnie chodzi o Thalkirchen, czyli obszar znajdujący się w pobliżu niemieckiego miasta Monachium.

<sup>150</sup> Zakład hydropatyczny – zakład wodolecznicy.

<sup>151</sup> Malaryczna – pełna zarazków, chora, szkodliwa, niezdrów.

<sup>152</sup> Winciarz – ten, kto biegle gra w karcianego winta.

<sup>153</sup> Wciągać – tu: zapisywać, umieszczać w raporcie.

rzy, okolonej czarnymi jak smoła bokobrodami. Chodził i przemyśliwał, że znakomicie mógłby sobie ulżyć, gdyby trafił na świadka, chcącego zachować się „burzliwie” i w sposób ubliżający podczas czynności urzędowej sędziego śledczego!

Paragraf bowiem 108 dozwoliłby mu zamknąć owego świadka na osiem dni aresztu!

Jakiż upust dla nerwów biednego sędziego, który już miał w Tallkirchen zamówiony numer i konsultację u profesora w Wiedniu.

Tymczasem, jak na złość, wszyscy świadkowie, zacząwszy od Antka, zachowywali się wytwornie, a własnego protokolanta nie mógł sędzia skazać na areszt lub grzywnę.

Nagle w drzwiach pojawił się Ślimak. Była to wybornie wybrana osobistość na tak zwanego kozła ofiarnego.

Jak jastrzęb, tak zdenerwowany sędzia rzucił się na pokorną postać agenta, tkwiącą koło progu.

Przede wszystkim zarzucił mu spóźnienie się i na ten temat mówił długo i srogo.

Ślimak nie odpowiadał, nieprzyzwyczajony widać do objawów nerwowości osób sądowych.

Wreszcie, gdy Targiewicz wypowiedział wszystko, co miał do powiedzenia w kwestii spóźnienia się świadków, rozpoczęło się właściwe badanie.

Z pytań Targiewicza, bardzo niedbałych i powierzchownych, od razu zrozumiał Ślimak, iż sędzia śledczy postanowił tą sprawę zakończyć jak najprędzej i prowadzić ją jako samobójstwo.

Wycieczki, jakie czynił w sferę przypuszczeń, były nieznaczne i cofały się natychmiast, wyszukując kontrargumenta, zbijające poprzednie domysły.

Gdy przesłuchanie Ślimaka skończyło się, a trwało nader krótko, już agent odczuł, że sprawa topielicy jest osądzona i zarejestrowana<sup>154</sup>.

Zrobiło mu się tak przykro, jak gdyby ktoś zagrzebywał mu kogoś bliskiego, kogoś, kto jeszcze żył, poruszał się i mógł istnieć.

Pan sędzia śpieszył się, aby wyjść z tego biura, w którym zaduch rozpościerał się w przygniatający sposób.

Protokolant, złożwszy swoje pióro i papiery, wysunął się jak mara.

---

<sup>154</sup> Zarejestrowana – opisana w odpowiednich dokumentach.



Sędzia wziął w rękę piękny szary cylinder i ładną, delikatnie okutą srebrem, laskę.

Tymczasem Ślimak stał przy progu niezdecydowany.

Sędzia zdziwiony, spojrział na niego i tym spojrzeniem zapytał go niejako, na co właściwie czeka.

Ślimak brwi zmarszczył, zbladł, wreszcie zdołał przemówić dość pewnym głosem:

– Pan sędzia pozwoli, że ja w tej sprawie mam jeszcze coś do podania.

– Pan... ależ ja przed chwilą postawiłem już panu wszystkie odpowiednie pytania.

– Tak, lecz to jeszcze nie wszystko.

– Cóż więc?

– Ja panie sędzio, jestem pewien, jestem zupełnie pewny, że ta kobieta nie popełniła samobójstwa...

Sędzia położył cylinder na bakier i wyjął binokle<sup>155</sup>, przez które Ślimakowi przypatrywać się zaczął.

– Ha? jak? – zapytał.

– Nie popełniła samobójstwa – podjął Ślimak energicznym głosem – lecz... zamordowaną została!

Przez chwilę zapanowało milczenie.

Po twarzy Targiewicza przesunął się pewien wyraz poważny.

– Jakie pan masz dowody na poparcie swych słów i czy w ogóle masz dowody?

Poważny ton mowy sędziego wprowadził Ślimaka w pewien stan gorączkowego podniecenia.

– Mam dowody – zawołał żywo – mam, noszę je przy sobie.

– Proszę mi je pokazać! – zawyrokował sędzia – lecz teraz już w jego głosie brzmiała, oprócz powagi, pewna niechęć na tego nieproszonego gościa, który tę ukłasyfikowaną<sup>156</sup> już sprawę zaczyna rozdmuchiwać do wielkiej doniosłości tajemniczej zbrodni.

Lecz Ślimak nie czuł tej nuty niechęci, cały porwany ważnością chwili.

Wyjął swój pugilares i drżącymi rękami rozłożył na stole pakieciki, na których były jego własnoręczne napisy.

<sup>155</sup> Binokle – odmiana okularów ze specjalnie wygiętym elementem, trzymającym się na nosie i łączącym oba szkła.

<sup>156</sup> Ukłasyfikowaną – sklasyfikowaną, ustaloną.

Również drżącym, lecz w miarę opowiadania coraz pewniejszym głosem zaczął mówić o znalezionej szpilce, tuberozie i zatrzymał się na chwilę, jakby dla nabrania powietrza.

Lecz równocześnie przeciął powietrze sarkastyczny, a zarazem szczerze wesoły śmiech Targiewicza.

– Ależ kochany pan naczytałeś się romansów Gaboriau<sup>157</sup> i pamiętników Lecoque'a<sup>158</sup> i obecnie chcesz przenieść te nadzwyczajne romanse do naszego poczciwego Krakowa. Kwiat, szpilka... ależ to jasne jak słońce, że należało do denatki. Że też pan zawraca sobie głowę takimi głupstwami.

Zdawało się Ślimakowi, iż ktoś wylał mu wiadro zimnej wody na głowę.

Ten ton chłodny, ironiczny, sędziego, podziałał na niego w straszny sposób.

– Szpilka – zaczął znowu Targiewicz, biorąc w rękę złotą szpileczkę – szpilka damska, znaleziona na trupie kobiecym! Gdyby znaleziono męską szpilkę od krawatki<sup>159</sup>, to co innego... ale jakże pana może zastanawiać rzecz tak prosta?...

I rzeczywiście, w obecnej chwili wydało się Ślimakowi, że to, na czym budował całe swoje nadzieje, jest rzeczywiście błahe, kruche, żadne. Doznał ogromnego bólu i zawodu. W jednej chwili zdawało mu się, że wszystko się dla niego skończyło i czarna przepaść go naokoło otacza.

Lecz prędko zebrał swe siły.

Czuł, że od tej rozmowy zależy wiele, może cały kierunek tej sprawy.

Jedno tylko postanowił i to szybko, z błyskawicznym tchnieniem.

Nie mówić nic Targiewiczowi o czarnej przędzy, która była omontowana dokoła szpilki. Wyczuł, iż Targiewicz go nie zrozumie, iż nie ma najmniejszego kontaktu między nim i sędzią śledczym.

Szło mu teraz o rzecz zupełnie inną. Zapragnął tylko upoważnienia, że może zajmować się tą sprawą na własną rękę.

Targiewicz położył szpileczkę na stole i z pewnym rodzajem litości popatrzył na stojącego przed nim agenta.

---

<sup>157</sup> Émile Gaboriau (1832–1873) – francuski pisarz, autor powieści kryminalnych, w tym *Pana Lecoq* (1869).

<sup>158</sup> Lecoque – główny bohater książek E. Gaboriau, agent tajnej policji paryskiej.

<sup>159</sup> Krawatka – krawat.

– Radzę panu – wyrzekł wreszcie – wyrzucić te drobiazgi i zaniechać zupełnie myśli odszukania owego enigmatycznego zabójcy. Sekcja wykazała, iż denatka zginęła przez zalanie wodą. Żadnych oznak gwałtownej śmierci nie ma, oprócz kilku plam na szyi, pochodzących prawdopodobnie od uderzeń trupa o kamienie. Po co więc sprawę powiększać, gmatwać, przedłużać... Powoli wykryje się, kim była owa kobieta. Dziś oprócz niejasnego przypomnienia sobie konduktora, iż w pociągu wiedeńskim jechała tak ubrana dama, nie ma o niej żadnych wskazówek...

Targiewicz mówił szybko i nagle urwał, jakby zdumiony własnym brakiem taktu w opowiadaniu szczegółów swej pracy przed tym agentem, który z tą głową, wciśniętą między ramiona, z tym zgniłym kwiatkiem i pogiętą szpilką, wydawać mu się zaczął idiotą.

Szybko więc pochwycił swój cylinder i posunął ku drzwiom.

– Wychodzimy! – rzucił przez zęby, widząc, że Ślimak powoli zebrał swoje „dokumenta” i teraz stoi przed nim jak przykuty.

W umyśle Ślimaka już tylko istniało pragnienie poprowadzenia owej sprawy według jego pojęcia rzeczy.

I dobywając się na resztki odwagi tak, jakby grał na jedną kartę całą swą przyszłość.

– Panie sędzio! – wyrzekł błagalnym prawie głosem – pozwól mi! pozwól mi czynić poszukiwania na własną rękę!... O to jedno proszę!

Targiewicz zmarszczył brwi i ciemny rumieniec pokrył jego twarz zwiędłą. Oburzenie jego na tego idiotycznego agenta, który chciał gwałtem zagmatwać to, co było proste, jasne i czyste.

Tupnął nogą i uderzył silne laską o posadzkę.

– Nie pozwalam, a nawet zakazuję się panu mieszać do tej sprawy. Ja mam agentów przez siebie wybranych, którzy mają spryt i potrzebną w tych rzeczach inteligencję. Muszę zarządzić, aby władza policyjna zakazała panu zajmować się tym, co do pana nie należy. Wezwany pan jesteście jako świadek i to niech panu wystarczy.

Ton mowy Targiewicza był brutalny i ostry. W słowach jego była widoczna chęć znieważenia Ślimaka dlatego, aby więcej w sprawę samobójstwa owej topielicy się nie mieszał.

Czy Ślimak to zrozumiał, nie wiadomo, lecz dość hardo podniósł głowę i spojrział w oczy sędziego.

– Może pan sędzia oszczędzić sobie tego trudu – wyrzekł powoli i dobitnie – ja do tej sprawy mieszać się nie będę, chyba, że zajdzie tego potrzeba.

Sędzia Targiewicz był sobie w gruncie rzeczy jowialnym<sup>160</sup> człowiekiem. Parsknął więc śmiechem i otwierając drzwi od korytarza, wyrzekł:

– O... to, to... właśnie! Skoro zjawi się przed panem zabójca i błagać będzie, aby pan go do mnie przyprowadził, wtedy niech pan to uczyni. A teraz... żegnam pana!

Szybko, nerwowo zbiegł po wschodach pierwszy sędzia.

Za nim znękanym i widocznie przybitym tym całym przejściem powłókł się Ślimak.

## XVI

### **Co panna Wandzia Jazdówna miała Ślimakowi tak ważnego do powiedzenia**

Niespokojnym krokiem mierzył Ślimak swoją izdebkę.

Zegar wskazywał wpół do ósmej. Ślimak co chwila niespokojnym rzucał wzrokiem na wolno, lecz stale posuwające się wskazówki.

Izdebka sprzątnięta odświętny przybrała wygląd. Na stole ustawił Ślimak bukietek kwiatów, jeden z tych tanich bukietów, pełnych rezedy, lewkonii, które podmiejskie kobiety po rynku za parę centów przechodniom sprzedają.

Bukiet ten napełniał cały pokój zapachem i wprowadzał jakies przyjemne wrażenie, skoro się próg przestąpiło.

Ślimak kupował te kwiaty, ustawiał je z myślą o Wandzi, lecz były to raczej jakies myśli smutne, bo z bladeści twarzy dziewczęcia wnosił, iż nie lada nieszczęście musiało spaść na nią.

I dlatego to myśl, iż choć przelotnie ukochana przez niego dziewczyna zagości w jego domu, napełniała go nieokreśloną radością. Równocześnie biedny agent z prawdziwym niepokojem wyglądał tej chwili,

---

<sup>160</sup> Jowialny – wesoły, żartobliwy, pełen humoru.

kiedy drzwi się otworzą i na progu stanie powabna postać „panienki w żółtych bucikach”.

Stało się to jednak i to pięć minut przed ósmą, tak że Ślimak prawie nie spodziewał się, iż tak nagle zobaczy swój ideał.

Zmieszał się i rzucił na powitanie.

Wandzia podała mu rękę i natychmiast, upadłszy na stojące przy stole krzesło, płakać rzewnie zaczęła.

– Panno Wandziu! – rzekł wreszcie – czy panna Wandzia jeszcze o to... wczorajsze?

Wanda szybko zaprzeczyła i nagle zaczęła energicznie ocierać łzy, starając się widocznie uspokoić, aby móc przyjść do słowa.

Ślimak podał jej szklankę wody i usiadł po drugiej stronie stołu.

Pośrodku pomiędzy nimi stał ów pachnący bukiet i Ślimak poprzez kwiaty widział śliczną twarzyczkę Wandzi i jej oczy, jeszcze od łez błyszczące.

Wreszcie dziewczyna uspokoiła się trochę. Badawczo spojrzała dokoła i zapytała:

– Czy tu nikt słyszeć nie będzie to, co w tej chwili mówimy?

– Nikt – odparł Ślimak.

– Bo to, co mam panu powierzyć, jest wielką tajemnicą. Od wczoraj upadło mi to na serce<sup>161</sup> i tak cięży, że miejsca sobie znaleźć nie jestem w stanie.

– Od wczoraj wieczora?

– Tak. Skoro się rozeszliśmy, wróciłam do domu i tam... tam zobaczyłam coś, czego lepiej gdybym nigdy na świecie nie oglądała... Pan jeden możesz mi dać jakąś radę, bo ja z taką myślą o własnym ojcu żyć nie mogę!

Łkanie znów porwało ją i zaczęło wstrząsać całą jej istotą. Ślimak powstał i przysunął się do niej bliżej.

– Z jaką myślą, panno Wando? – zapytał.

– Z myślą, że ojciec mój nie jest uczciwym człowiekiem – wyłkała dziewczyna, kryjąc twarz rękami.

Ślimak aż drgnął cały z oburzenia.

– Panno Wando! – zaczął dość srogo – panno Wando, kto ci pozwolił rzucać na ojca podobne podejrzenie? Zastanów się...

Lecz ona przerwała mu niecierpliwym gestem.

---

<sup>161</sup> [Coś] upada [komuś] na serce – coś kogoś martwi, trapi, smuci.

– Ja... widziałam panie Florianie, widziałam! – powtórzyła dobitnie, a oczy jej płonęły od wewnętrznej rozpaczki.

– Lecz co pani widziała, na Boga?

Wandzia gorączkowo sięgnęła do kieszeni, wydobyła chustkę do nosa i drżącymi rękami zaczęła rozwiązywać węzełek.

– To... widziałam, a nawet wiedząc, że pan mi wierzyć nie będziesz... przyniosłam – zawołała, rzucając na stół jakiś przedmiot, który w promieniach zachodzącego słońca zagrał tysiącem iskier, jakby gwiazda spadła nagle do ubogiej izdebki agenta. Był to kolczyk brylantowy, ten sam, który ojciec Jazda krył za obrazem w swoim mieszkaniu.

Ślimak, ujrawszy ten brylant, pozostał chwilę nieruchomy, jakby obrócony w słupek soli<sup>162</sup>.

Od razu poznał, iż ten kolczyk jest ową zaginioną „parą”, którą Nosal obwieszczał w tej chwili z rozkazu sądu wszystkim jubilerom krakowskim.

Pragnął jednak przekonać się, czy go przeczcucie nie omyliło.

Delikatnie ujął w rękę kolczyk i sprawdził, że brylant osadzony był systemem paryskim podwójnych łapek, tak jak kolczyk pokazywany mu przez Nosala. Zdrętwiał cały i patrzył milcząc na Wandzię, która przez łyżę i z nienawiścią przypatrywała się klejnotowi.

Milczenie to zaczynało ciążyć im obojgu.

Wreszcie dziewczyna przemówiła pierwsza:

– Ojciec mój ukrywa ten klejnot od jakiegoś czasu.

– Od jak dawna?

– Od pięciu dni może. Zaginęła mi bowiem w tym czasie delikatna szmatka, którą czyściłam łańcuszek i zegarek ojca. W szmatkę tę zawijał ojciec ten kolczyk i chował go za obraz...

Ślimak powoli zaczynał przychodzić do przytomności.

Ten kolczyk był widocznie tym klejnotem, którego poszukiwał sąd śledczy. Zarazem była to jakaś ścieżka, mogąca zaprowadzić i na to, kim była owa nieznajoma, gdzie przebywała, co się z nią działo przed śmiercią.

Ojciec Jazda musiał kolczyk znaleźć, skraść go nie mógł. O to nie posądził go Ślimak ani na jedną chwilę.

---

<sup>162</sup> Obrócony w słupek soli – znieruchomiały z przerażenia bądź zdumienia; związek frazeologiczny o pochodzeniu biblijnym. W Piśmie Świętym w słupek soli została zamieniona żona Lota, która wbrew zakazom Boga obejrzała się do tyłu, nie mogąc rozstać się z miejscem zamieszkania, które przez Niego było niszczone.

– Panno Wandziu! – przemówił Ślimak uspokajającym głosem – dlaczego Pani rozpacza? Ja wiem, do kogo należał ten kolczyk, ojciec go musiał znaleźć...

– Tak – odparła Wandzia – naturalnie, że znalazł, ale dlaczego go zaraz nie odniósł? dlaczego jest tak zmieniony, taki zgnębiony od dni kilku?

Tak, dlaczego? Pytanie to nasunęło się i Ślimakowi równocześnie prawie ze słowami Wandzi, lecz cały przejęty ważnością chwili i odkrycia, jakie bez jego woli i wiedzy się przed nim roztoczyło, usunął tę myśl jako zbyt błahą wobec tego, co się stało.

– O tym nie myślmy, panno Wando, to jest już rzecz ojca pani – podjął gorączkowo – teraz należy, aby ojciec pani natychmiast zdecydował się pójść do sędziego śledczego i oddał ten kolczyk, a zarazem zeznał, gdzie i jak go znalazł...

– Do sędziego śledczego? – zapytała Wanda, otwierając szeroko oczy – dlaczego nie do policji? tam ojciec zwykle odnosi znalezione w dorożce rzeczy.

– Tak panno Wando, ale ten kolczyk nie jest zwykłym, codziennym przedmiotem, do niego ma prawo już sąd i tam udać się należy. Bo kolczyk ten należał do owej topielicy, którą wczoraj rano Rudawa wyrzuciła.

Wandzia zerwała się z krzesła.

– Do... tej... topielicy?

– Tak.

– Jesteś pan tego pewny?

– Widziałem drugi kolczyk w jej uchu, a następnie w rękach agenta.

Twarz Wandzi pokryła się bladością.

– Co pan mówi!... – zawołała wreszcie, łamiąc ręce – co pan mówi! Jakież to nieszczęście.

– Dlaczego? Owszem, zeznanie pani ojca rzuci dużo światła na tę sprawę. Czego się pani boi?

Lecz Wandzia ciągle blada, tuliła ręce do piersi i powtarzała uparczywie:

– Co za nieszczęście!...

Ślimak uśmiechnął się, jakby na widok dziecka, które powtarza ciągle jedno i to samo.

– Przeciwnie, panno Wandziu, to jest szczęście, bo może w ten sposób zdołamy odkryć zbrodniarza, który zamordował tę biedną, młodą

kobietę – wyrzekł wreszcie, zawiązując na powrót kolczyk w chusteczkę i oddając go Wandzi.

– Czy... pan jesteś przekonany, że ona jest zamordowana?

– Najgłębiej przekonany.

– Gazety piszą, że się sama zabiła.

Ślimak uśmiechnął się ironicznie, wreszcie umilkł na chwilę, jakby chcąc ogarnąć całą sytuację i wyrzekł wreszcie energicznym głosem:

– Oto, co nam uczynić wypada. Pani wróci do domu i tam położy na tym samym miejscu ów kolczyk. Niech się pani dziś nie chowa do kuchni, siądzie przy ojcu, przy stole, lecz nic z nim w tej kwestii nie mówi... Dopiero wtedy, gdy ja przyjdę, a ojciec będzie przez pani obejmie łagodnie przysposobiony, zaczniemy we dwoje namawiać go, aby udał się do sędziego.

Wandzia wstała z krzeselka i gryząc wargi aż do krwi, stała oparta o stół.

– Tak mi będzie ciężko – wyszeptwała – tak mi będzie ciężko...

– Co?

– Spojrzeć ojcu w oczy!

– Ależ dlaczego? Ojciec pani nie popełnił do tej chwili żadnego złego czynu, a że walczył sam ze sobą, dowodem jego chmurne usposobienie w dniach ostatnich.

– No, no... panno Wandziu – ciągnął dalej Ślimak – nie trzeba zapatrywać się na życie tak tragicznie... Zobaczysz pani, wszystko będzie dobrze. Ja to biorę na siebie!

Wandzia stała ciągle w jednym miejscu jak przykuta.

Posłyszawszy ostatnie słowa Ślimaka, rozjaśniła się<sup>163</sup>, uśmiechnęła lekko i wreszcie wyrzekła, wyciągnawszy ku agentowi rękę:

– Czy mnie pan zapewniasz, iż ojcu memu, gdy pójdzie do sędziego, nic się złego nie stanie?

Ślimak porwał podawaną mu rękę z zapałem.

– Zapewniam!

– Słowem?

– Ależ tak! Cóżby jemu stać się mogło? Będzie badany w charakterze zwykłego świadka.

Wandzia pomyślała chwilkę i oczy jej nabrały zupełnego ożywienia.

<sup>163</sup> Rozjaśnić się – rozpogodzić się, nabrać otuchy.



– Ufam panu – wyrzekła z prostotą – idę i czekać będę na pana około dziesiątej!

– Przyjdę wcześniej.

Rumieniec oblał twarz dziewczęcia.

Przypomniała sobie, iż o dziewiątej miała się widzieć z „hrabią”.

– Nie, nie! – zawołała śpiesznie – muszę wstąpić do jednej z klientek, gdzie powinnam zabrać stanik<sup>164</sup> na jutro do poprawy.

Wandzia nie skłamała, rzeczywiście właścicielka pracowni poleciła jej wstąpić do jednej z dawnych klientek, pani baronowej Bruszkowskiej, która w przejeździe bawiła w Krakowie i zatrzymała się w hotelu Pollera<sup>165</sup>.

Ślimak nie zauważył nawet zmieszania Wandzi. Od kilku minut przemyślał, jakby dziewczęciu ofiarować ten bukiet, który na jej cześć tak pięknie pachniał na stole.

Nabrał wreszcie odwagi, wyjął bukiet, owinął w gazetę i podał go niezgrabnie Wandzi, mówiąc zdławionym głosem:

– Na pamiątkę pani bytności w moim ubogim pomieszkanku...

Każda kobieta jest nadzwyczaj wrażliwa na ofiarowanie jej kwiatów. Wandzia, która nie była zepsuta na tym punkcie, uczuła przyjemne wrażenie na myśl, iż to dla niej te piękne róże i lewkonie pachniały tak przyjemnie.

Lecz równocześnie zmieszała się na myśl, iż musi iść na schadzkę z „hrabią” z tym bukietem w ręku. W naiwnej swej duszy lękała się sprawić „hrabiemu” przykrość, pokazując kwiaty, otrzymane od innego wielbiciela.

Zakłopotana więc, pożegnała się z agentem i szła śpiesznie w stronę hotelu Pollera.

Była niespokojna, lękała się, aby ojciec przed nią nie wrócił i nie szukał brylantu.

Zdecydowaną była w takim razie powiedzieć całą prawdę, lecz wolała, aby przy tym obecny był agent, do którego zaczynała nabierać coraz większego zaufania.

Przypomniała sobie jego szaro odzianą postać, świeżo ogoloną twarz, nowy krawat, dość starannie pielęgnowane ręce i miłe spojrzenie

<sup>164</sup> Stanik – tu: rodzaj sznurówki pod suknią, gorsecik.

<sup>165</sup> Hotel Pollera – krakowski hotel znajdujący się w centrum przy ul. Szpitalnej 30, założony przez Kaspra Pollera w 1834 roku. Od 1945 r. nazywany „Hotelem Pod Złotą Kowicą”.

bez wstępu. Gdy podawał jej kwiaty, objawił się nagle jako przystojny i łagodny człowiek. Lecz natychmiast inna, wysmukła, elegancka postać młodzieńcza z całą siłą ogarnęła jej pamięć i serce. Uczuła się zagubioną i zrozumiała, że dla niej oprócz „hrabiego” już nikt istnieć na świecie nie może.

I biedna Wandzia, z kwiatami w ręku, dążyła w swych jasnych bucikach jak mogła najspieszej, utykając po wybojach, dołach i niegodziwych brukach rozkosznego Krakowa.

## XVII

### **Pani baronowa Bruszkowska – Koronkowa suknia – Kogo Wandzia w salonie pani baronowej zobaczyła**

Wszedłszy w bramę hotelu Pollera, poinformowała się Wandzia, czy pani baronowa jest u siebie.

Portier dał odpowiedź potwierdzającą, a przechodząc, Wandzia ujrzała na tablicy ukośnie, przez kilka numerów zapisane nazwisko baronowej.

Nie zdziwiło to bynajmniej Wandzi, bo bogata wdowa, ile razy przyjeżdżała do Krakowa, tyle razy zawsze zajmowała kilka numerów dla siebie i służby.

Wszedłszy na pierwsze piętro, Wandzia położyła koło nigdy nieidącego zegara swój bukiet, gdyż nie wypadało, aby panienka z magazynu przychodziła do klientki z bukietem kwiatów w ręku.

Na korytarzach, szerokich i jasno oświetlonych, nie było nikogo, tylko z numerów dolatywały wesole głosy i śmiechy.

Ktoś nawet grał lekko na fortepianie jakiegoś walczyka z operetki, a głos kobiety nucił melodię. Przerywano sobie co chwila śmiechem i rozmową.

Wandzia stała długą chwilę, nie wiedząc właściwie, do których drzwi zapukać.

Zdecydowała się udać na lewo, do małych drzwi, prowadzących do numeru z oknem na dziedziniec.

Za chwilę otworzyła jej drzwi pokojowa baronowej.

Wandzia знаła pannę Jadwigę z czasów poprzedniej bytności pani Bruszkowskiej, weszła więc do numeru i w krótkich słowach opowiedziała, że przyszła po stanik, który miał być dany do poprawy. Panna Jadwiga kazała Wandzi czekać, a sama udała się w głąb pokojów, nie zamykając drzwi za sobą.

Widocznie z rozkazu baronowej zwykły numer został zamieniony w rodzaj salonu. Staroświeckie empirowe<sup>166</sup> meble ustawiono z pewną pretensją do szyku. Na podłodze porozcielano<sup>167</sup> dywany, dużo palm, kwiatów i kandelabrow<sup>168</sup> przystrajało jako tako ów zaimprovizowany salon.

W głąb wsuniętego fortepianu nie mogła dostrzec Wanda, gdyż był drugą połową drzwi od niej zasłonięty.

Te zapalone światła, te kwiaty, walc, śmiechy, następnie lekki brzęk szkła i sreber wytwarzały pewną atmosferę wesołości, której nigdy nie zaznała siedząca w cieniu dziewczyna.

W pierwszej chwili zadowolenia, iż mogła choć z daleka widzieć, jak się bawią drudzy, prędko doznała ściśnienia serca i prawdziwy smutek ogarnął ją całą. Smutek ten wzrósł jeszcze na widok samej baronowej, która stanęła nagle na środku salonu, oblana jasnym światłem, tak że Wandzia mogła ją doskonale widzieć.

Była to wysoka, rosła brunetka, zbudowana zbyt silnie, lubo nadzwyczaj wcięta w pasie. Wzrost jej podnosiła jeszcze nadzwyczajna fryzura, modna i wcale nieestetyczna. Tworzyła bowiem jakieś potworne trzy kule na głowie z pomierzwionych włosów, których czarność była aż atramentowa. We fryzurze tej tkwiło mnóstwo różnych szpilek i grzebieni. Twarz baronowej blada, pociągła, bardziej ormiańska, ożywioną była wspaniałą parą oczu, czarnych jak diamenty i nadzwyczaj żywych. Ubrana niezmiernie wytwornie w masę drobiazgow, falbanek, naszyć, riuszek<sup>169</sup>, z grubym złotym łańcuchem na szyi, na którym wisało mnóstwo dzwoniących breloków<sup>170</sup>, przedstawiała baronowa typ zmysłowej, doskonale zakonserwowanej wdowy, zbliżającej się ku czterdziestce.

<sup>166</sup> Empirowe – styl cesarstwa, odmiana klasycyzmu francuskiego z początku XIX wieku, różniąca się od poprzednich silniejszym wpływem starożytnej sztuki grecko-rzymskiej i motywów egipskich.

<sup>167</sup> Porozcielano – zapewne: rozłożono.

<sup>168</sup> Kandelabr – świecznik, lichtarz o kilku ramionach.

<sup>169</sup> Riuszka – rodzaj falbany, przyszytej środkiem wzdłuż i odstającej, jakby od krzyża.

<sup>170</sup> Brelok – świecidełko, drobnostka, ozdóbka wisząca u dewizki przy zegarku.

Stała pod zapalonym pająkiem<sup>171</sup> i przyglądała się uważnie jakiejś fotografii w gabinetowym formacie.

– Nie – wyrzekła wreszcie niskim, trochę gardłowym głosem – nie, stanowczo hrabio, ta fotografia się nie udała.

– Ja się udałem... bo pani się poruszyła...

Wandzia uczuła, że krew jej zbiega do serca.

W mężczyźnie, który podszedł w tej chwili do baronowej, poznała swojego hrabiego.

Prędko jednak ochłonęła z tego niemiłego wrażenia. Cóż dziwne-  
go? Wszak hrabia musiał bywać w arystokracji i znać się z damami  
wielkiego świata. Chodziło głównie o to, aby hrabia nie dostrzegł Wan-  
dzi. Skurczyła się więc na swoim krzeselku, nie śmiejąc odezwać się  
nawet ani poruszyć.

Oczekiwała na powrót Jadwigi jak na zbawienie duszy.

Tymczasem stojąca pod pająkiem para rozprawiła wesoło na te-  
mat fotografii.

– To nie była moja wina – broniła się baronowa – przez cały czas  
mówiłeś mi pan tak skandaliczne rzeczy...

– Czy to, że znajduję panią zachwycającą, to są skandaliczne rzeczy?

– Znow pan zaczyna?

– Błagam o mały paluszek na znak przebaczenia.

Hrabia porwał trochę tłustą rękę baronowej w swe dłonie i zaczął ją  
obsypywać pocałunkami.

Wandzi znow tchu zabrakło w piersiach. To, co widziała, przekra-  
czało granice zwykłej światowej znajomości.

Baronowa nie broniła się tym pieszczotom. Śmiała się i niemal  
nadstawiała rękę, mówiąc jednakże po francusku:

– Assez! finisser donc!<sup>172</sup>...

Nagle z dalszych pokoi weszła Jadwiga i Wandzia słyszała jak  
przez mgłę, że o coś zapytywała baronowej.

Ta posłuchawszy, wybuchnęła śmiechem.

– Ależ naturalnie moja biedna Jadwigo, że nie możesz znaleźć tego  
stanika, gdyż ja mam go na sobie.

I zaraz potem dodała:

– Powiedz tej panience, żeby tu przysła!

<sup>171</sup> Pająk – tu: wieloramienny wiszący świecznik, żyrandol.

<sup>172</sup> Assez! finisser donc! – (fr.) Dosyć! skończyć więc!

Wandzi zdawało się, iż usłyszała wyrok śmierci. Nikt jednak może nie był tak dumny jak ta mała szwaczka. W tej ciężkiej chwili życia zdołała się zdobyć na ogromną siłę i odwagę. Wstała i nie czekając nawet na Jadwigę, weszła do salonu.

Gdy się znalazła wśród światła, odwaga ją trochę opuściła. Dostrzegła, iż hrabia odszedł szybko do fortepianu i tam stał, przewracając nuty. Czy ją widział i czy w ogóle się na nią spojrział, o tym Wandzia już wiedzieć nie mogła.

Z całą więc siłą wlepiła oczy w baronowę, która bardzo grzecznie i dobrotliwie wskazywała jej, co należy poprawić w prześlicznym koronkowym staniku, który miała na sobie.

Wysłuchawszy, Wandzia skłoniła się jak automat i nie wymieniwszy ani słowa, odeszła do pokoju Jadwigi.

Tam oparłszy się o ścianę, starała się nabrać więcej sił, zanim zdoła wyjść na ulicę.

Stojąc tak, usłyszała głos baronowej, mówiącej do hrabiego:

– Zostanie pan ze mną, a potem przejdziemy się trochę.

Nastąpiła chwila milczenia, jakby hrabia się wahał.

– Miałem dość ważne rendez-vous<sup>173</sup> – wymienił wreszcie.

– Z kobietą? – podchwyciła szybko baronowa.

– Co za myśl! w interesach...

– Ale ja proszę... zostać ze mną.

Wandzia z bijącym sercem słuchała.

Hrabia wstał i podszedł na środek salonu. Czy przypuszczał, że Wandzia się jeszcze znajduje w mieszkaniu, trudno to było odgadnąć, dość, że wymówił nienaturalnie głośno:

– Dobrze... zostanę z panią. Tam, gdzie miałem być dzisiaj, pójdę jutro.

Wandzia cichutko oderwała się od ściany i wyszła z numeru.

Przechodząc, zapomniała o swym wonnym bukietie róż i lewkonii, który pachniał u stóp nigdy nieidącego zegara.

Na korytarzach nie było nikogo, gaz jasno płonął. W bramie było także pusto zupełnie.

Nikt więc gorących łez „panienki w żółtych bucikach” nie widział i nikt jej nie pożałował tak, jak na to biedactwo zasługiwało.

---

<sup>173</sup> Rendez-vous – (fr.) randka, schadzka, spotkanie w umówionym miejscu i czasie.

## XVIII

## Przeprawa z ojcem Jazdą

Tak jak Wandzia przypuszczała, tak się i stało.

Ojciec Jazda powrócił wcześniej do domu i pierwszą jego czynnością było sprawdzić, czy brylant jest na miejscu.

Jakież było przerażenie dorożkarza, gdy znalazł zatkniętą szmatkę, lecz kolczyka ani śladu.

W jednej chwili począł drzeć cały jak w febrze. Zęby mu dygotały, krew ściekła z mózgu do serca. Chwytał się co chwila za głowę i zdawało mu się, że umiera. Zaczął przetrząsać siennik<sup>174</sup>, poduszki, odzież... Czynił to bez żadnego ładu, jak szaleniec, świecąc lampką lub kawałkami świecy. Lichtarz<sup>175</sup> mu dwa razy wypadł z ręki. To samo o mały włos nie stało się z lampką. On śmiertelnie blady, zgięty we dwoje, jęcząc, klnąc, zaglądał pod meble, do szpar, do dziur w murze, aż wreszcie wpadł na rozrzuconą po ziemi pościel i włosy sobie z głowy wyrwać zaczął.

Na tym kolczyku bowiem ojciec Jazda budował swą całą przyszłość w chwilach, gdy sumienie przestało mu dogryzać.

Czego to nie było za ten brylant! Pół Krakowa miało być kupione i ojciec Jazda miał zaimponować Wandzi nagłym przepychem, bogactwem, dostatkiem.

Szło tylko o wynalezienie pretekstu przed ludźmi, skąd niby ten zbytek spadł tak nagle. I potem trzeba było sprzedać kolczyk. Na to wszystko trzeba było czasu, no i pewnego ładu z tym przeklętym sumieniem, które literalnie<sup>176</sup> ojca Jazdę gryzło, jakby kłęb najupartszych węży.

Z sumieniem jednak i z całą resztą można się było jakoś uporać, ale stał się fakt, który niweczył nagle wszystko.

Kolczyk zniknął!

Nie zniknął sam, musiał go ktoś zabrać.

W mieszkaniu przebywał tylko on – Jazda – i jego córka.

A więc... Wandzia?

Lecz natychmiast jakiś głos jakby zachichotał w jego głębi.

<sup>174</sup> Siennik – rodzaj materaca, wór wypchany słomą lub sianem do leżenia na nim.

<sup>175</sup> Lichtarz – podstawka do świecy, świecznik.

<sup>176</sup> Literalnie – dosłownie, co do litery, w ścisłym znaczeniu tego słowa.

– Ojciec złodziej... córka złodziejka.

Zgnębiony, nie śmiał już poruszyć się nawet i leżał tak, oddychając ciężko, na pościeli w świetle słabo rozświetlonej lampy.

Gdy Wandzia weszła, od razu zrozumiała, o co się rozchodzi.

Spojrząwszy na zmienioną twarz ojca, przeraziła się prawie swego postępką.

Szybko wyjęła brylant z kieszeni i podała go ojcu.

– Proszę... oto kolczyk! – wyrzekła.

On drżącą ręką pochwycił podany sobie klejnot i groźne wejście rzucił na córkę.

– Jak śmiałaś? – zapytał chrapliwym głosem.

Lecz ona nie odpowiedziała nic, tylko przeciągłym wzrokiem wpatrzyła się w jego oczy.

Uczuł w nich taki wyrzut, takie obwinienie, iż spuścił głowę, nie wiedząc sam, co ma począć.

Niepewność przy tym go szarpała.

Dokąd chodziła Wanda z tym kolczykiem? Komu go pokazała? Czytał w „Nowinach”, iż wszędzie zrobiono zastrzeżenia i policja stara się odnaleźć ten zgubiony klejnot.

Jeżeli Wanda była u jubilera, wtedy wszystko przepadło.

Cisza zapanowała dokoła. Wandzia przypomniała sobie, iż Ślimak kazał jej usposobić ojca łagodnie do tego, co ma nastąpić, lecz była tak samo przygnębiona, iż nie mogła dość odnaleźć sił, aby to skutecznie<sup>177</sup>.

Poszła więc do kuchni i tam, nie rozbierając się, siedziała przy okienku, wpatrzona w roziskrzone gwiazdami niebo.

Dziesiąta godzina wybiła na sąsiednim zegarze i ciche kroki dały się słyszeć po schodach.

Wandzia podniosła się, wiedząc że nadchodzi Ślimak. Uczuła się silniejszą i gotową do walki. Zdawało się jej, że zadaniem jej jest obronić ojca przed pokusą, która opanowała go tak silnie.

Ślimak wszedł do izdebki, w której na krawędzi łóżka siedział teraz Jazda.

Poprzedni nieporządek nie został usunięty i Ślimak natychmiast domyślił się, że Jazda wie wszystko. Doznał pewnego uczucia ulgi, bo

---

<sup>177</sup> Skutecznie – doprowadzić do skutku, wykonać, urzeczywistnić.

ułatwiała mu to sytuację. Szybko więc przywitał się ze stojącą we drzwiach kuchenki Wandzią i przystąpił do Jazdy z wyciągniętą dłonią.

– No, panie ojczyste! – wyrzekł głosem, któremu starał się nadać, o ile możliwości, najwięcej swobody – macie w swoim pomieszkaniu wspaniałe znaleźne. Widziałem je, ja jeden i panna Wanda. Nikt więcej. Cóż więc teraz będzie?

Jazda spod brwi zmarszczonych spojrział na agenta i odął usta<sup>178</sup>.

– Będzie, co ja zechcę! – mruknął.

– A że Jazda może zechcieć tylko rzecz dobrą i uczciwą, a więc wszyscy się na jedno zgodzimy.

Jazda mruknął coś niewyraźnie i słychać było tylko chrzęst palców, które łamał, zaciskając nerwowo ręce.

Wandzia i Ślimak stali długą chwilę, oczekując odpowiedzi wyraźniejszej i bardziej stanowczej, lecz Jazda na nią zdecydować się nie chciał.

– Cóż więc pocniemy? – zapytał wreszcie Ślimak, rzucając baczne na Wandzię wejrzenie.

Nagle Jazda wstał, wyprostował głowę. Zdawał się olbrzymem, tak wysoko podniósł głowę i wyprostował skurczone zwykle plecy.

– Ja znalazłem! – wyrzekł ochrypłym głosem – ja znalazłem i ja jeden mam prawo zarządzić tym, jak chcę...

– Jak wam sumienie każe! – podchwycił Ślimak.

Jazda machnął ręką i splunął.

– Sumienie mi na starość jeść nie da – wyrzekł głosem pełnym gorczy – los zrządził, żem znalazł majątek, chcę na starość odpocząć i użyć też choć trochę!

– Ależ ten klejnot ma właściciela.

– Gdzie? nieboszczka na sądzie boskim prawować<sup>179</sup> mnie o to nie będzie.

– Tak, lecz są jej sukcesorowie<sup>180</sup>!

– E! nie oni na ten brylant zarobili, nie oni z niego będą korzystać.

Otarł port z czoła i uderzył silnie pięścią o krawędź łóżka.

– Brylant mój i nikomu go nie oddam!

Lecz nagle do nóg rzuciła mu się Wandzia i obejmując go za kolaną, gorączkowo mówić zaczęła:

<sup>178</sup> Odąć usta – wydać usta.

<sup>179</sup> Prawować – procesować, ciągać po sądach.

<sup>180</sup> Sukcesor – spadkobierca, dziedzic.



– Tatusiu! zlituj się nad sobą, nade mną, nad naszym uczciwym nazwiskiem. Toć się to wyda i taką hańbę potem będziemy znosić musieli...

– Nic się nie wyda! Ja kolczyk uczciwie znalazł...

– Oddajże go uczciwie, oddaj go zaraz! Zanieś z panem Florianem do sądu, bo go sądownie szukają!

– Jak wy oboje mnie nie zdradzicie, to go u mnie nie znajdą...

– A gdyby nawet nie znaleźli, toć ani ty ani ja chwili już spokoju nie zaznamy. Gdyby nasza poczcziwa matuchna żyła, bylibyśmy wszyscy u twoich nóg, prosząc cię, ażebyś pozostał do końca życia tym, czym byłeś... to jest uczciwym człowiekiem!

Na Jazdę to wystąpienie córki podziałało w dziwny sposób. Otworzył szeroko oczy i patrzył na nią zdziwiony, lecz zarazem rozrzewnienie coraz większe ogarniało jego rysy. Od tak dawna Wanda nie całowała rąk ojcowskich i nie garnęła się do niego, że stary czuł się cały wstrząśnięty tą nadzwyczajną chwilą.

Siedział na pozór nieruchomy, lecz twarz jego dostatecznie odbijała jego wewnętrzne uczucia.

Ślimak, który obserwował bacznie rysy starca, zbliżył się i dołączył swe słowa do błagającego głosu Wandzi.

– Tak ojcze Jazdo – przemówił – córka twoja ma słuszość. Ona czuje, gdzie prawda i dlatego tak cię błaga, ażebyś nie dał się uwieść pokusie i nie popełnił czynu, który ci tylko nieszczęście przyniesie. Oddaj ten brylant sądowi, powiedz wszystko, w jakich okolicznościach go znalazłeś i pozbądź się tego ciężaru, który tylko gnióttł ci serce i duszę!

Z oczu Jazdy zaczęły płynąć rzęsiste łzy.

– Prawda! – wyszeptał – odkąd ten przekłety diament wniosłem pod nasz dach, to już nie zaznałem ani chwili spokoju. Smutno mi było... i niepokój mną rwał.

Pochylił się ku Wandzi i ucałował ją w głowę.

– No, no, nie płacz... już będzie, jak chcesz.

Ona, uradowana, rzuciła się do rąk ojcowskich i całowała je serdecznie. Potem Jazda wyciągnął rękę ku Ślimakowi i wyrzekł, śmiejąc się przez łzy:

– Dobrych przyjaciół to się zaraz można poznać... co?

Usiedli potem wszyscy troje przy stole, przy skromnej kolacyjce, którą Wandzia szybko zastawiła. Jedząc, radzili, o której godzinie najutrz ma Jazda pójść do sędziego śledczego. Chciał mu towarzyszyć Ślimak, a Wandzia pod gmachem sądowym miała czekać na rezultat.

Kilkukrotnie Jazda chciał opowiadać, jak i gdzie znalazł ów kolczyk, lecz powstrzymał go Ślimak:

– Nie, nie... to jutro zeznacie przed panem sędzią.

Wreszcie Jazda nabrał jakiejś dumy i zaczęło mu się zdawać, że jest wielką figurą<sup>181</sup> w kryminalnej sprawie. Uśmiechał się filuternie i powtarzał, rozmarzony piwem:

– No! no! to się jutro zdziwią!

Północ wybiła, a w małym mieszkanku ojca Jazdy świeciło się jeszcze i słychać było gawędę dość ożywioną.

Na stole, na batystowej<sup>182</sup> szmatce leżał brylant, który sypał iskrami, a wszyscy siedzący koło stołu patrzyli w ten przepyszny klejnot, jakby zahipnotyzowani.

## XIX

### Ojciec Jazda u sędziego śledczego – Aresztowanie ojca Jazdy – Dorożkarz zabójcą

Nazajutrz, około godziny dziewiątej, ojciec Jazda ubrany odświętnie, wymyty i wyczesany, oczekiwał już przed bramą domu na Ślimaka.

Obok Jazdy Wandzia, bledsza niż zwykle i czegoś niespokojna, i zdenerwowana patrzyła ciągle na ojca pełnymi niespokojnymi oczami.

Starła się trzymać jak najbliżej starego i – rzec można – nie okazywała mu takiego szczerzego przywiązania jak w tych chwilach.

Prędko pojawił się na rogu ulicy Ślimak i podszedł do czekających na niego Jazdów. I on w porannym świetle ulicznym wydawał się bledszy niż zwykle.

Podał rękę staremu dorożkarzowi i ucieszył się, widząc jak Jazda był wesół i rozpromieniony. Widocznie postanowienie zwrócenia nieprawnie posiadanego klejnotu uspokoiło zupełnie sumienie starca i natchnęło go wesołością.

– Chodźmy! – wyrzekł agent, ujmując pod rękę Jazdę – pan sędzia musi już być w swym biurze.

<sup>181</sup> Wielka figura – znana osobistość, dygnitarz.

<sup>182</sup> Batystowa – zrobiona z batysty (batyst – rodzaj bardzo cienkiego płótna).

Szli prawie milcząc i w uroczystym nastroju. Przechodząc koło Panny Maryi, Jazda objawił chęć wstąpienia na „pacierz”. Wstąpili i w tej świątyni, która zadawała się gorzeć cała od blasku barw i witraży modlili się krótko, lecz gorąco i szczerze.

Szczególnie Wandzia przypadła w ławce w kornej postawie i widocznym było, iż całym sercem błaga Boga o jakąś wielką łaskę. Wyszedszy z kościoła, udali się już wprost do sądu.

Na schodach minęli się z Nosalem, który zdziwiony przystanął i ujął Ślimaka za rękaw.

– Kolega dokąd?

– Do pana sędziego Targiewicza – odparł Ślimak.

– Pan sędzia jest w swojej kancelarii. Ale cóż kolegę tam wzywa?

– Może... dodatkowe zeznania.

– Ho! ho!... tajemnice?

– Wszak to podstawa naszego stanu! – odparł Ślimak z uśmiechem.

Uśmiech ten niemile podrażnił Nosala. Zaprzagnął więc, bądź co bądź, zaimponować Ślimakowi.

– Co do owego kolczyka... – zaczął Nosal, starając się nadać swemu głosowi wielką wagę – to, dzięki mojej zapobiegliwości, udało mi się natrafić na jego ślad... Już tak prawie, jakbym go miał w rękę.

Ślimak mimo woli roześmiał się szczerze, zawtórował mu Jazda, a nawet i Wandzia uśmiechnęła się filuternie.

Nosal dostrzegł, że ci ludzie drwią sobie z niego i zmarszczywszy brwi, poszedł dalej, nie pożegnawszy się nawet ze Ślimakiem.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi kancelarii sędziego i sam sędzia stanął w nich z paltotem narzuconym i kapeluszem w rękę.

Ujrawszy Ślimaka, początkowo zmarszczył brwi, lecz prędko uśmiechnął się ironicznie.

– Dzień dobry panie Mick! Cóż to, przyprowadzasz mi pan zbrodniarza?

Zapanowała jedna chwila milczenia.

Wandzia, posłyszawszy te słowa, mimo woli pochwyciła ojca za ramię. Stary Jazda zachmurzył się, a Ślimak doznał zniecierpliwienia. Lecz szybko opanował się i zawołał:

– Nie zbrodniarza panie sędzio! lecz kogoś, kto może nam dać wskazówki i ślady mordercy.

– Kto taki?

– Ten człowiek. Jest to dorożkarz i chce być przesłuchany w charakterze świadka!

Sędzia zbliżył się do Jazdy.

– To wy, ojczcze?

– Tak!

– Chodźcie ze mną! Kto jest ta panienka?

– To moja córka, Wanda.

– Czy i ona ma coś do zeznania?

– Nie... ino ja.

– W takim razie proszę was tylko za mną. Pan Mick i pani pozostaną na korytarzu.

Wandzia przypadła do ręki ojca i całowała ją długo i gorąco.

– Pamiętaj ojczcze!... – wyszeptła – cokolwiek by się stało, ja jestem twoją kochającą i posłuszną córką.

Jazda chciał jej coś odpowiedzieć, lecz sędzia niecierpliwie skinął na niego ręką.

Za chwilę dorożkarz przekroczył próg kancelarii sędziego śledczego.

W pierwszej chwili Jazda zmieszany uroczystym nastrojem, panującym w kancelarii, niezadowoloną miną sędziego, który w sprawadzeniu dorożkarza widział nowy dowód „bzika” Ślimaka, stał bezradny i zmieszany.

Prędko jednak opamiętał się i szybko wyjął z kieszeni chustkę, w której węzełku zawiązał kolczyk.

Rozplątał węzeł i zanim sędzia zrzucił palto i ściągnął rękawiczki, on położył kolczyk na biurku, przy którym siedział protokolant, mówiąc donośnym basem:

– A oto... i kolczyk z brylantem.

Sędzia aż drgnął i natychmiast twarz mu się dziwnie zmieniła.

Rysy spoważniały, oczy przybrały głęboki badawczy wyraz.

– Skąd go wzięliście?

– Znalazłem.

– A!

– Tak. I to tak było... Jadę...

– Czekaście!

Poważnym ruchem ręki wstrzymał sędzia dorożkarza i rozpoczął się ceremoniał odpowiedzi przy badaniu świadków.

Ten cały napuszony wstęp ostudził trochę szczerzy zapał Jazdy. Poczciwina sądził w głębi swej duszy, iż sędzia wyrazi mu swój zachwyt

i uwielbienie, i pozwoli mu się „wygadać”, tak jak to Jazda rozumiał. Tymczasem musiał odpowiadać na pytania przedwstępne, suche i nudne, zadawane przez sędziego głosem jakimś surowym i niemiliym.

Przy tym zaczynały go niepokoić oczy sędziego, wlepione w niego uparcie. Spod brwi zesuniętych pan sędzia zdawał się śledzić i co chwila chwycić uciekające wejrzenie Jazdy.

Biedny dorożkarz zaczął oblewać się potem. Niepokój jego wzrastał, chciał jak najszybciej wydostać się z tej sali, w której mu zaczynało być zanadto ciasno i nieswojsko.

– A więc gdzież jechaliście owego wieczoru? – zapytał sędzia, siadając i wskazując Jazdzie krzesło.

Jazda obejrzał się na piszącego protokolanta i to najwięcej dręczyło go, że każde słowo ten pan urzędnik notuje tak dokumentnie na kawałku papieru.

– A no... jechałem jak zawsze, ku stacji na teatralnym placu<sup>183</sup>. Nagle słyszę koło Kleparza<sup>184</sup> ktoś woła: „fiakier! fiakier!”<sup>185</sup>. Nie miałem ochoty się zatrzymać, bo tam czekali na mnie koledzy z partią<sup>186</sup>, więc...

– A! nie mieliście ochoty się zatrzymać? – powtórzył sędzia i zwróciwszy się do protokolanta, podyktował – Zanotuj pan, iż świadek twierdzi, że nie miał ochoty się zatrzymać!...

Zbiło to z tropu ojca Jazdę, więc już więcej przyciszonym głosem ciągnął swe opowiadania.

– Zatrzymałem się jednak... bo to niby nasz obowiązek i czekam. Patrzę, idzie jakaś pani, jasno odziana i kiwa na mnie, żeby czekać. Doszła, siadła i wyjęła z torebki karteczkę. Widzę, że nietutejsza, czyta, czyta, aż wreszcie wydusiła: „Blony Blony... Jordan park”. Zrozumiałem, że chce, aby ją wieźć na Błonia. Zdziwiłem się trochę, bo niby ciemno było, choć oczy wykol<sup>187</sup>. Myślę se, co ona będzie teraz na Błoniach robiła, ale co mi tam, jadę! Wybiła na zegarze mariackim<sup>188</sup> dzie-

<sup>183</sup> Plac teatralny – chodzi prawdopodobnie o plac Szczepański.

<sup>184</sup> Kleparz – obszar Krakowa położony na północ od Starego Miasta.

<sup>185</sup> Fiakier – dorożkarz.

<sup>186</sup> Partia – tu: partyjka (częstka) gry, np. w karty.

<sup>187</sup> Choć oczy wykol – stwierdzenie używane do podkreślenia intensywności wskazanej cechy lub cechy charakterystycznej dla danego stanu.

<sup>188</sup> Zegar mariacki – zegar znajdujący się na Kościele Mariackim; w 1954 roku został on zastąpiony zegarem słonecznym, wykonanym przez Tadeusza Przytkowskiego.

siąta. Obracam się i pokazuję, że „dziesięć”, aby mi potem godziny nie zaprzeczała.

– A... więc była dziesiąta?

– Tak proszę wielmożnego pana sędziego, równo dziesiąta...

– Proszę mówić dalej!

Sędzia założył nogę na nogę, odrzucił w tył głowę i uważnie patrzył na Jazdę.

– A no... jedziemy wolno, bo ciemno i tak mi się zdawało, że ta pani kogoś po krzakach wypatrywała. Dojeżdżamy do parku Jordana, staję, a ona mówi: „weiter!”<sup>189</sup>.

Sędzia pochylił się nagle i zająrzył bystro w oczy Jazdy.

– Ona sama zażądała, ażeby jechać dalej?

– Sprawiedliwie... powiedziała po niemiecku, ale na tyle zrozumiałem.

– Jakże się to stało? Przecież kazała jechać do parku, a potem zażądała jechać dalej? Może w ciemności, nie znając okolicy, sądziła, iż park leży dalej?... co?

– A no... nie wiem! – odparł Jazda.

Sędzia pokręcił głową i wyrzucił przez zaciśnięte zęby:

– To dziwne.

Jazda stropił się zupełnie. Instynktem wyczuł, iż mu nie wierzą, iż pragną wpłatać go w jakąś niejasność. Zaczął żałować, iż tu przyszedł.

– I cóż dalej? – pytał sędzia, oglądając sobie paznokcie.

– Jedziemy i jedziemy... a ona ciągle wśród ciemności na drogę patrzy. Już minęliśmy tor wyścigowy. Dojeżdżamy do mostku. Nikogo na około. Ciemno, deszcz zaczyna kropić. Straszno mi się czegoś zrobiło. W tym ta pani musiała coś dopatrzeć w ciemności, bo koło mostku, mówi „halt... warten sie hier eine viertel Stunde”<sup>190</sup>. Wstrzymałem konia, zakręciłem i czekam.

– A ona?

– Ona wylazła z dorożki i prędko, aż szumiało, poszła szosą dalej.

– Czy dojrzeliście co w cieniu? Czy kto czekał na nią?

– Ciemno było strasznie. Może tam i co było... może się tam co majączyło... sam nie wiem...

---

<sup>189</sup> Weiter – (niem.) dalej.

<sup>190</sup> Halt... warten sie hier eine viertel Stunde – (niem.) Stop... niech pan poczeka tutaj piętnaście minut.

– Więc nie byliście ciekawi nawet dowiedzieć się, po co ta pani w taką ciemną noc pojechała na Błonia?

Jazda wzruszył ramionami.

– A mnie co do tego – wyrzekł dobrodusznie – pasażerowie moi robią co chcą, a nam do ich interesów wara.

Uśmiech ironiczny zarazem i nerwowy zaczynał coraz silniej występować na czoło sędziego. Zmienił się zupełnie. Z lekkiego, zadumanego urzędnika, Targiewicz stawał się surowym, twardym, nieubłagany sędzią.

– Długoście czekali?

– Może godzinę, może półtorej... Nie wiem. Wreszcie znudziło mi się nie na żarty... Zacząłem nawoływać... Cicho było... Nikt się nie odezwał... Pomyślałem sobie: Diabli wiedzą, gdzie ta pani poszła... A potem strach mnie zdjął. Bo te Błonia, to pełne złodziei, zbójów i włóczęgów w nocnej porze... Więc... zaciąłem szkapę<sup>191</sup> i... odjechałem.

– Tak? – zapytał znów sędzia – i nie przyszło wam do głowy, że może właśnie tę panią zbroje i złodzieje napadli i zabili?

– Ta... przychodziło mi i to do głowy, proszę łaski pana sędziego... ale, nie słyszałem żadnego wołania o pomoc, a potem, co ja stary i bez nijakiej broni mógłbym poradzić w takiej przygodzie<sup>192</sup>...

– Mówicie, żeście nie słyszeli żadnego wołania o pomoc. Przypomnijcie sobie tylko, czy rzeczywiście nic nie słyszeliście?

Ojciec Jazda zaczął się drapać w głowę.

– Coś mi się majaczyło chwileczkę, jakby ktoś parę razy krzyknął, ale potem było cicho, więc powiedziałem sobie, że mi się przywidziało...

Sędzia wstał i zaczął chodzić wzdłuż pokoju, trzymając ręce w tył założone. Twarz jego stawała się coraz bardziej zimną i surową.

Nagle stanął przed ojcem Jazdą i szybko zapytał:

– A kolczyk?

Ojciec Jazda skrzywił się jak małe dziecko do płaczu.

– A bodajem go nigdy nie znał – zaczął nieśmiało – a no... znalazłem go na poduszkach powozu.

– Kiedy?

<sup>191</sup> Zaciąć szkapę – poganiać, uderzyć batem.

<sup>192</sup> W takiej przygodzie – w takiej sytuacji.

Jazda nic nie odpowiedział, zdawało się, że chce zebrać myśli, lecz sędzia uchylił się nad nim tak, jak gdyby chciał wzrokiem swoim dotrzeć do głębi duszy dorożkarza.

– Kiedy?... – zaczął z wolna Jazda – a no, jakim przyjechał do stajni...

Lecz sędzia rzucił się gwałtownie.

– Kłamiecie Jazdo! Kolczyk już był w waszym ręku na Błoniach.

– Sprawiedliwie – jękał się Jazda.

– A... nie chcecie powiedzieć prawdy? szukacie wybiegów? mnie teraz o to chodzi, czy, kiedy zacięliście konia i odjechali z Błoni, mieliście już kolczyk przy sobie?

Jazda nic nie odpowiedział.

Instynktownie czuł, że zapada w jakąś przepaść i dokoła niego wznoszą się mury jakiejś twierdzy, która oddziela go od reszty świata.

Bał się teraz sędziego, bał się jego przenikliwych oczu, bał się jego natarczywych pytań, jego gwałtownych ruchów, bał się wreszcie swego własnego głosu.

– Pytam się was po raz ostatni jasno i wyraźnie – zapytał znów sędzia – kiedy mieliście kolczyk, czy na Błoniach?

– Nie pamiętam! – wyjąkał Jazda.

Sędzia zbliżył się do biurka i zaczął wertować małą, czarną książeczkę.

Znalazł wreszcie pożądany ustęp i przeczytawszy, zamyślił się chwileczkę.

Paragraf 175 najwyraźniej opiewał: „Sędzia śledczy może nawet bez poprzedniego wezwania zarządzić przytrzymanie tymczasowe podejrzanego o zbrodnię, gdy tenże został ujęty z przedmiotami, które ze zbrodni pochodzą”.

Tak opiewał paragraf 175.

Po chwilkę krótkiej namysłu pan sędzia Targiewicz, który nagle zapalił się do tej sprawy, komplikującej się w tak dziwny sposób, postanowił zaarrestowanie ojca Jazdy.

W milczeniu zasiadł do biurka, aby zreferować nakaz aresztowania na piśmie.

Gdy powstał, ojciec Jazda, który przez ten krótki przeciąg czasu uczył, iż niepokój jego wzrasta z każdą chwilą, podniósł się ze swego krzesła i mimo woli posunął się w kierunku drzwi.

– Dokąd? – zatrzymał go surowy głos sędziego.



– Chciałbym już iść do zajęcia, proszę łaski wielmożnego pana sędziego – wyjąkał niepewnym głosem Jazda.

– Nie pójdziecie na teraz do zajęcia.

– Jakże to? dzień zmarnuję? Ja już nie chcę nic za znaleźć. Chcę tylko iść do domu.

– Nie pójdziecie do domu!

Staremu dorożkarzowi aż pociemniało w oczach.

– A dlaczego, panie święty?

– Bo jesteście aresztowani!

Jazda otworzył szeroko oczy i zdawało się, że wrósł w ziemię, tak stanął nagle nieruchomy, oparty o ścianę. Krople potu ściekały mu z czoła. I tylko usta mimo woli powtarzały jakby bezmyślnie:

– Aresztowany!



PORANEK

C. PIEPHO

„Tygodnik Ilustrowany” 1903, nr 26, s. 505

## **TOM II**



GDY WIOSNA NADCHODZI

F. M. WYGRZYWAŁSKI

„Tygodnik Ilustrowany” 1903, nr 17, s. 321

## I

### **Co się działo z Wandzią po aresztowaniu ojca – Biedny Ślimak – Kto była przezorna Zosia, jak wyglądała i co dla Wandzi zrobiła – Zgoda z Antkiem**

Gdy Ślimak, który czekał na schodach na rezultat widzenia się ojca Jazdy z sędzią, dowiedział się, iż Jazda został zaaresztowany, doznał gwałtownego uczucia przestachu i gniewu.

Nie wątpił, iż Jazdę aresztowano jako domniemanego zabójcę i cała groza tego podejrzenia, rzuconego na biednego, uczciwego człowieka, przedstawiła się z całą siłą oczom agenta.

Nie wiedział o szczegółach badania, nie znał nawet okoliczności, wśród jakich Jazda znalazł ów kolczyk, lecz znając siłę, z jaką działają na proste umysły badania sądowe, nie wątpił, iż ojciec Jazda musiał poplątać naiwnie swe zeznania i tym samym podać niejako broń władzom sądowym przeciw sobie.

Jakże gorzko zaczął wyrzucać sobie Ślimak, iż namawiał Jazdę do osobistego odniesienia owego kolczyka sędziemu śledczemu. Należało odesłać anonimowo, wrzucić do puszek w pomieszkaniu sędziego ów kolczyk, a wtedy uczciwy człowiek uniknąłby hańby i nieszczęścia, jakie spadną na niego i na jego rodzinę.

Gdy Ślimak stał tak w sieni gmachu, podczas gdy Wandzia oczekiwała na ojca na ulicy, dostrzegł agent wychodzącego sędziego Targiewicza.

Sędzia był poważny, zmieniony, zamyślony.

Usta miał przycięte zębami<sup>1</sup>, brwi zmarszczone, barki pochylone, wyglądał jak człowiek, na którego spadł jakiś wielki ciężar.

Dojrawszy zmartwionego prawie z cierpienia agenta, skinął nań prawie uprzejmie.

– Panie Mick – wyrzekł – wczoraj żartując, prosiłem, ażebyś mi pan przywiódł mordercę... kto wie, czy słowa moje się nie sprawdziły prędzej, niż przypuszczaliśmy obaj.

Twarz agenta powlokła się trupią bledością.

– Jak to!... – wymówił z trudnością – więc pan sędzia podejrzewa Jazdę o zbrodnię morderstwa?

– Nic jeszcze nie wiem, śledztwo wykryje...

– Ależ ja go znam, to najuczciwszy człowiek, to niemożliwe...

---

<sup>1</sup> Usta przycięte zębami – zaciśnięte usta.

– Okoliczności przetwarzają<sup>2</sup> człowieka. A wreszcie, dość o tym!  
Ten człowiek stał się już własnością sprawiedliwości. Żegnaj pana!

Sędzia przeszedł szybko przez sień i zniknął we drzwiach ulicy.

Ślimak przypomniał sobie teraz to, co słyszał o Targiewiczzu. Był to na pozór człowiek znudzony, prawie lekkomyślny, lecz jeśli raz zaciął się<sup>3</sup> na punkcie jakiejś sprawy i upodobał ją sobie, wtedy był nieubłagany i nic nie zdołało przełamać jego przekonania.

I w takie ręce wpadł teraz biedny ojciec Jazda!

Wybiła godzina jedenasta i dźwięk ten oprzytomnił Ślimaka.

Przypomniał sobie, że na ulicy czeka Wandzia na wyjście ojca i nowy ból ścisnął mu serce.

Przedstawił sobie grozę i cierpienie córki, która dowiaduje się, iż ojciec jej jest aresztowany pod zarzutem morderstwa.

Należało jednak zawiadomić ją o tym, bo popołudniowe dzienniki nie omieszkają ze szczegółami donieść o aresztowaniu dorożkarza.

Błady i drżący wyszedł Ślimak na ulicę i od razu dostrzegł parę jasno obutych nówek, biegnących ku niemu z wielką szybkością.

Za chwilę Wandzia schwytała rękę agenta, pytając niespokojnym głosem:

– Ojciec? gdzie ojciec?

– Ojciec pani... – odparł z trudnością Ślimak, dławiąc się po prostu każdym słowem – ojciec pani... pozostał... dla pewnych dodatkowych zeznań...

Lecz Wandzia ścisnęła silniej jego rękę. Trupia bladość pokryła jej śliczną twarzyczkę.

– Nie kłam pan... ojca mego prawdopodobnie aresztowali.

Spojrzał na nią i zląkł się jej bladości.

– Nie... nie... tylko chwilowo...

Wandzia milczała przez chwilę, oddychając ciężko.

– Przewidywałam to... – wyrzekła wreszcie – miałam przecucie.

Ani jedna łza nie popłynęła z jej oczu. Widocznym jednak było, że cierpi bardzo, stokroć może silniej, niż gdyby jej boleść znalazła ujście w łzach.

– I to my! my sami przyprowadziliśmy go tutaj! – wyrzekła, łamiąc rękę – och! tego sobie nigdy nie daruję!

Ślimak pochwycił ją za rękę.

<sup>2</sup> Przetwarzać – zmieniać.

<sup>3</sup> Zaciąć się – uprzeć się, zawziąć.

Panno Wando! – zawołał gorąco – panno Wando... w tym leży pół mojej winy, lecz ja przysięgam pani, że znajdę prawdziwego winowajcę i ojca pani spod tego strasznego oskarżenia uwolnię!

– Tymczasem? – spytała Wanda z goryczą – tymczasem jakież męki mój biedny ojciec przechodzić będzie musiał! A to plama, która już wiecznie na nas ciążyć będzie!

Zaczęła iść niepewnym krokiem. Robiła wrażenie obłąkanej. Ludzie zatrzymywali się i przyglądali się tej ślicznej, bladej dziewczynie, która szła środkiem ulicy z załamanyimi rękami.

Ślimak dopędził ją i ujął pod ramię. Przejeżdżała właśnie dorożka. Skinął i posadził w głąb powozu Wandę i sam usiadł przy niej. Kazał jechać do mieszkania Jazdów, a przez drogę usiłował rozbudzić w Wandzi jakąś otuchę, jakąś nadzieję, obiecując jej możliwość zobaczenia się z ojcem jutro... kto wie, może dziś jeszcze.

Lecz Wanda milczała teraz, pogrążona w swej boleści i nie zwracała zupełnie uwagi na słowa agenta. Kilka razy spojrzała na niego, a wzrok jej wyraził tyle żalu, tyle goryczy, tyle rzec można nienawiści, iż biedny Ślimak czuł, jak pod wpływem tego spojrzenia zamiera w nim po prostu serce.

Gdy przyjechali do domu, Wanda wyskoczyła z dorożki i szybko zaczęła biec na górę. Za nią podążył Ślimak. Lecz ona w połowie schodów stanęła i z wielkim wysiłkiem wyrzekła:

– Ja proszę zostawić mnie samą! Mam taką naturę... gdy mnie coś bardzo boli, nie mogę znieść obecności ludzi dla mnie... obcych!

Wyrzekłszy te słowa, poszła dalej po schodach i wreszcie znikła we drzwiach swego mieszkania.

Ślimak pozostał teraz sam i uczył się strasznie nieszczęśliwy.

Zrozumiał, że Wanda ma do niego straszny żal i na niego składa całą winę nieszczęścia, które ją spotkało. Nieszczęście to rzeczywiście było tak wielkie, iż żal Wandy musiał być nieograniczony i przechodzić prawie w nienawiść. Ślimak instynktownie wyczuł tę przepaść, jaka pomiędzy nim i Wandzią, z chwilą aresztowania Jazdy<sup>4</sup> się rozwarła. Zrozumiał także, iż przepaść ta zniknąć może choć po części, jeżeli on, Ślimak, będzie teraz pracował całą siłą nad uwolnieniem Jazdy i wyświeceniem całej prawdy.

---

<sup>4</sup> W oryginale zostało tu użyte imię Wandzi, jednak w niniejszej edycji uznajemy to za oczywisty błąd druku.

Lecz do tego należało mieć przecież jakieś dane, jakąś w rękę nie przewodnią<sup>5</sup>. Tymczasem, oprócz owej szpilki i „kwiatu śmierci”, nic nie miał biedny agent dla rozjaśnienia ciemności. Lecz i to coś stanowiło. Z całym więc impetem zwrócił swą nerwowość w stronę śledztwa i zbiegłszy ze schodów, wskoczył z powrotem do dorożki, każąc się wieźć na Grodzką, na Kazimierz do jubilerów, u których jeszcze nie był.

Tymczasem, około godziny pierwszej, do Wandzi, która przyszedłszy do domu, upadła na łóżko i leżała tak nieprzytomna prawie z moralnego cierpienia, zjawiała się jedna z dziewcząt pracujących u tej samej co Wandzia krawczyńi.

Zosia, świeża, przystojna dziewczynka, bynajmniej nie sentymtalna, lecz praktyczna i mająca jeden cel – założyć kiedyś pracownię na własną rękę – lubiła Wandzię i była jej powiernicą.

Zaniepokojona smutkiem Wandzi, który widocznie od pewnego czasu trapił silnie Jazdównę, nie widząc jej dzisiaj w pracowni, zaszła do niej, idąc na obiad.

W krótkich słowach Wandzia poinformowała Zosię o wszystkim. Łzy, które tak długo Wandzia wstrzymywała, wybuchnęły teraz z całą siłą, sprawiając ulgę zbolełej dziewczynie.

Praktyczna Zosia, wysłuchawszy tego bolesnego opowiadania, zasmuciła się, ale na krótką chwilę. Szybko wróciła do równowagi, klaszcząc w dłonie i zawołała:

– Nie martw się! wszystko będzie dobrze!

A zaraz potem dodała:

– Jadłś co?

Lecz Wandzia nie mogła nawet myśleć o jedzeniu. Opadła znów na łóżko i leżała tak, tonąc literalnie we łzach.

Zosia przysunęła się do niej i gładząc ją po włosach, tak mówić zaczęła:

– Moja Wanducho! łzami nie uwolnisz ojca, to trudno! Skoro pan Mick przysiągł ci, że uwolni twego tatusia, to powinnaś wierzyć, bo mężczyźni nigdy na darmo nie przysięgają.

Lecz Wanda rzuciła się gniewnie.

– Nie mów mi nawet o tym idiocie! – zawołała – to przez niego stało się to nieszczęście.

Zosia pokręciła jasną główką.

---

<sup>5</sup> Nic przewodnia – główny motyw.



– Pan Mick nie jest idiotą! – odparła z powagą – to bardzo miły, inteligentny i przyjemny człowiek. Trochę poważny, ale mnie się bardzo podobał wtedy, gdy wszyscy razem byliśmy w teatrze!

– Przez niego aresztowali ojca!...

– Jesteś bardzo niesprawiedliwa. Tak się okoliczności złożyły. Powinnaś być szczęśliwą, że jest ktoś, kto chce się zająć uwolnieniem twego taty przez miłość dla ciebie, a nie odstręczać go od siebie!...

Wanda otarła oczy, usiadła na łóżku i zaczęła uważnie słuchać słów Zosi.

– Cóż ja mam zrobić? – zapytała wreszcie trochę spokojniejszym głosem.

– Przede wszystkim starać się być dobrą i uprzejmą dla pana Micka tak, aby on wszelkimi siłami starał się przekonać sąd o niewinności taty. Ty jak zechcesz, potrafisz być i dobrą i miłą, i słodką...

Twarz Wandy nagle spowaźniała.

– Nie mogę udawać dla Ślimaka jakichś przyjaznych uczuć. Wiesz dobrze, iż moje serce kim innym zajęte.

Zosia wzruszyła ramionami.

– Także coś! – wyrzekła ze śmiechem – ten cały twój „hrabia” to według mnie nic nie wart. Co mi to po takim mężczyźnie, co się poznał z tobą na ulicy i teraz widuje się z tobą w sekrecie, jakby się czego bał i wstydził...

– Moja droga – tłumaczyła Wandzia – on jest z wielkiej rodziny, więc...

– To i co? – przerwała Zosia – jakby cię naprawdę kochał i uczeni- wie o tobie myślał, toby o rodzinę nie dbał. I wiesz, co ci powiem? Ja sto razy wolałabym iść za mąż za takiego Micka, co ma i pensję i stanowisko, i kocha cię po bożemu, niż chodzić na randki z takim hrabią, który tylko patrzy, jakby cię na dudka wystrychnąć<sup>6</sup>.

Wandzia spuściła głowę.

– Już niedługo będę widywać go, bo... wyjeżdża – wyszeptała z cicha.

– Chwała Bogu!... z panem Bogiem!... – roześmiała się Zosia – zapomnisz.

– O nie! on powróci...

---

<sup>6</sup> Wystrychnąć na dudka – oszukać, zwieść, ośmieszyć, zrobić z kogoś głupca.

– Jak rak świśnie<sup>7</sup> – dorzuciła Zosia.

– Och! jakaś ty niepoczciwa – zaczęła płakać Wandzia – jakaś ty bardzo niepoczciwa. Gdybyś ty wiedziała, co ja od wczoraj przeszłam.

I czując nagle potrzebę wypowiedzenia całej swej udręki, urywanymi słowy biedna Wandzia opowiedziała Zosi swoją bytność u baronowej i spotkanie tam hrabiego.

Zosia wysłuchiwała wszystko poważnie, przykucnąwszy przy Wandzi i oparłszy się o poręcz łóżka.

Gdy Wandzia skończyła swoje opowiadanie, Zosia wzięła ją za rękę i westchnęła.

– Ha, no!... skoro już widziałaś na własne oczy – wyrzekła – to i lepiej, teraz będziesz już wiedziała prawdę. Ja sama parę razy widziałam Bruszkowską z eleganckim panem i teraz z opisu domyślam się, że to twój hrabia. Niedawno byli w teatrze w łoży. Strasznie sobie świadczyli<sup>8</sup>. Ja byłam na galerii<sup>9</sup>, naprzeciw nich i wszystko widziałam. Przytniósł jej pudło cukrów<sup>10</sup> i ciągle przy niej siedział...

Wandzia porwała się za rozpaloną głowę, wstała z łóżka i zaczęła biegać w kuchence jak szalona.

To wszystko, co na nią spadło w dniach ostatnich, było za straszne, za silne na jej biedną głowę.

Lecz Zosia pobiegła za nią, utuliła ją w swych objęciach i rozsądkiem swoim, i spokojem starała się powrócić ją do przytomności.

– Przede wszystkim Wandziu! – przemówiła spokojnie – należy się zastanowić, co czynić należy.

– Co czynić?!... – wybuchnęła Wandzia, łamiąc ręce – co ja mam czynić! Dziś już ludzie zaczną odwracać się ode mnie, nazywając mnie... córką mordercy!... Gdzież pójdę? dokąd się udam! Do szwalni nie wrócę za tysiące. Nie chcę, aby się ze mnie natrzęsano! Zginę tu jak pies!...

– Przede wszystkim nie możesz tu pozostać sama w tym mieszkaniu. Zanadto ci wszystko będzie ojca przypominać i będziesz się truła z żalu<sup>11</sup>.

– Gdzież pójdę?

Lecz Zosia podparła się pod boki i mrużąc małe, zielone ślepki, zawołała:

---

<sup>7</sup> Jak rak świśnie – nigdy.

<sup>8</sup> Świadczyć sobie – zachowywać się wobec siebie nawzajem z wyszukaną uprzejmością.

<sup>9</sup> Galeria – balkon, platforma z balustradą.

<sup>10</sup> Pudło cukrów – pudełko cukierków, słodkości.

<sup>11</sup> Truć się z żalu – użalać, zamartwiać.

– A cóż to, Zośki nie ma, czy co? Mam pokoik malutki, ale mój własny! Pójdiesz do mnie wieczorem, zabierzemy pościel i jako tako ci się spanie urządzi. Przez jakiś czas posiedzisz u mnie, a ja ci robotę do domu przynosić będę. Nasza pani poczciwa, wejdzie w twoje położenie<sup>12</sup> i roboty ci nie odmówi.

– Ale jakże... u ciebie... będę ci zawadzać.

– Nie bądź głupia! Tymczasem pan Ślimak będzie chodził za sprawą twego biednego tatusia i wszystko będzie dobrze. A ty otrzyj łzy... Ej! Wanda, Wanda! są jeszcze dobrzy na świecie, którzy mają serce, tylko, że ty tego widzieć nie chcesz...

Do drzwi pokoju dało się słyszeć ciche skrobanie.

– Kto tam? – krzyknęła Zośka.

Kędzierzawy łeb Antka wsunął się przez uchylone drzwi.

Antek był ogromnie zmieszany i zasmucony.

Przyszedłszy do Ślimaka z menażkami<sup>13</sup>, w których mu nosił obiad, zastał agenta pogrążonego w wielkiej rozpacz. Antek był dobry nad wyraz chłopak, przywiązany do Ślimaka i rzucił się niemal do nóg agenta, prosząc go, aby go do swych łask przywrócił.

Ślimak opowiedział wtedy Antkowi o aresztowaniu starego dorożkarza.

Antek aż pięści zacisnął, oczy mu się zaiskrzyły, takim oburzeniem przejęło go to wszystko.

– Ach, psiawiary!<sup>14</sup>... – wołał – zamykać ojca Jazdę! ojca Jazdę ni-by jakiego zbrodniarza!

I nagle porwał się i poleciał na Długą. Przypomniał sobie o Wandzi i cała uraza, jaką miał do tej dziewczyny, znikła. Kochał ją tak, jak brat i postanowił zaraz się z nią pogodzić.

Zobaczywszy dziewczynę bladą, ledwo żywą, zapłakaną, rzucił się do niej z głośnym bekiem<sup>15</sup>.

Ona chwileczkę się zawahała, lecz i w niej dobre serce przemoгло i przytuliła do siebie płaczącego malca.

Stali tak długą chwilę, złączeni uściskiem i łzami, aż wreszcie Wandzia pierwsza przemówiła.

<sup>12</sup> Wejść w czyjeś położenie – rozumieć czyjąś sytuację.

<sup>13</sup> Menażka – naczynie połączone z innymi naczyniami i służące do noszenia obiadów.

<sup>14</sup> Psiawiary – zdrajcy.

<sup>15</sup> Bek – głośny płacz.

– Widzę! – odparł Antek – ale da Bóg, wszystko się musi zmienić. Już ja i pan inspektor nie pozwolimy, aby ojcu Jażdździe choć włos spadł z głowy! Tak mi Boże dopomóż!

Rumieniec pokrył śniadą twarzyczkę ulicznika. Wyciągnął pięść i groził w stronę miasta. Miał w sobie tyle energii, tyle siły, że i Wandzi przez chwilę zdawało się, że budzi się w niej jakaś nadzieja.

Tymczasem Zosia zbierała drobiazgi Wandzi i zrobiony z tego tłumoczek wręczyła Antkowi.

– Dobrze, że się Antek nadarzył – wyrzekła, usiłując być wesołą – poniesie nam rzeczy na nowe mieszkanie, a my pojedziemy na własnych nogach.

Pomogła Wandzi włożyć kapelusz i zakieciak, i ciągnęła ją ku wyjściu.

Lecz ta wróciła się jeszcze, podeszła do łóżka ojca, ukłękła i poczęła się modlić gorąco i serdecznie.

Antkowi i Zosi łyzy zaświeciły się w oczach. Stanęli cicho przy drzwiach, nie śmiejąc przerywać modlitwy biednej dziewczyny. Wreszcie Wandzia powstała, zdjęła ze ściany starą, wybladłą fotografię, przedstawiającą rodziców w ślubnym stroju.

Ukryła tę fotografię na piersi i podając rękę Zosi, wyrzekła ze smutnym uśmiechem:

– Chodźmy!

## II

### **Pokoik krakowskiej szwaczki – Kubuś – Pan hrabia wyjechał! – Rozpacz Wandzi – Antek ocala Wandzię od samobójczej śmierci**

Nieduży to był pokoik, ale widny i słoneczny.

Mieścił się na Dębnikach i należał właściwie do fryzjerskiego sklepu, lecz był zastawiony szafą i miał osobne wejście.

Zosia, która zarabiała, jako starsza panna, już lepszą pensję, a przy tym po nocach brała szycie na „swoją rękę”<sup>16</sup>, mogła opłacić sobie zby-

---

<sup>16</sup> Brać coś na swoją rękę – (inaczej: brać coś na swoje barki) podjąć się czegoś, traktować coś jako swój obowiązek.

tek tej własnej klatki, o którą dbała jak o oko w głowie i z której była szczerze dumna.

Czyściutko tam było, choć bardzo ubogo. Łóżko tanie, żelazne, stół, dwa krzesła, manekin trzciny i maszyna do szycia, wzięta na spłaty<sup>17</sup>.

Okno wychodziło na maluchny ogródek i wał kolejowy. W oddali szumiała Wisła, czasem przeleciał pociąg z hukiem i łoskotem, a potem znów było cicho. Tylko daleko gromadki dzieci nad brzegiem rzeki dokazywały, ciskając kamienie.

Zosia miała wiewiórkę, którą nazywała Kubusiem i która miała śliczną klatkę.

Wiewiórkę tą dostała Zosia od swego kuzyna, leśniczego, który zajmował miejsce w sercu praktycznej Zosi. Leśniczy ten starał się o posadę przy kolei i z chwilą, gdy ją miał otrzymać, Zosia pozwoliła mu rozpocząć starania o jej, pokłutą przez igłę, rączkę.

Zainstalowanie się Wandzi w tym małym pokoiku przyszło z pewną trudnością, lecz przy dobrej woli ukryto pościel Wandzi w łóżku Zosi, sukienki i bieliznę w szafie i Wandzia uczuła się rzeczywiście na Dębnikach trochę spokojniejszą.

Zosia, zmusiwszy przyjaciółkę do wypicia szklanki herbaty i zjedzenia bułki, poszła do pracowni, aby tam szyć i pomówić z samą panią o dalszych losach Wandzi. Ponieważ to była sobota, Zosia miała dłużej pozostać w pracowni. Około dziesiątej miała przyjść i przeprowadzić ze sobą Ślimaka.

Wandzia po wyjściu Zosi upadła na łóżko i zasnęła twardo, tak jak się zwykło sypiać po ciężkich przejściach nerwowych. Gdy się zbudziła, było już ciemno. Leżała chwilę z otwartymi oczyma, przypominając sobie wypadki dni ostatnich. Serce jej ścisnęło się boleśnie. Przypomniała sobie, iż ma jeszcze kogoś, od kogo każde słowo pociechy będzie dla niej prawdziwym ukojeniem.

Zapaliła świecę, spojrzała na budzik, stojący na stole.

Wskazywał wpół do ósmej.

Szybko przemyśla oczy, poprawiła włosy, włożyła kapelusz i wyszła na ulicę.

Sumienie wyrzucało jej, że wtedy, gdy jej ojciec cierpi zamknięty, ona biegnie na schadzkę miłosną.

---

<sup>17</sup> Wziąć coś na spłaty – wziąć na kredyt.

Starła się jednak znaleźć przed sobą jakieś usprawiedliwienie.

– Idę, ale jedynie dlatego, aby się poskarżyć na to, co mi się stało. On jest taki rozumny, zna zapewne wysoko położone osoby, on mi doradzi, on się za mną wstawi, on mego ojca z pewnością uwolni.

Gdy przechodziła pod nasypem kolejowym, zdawało się jej, że jakaś ciemna, mała postać podniosła się z kąta i iść za nią zaczęła. Gdy wydostała się na most, trwoga, jaką odczuła, znikła. Mnóstwo ludzi snuło się po moście, badając podniesiony stan Wisły.

Z daleka majaczył Kraków, cały utkany światłami latarni i oświetlonych okien.

Wandzia, idąc przez most, wpatrzyła się w tę ciemną masę, poznaną jasnymi punktami. Tam, wśród tych murów, siedział zamknięty jej biedny ojciec, pogrążony w rozpacz.

Serce dziewczyny ścisnęło się boleśnie i tzy napłynęły do oczu.

Gdy wydostała się wreszcie na ulicę Krowoderską, zaczęła biec niemal pędem, tak bardzo pragnęła zobaczyć wreszcie tego, którego tak bardzo kochała. Nie wątpiła, że dziś musi być na zwykłym miejscu, pod parkanem fabryki, musi czekać na nią, aby się pożegnać.

Z daleka dostrzegła ciemną postać, mającą na tle parkanu. Szybko, prawie bez tchu podeszła z wyciągniętą ręką. Lecz równie szybko opadła jej ręka i brwi ściągnęły się boleśnie.

Człowiek, który czekał na nią pod parkanem, miał na sobie odzież ekspresa<sup>18</sup> i zobaczywszy Wandzię, postąpił ku niej kilka kroków.

Wandzia chciała go minąć i iść dalej, lecz on z uwagą spojrzął na jej żółte buciki, które zajaśniały w smudze światła z latarni i odezwał się przyciszonym głosem:

– Proszę panienki!... ja tu do panienki z intereselem.

Wandzia stanęła jak wryta i uczuła, że zimno przenika jej serce.

– To panienka, co miała się spotkać z panem hrabią ze Studenckiej ulicy<sup>19</sup>? – zapytywał postaniec.

– Tak, ja! – szepnęła cichutko Wandzia.

– A to pan hrabia kazał panience powiedzieć, że dziś wyjeżdża i że nie ma czasu przyjść się z panienką zobaczyć... Pan hrabia kazał powiedzieć, że za jaki tydzień wróci.

---

<sup>18</sup> Odzież ekspresa – odzież poślania.

<sup>19</sup> Ulica Studencka – krakowska ulica znajdująca się w dzielnicy Stare Miasto.

Wandzia zebrała całą siłę woli, wyprostowała się z godnością i odpowiedziała:

– Dobrze! dziękuję!

Poszła dalej, w głąb Krowoderskiej ulicy, która, jak zwykle, pusta była i ciemna.

Szła cała zziębnięta mimo ciepłego wieczoru, szła bezmyślnie prawie, czując przerażającą pustkę pod czaszką.

– Wyjechał... – myślała – wyjechał, ojciec w więzieniu... ja bez miejsca...

W jednej chwili przyszło jej na myśl, że dla bardzo nieszczęśliwych ludzi jest ucieczka, jest po prostu śmierć samobójcza, która uwalnia od znoszenia zbyt wielkich cierpień.

Zawróciła i zaczęła dążyć na Dębniki. W uszach miała szum wezbranej Wisły i czarną masę fal rzecznych. Zdawało się jej, że tam jest dla niej jedyny przytułek i ucieczka.

Doszła do mostu, przeszła Wisłę i zamiast skierować się do mieszkania Zosi, zaczęła iść brzegiem rzeki.

Prawie nikogo nie było dokoła, tylko na przeciwległym brzegu ludzie snuli się jeszcze, przyciągając łodzie i tratwy do brzegu.

Wandzia stanęła na brzegu, który bardziej urwisto staczał się w rzekę.

– Tu – pomyślała – tu... zejdę cicho, nikt wiedzieć nie będzie... Cóż? zginie córka zabójcy!

Gdy szła przez Rynek, posłyszała, jak chłopcy, roznoszący wieczorne nadzwyczajne dodatki do pism, obwieszczali skrzeczącym głosem:

– Aresztowanie zabójcy!... Maciej Jazda, zabójca topielicy z Rudawy!... sensacyjny dodatek, jutro portret zabójcy!...

– Tak – pomyślała Wandzia – dla nich ojciec mój jest zabójcą... bez sądu... bez dowodów już go potępili!... Po co mi żyć wśród takich strasznych ludzi!

Woda tajemniczym szmerem swoim ciągnęła strasznie dziewczynę ku sobie.

Wandzia pochylała się z brzegu, jakby senna, jakby chciała upaść na miękkie jakieś łoże, przygotowane dla niej troskliwie.

– Matko Boska daruj! – szeptały jej zbielełe usta.

Zamknęła oczy, wyciągnęła ręce i pochyliła się jeszcze bardziej.

Nagle poczuła się silnie pociągnięta w tył za suknię.

Straciła równowagę i padła na trawę. W tej chwili jakieś drobne, lecz silne ręce pochwyciły ją za ramię i odciągając od brzegu zaczęły.

– Panno Wandziu!... jak można? jak można?

Wandzia otworzyła oczy i pomimo ciemności rozpoznała twarzyczkę Antka, który ukląkł przy niej i silnie ją za rękę trzymał.

– Puść mnie Antku! – wyszeptwała Wandzia – lepiej będzie, jeśli umrę!

– Właśnie – odrzekł Antek – tam w czyścicu na pannę Wandzię czekają!... I żeby też nie mieć Boga w sercu, a chcieć temu biednemu ojcu Jażdżcie jeszcze takie morowe<sup>20</sup> zmartwienie zrobić!

– Dla ojca będzie lżej, skoro się dowie, że już nie cierpię.

– E! gadanie austriackie<sup>21</sup>! Panna Wandzia kłapie<sup>22</sup>, a sama nie wie czego. Jak może być ojcu lżej, skoro się dowie, że własne dziecko zgładziło się ze świata w taki bezbożny sposób! Właśnie... gdyby panna Wandzia chciała swemu biednemu fatrowi<sup>23</sup> jakie ulżenie sprawić, to myślałaby jak żyć, aby mu nazad<sup>24</sup> dobre imię przywrócić.

Antek usiłował mówić swobodnie, ale głos mu drżał, tak był wzruszony.

Wandzia milczała, patrząc posępnie w płynącą szumem wodę.

– Ja pannie Wandzi powiem – zaczął znów Antek – przez co to panna Wandzia chciała się ze świata zgładzić. Oto dlatego, że ten... hrabia jakiś nie przychodzi już na Krowoderską... co?

Wandzia porwała się z ziemi i wyszarpnęła rękę z dłoni chłopca.

– Skąd wiesz? – zapytała ostro.

– Ja dziś za panną Wandzią tu od nasypu szedłem.

– Znów mnie szpiegujesz?

Antek aż ręce rozkrzyżował.

– A Jezu! – krzyknął – a dopiero z panny Wandy niepoczciwa kobita. Ja po dobroci za nią po nocy lecę, żeby jej kto nie ukrzywdził, a ona mi od szpiclów wymyśla... Ale ja się dziś za nic gniewać nie będę, bo wiem, że panna Wandzia dużo ma zmartwienia. Proszę lepiej iść ze mną do panny Zosi. Tam przyjdzie pan inspektor. Był w areszcie i coś nam o ojcu przyniesie... Dalej... panno Wandziu, proszę iść! Mo-

<sup>20</sup> Morowe – tu: wielkie, ogromne.

<sup>21</sup> Gadanie austriackie – babskie gadanie, bzdury, brednie, gadanina bez sensu.

<sup>22</sup> Kłapać – trajkotać, paplać, szwargotać.

<sup>23</sup> Fater – ojciec.

<sup>24</sup> Nazad – gwarowo: z powrotem.



że będzie można ojca zobaczyć. Panna Wandzia ani pomyślała, jaką tym radość będzie można ojcu sprawić.

Mówiąc to, ciągnął powoli Wandzię ku domowi, w którym na parterze było już oświetlone okienko.

– O, widzi panna Wandzia – zaczął znowu Antek – panna Zosia już przyszła i czeka. Nie można jej zmartwienia robić. Trzeba o sobie przestać myśleć, a o innych trochę się zatroszczyć!

Te proste słowa chłopaka wykazały nagle Wandzi cały egoizm jej postępowania.

Jakby zasłona spadła jej z oczu.

Przed chwilą zdawało się jej, że jest samą, opuszczoną od wszystkich.

Teraz zrozumiwała, że są serca do niej przywiązane uczciwie, bezinteresownie; że są jeszcze dobrzy ludzie, którzy ją w nieszczęściu opuścić nie chcą.

Zosia, Antek, Ślimak – do nich postanowiła się zwrócić całym sercem, skoro oni ku niej się tak uczciwie zwracali. Podała więc sama rękę Antkowi i razem z nim iść zaczęła.

On, uszczęśliwiony i dumny, wiódł ją jak młodszą siostrzyczkę, ją, Wandzię, która zawsze tak dumną i nieprzystępną mu się wydawała.

Gdy doszli do domku, w którym mieszkała Zośka, Wandzia zatrzymała się i gorąco ściskając dłoń Antka, wzruszonym głosem wyrzekła:

– Mój dobry Antku... uratowałeś mi życie! Tego ci nigdy ani ja, ani mój ojciec z pewnością nie zapomnimy...

– E! – odparł, śmiejąc się Antek – znam ja kogoś, kto mi będzie jeszcze za to wdzięczniejszy. Ale ten... to mi dopiero podziękuje na swoim weselu...

### III

#### **Wandzia w otoczeniu przyjaciół – Wyjazd baronowej – Spisek Antka i Zośki – W jaki sposób Antek i Ślimak znaleźli się na Studenckiej ulicy**

W pokoju Zosi paliła się jasno lampka, tak jasno, że aż Kubuś zdziwiony tą jasnością zaczął uwijać się po swojej klateczce. Zosia na-

stawiła blaszany samowarek, przygotowała bułki, salceson, który ze sobą przyniosła, odmieniła wodę w pęku jaśminu<sup>25</sup> i kilkakrotnie spojrzała na fotografię pana leśniczego.

Była jednak bardzo niespokojna o Wandzię, dziwiąc się, iż nie zastała jej w domu. Wracając, kupiła dodatek do jednego z dzienników i czytała pod latarnią szczegóły aresztowania ojca Jazdy, którego wszyscy jednogłośnie nazywali „zabójcą”.

Krew w niej zakipiała z oburzenia i trwogi, że biedna Wandzia musiała także czytać te szczegóły i teraz błąka się po ulicach, oplakując gorzko swoją dolę.

Pocziwa Zosia odetchnęła wreszcie, ujrawszy na progu Wandę z Antkiem.

Domyśliła się, że zaszło coś bardzo ważnego, bo Wandzia była jeszcze bledsza i mizerniejsza, a Antek położył na ustach palec, jakby zalecając Zosi dyskrecję.

Nie pytała więc o nic, choć ciekawość ją paliła, lecz zakrzętała się szybko koło herbaty i zmusiła Wandzię, aby wypiła jedną i drugą szklankę.

Antka też poczęstowała parą bułek, salcesonem i herbatą.

Chłopak przysiadł w kąciku na kuferku i stamtąd wyprawiał różne miny i przedrzeźniał wiewiórkę.

Zosia, chcąc sprowadzić myśli Wandzi na odmienny trochę temat, zaczęła mówić o pracowni i o tym, że ich „pani” zgodziła się najchętniej, aby Wandzia jakiś czas pracowała w domu.

– Przyniosłam ci muślinową<sup>26</sup> suknię, żebyś na nią dała aplikacje<sup>27</sup> z czarnej koronki. To dla pani baronowej Bruszkowskiej.

Wandzia, gdy posłyszała to nazwisko, zwróciła baczne wejrzenie na Zosię.

– Przyniosłam także jej koronkową suknię, bo stanik zupełnie źle leży, a potem ona chce, żeby się z boku zapinał! – ciągnęła dalej Zosia – tylko nie potrzebujemy się spieszyć, bo ona wyjeżdża, czy już wyjechała...

– Dokąd? – zapytała porywczo Wandzia.

---

<sup>25</sup> Odmienić wodę w pęku jaśminu – zrobić herbatę na jaśminie.

<sup>26</sup> Muślinowa – zrobiona z bardzo cienkiej i rzadkiej tkaniny bawełnianej, wełnianej i jedwabnej.

<sup>27</sup> Aplikacja – rodzaj haftu, naszywanie wzorów na materiał.

– Do siebie, do swego majątku. Podobno mają z nią jechać jeszcze i zaproszeni przez nią goście. Tak mówiła dziś panna Jadwiga, gdy była z sukniami w pracowni.

Wandzia mimo woli zaczęła porównywać w myśli wyjazd baronowej i hrabiego, a przeczucie jej mówiło, że z pewnością oboje wyjechali lub wyjeżdżają razem. Dużo dałaby za to, aby się przekonać mogła, czy domysły jej są prawdziwe.

Lecz jak? Nie mogła nawet marzyć o tym, aby wyjść dziś jeszcze. Wiedziała w przybliżeniu, gdzie mniej więcej mieszka „hrabia”, lecz bez narażenia się Zosi, iść bodaj pod jego okna nie mogła.

Nagle zastukał ktoś do drzwi. Zosia podskoczyła otworzyć i Ślimak wszedł do pokoju.

W obu rękach trzymał paczki, które wręczył Zosi. Były tam ciastka i wiśnie.

Wandzia na widok agenta zerwała się z miejsca i żywo ku niemu podbiegła.

– I cóż? i cóż? – zapytała.

Ślimak był widocznie bardzo zmęczony, ledwo się trzymał na nogach. Usiadł zaraz i opowiadał, że starał się o widzenie z ojcem Jazdą jeszcze dzisiejszego popołudnia. Sędzia śledczy nie zezwolił jednak na to.

Wandzia załamała ręce i zaniósła się od płaczu.

Jak to? więc nawet nie pozwolą jej zobaczyć ojca?

Lecz Ślimak zaczął ją uspokajać, zaręczając jej, że zobaczy ojca na pewno jutro, choć w obecności sędziego.

Zosia i Antek twierdzili to samo i to tak szczerze, że dziewczyna powoli uspokoiła się i nawet dała się namówić na zjedzenie kilku wisien.

Ślimak, uszczęśliwiony, odzyskał także pewien rezon i opowiadał, że postara się o to, aby ojciec Jazda, korzystając z przysługującego mu prawa, zażądał, aby oprócz obrońcy dodano mu jego, jako agenta, prowadzącego poszukiwania na własną rękę.

– Tak... – szepnęła Wandzia z goryczą – szukać pan będzie wiatru w polu! Ta kobieta nie wiadomo skąd się wzięła w Krakowie, ani do kogo właściwie tu przyjechała... Jakże można coś wysledzić w takim wypadku!

Twarz Ślimaka rozjaśniła się pod wpływem wielkiej, wewnętrznej wiary.

– A ja wierzę, panno Wandziu, że Bóg nie dopuści do tego, aby niewinny miał cierpieć, a winny chodził swobodnie po świecie! – wyrzekł silnym głosem – wierzę w to, tak jak wierzę w Boga samego!

– Daj to Boże!... – wyszeptła Wandzia – chciałabym i ja w to wierzyć, ale nie wiem, nie mogę...

– Tylko chciej panno Wandziu, a wiara się znajdzie! – tłumaczył jej Ślimak, zapatrzonej w nią jak w cudowny obrazek.

Tymczasem Zosia skinęła na Antka i oboje wybiegli na dziedziniec.

Natychmiast Zosia zapytała Antka:

– Nie wiesz, gdzie Wanda była?

Chłopak potrząsnął czupryną.

– Naturalnie, że wiem. Chodziła na Krowoderską, żeby się z tym frantem<sup>28</sup> spotkać.

– No i co?

– Nie przyszedł.

– On pewnie już nigdy nie przyjdzie, zwłaszcza jak się dowie, że jej ojca za morderstwo aresztowali. A potem...

– Panno Zosiu... mnie się widzi, że on z tą baronową na wieś czmycha.

Zosia aż klasnęła w ręce.

– To zdaje się prawda! Jakby się przekonać?

– Głupstwo! Już ja go przypilnuję. Moja banda go wytropiła. Mieszka na Studenckiej, na parterze. Wiem gdzie... Jeżeli z tamtą brzańką jedzie, to klawo, powie się Wandzi całą prawdę i ona przestanie sobie nim kontramarkę zawracać<sup>29</sup>.

– Ja jej nie powiem!

– To najlepiej list bez podpisu nagrypsać i takie grypsanie do żółtaczki (skrzynka na listy) wrzucić...

– E! sam nie wiesz, co pleciesz. Tymczasem dowiedz się, czy on naprawdę do baronowej wyjeżdża.

– Jutro będę do raportu<sup>30</sup>!

Wrócili oboje do pokoju i z uśmiechem patrzyli, jak Wandzia uspokajała się pod wpływem słów Ślimaka, z których biło prawdziwe, gorące uczucie.

---

<sup>28</sup> Frant – człowiek chytry, filut, szalbierz, łotr.

<sup>29</sup> Zawracać kontramarkę – zawracać głowę.

<sup>30</sup> Być do raportu – przynieść sprawozdanie.

Agent po prostu wypiękniał pod wpływem przychylności Wandzi. Miał taką minę, jakby dla dobra dziewczyny nie wahał się w ogień piekielny wskoczyć. Wybiła jednak dwunasta i należało już zostawić dziewczęta same.

Ślimak począł się żegnać, widać było jednak, jak mu szło niesporo<sup>31</sup>. Ten wieczór w zacisznym pokoiku, przy ukochanej dziewczynie był dla niego czymś tak drogim i rozkosznym, że rozstawał się z tym marzeniem, jak ze snem najdroższym.

Wreszcie wyszedł z Antkiem, przyrzekłszy przedtem Wandzi, iż nazajutrz, skoro tylko otrzyma dla niej pozwolenie zobaczenia się z jej ojcem, przybiegnie, aby ją o tym uwiadomić.

Szli obaj teraz rażno przez Dębniki, most i Zwierzyniecką<sup>32</sup>, kierując się ku miastu. Ślimak pogodził się z Antkiem, widząc jego przychylność dla Wandzi i rad był, że idzie z tym małym łobuzem, którego bardzo lubił.

Antek szeroko rozprawiał o aresztowaniu Jazdy, zżymał się<sup>33</sup>, zacięskął pięści i podrzucał czupryną. Rozzuchwiał się tak dalece, iż przystanąwszy, ujął się za boki i zawołał z zapalem:

– A cóż? jakby się moja banda zebrała i wzięła na pazury<sup>34</sup>, toby im jeszcze ojca Jazdę odbiła...

Ślimak wzruszył ramionami i uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Oj dzieciaku! dzieciaku! sam nie wiesz, co pleciesz! – wyrzekł cichym głosem.

Na ulicy owe rozradowanie agenta znikło. Widział teraz przed sobą przepaść ciemną, w której koniecznie pragnął odszukać jakiegoś promyka. Żaden z jubilerów nic mu o tej tajemniczej szpilce powiedzieć nie umiał. Wszyscy zgadzali się na jedno – szpilka była robiona na obstalunek i prawdopodobnie za granicą. Cóż z tego mógł wywnioskować biedny Ślimak!

Czym potępił się<sup>35</sup> ojciec Jazda i co powiedział, aby spaść na niego ciężar podejrzeń, o tym Ślimak także wiedzieć nie mógł. Łamał sobie głowę rozmaitymi domysłami. Siły go powoli opuszczały. Włókł się

<sup>31</sup> Niesporo – bez szybkiego skutku, żmudnie, niechętnie.

<sup>32</sup> Zwierzyniecka – ulica znajdująca się w centrum Krakowa, jej zabudowę stanowią głównie kamienice czynszowe z XIX wieku.

<sup>33</sup> Zżymać się – dławić, denerwować, wzburzać, wzdrygnąć, zakiepieć od gniewu.

<sup>34</sup> Wziąć się za pazury – wysilić się, aby czegoś dopiąć.

<sup>35</sup> Potępił się – pogrążył.

obok ciągle rozprawiającego Antka, nie wiedząc prawie, gdzie idzie. Gdy się ocknął, zmiarkował<sup>36</sup>, iż szli środkiem Studenckiej ulicy.

– Dlaczego my tędy idziemy? – zapytał.

Lecz Antek tajemniczo pochwycił go za rękę.

– Pst... mój złoty panie... chodźmy jeszcze kilka domów... Tu chodzi o spokój, a może i o honor panny Wandzi!

I nie czekając na odpowiedź, jak cień pobiegł naprzód, aż zatrzymał się przed jednym z domów, mających niewielki ogródek, odgradzony sztachetkami od trotuaru.

Antek wpatrzył się w okna parterowego mieszkania i aż podskoczył z radości.

W mieszkaniu świeciło się jeszcze. Rolety były spuszczone, ale w jednym pokoju rolety nie dochodziły do samego końca okna i jedna z nich pozostawiała szeroką szparę, przez którą łatwo można było zajrzeć do środka.

Nie namyślając się długo, Antek, zwinny jak mała, przeskoczył niskie sztachetki ogródka i podkraść się pod oświetlone okno.

Ślimak, początkowo zgorszony, a potem zainteresowany, zbliżył się do sztachetek i tak przy nich pozostał, wpatrzony także w świecący pas okna.

Przypomniał sobie, iż to mieszkanie zajmuje pewien zagadkowy „hrabia”, od roku zadający szyku<sup>37</sup> na bruku krakowskim, żyjący z niewiadomych pieniędzy, naciągający kupców i jubilerów. Od pewnego czasu policja zwróciła na tego ptaszka<sup>38</sup> uwagę, a Ślimak wiedział, iż posłano z zapytaniem o bliższe informacje do guberni kijowskiej<sup>39</sup>, skąd „hrabia” mienił się być rodem<sup>40</sup>.

Imię Wandzi, splecione z owym „hrabią”, przeraziło Ślimaka i dlatego nie przeszkadzał Antkowi w jego poszukiwaniach.

Cisza zupełna panowała dokoła. Kraków, jak zwykle nocami, zdawał się miastem wymarłym.

<sup>36</sup> Zmiarkować – zauważyć.

<sup>37</sup> Zadawać szyku – zaimponować szykiem, pokazać się szykownie, popisać się.

<sup>38</sup> Ptasek – ptak niebieski, człowiek próżny, który jakimś cudem, mimo iż nic nie robi, ma co jeść i za co się utrzymać.

<sup>39</sup> Gubernia kijowska – jednostka administracyjna imperium rosyjskiego na Ukrainie, istniała w latach 1708–1781, 1796–1918.

<sup>40</sup> Być rodem – być gdzieś urodzonym, pochodzić stamtąd.

Nawet dorożka nie zaturkotała w oddali. Antek, pełzając prawie, dostał się pod okno. Powoli, z nadzwyczajną przezornością podniósł się i czepiając się po ornamentach nad okienkami piwnic, wdrapał się tak wysoko, że mógł wygodnie zajrzeć do wnętrza pokoju.

Widocznie to, co tam zobaczył, wydało mu się niezmiernie interesującym, bo przylgnął twarzą do szyby i tak pozostał nieruchomy.

#### IV

### Co czarny Antek widział przez szybę i czym się zajmował pan hrabia w przeddzień wyjazdu z Krakowa

W saloniku pana „hrabiego” płonąła duża lampa, ustawiona na stole, okrytym ciemną, pluszową<sup>41</sup> serwetą.

W całym pokoju panował wielki nieład, mimo to Antek dostrzegł, że pomieszkane hrabiego było nadzwyczaj pięknie i wytwornie urządzone. Cały szyk i gust Rajala<sup>42</sup>, który Antek nieraz podziwiał przez szyby wspaniałej wystawy na rogu ulicy Św. Anny<sup>43</sup>, zdawał się być zgromadzony w tym saloniku.

Meble empirowe ze złotymi ozdobami, śliczne zwierciadła, biurko, szafki, drobiazgi, parawany, wreszcie rozwieszona na ścianach gobeliny<sup>44</sup> i makaty<sup>45</sup> imponowały Antkowi i przejęły go szacunkiem.

– A to ci mieszka psia krew... jak cysarz – pomyślał, kręcąc głową.

Wzrokiem jednak zaczął szukać samego właściciela tych wszystkich przepychów i dojrzał ze zdumieniem, jak „hrabia”, odziany w domową kurtkę, klęczał przed piecem, w którym palił się jasny płomień.

---

<sup>41</sup> Pluszowa – z materiału podobnego do aksamitu, z długim włosiem.

<sup>42</sup> [Ignacy] Rajal [i Syn] – elegancki sklep meblowy przy ul. Wiślniej 1 (parter dzisiejszej Galerii Centrum).

<sup>43</sup> Ulica Św. Anny – ulica prowadząca od Rynku Głównego do ul. Podwale; pierwotnie nazywana była ul. Żydowską, ponieważ wokół niej znajdowała się niegdyś najstarsza dzielnica żydowska w Krakowie. Nazwę zmieniono, gdy w XIV wieku wybudowano na tej ulicy kościół Św. Anny. Dzielnica żydowska przeobraziła się w dzielnicę studencką.

<sup>44</sup> Gobeliny – dywan artystyczny naśladowujący malowidła olejne.

<sup>45</sup> Makata – tkanina wełniana i jedwabna, przetykana złotem i srebrem.

– Cie go<sup>46</sup>! – pomyślał Antek – na dworze gorąco, aż bucha, a ten w piecu pali!...

Na dywanie dokoła pieca leżało porozrzucane mnóstwo listów, fotografii, kartek, rachunków i pokwitowań.

Na posadzce stała nawet szuflada z biurka, zapełniona jeszcze do połowy papierami.

– Aha! porządki robi przed wyjazdem – mruknął do siebie Antek – Musisz ty mieć nieczyste sumienie, paniczku, skoro tak palisz wszystkie grypsania, jakie masz u siebie w szufladzie...

Hrabia tymczasem nerwowo, zagryzając co chwilę wąsy – wydobywał listy, przeglądał je szybko i wrzucał do pieca. Papiery nie chciały palić się od razu i hrabia zniecierpliwiony wrzucał zapalki jedna po drugiej dla przyspieszenia ognia.

Jego piękna twarz była zmieniona zupełnie. Regularne rysy, wyrażające zawsze chłód i spokój, drgały nerwowo. Spod brwi ściągniętych oczy biegały nieufnie, jakby czując, że ktoś śledzi ich kierunek i wyraz. Widocznym było, iż hrabia szukał głównie jakichś dla niego niebezpiecznych, a może niemiłych listów, gdyż nie wszystkie wywoływały na twarzy jego pewien skurcz nerwowy i wzrok mu przyciemniał<sup>47</sup>.

Od czasu do czasu natrafiał widocznie na jakiś nadzwyczaj dla siebie niemiły dowód, czy to przeszłości, czy teraźniejszości, bo aż drgał cały i natychmiast usiłował palić owe dokumenta.

Chwila – wyczerpany, osunął się na posadzkę i osłupiały patrzył przed siebie, jakby nagłym jakimś ciosem przybity do głębi duszy.

– O! chandra<sup>48</sup> go trapi! – roześmiał się szyderczo Antek.

Nienawiść, jaką miał chłopak do hrabiego, miała w sobie coś żywiołowego. Nienawiść ta wzrastała z każdą chwilą i ogarniała duszę malca w nadnaturalny sposób.

Nagle hrabia powstał, podszedł do biurka, zapalił papierosa i wziął w rękę jeden z wieczornych dzienników. Był to nadzwyczajny dodatek, donoszący o aresztowaniu Jazdy.

Hrabia długo, jakby przygasłym wzrokiem, wpatrywał się w zadrukowany arkusz.

---

<sup>46</sup> Cie go! – wyrazy kierujące uwagę na kogoś lub na coś, wyrażające zdziwienie, czasem dezaprobatę (widzisz, widzicie).

<sup>47</sup> Przyciemniać wzrok – przygasić wzrok, widok świadczący o złym stanie psychicznym danej osoby.

<sup>48</sup> Chandra – melancholia, zły, kwaśny humor.



Wyraźnie miał tragiczną w tej chwili postać i wyraz oblicza.

Było to tak widoczne, że aż Antek pokręcił głową, szepcząc do siebie:

– A to go morowo bierze!

Po chwili jednak hrabia jakby ocknął się ze snu i zaczął na nowo przetrząsać papiery, badając każdy świstek. Nie tylko z szuflady biurka, ale i z innych mebli wyjmował listy i papiery, i palił je. Szukał wszędzie, nawet ze świecą obchodził wszystkie kąty i podnosił wszystkie kawałeczki papieru po to, aby je niszczyć lub odrzucić.

Antek, coraz więcej zaciekawiony, chłonał w siebie po prostu ten widok<sup>49</sup>. Czuł wybornie instynktowo, iż hrabia niszczy w tej chwili jakieś nadzwyczaj ważne ślady, które mogłyby okazać się dla niego zgubne.

– Już ja się dowiem, brachu, o co ci chodziło – mruknął, zeskakując ze swego posterunku<sup>50</sup>.

Posłyszał bowiem cichy głos Ślimaka:

– Antek! dość tego... ktoś nadchodzi!

Chłopak zwinnie przeskoczył sztachetki i zbliżył się do agenta.

– Siedzi jeszcze bestia w swojej norze! – wyrzekł, czepiając się rękawa Ślimaka – a kazał cholera powiedzieć Wandzi, że wyjechał.

Ślimaka dreszcz przeszedł, przystanął i zapytał zdławionym głosem:

– Wandzi?... a cóż on ma z Wandzią wspólnego?

– Ho! ho! bardzo dużo!... bardzo dużo!

– Przecież...

– A no... to panu inspektorowi powiem, że Wandzia się w nim kocha...

Grom z jasnego nieba nie byłby bardziej dotknął nieszczęśliwego Ślimaka.

– Jakże to – wyjąkał, ocierając pot z czoła.

– A no, bardzo prosto. Mami dziewczynę, ciągnie ją na randki, a teraz ucieka.

– Ale...

– A! panu inspektorowi chodzi, czy to aby nie zaszło za daleko?

Na to, tak szczerze postawione pytanie, nie było ze strony Ślimaka odpowiedzi.

Ale Antek nie w ciemną bity<sup>51</sup>, w lot to milczenie zrozumiał.

– Nie, nie, panie inspektorze! Wandzia po głupiemu dała sobie kontramarkę zawrócić, ale to wszystko. Oho! ten hrabia, to cwany

<sup>49</sup> Chłonać w siebie widok – zapamiętywać, utrwać w pamięci.

<sup>50</sup> Posterunek – tu: stanowisko, w którym stoi się na straży.

<sup>51</sup> Nie w ciemną bity – sprytny, mądry, z refleksem.

drab<sup>52</sup>, chciałby taką śliczną brzanę wystrychnąć, ale nie udało mu się, ho! ho! nie.

Uczepił się rękawa Ślimaka i dodał z nadzwyczajną powagą:

– Daję na to panu inspektorowi moje słowo honoru.

Ślimakowi zrobiło się trochę lżej na sercu, ale nie mógł pokonać smutku, jakim go ta niespodziewana wieść przejęła.

– I dawno się znają? – zapytał wreszcie, wstydząc się, że wypytuje się o takie rzeczy głupiego małego chłopaka.

– O! pewnie... już z parę miesięcy za nią łązi – odparł Antek – tak sobie przynajmniej kalkuluję, bo od tej pory Wandzia cholernie się zmieniła. Nieraz widziałem, jak miała czerwony nos od płaczu, to znów jak wzdychała do księżycy. Pan inspektor pewnie też nieraz widział.

– Prawda, prawda – przyświadczył<sup>53</sup> Ślimak – ale ja myślałem, że to z powodu ojca.

– E! – roześmiał się Antek – z pana inspektora to też jest frajer<sup>54</sup>, kiedy go można brać na takie kawały...

Doszli już prawie do kamienicy, w której wspólnie zamieszkiwali. Ślimak szedł z głową opuszczoną ku ziemi, przybity i znękany.

Widział to Antek i zapragnął, bądź co bądź, rozerwać „pana inspektora”.

– Jak pan inspektor myśli? – zapytał tajemniczo – co ten hrabia mógł palić za papiery?

– Nie wiem – odparł Ślimak – ja przecież nie wiem, czy on palił jakie papiery. To ty patrzyłeś przez okno.

– Ale powiadam panu inspektorowi, węszył po kątach, gmerał<sup>55</sup>, darł, palił aż buchało. A takie miał przy tym ślepie<sup>56</sup>, że mu latały jak świderki.

– Jeżeli palił papiery – zaczął Ślimak – to widocznie takie, które mu były niepotrzebne. Dlaczego ty się tym tak interesujesz?

Antek przystanął, zamyślił się, potem wstrząsnął silnie czarną czupryną.

---

<sup>52</sup> Drab – zły człowiek, drań, łajdak.

<sup>53</sup> Przyświadczać – potakiwać.

<sup>54</sup> Frajer – tu: naiwniak.

<sup>55</sup> Gmerać – grzebać, dłubać, szperać bez większej korzyści.

<sup>56</sup> Ślepie – oczy.

– Nie wiem panie inspektorze, ale to wiem, że tak nienawidzę tego psubrata<sup>57</sup>, że jak go zobaczę, to mnie aż graby<sup>58</sup> swędzą aby go liznąć<sup>59</sup> po antkowsku, tak z całej siły... na odlew<sup>60</sup>!

Rozcapierzył<sup>61</sup> ręce, nadał się i stał tak srogi, z czupryną najeżoną, jakby miał już hrabiego i dusił go swymi małymi, czarnymi „grabiami”.

Ślimak pokiwał smutnie głową i pociągnął go ku bramie.

Gdy rozstawali się przy schodach, Antek wspiał się na palcu i starając się dostać do ucha Ślimaka, wyszeptał:

– Niech się pan Ślimak nie martwi. Wandzia przekona się, że ten hrabia chciał ją wykierować<sup>62</sup> i... będzie z niej jeszcze pani inspektorowa.

I nie czekając na odpowiedź Ślimaka, Antek wpadł do izby, gdzie matka, śpiąca pod pierzyną, przyjęła go gradem<sup>63</sup> wymysłów za tak długie przebywanie „na dworze”.

Ślimak tymczasem smutny, lecz z pewną nadzieją w sercu powłókł się do swego mieszkania, myśląc, jakie to los srogie nieraz ludziom gotuje niespodzianki i co może ludzkie serce przenieść<sup>64</sup> w ciągu dnia jednego.

## V

### **Choroba ojca Jazdy – Wyjazd baronowej, jej pudli<sup>65</sup> i hrabiego – Wyprawa Czarnych Antków**

Z wielką niecierpliwością wyczekiwał Antek nadejścia ranka.

Należało bowiem przekonać się, czy hrabia jedzie z baronową i donieść o tym Wandzi. Wcześniej, bo o siódmej, porwał się Antek

---

<sup>57</sup> Psubrat – łotr, niegodziwiec.

<sup>58</sup> Graby – tu: ręce.

<sup>59</sup> Liznąć – palnąć, wytrzepać komuś skórę.

<sup>60</sup> Na odlew – (o uderzeniu, ruchu ręką) z rozmachem, gwałtownie.

<sup>61</sup> Rozcapierzyć – rozłożyć, rozciągnąć.

<sup>62</sup> Wykierować – oszukać, wykorzystać.

<sup>63</sup> Grad – tu: ogrom.

<sup>64</sup> Przenieść – tu: znieść.

<sup>65</sup> Pudel – w oryginale było tu słowo „padli”, ale biorąc pod uwagę, iż później kilkakrotnie jest mowa o pudlach, uznano to za błąd i zmieniono.

z pościeli i pomimo gderania<sup>66</sup> matki puścił się<sup>67</sup> w stronę hotelu Polle-  
ra. Antek był bardzo logiczny i wykombinował sobie, że taka „dama”  
jak baronowa nie lubi jeździć rannymi pociągami, bo jest „tłusta, a wia-  
domo, że tłuści ludzie lubią się długo wysypiać”.

Niemniej przeto Antek od rana trzymał straż koło hotelu.

Nawinął mu się pod rękę jeden z jego bandy – Franek Kozioł.

Gwizdnął na niego i wydał rozporządzenie:

– Powiedz naszym, żeby się dziś zebrał na Krowodrzy koło Lu-  
dowego Teatru, bo może być wieczorem robota.

Franek posztykował<sup>68</sup> w miasto, jako adiutant, zwołujący armię.

Pomiędzy dorożkarzami na stacji wzburzenie było wielkie. Ko-  
mentowano owe aresztowanie ojca Jazdy i nikt nie chciał wierzyć w je-  
go winę.

– Taki uczciwy człowiek! – mówili dorożkarze, wzdychając.

Nie grali nawet dziś w karty, tylko melancholijnie stali, oparci  
o ścianę obdrapanego i oblepionego afiszami domostwa.

O dziewiątej godzinie Antek z daleka zobaczył idącego Ślimaka.

Agent był zamyślony i zgnębiony. Szedł powoli, tak jakby nie wi-  
dział nikogo dokoła siebie.

Antek poskoczył na jego powitanie.

– I cóż panie inspektorze? – zapytał, chwytając go za rękaw.

– Żle! – odparł agent – stało się to, czego nikt z nas nie przewidy-  
wał. Ojciec Jazda zachorował wczoraj silnie. Dostał prawie ataku apo-  
plektycznego<sup>69</sup>, gdy go odprowadzono do prowizorycznego więzienia.

– Ale żyje?

– Żyje. Jest jednak chory i nikt się z nim widzieć nie może!

Antkowi łzy się zaszklily w oczach.

– Mój Boże! mój Boże! – zawołał – ile ten biedny ojciec chrzestny  
się nacierpi!

– Pojąć to łatwo! – wyrzekł ze smutkiem Ślimak – w jednej chwili  
zostać posądzonym o zbrodnię... przecież to straszne!

– Czy pan idzie do Wandzi?

<sup>66</sup> Gderanie – zrzęczenie.

<sup>67</sup> Puścić się – tu: pobiec.

<sup>68</sup> Posztykować – pobiec, utykając na jedną nogę, kulejąc.

<sup>69</sup> Atak apoplektyczny – paroksyzm choroby.

– Tak! Biedna dziewczyna czeka, sądząc, że zobaczy się dziś z ojcem. Sam nie wiem, jak jej powiem, że dopiero za parę dni może będzie mogła w obecności władzy uściskać biednego Jazdę.

I Ślimak poszedł dalej ku Dębnikom, nie pytając nawet Antka, co robił przed hotelem z samego rana.

Tymczasem w bramie hotelowej zaczął się ruch. Zawołano trzy dorożki. Zajechało wynajęte lando<sup>70</sup>. Zaczęto znosić kufry eleganckie, angielskie, poznaczone cyframi baronowej. Ukazała się panna służąca w kapeluszu angielskim<sup>71</sup>, w którym wyglądała jak butelka z korkiem, dalej dwa psy z czerwonymi kokardami na łbach, następnie lokaj, który do landa włożył pled<sup>72</sup> i przesliczny nesoser damski, wiedeński.

Kufry umieszczono na dorożkach i służba ustawiła się jak w cyrku<sup>73</sup>, gdy się zapowiada jakiś sensacyjny numer.

Wreszcie przez bramę hotelową, żegnana ukłonami hotelowego personelu, przeszła majestatycznie sama baronowa, w długim palcie sukiennym i z fryzurą jeszcze monstualniejszą niż zwykle. Na czubie głowy umieściła płaską, słomianą patelnię<sup>74</sup>, z której zwisały na kark aksamitki<sup>75</sup>.

Hrabiego nie było.

Baronowa wsiadła do landa, służba do dorożek, psy także pomimo protestów dorożkarzy i cała kawalkada<sup>76</sup> posunęła w stronę kolei.

– A ty, Antek, pedały na szyję<sup>77</sup> i megaj Plantami<sup>78</sup> za nimi – postanowił Antek.

I puścił się jak strzała koło teatru, przecinając Planty, w stronę dworca. Pędząc, usiłował rozmyślać.

– Jeżeli hrabia nie pojedzie razem z baronową, to będzie dla Wandzi źle bardzo. Dziewczyna gotowa z nim się zobaczyć i jeszcze dla zjednania sobie jego miłości zgubi się bezpowrotnie. Może ucieknie z nim, kto to wiedzieć może.

Lecz dobiegając do dworca, Antek uspokoił się trochę.

---

<sup>70</sup> Lando – rodzaj powozu.

<sup>71</sup> Kapelusz angielski – cylinder.

<sup>72</sup> Pled – płaszcz.

<sup>73</sup> Ustawić się jak w cyrku – w kółku.

<sup>74</sup> Słomiana patelnia – chodzi o słomiany kapelusz.

<sup>75</sup> Aksamitka – wstążka, opaska z aksamitu.

<sup>76</sup> Kawalkada – poczet jezdny towarzyszący jakiejś znakomitej osobie.

<sup>77</sup> Pedały na szyję – nogi na szyję, szybko się poruszać, biec.

<sup>78</sup> Megaj Plantami – biegnij przez Planty.

Na schodach stał właśnie hrabia, witający się z wysiadającą z landa baronową i z pudłami. Hrabia był ubrany po podróżnemu i podawał baronowej bardzo piękny bukiet różowych róż.

Antek wszedł do wnętrza dworca i bacznie śledził, co się dalej działo. Widział, jak hrabia zajmował się pakunkami baronowej, jak umieszczał w drewnianych klatkach przerażone i ogłupiałe pudła, słowem, zachowywał się zupełnie jak narzeczony.

Serce Antka rosło na ten widok. Skoro hrabia tak się „zagalopował” z baronową to Wandzię zostawi w spokoju, a o to głównie chodziło.

Wreszcie hrabia wszedł do poczekalni I klasy, gdzie siedziała baronowa i stamtąd udał się z nią na peron.

Antek czekał jeszcze chwilę po odejściu pociągu, aby się przekonać, czy w rzeczywistości hrabia pojechał. Zapytał się nawet o to posługaczy. Ci powiedzieli mu, iż rzeczywiście hrabia odjechał w osobnym przedziale z baronową.

– Nie będą się nudzili – mówili posługacze, śmiejąc się i mrużąc oczy.

Antek pędem pobiegł na Dębniki.

Przelatując, wstąpił na Studencką ulicę i zobaczył okna mieszkania hrabiego zamknięte i zapuszczone story.

– Już ja się tam dostanę! – pomyślał, śmiejąc się radośnie.

Gdy wpadł na Dębnikach do pokoiku Zosi, zobaczył Wandzię, siedzącą przy stole i szyjącą jakąś suknię. Była blada, ale widocznie starała się zapanować nad sobą i uzbroić siłą<sup>79</sup> dla zniesienia tych ciosów, którymi życie ją tak udrczało.

Antek nie mógł utrzymać tajemnicy. Pragnął, aby Wandzia zaraz wybiła sobie z głowy „tego psiokrewskiego hrabiego”. I nie bawiąc się w żadne ogródki, od razu, bez namysłu palnął:

– Byłem na kolei.

Ale Wandzia cała przejęta smutkiem z powodu choroby ojca, o której już się dowiedziała od Ślimaka, niewiele zwracała uwagi na słowa Antka.

– Byłem na kolei – powtórzył Antek dobitniej, siadając na kuferek.

Wandzia podniosła na niego swe smutne, zażawione oczy.

– Wiesz? ojciec chory! – wyrzekła cichym głosem.

---

<sup>79</sup> Uzbroid siłą – uzbroić w siłę.

– Wiem – odparł Antek – ale wiem, że mu lepiej i że mu się nic nie stanie, bo jeżeli nie ma sprawiedliwości ludzkiej, to jeszcze jest Bóg nad nami!

Antek wypowiedział te słowa gładko, bez tego ulicznikowskiego<sup>80</sup> akcentu, z jakim się zwykle odzywał. Oczy mu zapłonęły, drobną pięścią uderzył się silnie w piersi, aż jęknęło.

– A panna Wandzia! – wyrzekł po chwili – niech się tym nie frasuje<sup>81</sup>, bo to i lepiej. Ojciec se poleży, a tymczasem prawdziwy zbrodzień<sup>82</sup> się znajdzie!

Urwał, pociągnął nosem i znów dodał:

– A ja byłem na kolei. Odprowadzałem kogoś...

– Kogóż ty mogłeś odprowadzać, biedaku? – uśmiechnęła się smutnie Wandzia.

– Oho!... panna Wandzia myśli, że ja to prosty Jantek i ni mam żadnych znajomości z noblecą<sup>83</sup>? Otóż, że mam! Odprowadzałem z bukiem jedną panią baronowę, co stała u Pollera i miała takie czarne włosy, i tak była uczesana, jak pudle, co z nią razem jechały.

Wandzia, tknięta przecuciem, wpatrzyła się w mówiącego, zapominając o robocie.

– To... – ciągnął dalej Antek, bijąc piętami o kuferek – tak i nie ja jeden ją odprowadzałem. Było nas więcej, a same fajne chłopcy. Ja, moje Antki i jeden hrabia...

Antek nie patrzył umyślnie na Wandzię, bo nie miał serca patrzeć, jak prawdopodobnie łzy jej w oczach staną.

– A jakże... – mówił dalej – ten hrabia miał w grabiach najpiękniejszy bukiet. Tak my swoje dali pudlom, a on baronowej. I strach, co wyrabiał, po rękach całował, przychlibiał się<sup>84</sup>. Taki ci z tych gawrów, co to kubity na lep biorą<sup>85</sup>... A baronowa... przewracała ślipia, aż jej się makówka trzęsła... A kiedy hrabia pudle w klatki popakował i kufry

---

<sup>80</sup> Ulicznikowski – charakterystycznego dla chłopców biegających samopas całe dnie po ulicach.

<sup>81</sup> Frasować – przejmować, zamartwiać.

<sup>82</sup> Zbrodzień – zbrodniarz, morderca.

<sup>83</sup> Nobleca – (noblessa) szlachta, arystokracja.

<sup>84</sup> Przychlibiać się – przypochlebiać się.

<sup>85</sup> Brać na lep – kusić kogoś czymś, mamić, oszukiwać za pomocą jakiegoś chwytu, używać jakiejś przynęty.

i wszystko, wziął baronową pod pachę i poszli na perun, a potem wsiedli w kupa<sup>86</sup> osobną we dwoje, aż się posługacze śmieli i pojechali.

Skończył i czekał, że Wandzia płakać zacznie, ale było cicho i ku wielkiemu zdziwieniu Antka Wandzia zabrała się znów do roboty.

Tylko oczy jej podsiniwały i ręce drżały jak w febrze.

– A jakże!... – powtórzył znów Antek – pojechali... na wieś... do niej...

Nagle Wandzia bardzo surowo przerwała mu i wyrzekła dość silnym głosem:

– To mnie nic nie obchodzi! Ja mam o czym innym do myślenia. Ojciec chory i nic mnie więcej nie zajmuje.

Antek aż się skurczył w kufrze.

Widocznie Wandzia rozumiała, co on chciał jej powiedzieć i do czego zmierzał.

Ale dlaczego tak uroczyście i tak surowo przerwała mu jego słowa? Potem... nie płakała... Kto wie? może ona już nie kochała hrabiego!

I na tę myśl Antek ucieszył się, tak że aż zeskoczył z kufra, rzucił się do Wandzi i złapał ją za rękę.

– Ach, moja panno Wandziu! – krzyknął, a to mi Wandzia boleń<sup>87</sup> z wątroby zdjęła... Tylko niech ino panna Wandzia się tak dalej fest<sup>88</sup> trzyma, a będzie wszystko dobrze!...

Pocałował dziewczynę parę razy w rękę i uszczęśliwiony, podskakując, wyleciał z pokoju.

Całe popołudnie zeszło Antkowi na zbieraniu wiadomości i na obmyślaniu, jak można by się dostać do pomieszkania hrabiego. Kilkakrotnie przesuwiał się koło kamienicy, starając się zbadać, jak okna były zamknięte. Nad wieczorem, gdy zaczęło się już ściemniać, pobiegł do domu, wyjął z siennika dłutko<sup>89</sup> i jakieś nadzwyczajne, sfabrykowane<sup>90</sup> przez siebie narzędzia, a ukrywszy to wszystko w głębokości swych kieszeni, popędził na Krowodrzę.

W Teatrze Ludowym już się rozpoczęło widowisko, ale spora gromada ludzi stała, przyglądając się budynkowi i słuchając śpiewu i muzyki, które słychać było na zewnątrz.

<sup>86</sup> Kupa – tu: przedział lub wagon.

<sup>87</sup> Bolenie – ból.

<sup>88</sup> Fest – dziarsko, mocno, silnie.

<sup>89</sup> Dłutko – narzędzie do wydlubywania, rylec snycerski.

<sup>90</sup> Sfabrykowane – tu: zrobione, sporządzone, wykonane.



Antek szybko odnalazł swą bandę. Było ich kilkunastu, wszyscy przejęci ważnością chwili. Lecz Antek zdecydował, że zbyt wielka ilość może tylko zepsuć wyprawę. Byстрым wzrokiem przejrzał szeregi i wybrał czterech mężów zaufania.

Byli to: Rudzielec, Koziół, Adek, zwany Bułą i Kosiek, zwany dla niewiadomych przyczyn Trąbinosem.

Tak wielka była karność<sup>91</sup> w bandzie, iż inni nie śmiali się sprzeciwić rozkazom swego dowódcy.

– A teraz – wyrzekł Antek – baczność i cisza. Zejść się pod Ujeżdżalnię „Pod Kapucynami”<sup>92</sup> o w pół do dwunastej w nocy.

Banda wydała cichy szmer podziwu. Operowano<sup>93</sup> dotąd w dzień, co najwyżej wczesnym wieczorem, ale nocna wyprawa zdarzała się po raz pierwszy! Czarne Antki poczuli się dumni i wielcy.

Zdawało się im, że cały Kraków jutro rano zbudzi się, przerażony wielkością dokonanego olbrzymiego czynu.

– A teraz... rozejść się! – zakomenderował Antek.

W mgnieniu oka banda rozbiegła się i zginęła w ciemnościach.

Antek cały wieczór przewłóczył się, nie chcąc iść do domu, z obawy, aby matka nie zamknęła drzwi stacji, a klucza nie schowała pod poduszkę. Wtedy na nic byłaby cała wyprawa do pomieszczenia hrabiego.

O wpół do dwunastej podniósł się Antek z ławki na Plantach, gdzie drzemał siedząc i pobiegł ku Kapucynom.

Pod murami Ujeżdżalni widać było parę małych postaci, ale tak wciśniętych w mur<sup>94</sup>, że trzeba było wprawno oka Antka, aby rozróżnić, czy był kto pod ścianą.

Cichymi gwizdkami<sup>95</sup> nawołali się chłopcy. Obejrzelisi dokoła.

Nie było nikogo. Całe miasto spało i zdawało się wymarłe.

– Na Studencką! – zakomenderował Antek.

Pięć małych cieni leciutko zaczęło sunąć pod murami w stronę ulicy Studenckiej.

---

<sup>91</sup> Karność – dyscyplina, tu raczej: posłuszeństwo.

<sup>92</sup> Ujeżdżalnia [wojskowa] „Pod Kapucynami” – wojskowa szkoła jazdy konnej, która powstała w 1861 roku przy ul. Kapucyńskiej w Krakowie. W 1901 roku została na krótko przekształcona dla potrzeb Teatru Ludowego, po czym przeznaczono ją ponownie na cele wojskowe, następnie zamieniono na targ koński, a w 1904 roku rozebrano.

<sup>93</sup> Operować – tu: działać.

<sup>94</sup> Wciśnięty w mur – idący w ukryciu pod murem.

<sup>95</sup> Gwizdek – tu: gwizd.

## VI

**Czarne Antki w pomieszkaniu pana hrabiego – Wzmocnione wino –  
Kabanosy<sup>96</sup> – Homar – Wielka uczta**

Tak samo jak cienie, tak Antki przeleźli przez sztachetki ogródka i tam przypadli do ziemi. Światła na ulicy pogasty i cały ogródek tonął w cieniu.

– Franek, ty będziesz stał na straży! – komenderował szeptem Antek – ty, Rudzielec, poddaj plecy<sup>97</sup>. Trąbinos, byłeś u ślusarza? Masz dłutko, masz naczynia, leż na grzbiet<sup>98</sup> Rudzielca i majzdruj<sup>99</sup> okno! Buła, czekaj, bo Rudzielec może omdleć, to ty będziesz robił drabinę<sup>100</sup>. Jazda! a cicho, dzioby stulić<sup>101</sup>...

Bez jednego słowa, z wielką precyzją i karnością chłopcy wykonali plan cały, zajmując wskazane posterunki.

Za chwilę Trąbinos cichutko i ostrożnie próbował otworzyć okno, klęcząc na plecach Rudzielca.

Antek z napięciem śledził w ciemności jego ruchy.

– No i co? – zapytał wreszcie.

– Nie idzie – odparł Trąbinos z wysokości pleców Rudzielca.

– Faja<sup>102</sup> jesteś... dłutkiem podważ! – szepnął Antek.

– Ale... niby to łatwo – odciął się Kosik.

– No to złaż... ja spróbuję!...

– Poczekaj... jeszcze trochę!

Zaczęło się znów ciche trzaskanie ramy. Cała banda w nadzwyczajnym zdenerwowaniu oczekiwała rezultatu usiłowań Trąbinosa.

Nagle dały się słyszeć jakieś kroki. W jednej chwili wszyscy chłopcy rzucili się na ziemię i przylegli do trawy ogródka, nieruchomo rozplaszczeni.

Jacyś panowie przeszli mimo krat, rozmawiając głośno.

Gdy postacie ich znikły zupełnie, pierwszy podniósł się Antek.

<sup>96</sup> Kabanosy – kubańskie cygara, od nazwy gatunku cygar Cabanos.

<sup>97</sup> Poddać plecy – nadstawić plecy.

<sup>98</sup> Leżeć na grzbiet – wejść na czyjeś plecy.

<sup>99</sup> Majzdrować – dłubać, psuć, gmerać, majstrować.

<sup>100</sup> Robić drabinę – podsadzić kogoś, podtrzymywać kogoś wspinającego się gdzieś.

<sup>101</sup> Stulić dzioby – zamknąć usta, być cicho, nie odzywać się.

<sup>102</sup> Faja – tu: ciapa, ciamajda, fajtlapa.

– Dalej... do roboty. Buła, teraz na ciebie kolej!

Buła rozrośnięty, silny chłopak, poddał swe plecy, na które wskoczył Trąbinos ze zręcznością małpy. Antek zbliżył się i radził, jakimi narzędziami można by, według niego, otworzyć najlepiej okno.

Trwało to jeszcze długą chwilę, tak że cała banda straciła nadzieję udania się wyprawy.

Na Mariackiej wieży<sup>103</sup> wybiła dwunasta przeciągle i poważnie.

I nagle wtedy, kiedy Antek chciał sam próbować szczęścia, otwarło się okno, umożliwiając dostęp do mieszkania.

Zaszedł przy tym łoskot, który nappełnił przerażeniem serca chłopców, ale ponieważ nikt się nie ukazał, ani w bramie, ani w oknach, więc Antek postanowił dalej rozpocząć działanie.

Po plecach Rudzielca pierwszy wskoczył przez okno do mieszkania hrabiego.

Za nim dostał się Trąbinos, Buła i wreszcie, czepiając się gzymsu, Rudzielec.

Franek pozostał na straży.

Wszedłszy do wnętrza, chłopcy zasłonili szczelnie rolety i pozdejmowali obuwie. Rudzielec był zawsze bosy, a więc nie miał co do zdejmowania.

Ostrożnie Antek zapalił małą, ślepą latarenkę<sup>104</sup>, którą ze sobą przyniósł.

Z początku orientowali się powoli, aby nie strącić czegoś lub nie przewrócić w porzostawianych meblach.

– Pozbierajcie wszystkie papiery zagrypsane i podarte – zakomenderował Antek.

– Tylko... tyle?

– Co innego tykać<sup>105</sup> wara. Możecie jeno<sup>106</sup> se jakiego kabanosa zakurzyć<sup>107</sup>, jak go znajdziecie, albo co podjąć lub co wedle trunkowości też wolno...

– Chodź Buła... – mruknął Trąbinos – będziemy szukać hary<sup>108</sup>.

<sup>103</sup> Mariacka wieża – wieża kościoła Mariackiego, z której co godzinę trębacz gra hejnał.

<sup>104</sup> Ślepa latarenka – latarenka ze szkłem nieprzezroczystym, metalowym, mlecznym.

<sup>105</sup> Tykać – dotykać.

<sup>106</sup> Jeno – tylko.

<sup>107</sup> Zakurzyć – zapalić.

<sup>108</sup> Hara – rodzaj taniej wódki, trącejącej nieprzyjemną, browarną wonią.

Zapalili maluchny stoczek<sup>109</sup> i poszli do innych pokojów.

Rudzielec znalazł cygaro i zapaliwszy je, ułożył się na szezlongu, okrytym jedwabną zasłoną.

– Psiokrew! jedwabne życie<sup>110</sup> miał taki jeden! – mruknął, rozwalając się i wyciągając swe bose nogi.

Antek jednak nie tracił czasu.

Zaczął natychmiast swe poszukiwania od biurka. Przyniósł ze sobą worek płócienny i ten napełniał zbieranymi skrawkami papieru, podarowanymi listami, fotografiami.

Czasem się zatrzymał i przeglądał znalezione przedmioty. Chwilami aż chichotał, bo masę listów miłosnych, ledwo przedartych wałało się jeszcze po ziemi.

– „Mój jedyny...”, „Kocham na wieki...”, „twoją jestem...”, „mój aniele...”.

Dużo listów było pachnących, aż Antka w nosie kręciło.

– To ci morowe<sup>111</sup> powietrze! – szepnął, wydymając wargi.

Ale główną uwagę zwrócił na piec. Przypomniał sobie, iż hrabia tam właśnie palił niektóre papiery. Może się co nieco zostało.

Właśnie Buła i Trąbinos wracali ogromnie ucieszeni. W kuchni, w szafce znaleźli butelkę wina „wzmocnionego” jak się wyraził Trąbinos, który kosztował wino przez drogę, i puszkę z jakimś czerwonym mięsem, które pachniało jak raki.

Rudzielec, który znał się z chłopakami od Kuśmierczyka<sup>112</sup>, objaśnił ich, że to nazywa się homar<sup>113</sup> i chłopcy, przysiadłszy na ziemi wśród śmieci i dywanów, rozpoczęli ucztę.

– Antek! chodź do nas!... – szepnął Buła – spróbuj humara!

Lecz Antek tylko machnął ręką. Nie przyszedł się najadać ani pić, lecz miał coś ważniejszego do roboty.

Koniecznienie chciał coś znaleźć na hrabiego, co by mogło go skompromitować i w ten sposób pozwolić Antkowi dowieść, że „kanalia” z nich dwóch nie jest wcale Antek.

<sup>109</sup> Stoczek – cienka i zwinięta często w kłębek świeca woskowa.

<sup>110</sup> Jedwabne życie – wygodne, bez trosk.

<sup>111</sup> Morowe – tu: złe, chore, zanieczyszczone.

<sup>112</sup> Kuśmierczyk – chodzi o popularną krakowską restaurację „U Kuśmierczyka”, znajdującą się na rogu ul. Wiślniej i ul. Św. Anny.

<sup>113</sup> Homar – dziesięcionogi skorupiak; jeden z drogich przysmaków, zaliczanych do owoców morza.

Głównie chodziło mu o karty. Zdawało mu się, że ten podejrzany hrabia, który grał ciągle w karty, nie wiadomo skąd przyjechał i nie wiadomo z czego żył, musiał być szulerem, który ma znaczne karty.

I w naiwności ducha Antek pragnął koniecznie znaleźć takie karty, a gdyby je miał – oho!... już wiedziałby, co by zrobić!

Znalazł rzeczywiście trochę kart podartych, lecz wydawały się zupełnie normalnymi. Nie tracił jednak nadziei i z całym zapalem grzebał teraz w popiele, w piecu, gdzie jeszcze były ponadpalane, ale tylko trochę uszkodzone strzępy papierów.

Za jego plecami Antki bawili się wesoło. Ośmieleni ciszą, przyglądali się wiszącym na ścianie obrazom, przedstawiającym półnagie kobiety lub konie. Pełno było tutaj rozmaitych drobiazgów, statuetek, posążków, przycisków w złym guście z „witzami”<sup>114</sup> o szwabskim humorze. Niewybredny smak Antków znajdował jednak obszerne pole do zachwytu. Dusili się od śmiechu, opychali się homarem, pili wino i palili cygara. Porozciągali się na dywanie, rozkoszując się może raz pierwszy w życiu wykwinem i dobrobytem.

Antek klęczał ciągle przy piecu i tylko jego czarna czupryna spadła mu aż na nos, a torba wypełniała się ciągle nowymi zdobyczami.

– Psiokrew! – szeptał, ucierając nos – ni ma już kart... choć te, co znalazłem, to trzeba zobaczyć pod światło, bo mogą być jako tam mądrze znaczne.

Usiadł na ziemi i wygarnął cały popiół z popielnika<sup>115</sup>.

– Jeszcze gorący! – roześmiał się sam do siebie.

Nagle zgasił latarkę, bo słyhać było cichutki gwizd Franka.

Cała banda przyległa do ziemi, jak nieżywa. Odezwały się kroki pod kamienicą. Ktoś zadzwonił na stróża. Antka przeszło mrowie<sup>116</sup>. Przyszło mu do głowy, co by to było, gdyby hrabia powrócił ze wsi i wszedł do pomieszkania. Wzieliby Antków za prostych złodziei.

Słyhać było, jak stróż szedł otwierać bramę, jak rozmawiał z lokatorem, jak mu świecił i jak wreszcie oddalił się do swojej komórki, która była daleko, w głębi dziedzińca.

Na Antku i jego bandzie ścierpła po prostu skóra. W tej chwili obrzydły im cygara, dywany, wino i homar. Chcieliby się znaleźć w domu, a przynajmniej daleko od hrabiowskiego mieszkania.

---

<sup>114</sup> Witz – (niem.) dowcip, koncept.

<sup>115</sup> Popielnik – część pieca.

<sup>116</sup> [Kogoś] przeszło mrowie – ktoś odczuł dreszcz pod wpływem silnych emocji.

Gdy wszystko ucichło, chłopcy popodnosili głowy, ale ich dobry humor przepadł. Nie mieli ochoty już ani pić, ani palić. Chcieli się tylko wydostać na wolność, za jakąkolwiek cenę.

Uczuł to samo Antek i postanowił uciekać z tym, co znalazł. Machinalnie jeszcze zaświeciwszy latarkę, sięgnął do pieca i wśród popiołu i żużli<sup>117</sup>, namacał większy kawałek tektury.

Wyciągnął, oświecił i doznał prawie olśnienia.

## VII

### Co Antek znalazł w popiele i między węglami

Ów kawałek tektury był to strzęp fotografii, która skazana na spalenie, tliła się czas jakiś, aż wreszcie zgasła. Fotografia była zniszczona, powalana popiołem, ale zupełnie widoczna. Antek oświecił ów kawałek „gabinetu” i w jednej chwili rozpoznał, że twarz kobiety na fotografii była szalenie podobna do twarzy... topielicy rudawskiej.

Dopomagała<sup>118</sup> do tego podobieństwa poza, jaką owa kobieta przybrała do fotografii. Oparta o wezłowie fotelu, z pochyloną w tył głową, miała rozrzucone dokoła głowy włosy, które jej tworzyły rodzaj aureoli. Oczy miała na wpół przymknięte, usta lekko otwarte.

Ubrana była w bluzkę i żakiet otwarty<sup>119</sup>, słowem, najzupełniej przypominała twarz tamtej utopionej, która dobrze utkwiała Antkowi w pamięci.

Z trudnością przychodziło złączyć Antkowi przedartą przez środek twarzy część fotografii, jednakże i to co było, wystarczało zupełnie, aby mieć pojęcie o całości.

Antka przeszedł zimny dreszcz.

Nieraz myślał o utopionej, która została dla niego po prostu ideałem piękności kobiecej, lecz nie przypuszczał nigdy, ażeby tak niespodzianie znalazł jej fotografię i to gdzie?... w popiele, pomiędzy żużlami!

---

<sup>117</sup> Żużle – tu: minerały na wpół stopione i stwardniałe, powstają w piecu wskutek stopienia się cegieł, minerałów, wrzucanych tam wraz z paliwem.

<sup>118</sup> Dopomagać – tu: potwierdzać, sprawiać wyraźniejszym, współgrać.

<sup>119</sup> Żakiet otwarty – ze ściętymi ku tyłowi połami.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zanurzył rękę w popiół i znalazł jeszcze kawałki fotografii rozmaitych, ale te były bez znaczenia, popalone i poszarpane. Tylko twarz topielicy ocalała jedna, pomimo widocznych usiłowań, aby i ona zniszczoną została.

Antek przyjrzał się raz jeszcze fotografii i teraz wydała mu się mniej podobną.

– Diabli wiedzą!... – pomyślał – może mi się tak wydało.

Położył fotografię do worka i odwrócił się do swojej bandy, która cichaczem zabrała się znów do picia i palenia cygar.

– Poknajamy do domu! – zakomenderował.

Ale pewne rozleniwienie ogarnęło bandę, przestrach minął, czuli się tu bardzo dobrze i widocznym było, że mieli ochotę jeszcze trochę pozostać.

– Wstawać – szepnął energicznie Antek, który odczuł brak karności w gromadzie – a jak który weźmie na kiel<sup>120</sup>, to go lunę<sup>121</sup> w jadaczkę<sup>122</sup>, że się girami nakryje!...

To energiczne przemówienie odniosło swój skutek. Chłopcy pogasilili cygara, zabrali resztkę wina i homara dla Franka i równie cicho i ostrożnie wyleźli przez okno do ogródka.

– Myślałem, że was śmierć utłukła! – szepnął Franek, któremu rola pikiety<sup>123</sup> nie bardzo przypadła do smaku.

Ale dostawszy wino i homara, uspokoił się i pierwszy przelazł przez kratę na ulicę.

Ostatni zesunął się po murze Antek, cisnąc do siebie swój worek, wypełniony zdobyczą. Żałował, że nie zajrzał jeszcze do sypialni hrabiego, lecz niemal już świtać zaczynało i należało wrócić do domu.

Rozstawszy się z kolegami, Antek powłókł się w stronę zamieszkałej przez matkę kamienicy. Szedł ostrożnie, bojąc się spotkać policjanta, który byłby go z pewnością zaaresztował, uważając, że jest rzeczą wysoce podejrzaną, iż tak mały chłopak o świcie idzie sam z workiem po ulicy.

Lecz nigdzie nie było policjanta i gdy Antek doszedł do bramy, rzeczywiście zajaśniał szarawy brzask, który oświetlił śpiące miasto.

<sup>120</sup> Wziąć na kiel – postawić na swoim, sprzeciwić się, zbuntować się.

<sup>121</sup> Lunąć – uderzyć.

<sup>122</sup> Jadaczka – buzia, twarz.

<sup>123</sup> Pikietą – mały oddział żołnierzy stojący na czatach lub w pobliżu straży, aby ją wzmocnić w razie potrzeby; tu: czuwający na straży.

Antek umieścił worek za stojącym koło bramy słupkiem i sam skurczył się pod bramą, czekając rychło ją otworzą.

Stojąc tak, przemyślał nad ubiegłą nocą i nie bardzo był kontent z wyprawy.

– Psiakrew! – wyrzekł ze złością i plunął na chodnik.

Zastanowił się jednak, że właściwie jeszcze nic nie wie, co znalazł, bo przy tej latarence trudno było coś dobrze spenetrować<sup>124</sup>. Powrócił jednak myślą do owej fotografii i znów zaczęło mu się zdawać, że jest nadzwyczaj podobna do topielicy z Rudawy.

– Muszę ją pokazać Ślimakowi – zakonkludował – on mi najlepiej powie, jak i co jest.

W tej chwili otwarła się brama i Antek, porwawszy swój worek, wpadł do wnętrza.

Wpadłszy, natknął się na matkę, która splakana i całkiem odziana, czekała widocznie na jego powrót noc całą.

– Antek!... dzie ty był? – zawołała, usiłując pochwycić chłopca za ramię.

Ale on zwinął się tylko w kółko<sup>125</sup> i poskoczył na schody, nie ufając widocznie rozczeniu matki.

– Dziem był? – rzucił ze schodów – a no tramwaj mnie przejechał i w pogotowiu mnie zeszywali.

Matka otworzyła szeroko usta i klasnęła w ręce.

– Tramwaj cię przejechał?

– A ino... – roześmiał się Antek – wszystko było osobno i giry, i grabie, i żołądek, i makutra<sup>126</sup>... Nim to do kupy zeszyli to i zaświtało!...

Lecz teraz matka Antkowa zrozumiała, że syn się z niej naśmiewa i silnie zirytowana poskoczyła, aby na jego plecach odbić sobie całonocny niepokój i wyczekiwania.

Ale Antek, niebity w ciemność, w kilku susach przesadził<sup>127</sup> piętro i wpadł do pokoju Ślimaka, który prawie nigdy nie zamykał drzwi na klucz w nocy, nie chcąc otwierać rano Antkowi albo jego matce.

Antek, wpadając do pokoju, sądził, że zastanie agenta śpiącego.

---

<sup>124</sup> Spenetrować – przeszukiwać, przeglądać, szperać, rewidować.

<sup>125</sup> Zwijać się w kółko – kulić się.

<sup>126</sup> Makutra – rodzaj naczyńca, zwykle glinianego; tu przen. słabizna.

<sup>127</sup> Przesadzić – przeszkodzić.



Wielkim było jego zdziwienie, gdy zamiast w łóżku, zobaczył Ślimaka ubranego i siedzącego przy stole.

Gdy Antek wpadł, zamykając przed matką drzwi na klucz i rzucił swój worek na ziemię, Ślimak odwrócił się ku niemu.

Przez chwilę twarz jego wyrażała zdziwienie, lecz zaraz się opamiętał, powstał i zbliżył się do Antka.

– Co się stało? czy się dowiedziałeś czego?

Antek ucieszył się, że Ślimak się na niego nie gniewa za to zbyt wczesne wejście, porwał porzucony worek i zbliżył się do łóżka.

– Oto, co przynoszę, panie inspektorze.

Wysypał na kołdrę wszystko, co worek zawierał.

– Proszę pana inspektora.

– Skąd to wzięłeś? – zapytał Ślimak.

– Z jego mieszkania.

– Z czyjego?

– A no... od hrabiego ze Studenckiej.

– Byłeś tam?

– A jakże, z moją bandą. Ale my nic nie wzięli panie inspektorze, jeno moje gawry nachlały się wina i nakurzyły kubanosów. Ja nawet nic nie połknąłem, jenom to zbierał i hajda<sup>128</sup> do pana inspektora.

Ślimak stał niepewny nad całym stosem nadpalonych i podartych papierów.

Wreszcie wyciągnął rękę i wziął kilka kart.

Antkowi aż się oczy zaświeciły z uciechy.

– A no... a no!... – zaczął – to, to właśnie. Niech jeno pan inspektor dobrze one karty przegłównie. Bo mnie mówili, że to są takie panowie, co fałszywymi kartami innych ogrywają.

Przypuszczał, że Ślimak wyśmieję jego podejrzenia, lecz agent zaczął uważnie przegłądać podarte świstki i szczątki listów.

Antek uczył się w tej chwili jakąś ważną osobą; zdawało mu się, że jest figurą policyjną i pragnął zadziwić jeszcze ważniejszym odkryciem.

– Ale tu proszę pana inspektora! – zaczął, klękając przy łóżku – ja znalazłem fotografię... bardzo podobną... Zresztą niech pan inspektor sam powie...

Złożył fotografię owej kobiety i podsunął ją pod oczy Ślimakowi.

---

<sup>128</sup> Hajda – ruszaj, naprzód.

Skutek był ten sam, jakiego się spodziewał.

Ślimak szeroko otworzył oczy, ręce mu zaczęły drżeć, pochylił się nad fotografią.

– Prawda? – pytał triumfująco Antek – to przecie nasza utopiona księżniczka!

Ślimak otarł pot z czoła.

– I gdzie to znalazłeś?

– U niego w piecu. Widocznie chciał spalić.

Ślimak wreszcie wyciągnął rękę i wziął szczątki fotografii.

Odrzucił na drugą stronę i starał się odczytać napis, jaki był tam umieszczony, przecinając firmę fotografa.

Napis ten, tylko częściowy, był w języku francuskim. Pozostały niektóre słowa:

..... *bien aimé* ..... *pour*  
*la vie* .....<sup>129</sup>

Dalej podpis, już zupełnie prawie spalony i nieczytelny:

..... *ette ...lor*<sup>130</sup>

Za to firma była czytelna i prawie cała:

*Paris rue Vivienne*  
*„Soleil”*<sup>131</sup>.

Ślimak zbliżył się do stołu i położył na nim fotografię. Wtedy Antek dostrzegł, iż na stole leżała jakaś paczka. Ślimak wyjął kopertę i włożył w nią kawałki owej fotografii.

Antek dumny i uszczęśliwiony, podsunął się prawie pod łokieć agenta.

– A co, panie inspektorze? Czy dobrze zrobiłem? – zapytał, patrząc na Ślimaka swymi wielkimi, sprytnymi oczami.

<sup>129</sup> ..... *bien aimé* ... *pour la vie* ... – (fr.) ... ukochany... nad życie...

<sup>130</sup> ..... *ette ... lor* – (fr.) Trudno stwierdzić co oznacza pierwszy wyraz, gdyż jest prawdopodobnie urwany; drugie słowo znaczy: „podczas gdy”.

<sup>131</sup> Paris rue Vivienne

„Soleil” – (fr.) Paryż ulica Vivienne „Słońce”.

– Nie wiem jeszcze! – odparł agent – sądzę jednak chłopcze, że zrobiłeś nawet więcej dobrego, niż w tej chwili przypuszczasz!...

I agent, wyjąwszy ćwiartkę papieru, zasiadł do pisania listu. Pisał po niemiecku, bo po francusku nie umiał.

Na kopercie, którą Ślimak również zaadresował, Antek przeczytał: „*Paris – Soleil – rue Vivienne*”.

Sylabizował po cichu ten adres i doszedł do konkluzji, że pan inspektor pisze do fotografa, który „księżniczkę” kiedyś za życia fotografował.

– A teraz jeszcze jedno – wyrzekł Ślimak, wsuwając szczytki fotografii do zaadresowanej koperty – o tym wszystkim ani słowa, nikomu, rozumiesz Antek, nikomu, nawet Wandzi.

– Ależ tak, panie inspektorze... przysięgam! będę milczał...

Antek uderzył się w piersi i potrząsł czupryną.

– Zobaczysz pan inspektor, do czego Antek jest zdolny!... – wyrzekł z przekonaniem.

## VIII

### Odkrycie Ślimaka

Ta noc była obfita w zdarzenia i nie tylko samemu Antkowi przyniosła odkrycia, które nim wstrząsnęły.

Stało się to samo ze Ślimakiem, lecz w sposób nierównie<sup>132</sup> prostszy, bo Ślimak nie potrzebował wkradać się, otoczony sztabem, do mieszkania hrabiego, aby znaleźć coś, co by go przejęło wielką radością, a zarazem wielkim niepokojem.

Późnym bowiem wieczorem, po dniu spędzonym na zwykłych swoich zajęciach i dowiadrywaniu się o zdrowie Jazdy, który ciągle jeszcze leżał w stanie wielkiego osłabienia i prawie nieprzytomny, Ślimak poszedł na Dębniaki, aby choć trochę uspokoić Wandzię i przynieść jej słowa otuchy.

Jakkolwiek czuł, że niestosowną jest rzeczą obdarzać ją prezentami, kupił wszakże na rynku trochę kwiatków i moreli i zaniósł to wszystko na Dębniaki.

---

<sup>132</sup> Nierównie – bez porównania, znacznie.

Było mu przykro i boleśnie patrzeć teraz w oczy Wandzi, bo ciągle myślał o jej romansie z hrabią i o tym, że ta dziewczyna tak bardzo przez niego ukochana, oddała swe serce komu innemu. Starał się jednak przewyciężyć i stłumić w sobie egoizm, a tylko myśleć o tym, aby Wandzia nie martwiła się zbyt mocno myślą o ojcu i nie zapadła na zdrowiu. I dlatego to Ślimak nawet z uśmiechem otworzył drzwi pokoiku Zosi, w którym obie dziewczyny siedziały przy lampie, zajęte przyzywaniem plisowanej<sup>133</sup> gazy do jakiejś jedwabnej spódnicy.

Zosia uradowała się serdecznie z przybycia Ślimaka, Wandzia z większą rezerwą witała agenta. Widoczne jednak było, że w usposobieniu jej zachodzi korzystna zmiana, bo z pewnym wdziękiem i wdzięcznością przyjęła kwiatki, które umieściła zaraz w szklance z wodą.

Dziewczęta były już po kolacji i Zosia naleła Ślimakowi szklankę herbaty. Agent usiadł przy stole naprzeciw Wandzi, która tego wieczora była blada, ale bardzo piękna, iż nieszczęsnemu Ślimakowi mało serce z piersi ku niej nie wyskoczyło. Naturalnie, mowa była tylko o ojcu Jaździe i jego chorobie.

Zosia troszczyła się, czy mimo choroby nie będą męczyli Jazdę śledztwami.

– Nie! – zapewniał Ślimak – za to mogę zaręczyć. Pozostawią go w spokoju, aż do chwili zupełnego wyzdrowienia!

Wandzia przestała szyc i oparłszy głowę na rękę, patrzyła smutno w światło lampy.

Widząc to, Zosia, zmarszczyła brwi i wyrzekła, ujmując ją za drugą rękę:

– Wandzia! przyrzekałeś mi, że będziesz odważna i martwić się nie będziesz!

– Tak! – odparła Wandzia – przyrzekłam ci co do tamtej sprawy i mego przyrzeczenia dotrzymam. Widzę, że byłam na złej drodze i pomimo wszystko rada jestem, że dowiedziałam się prawdy... Ale gdy chodzi o mego ojca, nie mogę wyrwać bólu z serca.

Zasłoniła oczy i smutek jej się powiększył przypomnieniem Zosi.

Zosia uczuła do siebie żal za to, że wywołała na czoło Wandzi ślady smutku. Z udaną więc energią pochwyciła ze stołu robotę, wołając:

– Dalej! dalej! do pracy... nie traćmy czasu!

---

<sup>133</sup> Plisowana – obszywana ozdobnym materiałem.

Dziewczęta zaczęły pilnie dalej pracować, a światło lampy oświetliło ich pochylone nad robotą głowy, jedną ciemną, drugą jasną – jakby dobrane dla kontrastu. Ślimak z nadzwyczajną przyjemnością wpatrywał się w Wandzię, bo jakaś otucha wstępowała coraz więcej w jego serce. Był nawet zdziwiony tym, że nie czuje tak wielkiego żalu do Wandzi, jak mu się zdawało.

Wprawdzie myśl o jej znajomości z hrabią nie ustąpiła zupełnie z jego pamięci, ale w tym pokoiku, tak oddzielnym od miasta, zacisznym i miłym, wobec Wandzi, usposobionej prawie chłodno dla swego niewiernego kochanka, Ślimak miał uczucie nadziei, połączonej z wielkim uspokojeniem.

Powoli rozmowa tych trojga zeszała na codzienne tory. Mówiono o wylewie, o tym, że mają zasypać Rudawę, lecz kiedy... wie to jeden Pan Bóg, o Teatrze Ludowym, który chroma<sup>134</sup>, kuleje i jest wszystkim, ale nie ludową sceną, o tramwajach krakowskich i o tym, że samochody za granicą mają uregulowaną szybkość, a tramwaje krakowskie nie będą nigdy pod tym względem unormowane, słowem, tak Zosia jak Ślimak starali się, aby tą rozmową odwrócić myśli Wandy od trapiącego ją przedmiotu.

Lecz ona zwracała się ciągle, tak myślą jak słowami ku ojcu i widać było ze szczerości tonu jej głosu oraz z jej słów, że serce jej obecnie boleje tylko nad ojcem i nim jest wyłącznie zajęte.

Jakkolwiek ten zwrot znamionował wielkie cierpienie moralne Wandy, jednak widać było, iż egoizm ustępował powoli z tej duszy i że nie było miejsca po prostu na jej własne bóle wtedy, gdy ktoś tak jej bliski i drogi cierpiał niewinnie i mógł to cierpienie życiem opłacić.

Rozmawiając, Zosia powstała na chwilę, rozwinęła paczkę, leżącą na szafie i rozłożyła jej zawartość na stole.

– No, Wandziu – wyrzekła – teraz musimy zabrać się do poprucia tego stanika. Z czarnej podszewki musimy przenieść koronki na turkusową taflę<sup>135</sup>.

Był to stanik baronowej i Wandzia patrzyła przez chwilę spod brwi ściągniętych na tę masę koronek, tiulu i atlasu. W oczach jej nie widać było jednak bólu ani żalu zdradzonej kochanki, lecz odraza i wstręt mallował się jasno w jej pięknych źrenicach.

<sup>134</sup> Chromać – utykać na nogę, kuleć, być niedołężnym, słabym, niedomagającym.

<sup>135</sup> Tafla – tu: wstęga.

– Mamy to wykończyć na pojutrze, bo pani chce odesłać pocztą całą suknię – mówiła Zosia – spódnice już w pracowni przełożyli na taflę i tylko podbijają muślinem i jedwabiem.

Silna woń perfum biła ze stanika i Zosia zaczęła kichać, śmiejąc się serdecznie.

– A to się baba perfumuje! – zawołała – aż w nosie kręci. No Wandziu, pruj kołnierz, ja zabieram się do rękawów.

Podniosła w górę stanik, strzepnęła – masa pudru wzbila się z kołnierzyka stanika.

– No tak, pozbyliśmy się mąki, teraz możemy pracować!

Wandzia wyciągnęła rękę i milcząc, zaczęła pruć kołnierzyk. Widoczne było, iż robota ta przejmowała ją wstrętem.

– Pan zna baronową? – zapytała Zosia Ślimaka.

– Widziałem ją kilka razy – odpowiedział Ślimak.

– Byłaby jeszcze ładna – ciągnęła dalej Zosia – żeby się tak nie smarowała<sup>136</sup> i nie nosiła wrzodów na głowie.

– Jak to?

– A no, ma takie kule włosiane nad czołem i nad uszami i wygląda doprawdy, jakby jej co z głowy powyrastało, a ona przykrywała to sobie włosami. Mnie przejmuje obrzydzenie, gdy się na to patrzę!

Urwała, ale za chwilę dodała:

– Bogata jest bardzo, więc mężczyźni widzą w niej same doskonałości. Tak to pieniądź ludzi zaślepia. Ręczę, że baronowa znajdzie jakiego cacanego<sup>137</sup> paniczka, co dla jej pieniędzy się z nią ożeni.

Nagle Wandzia syknęła z bólu i rzuciła nożyczki na ziemię.

– Co ci jest? – zapytała Zosia.

– Ukłułam się.

– Czym? nożyczkami?

– Nie, tu jest coś w staniku. O!... tu pod samym kołnierzykiem.

– Pokaż!

Zosia wzięła stanik pod lampę i zaczęła palcami szybko przesuwając koronkę.

Ręczę, że to znów jej sławna szpilka – wyrzekła – ona wiecznie sieje te szpilki naokoło siebie. I pomyśleć, że to złote, a ona tak o nie nie dba. To strasznie marnotrawna kobieta...

---

<sup>136</sup> Smarować – tu: malować.

<sup>137</sup> Cacany – ładny, miły, dobry, grzeczny.

Wreszcie, po długich usiłowaniach Zosia wyciągnęła coś świeżego spomiędzy koronki.

– A co! – zawołała triumfalnie – czy nie mam racji? O! jest jeszcze jedna szpilka. W pracowni już z tuzin pozbierałyśmy z jej sukien.

Rzuciła na stół, tuż pod samą lampę cienką złotą szpileczkę podwójną, mającą u wierzchołka drobniuchną kuleczkę.

– Kupuje w Wiedniu te szpilki – mówiła dalej Zosia – i chwali się, że to ona je wymyśliła i dla niej jednej tylko te szpilki jubiler robi. Ma się też czym chwalić, co?...

Zosia zwróciła swe zapytanie do Ślimaka, lecz zdziwiona, aż cofnęła się na krześle.

– A panu co takiego? – spytała.

– Nic, nic – wybełkotał Ślimak – gorąco mi, nic więcej.

Był blady, krople potu spływały mu z czoła.

– Rzeczywiście pan się zmienił na twarzy... Wandzia! wody!...

Wandzia szybko porwała się z miejsca i z niezwykłą u niej uprzejmością podała agentowi szklanek wody.

– Niech się pan napije – wyrzekła, pochylając się troskliwie – pan taki zmieniony!

Ślimak wziął szklanek, lecz zamiast wypić wodę, postawił szklanek na stole.

Oczy jego z całą siłą wpiły się niejako w leżącą na stole szpilkę.

– I pani mówi... – zapytał wreszcie – że pani baronowa wymyśliła sama te szpilki i nikt inny takich szpilek nie posiada?

– Tak! – odpowiedziała Zosia – ona twierdzi, że to wyborny system z tymi kulkami, że tak łatwo taką szpilkę we włosach znaleźć i że tak łatwo z włosów nie wypadają... Tymczasem jest zupełnie przeciwnie, jak pan widzi, ciągle te szpilki sieje i wszędzie je na sukni i we futrach u niej można znaleźć, nie szukając.

Ślimak sięgnął do kieszeni, wyjął z niej pugilares, a z pugilaresem maluchną paczkę owiniętą bibułą.

Przy tej czynności odsłoniła się skrytka w pugilaresie i dziewczęta nadzwyczaj dokładnie ujrzały ukrytą w niej fotografię Wandzi.

Zosia z trudnością wstrzymała chęć parsknięcia śmiechem. Spojrzała na Wandzię, która zarumieniła się po białka oczów, lecz – o dziwo – nie miała wcale rozgniewanej miny. Tymczasem Ślimak, wyjął z bibułki pogiętą szpilkę i sięgnął po szpileczkę, leżącą pod lampą.

– Czy mogę wziąć ją na chwilę? – zapytał drżącym głosem.

Ależ naturalnie – zawołała Zosia – możesz ją pan wziąć nawet na własność, baronowa nigdy się o te szpilki nie upomina. Czy ona wie, ile ich ma i gdzie gubi.

Ślimak uważnie zaczął porównywać szpilki. Dziewczęta z ciekawością przypatrywały się jego ruchom.

– Patrzcie!... – krzyknęła nagle Zosia – pan Mick ma także taką samą szpilkę. Czy pan także szyje suknie pani baronowej?

Wandzia pochyliła się bliżej i zauważyła cichutko:

– Prawda, taka sama zupełnie szpileczka... To z pewnością baronowej, bo nikt inny nie ma takich w Krakowie, a może i na świecie całym.

Ślimak podniósł głowę i zapytał:

– Więc nikt nie kupuje w handlu takich szpilek, tylko robią je dla baronowej na obstalunek?

– Tak ona mówi.

– A... czy nigdy nie mówiła u jakiego jubilera każe robić te szpilki?

– Nie.

– Ale... przerwała Zosia – powiedziała raz, że na jakimś Grabenie<sup>138</sup>. Zapamiętałam, bo stamtąd nasza pani sprowadziła zeszłego roku śliczny model bluzki.

Ślimak powstał. Był ciągle jeszcze blady, ale już nie miał wyrazu przestachu w swej twarzy.

– Chciałbym prosić – wyrzekł – żebyście mi dały tę szpilkę na dni parę.

– Ależ najchętniej – zawołała Zosia i zaraz dodała, zdjęta ciekawością – A gdzie pan znalazł tę, którą pan ma w pugilaresie?

– Tego paniom teraz nie powiem! – odparł Ślimak.

– Nawet gdyby Wandzia poprosiła? – nalegała Zosia, obejmując w pół zarumienioną tym żartem dziewczynę.

– Nawet! – odparł Ślimak i było tyle stanowczości w jego głosie, a nawet powagi, że Zosia żartować przestała.

Agent tymczasem zawiązał razem obie szpilki i wziął kapelusz.

– Idzie pan już? – zapytała Wandzia.

– Tak panno Wandziu! – odpowiedział agent – idę i kto wie, ile szczęścia może ta mała szpileczka, która panią ukłuła, przynieść.

– Czy dla mnie?

– Dla ojca, dla pani, dla mnie, dla nas wszystkich.

---

<sup>138</sup> Graben – wiedeński plac w kształcie wydłużonego prostokąta.



Wandzi tchu w piersiach zabrakło.

– Co pan mówi? – spytała prawie szeptem – niech się pan jaśniej wytłumaczy.

– Nie mogę! – odparł agent – mogę tylko pani powiedzieć jedno: niech się pani modli gorąco, abym zdołał pokierować się prawdziwą drogą wśród tego labiryntu. Dziś więcej niż kiedykolwiek wierzyć nam trzeba w Opatrzność Boską, bo to ona sprawiła, iż uzyskałem tu, u was, jeden ważny krok, mogący mnie naprowadzić na ślad...

Urwał, jakby nie chciał powiedzieć za dużo, lecz Wandzia, instynktem wiedziona, dokończyła:

– Na ślad... zbrodniarza!

Zosia roześmiała się, lecz agent powstrzymał ten wybuch wesołości poważnym gestem.

– Kto wie... czy panna Wanda nie powiedziała w tej chwili prawdy – wyrzekł wzruszony.

I pożegnawszy dziewczęta, wyszedł szybko na ulicę.

Gdy znalazł się sam, zaczął Ślimak rozważać to, co go tak nagle spotkało. Znalazł ślad szpilek i dowiedział się, że monopol ich niejako posiada owa baronowa.

Butonierka więc owa mogła być zrobiona szpilką baronowej, może przez nią samą, a może przez kogoś z jej otoczenia.

Z drugiej zaś strony Zosia twierdziła, że baronowa na wszystkie strony „sieję” owe szpilki. Mógł więc ktoś znaleźć taką szpilkę i posłużyć się nią do butonierki. Następnie baronowa twierdziła, że jubiler wiedeński jedynie tylko dla niej wyrabia owe szpilki. Lecz kto może zaręczyć, że ów jubiler nie sprzedaje w Wiedniu swego wyrobu bez wiedzy baronowej. Nieznajoma topielica z Rudawy podróżowała po świecie, to było widoczne, bo ubranie jej nosiło markę rozmaitych krajów, dlaczego nie mogła kupić w Wiedniu szpilki złote do włosów i potem użyć jedną jako butonierkę.

Tak, lecz owa czarna przedza koło szpilki, te pasemka wydarte z sukna męskiego fraka czy surduta, oto, co zbijało to ostatnie twierdzenie.

Ślimak przeszedł most i ulicę Zwierzyniecką w stanie szalonego podniecenia. Wahał się, nie wiedział sam, co począć. W jednej chwili chciał jechać do Wiednia, do jubilera, to znów do baronowej na wieść, lecz bał się popełnić jakiś krok, mogący zamiast pożytku przynieść szkodę całej sprawie. Gdy Ślimak powrócił do domu, ciągle jeszcze był niezdecydowany.

Całą noc przechodził ubrany po swoim pokoiku, stając co chwila przy stole, na którym położył paczkę z obydwooma szpilkami. Zgorączkowany, szarpany niepewnością, biedny agent doczekał się świtu i nadejścia Antka, który mu przyniósł jeszcze więcej piorunujące i straszne odkrycie.

Lecz co do owej fotografii nie zawahał się Ślimak ani na chwilę. Wskazówki miał jawne i łatwe do skutecznego. Decyzja ta wpłynęła na niego korzystnie. Szybko namyślił się co do dalszego postępowania.

Postanowił zatelegrafować do policji wiedeńskiej z zapytaniem o nazwiska jubilerów na Grabenie.

Mając je, listownie mógł znaleźć tego z jubilerów, który był dostawcą baronowej. Działać należało ostrożnie, aby nie spłoszyć ptaszka, jeśli on istniał rzeczywiście.

Biedny Ślimak dopiero teraz poczuł istotny zawrót głowy i lęk, czy zdoła odpowiednio wybrnąć z podjętego zadania. Starał się nabrać sił i zimnej krwi.

Przed wszystkim musiał zobaczyć się z sędzią śledczym. Pragnął mówić z nim dłużej i sam na sam. W kancelarii jego trudno było skutecznie, postanowił przeto Ślimak pójść do pomieszczenia sędziego Targiewicza. Było mu to przykre i nader nie na rękę, lecz Ślimak, jak wszyscy powolni ludzie, był uparty i to, co przedsiębrał, musiał wykonać.

## IX

### Ślimak u sędziego śledczego – Trzy dni zwłoki

Pan sędzia zajmował wraz z rodziną ładny apartament przy ulicy Pańskiej na parterze i właśnie siadał do śniadania, gdy mu służący oznajmił, że ktoś chce się z nim koniecznie widzieć.

Pan sędzia zirytował się od razu. Przed wszystkim wybornie przyrządzone i apetycznie podane kakao groziło wystygnięciem, a następnie pan sędzia nie lubił, aby go z interesami sądowymi nachodzono w domu i odrywano od życia rodzinnego.

Lecz służący mówił, iż nieznajomy nie chciał powiedzieć swego nazwiska, tylko nalega bardzo stanowczo na zobaczenie się z panem sędzią. Targiewicz wziął więc filiżankę z kakao, kilka grzanek i w rannej marynarce, w pantoflach, poszedł do swego gabinetu.

Ładnie tam było w owym gabinecie, bogato i gustownie. Sędzia dużo podróżował i przywiózł masę drobiazgów artystycznych ze swoich podróży. Wszystkie zgromadził w swoim gabinecie, aby mu przypominały miłe chwile, które spędził poza murami Krakowa.

Wszedłszy do gabinetu, sędzia o mało nie upuścił z rąk filiżanki kakao. Nie spodziewał się bowiem ujrzeć u siebie Ślimaka. Sądził, że dał mu dostateczną odprawę.

Upór agenta zdenerwował go. Postawił więc filiżankę na biurku, usiadł na fotelu i zabrawszy się do śniadania, zapytał oschle:

– Pan, czego?

Ślimak cały poczerwieniał, lecz przygryzł usta i postanowił być cierpliwym.

– Panie sędzio! – wyrzekł – ja tu przychodzę nie jako do sądowej osoby, ale jako człowiek do człowieka.

Sędzia Targiewicz zdumiał się niezmiernie. Odłożył łyżeczkę i zaczął się przyglądać agentowi.

Musiąta jednak z oczów Ślimaka widnieć szlachetna myśl i uczciwe pragnienie, skoro tak ironiczny zawsze człowiek, jakim był Targiewicz, wskazał mu krzesło, mówiąc:

– Proszę, niech pan siada i niech pan się jaśniej wytłumaczy.

Lecz Ślimak nie przyjął wskazanego krzesła. Zbliżył się do biurka i zaczął mówić dość silnym i pewnym głosem:

– Panie sędzio! nie będę panu wiele czasu zabierał, bo czas ten jest bardzo drogi, tak dla pana sędziego, jak i dla mnie, ale to, co mam powiedzieć, jest rzeczą ogromnej wagi. Los... wypadek... Opatrzność, dały mi w rękę nici, które same w owej sprawie topielicy doprowadzić mogą na drogę prawdy. Błagam pana, panie sędzio, wstrzymaj się z dalszym śledztwem przez trzy dni. Jazda leży chory... łatwo więc będzie nie posuwać dalej badań, a ja, panie sędzio, jestem pewny, jestem najpewniejszy, iż rzeczywistego winowajcę ci wskażę w przeciągu tych trzech dni...

Głos agenta był pełen gorącej prośby i cała jego twarz wyrażała tak wielką szczerłość i wiarę w swe siły, że pan sędzia uczuł się wzruszony.

Pokrył jednak to uczucie sztuczną obojętnością i wzruszył ramionami, jakby znudzony.

– Jazda ma się lepiej – wyrzekł – jutro lekarze pozwolili mu odpowiadać, jakkolwiek stać jeszcze nie może.

– Właśnie, panie sędzio, chodzi o to, aby temu nieszczęśliwemu nie przysparzać cierpienia badaniami śledczymi. Niewinny, odcięty od świata i ludzi, cierpi dostatecznie. Po cóż więc powiększać jeszcze jego męczarnie, skoro za dni parę Jazda wyjdzie z więzienia.

Targiewicz pokręcił głową.

– Czy nie jesteś pan zbyt pewnym swego, panie Mick?

– Gdybym nie miał dowodów, nie ośmieliłbym się nigdy nachodzić domu pana sędziego. Ale ta sprawa ciąży mi bardzo na sercu i uczynię wszystko, co będzie w mej mocy, aby znaleźć prawdziwego winowajcę.

Targiewicz, który chorobą ojca Jazdy został rzeczywiście głęboko wstrząśnięty, gdyż sam zastanawiał się, iż człowiek tak silnie odczuwający podejrzenie, jak ów biedny dorożkarz, może rzeczywiście być niewinnym, zapragnął całą duszą wyświecenia prawdy.

Agenci, którzy mieli powierzone śledzenie tej sprawy, brali się do niej bez zapału i dobrych chęci. Szybko uwierzyli w winę Jazdy i całe ich usiłowania skierowane były ku temu punktowi, aby dowieść winy dorożkarza. Jeden Ślimak szedł odrębną drogą i to zaimponowało Targiewiczowi. Chciał się okazać bezstronnym i nieuprzedzonym. Zresztą szczerłość agenta i stałość jego przekonań zaczęła oddziaływać i na sędziego. Rozjaśnił więc twarz pan Targiewicz i dobrotliwy uśmiech okraślił jego zawsze sarkastycznie skrzywione usta.

– Ha, no! skoro pan tak nalegasz i ręczysz za to, że odkryjesz rzeczywistego winowajcę, daję panu te trzy dni czasu. Ale ani jednej chwili więcej. Chyba, że pan odkryjesz przede mną swoje karty i ja uznam je za dostatecznie ważne jako motywy do dalszego wstrzymania śledztwa.

– Dzięki, panie sędzio! – odparł Ślimak, unikając odpowiedzi na drugą część przemówienia Targiewicza.

Zapamiętał bowiem dobrze, jaką ironią przyjął sędzia jego rewelacje co do szpilki, tuberozy i resztek sukna. I teraz mógł wysztytować podobieństwo znalezionej przez Antka fotografii i szpileczki pani baronowej.

Ślimak, ukłoniwszy się sędziemu, kierował się ku wyjściu. – Był już przy samych drzwiach, gdy Targiewicz powstrzymał go gestem.

– Ale pamiętaj pan, tylko trzy dni – wyrzekł sędzia uroczyście – trzy dni, po nich rozpoczną badania Jazdy!

– Słyszę, panie sędzio i postaram się zastosować do tego warunku.

Ślimak wyszedł z gabinetu sędziego jak pijany, tak go odurzała ta samodzielność, jakiej musiał teraz złożyć dowody.

Ze swej strony Targiewicz rad był, iż ten agent z taką siłą upiera się przy swoim.

Targiewicz przestraszył się chorobą Jazdy, wywołanej, zdaniem lekarzy, zbyt silnym wzruszeniem moralnym. Lekarze twierdzili, iż wszelkie wstrząśnienia działać będą w ten sposób na Jazdę i mogą go nawet zabić, gdyż Jazda był organizmem chorym i trzymał się tylko cudem. Jakaż więc nieprzyjemność wypaść mogła dla sędziego śledczego, gdyby Jazda w czasie badań umarł, a w następstwie wyszła na jaw jego niewinność. Targiewicz zaczynał się lękać tej ewentualności, która mogłaby na serio zaszkodzić bardzo jego karierze i rzucić cień na niego na całe życie.

Z pewną ulgą więc przyznał Ślimakowi owe trzy dni, a jeżeli kładł nacisk na tak krótki termin, to jedynie i głównie dlatego, aby Ślimak spieszył się i działał energiczniej.

Ślimak wyszedłszy od sędziego, poszedł na Planty i tam, usiadłszy na ławeczce odosobnionej zupełnie, zaczął namyślać się nad tym, co mu czynić wypada.

Za dwa dni spodziewał się telegraficznej odpowiedzi od fotografa, bo pieniężny banknot na ten cel włożył do listu. Chodziło o szpileczkę i w tym celu powstała w głowie Ślimaka myśl zobaczenia się, bądź co bądź, z baronową. Ona mogła mu dać odpowiednie wskazówki.

Jakaś nieprzeparta siła zaczęła popychać Ślimaka w kierunku baronowej. Tam zdawało mu się, iż jest tajemnica owego splątanego węzła<sup>139</sup>, który miał przed sobą. Czuł, że musi jechać, aby się z tą kobietą rozmówić.

Szybko zorientował się w rozkładach pociągów.

Dzisiaj wieczorem mógł być już z powrotem w Krakowie.

Nie chciał, aby nawet o jego wyprawie wiedziała Wandzia. Jeżeli mu się powiedzie, dość będzie czasu wtajemniczyć ją w jego plany.

Spojrzał na zegarek, pozostawało mu tylko dwadzieścia minut do odejścia pociągu.

---

<sup>139</sup> Splątany węzeł – zagadka, tajemnica.

Wpadł do cukierni, wypił pospiesznie filiżankę kawy i wskoczywszy w dorożkę, kazał się wieźć na dworzec.

Oczy mu płonęły, ręce drżały jak w febrze.

Ktoś patrząc na niego z boku, nie poznałby w tym zwinnym, nerwowym mężczyźnie – apatycznego, osowiałego agenta ze Szczepańskiego placu. Widocznym było, iż nie tylko podniecała go myśl o oddaniu przysługi Wandzi i ocaleniu jej ojca, lecz Ślimak wydostawszy się na szerszy teren działania, choć na pozór przerażony, czuł się jakby odrodzony, jakby nowe życie wstępowało w jego uśpioną duszę.

Gdy przybył na dworzec, pociąg już był przepełniony pasażerami, spieszącymi na letnie mieszkania lub do krajowych uzdrowisk. Ślimak wcisnął się w kącik wagonu drugiej klasy i starał się, pomimo panującego dokoła gwaru, odosobnić od całego tłumu.

## X

### **Ślimak u pani baronowej – Ich rozmowa – Co z tego wynikło – Kwiat śmierci**

Szybko pędził pociąg, przecinając zielone łąki lub pola, pokryte jeszcze niedojrzałym żytem.

Prześliczna panorama wiejska przesuwiała się przed oknami wagonu, lecz biedny Ślimak, pogrążony w myślach, nie uważał nawet na ów czarujący, letni krajobraz.

Biedził się nad wynalezieniem najwłaściwszego tonu do przeprowadzenia koniecznej mu rozmowy z baronową, która wydawała mu się kobietą dumną i nieprzystępną.

– A jeżeli nie zechce mi wcale odpowiadać – pomyślał – jeżeli, przeczuwszy we mnie agenta policyjnego, potraktuje mnie pogardliwie i odmówi wszelkich wyjaśnień.

Nagle przypomniał sobie Ślimak, że u baronowej bawi właśnie hrabia.

To połączenie znalezienia szpilki i fotografii topielicy, uderzyło nagle umysł agenta, jakby błyskawica.

Uczucie to było tak silne, że Ślimakowi na razie zabrakło po prostu tchu.

Nie umiał na razie zdać sobie sprawy, co go tak przerażyło, lecz ta myśl, która okazała się z błyskawiczną siłą, nie chciała go już opuścić ani na chwilę.

Hrabia, szpilki, fotografia, baronowa, wszystko to łączyło się jak łańcuch i rozerwać się nie chciało.

Znużony nad wszelki wyraz, udręczony, wysiadł Ślimak na stacji najbliższej od majątku baronowej. Prędko zgodził furkę<sup>140</sup>, jedną z trzech, które koło dworca oczekiwały na przyjazd nielicznych gości. Jadąc wśród trochę górzystej okolicy, Ślimak ciągle czuł przestrach i grozę, jaka go opanowała. Zdawało mu się, że staje nad brzegiem przepaści, w którą, jeśli spojrzy, odkryje prawdę, ale i sam w niej zginąć może.

Takimi miotany myślami, zajechał do Kwiatówki<sup>141</sup>, wsi baronowej, która to wieś rzeczywiście zasługiwała na taką ładną nazwę.

Mnóstwo bowiem kwiatów rosnęło tu w ogródkach przed chatami. Czerwone i różowe malwy, żółte słoneczniki, bratki, rzedza, a nawet krzaki róż zdobiły małe ogródki, ogrodzone płotami.

Naokoło starego kościółka, na cmentarzyku dawnym kwitły dziko rosnące polne kwiaty, a nad nimi szumiały i brzęczały pszczoły.

Słońce wbiło się wysoko i posyłało swe złote promienie prosto na owe kwiaty i na drzewa, których żaden wiatr nie kołysał.

Dzieci wiejskie włączyły się po drodze lub siedziały gromadami pod płotami i patrzyły z wielką ciekawością na jadącego na furze Ślimaka.

Woźnica odwrócił się wreszcie i zapytał:

– A dzie pana zawieźć?

Ślimak kazał mu zatrzymać się i zlął z furki.

– Gdzie tu dwór? – zapytał, płacąc chłopu.

– A tam, na końcu topolowej alei. Widno go stąd jak na dłoni.

Rzeczywiście widać było duży dom biały z pretensjonalną loggią<sup>142</sup> o cienkich filarkach. Była przy tym domu przyczepiona i wie-

<sup>140</sup> Zgodzić furkę – wynająć dorożkę.

<sup>141</sup> Kwiatkówka – trudno ustalić o jaką wieś mogło chodzić, w *Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, wydanym w latach 1880–1902 w Warszawie przez Filipa Sulimierskiego, Władysława Walewskiego i Bronisława Chlebowskiego, nie występuje bowiem takie hasło. Współcześnie nazywa się tak wieś, znajdująca się w województwie łódzkim.

<sup>142</sup> Loggia – wnęka w zewnętrznej płaszczyźnie budynku.

życzka o czerwonym dachu i taras, z którego kilka stopni prowadziło do ogrodu.

– Idźcie panie ino aleją! – mówił chłop – a już tam weńdziecie do ogrodu, a stamtąd do dworu.

Ślimak wolno wszedł w topolową aleję.

Idąc, zastanawiał się, jak mu postąpić należy. Czy zameldować się i kazać oficjalnie poprosić baronową o posłuchanie, czy czekać jakiego wypadku, który dozwoliłby mu spotkać baronową sam na sam.

Nagle na przeciwnym końcu alei dostrzegł Ślimak pędzących ku niemu kilku mężczyzn na koniach.

Wyjechali z bramy pałacowej i jechali ku niemu dobrym klusem.

Ślimak usunął się na bok pod topolę i wyteżywszy wzrok, śledził, czy nie dojrzy pomiędzy grupą jeźdźców amazonki<sup>143</sup>. Lękał się, aby baronowa nie wyjechała na jakąś dłuższą wycieczkę.

Lecz byli to sami mężczyźni, młodzi, szykowni i umiejący jeździć doskonale konno.

Co zaś do koni, nie były one nadzwyczajne. Widocznie baronowa lepiej znała się na sukniach niż na koniach.

Gdy jeźdźcy zrównali się ze Ślimakiem, żaden z nich nie spojrzał na niepozornego człowieka, usuwającego się tak grzecznie za pień topoli.

Jeden tylko z nich, jadący z samego brzegu, przejeżdżając tak blisko Ślimaka, że otarł się prawie o jego odzież, spojrzał na niego bystro spod brwi ściągniętych.

Ślimak poznał w jeźdźcu hrabiego. Była to krótka chwila, ale cała nienawiść, jaką biedny agent czuł do tego człowieka, który starał się odebrać mu Wandzię, wezbrała w sercu Ślimaka i skoncentrowała się w jego wzroku.

Hrabia zmieszał się pod siłą tego spojrzenia.

Widocznie jakiś zdenerwowany, bo bardzo błądy i zmęczony trawiącymi go myślami, aż cofnął się na siodle i ręka jego mimo woli szarpnęła cugle. Koń, tak niespodzianie szarpnięty, cofnął się w tył gwałtownie i hrabiemu o mało nie spadła z głowy dżokejka.

Zirytowany, gniewny zwrócił się do Ślimaka i wyprostowawszy się, rzucił mu przez zaciśnięte zęby:

– Włóczęgi... konie strasz!...

---

<sup>143</sup> Amazonka – tu: kobieta jadąca konno.



I zanim Ślimak zdołał wymówić jedno słowo, hrabia, opanowawszy konia, puścił się galopem za towarzyszami, którzy już spory kawał drogi go wyprzedzili.

Ślimak z całą pogardą spojrzął za odjeżdżającym.

Jakiś prąd strasznej nienawiści ogarniał tych obu mężczyzn. Ślimak widział, jak hrabia obejrzał się jeszcze, jakby chcąc widzieć, czy ten „włóczęga” pośpieszy do dworu, lecz instynkt ostrzegł agenta, aby przeczekał parę minut, aż jeźdźcy znikną zupełnie i tym samym hrabia nie będzie wiedział, dokąd właściwie Ślimak dąży.

Topolowa aleja bowiem prowadziła i do drogi, wiodącej do szkoły i na plebanię.

Gdy Ślimak zauważył, że hrabia oddalił się na tyle, iż widzieć go nie może, zaczął iść śpiesznie w kierunku dworu. Teraz już był zdecydowany. Postanowił zaryzykować na jedną kartę bardzo wiele i albo wygrać, albo przegrać tę stawkę, od której szczęście jego życia zależało.

Słowa obelżywe hrabiego dodały Ślimakowi potrzebnej energii, zbudziły go i kazały działać bez zwłoki.

W takim usposobieniu agent przeszedł bramę i wszedł na dziedzińiec. Na dziedzińcu dostrzegł jakąś postać kobiecą, ubraną w lilamuślinowy szlafrok, opartą o balustradę.

Patrzyła na drogę, gdzie w oddali widać było znikające postacie jeźdźców.

Ślimak od razu poznał baronową, choć ubranie jej było bardzo młodzieńcze, a głowę przyozdobiła zalotna dama w ogromną pasterkę<sup>144</sup>, ubraną ślicznymi różami.

Ślimak zbliżył się, rad, że los ułatwił mu to spotkanie.

Uznał, że od sposobu w jaki się przedstawi, zależeć będzie los rozmowy z baronową.

Wyprostował się więc, przybrał wyraz twarzy stanowczy i urzędowy.

Baronowa patrzyła na niego mocno zdziwiona.

– Czego pan sobie życzy? – przemówiła nareszcie, mierząc agenta swym impertynenckim spojrzeniem.

Lecz on wytrzymał ten wzrok i odezwał się chłodnym, lecz energicznym tonem:

– Czy mówię z panią baronową Bruszkowską?

– Tak jest. Kim pan jesteś?

---

<sup>144</sup> Pasterka – tu: kapelusz z wielkim rondem.

– Jestem agentem policyjnym – odparł surowo i ostro Ślimak.

Baronowa aż cofnęła się w tył.

– Po co pan tu przyjeżdża? – zapytała – u mnie nic nie ukradziono, nikogo nie zabito... nie wzywano pana. Po co więc pan tu przychodzi?

Ślimak spojrział na nią badawczo. Jego dobrotliwe oczy przybrały wyraz stalowy<sup>145</sup> i nieugięty. Czuł, że w ten sposób zyskuje przewagę nad baronową, która, jak każda nerwowa kobieta, lękała się nadzwyczaj policji i wkroczenia władz w jej zacisze domowe.

– Pozwoli pani baronowa – wyrzekł Ślimak – że pomówię z nią otwarcie i sam na sam.

Baronowa ukazała ręką dokoła.

– Jesteśmy sami.

– Nie... w tym ogrodzie jest mówić niewłaściwie i niebezpiecznie.

Proszę o rozmowę w domu, w pokoju.

W oczach baronowej odmalowała się tak jasno nieufność, iż Ślimak zrozumiał, skąd ona pochodzi.

Baronowa mogła lękać się tego nieznanego człowieka, który zjawiał się przed nią nagle i żądał pozostać z nią sam na sam.

Mógł to być zwykły awanturnik, złodziej, wariat, może nawet zabójca.

Szybko Ślimak sięgnął do kieszeni wyjął z niej swą policyjną legitymację, opatrzoną fotografią i ukazał baronowej.

– Proszę – wyrzekł – oto moja legitymacja!

Baronowa, po części uspokojona, zwróciła się ku drzwiom, wskazując Ślimakowi drogę.

Weszli do domu i szli przez szereg pokoi umeblowanych bogato, lecz bez gustu.

Dużo tam było portier<sup>146</sup> aksamitnych, złożonych parawanów, gablotek, imitujących mahoń, lamp z abażurami koronkowymi i palm, zasuszonych w porcelanowych wazonach.

Nie było jednak wielkopańskiego szyku, nie było tego gustu, który nabywa się dobrą rasą i pochodzeniem.

Wreszcie baronowa zatrzymała się w małym pokoiku, gdzie stało biurko i kilka szaf z książkami.

<sup>145</sup> Wyraz stalowy – ostry, twardy.

<sup>146</sup> Portiera – zastona drzwi, wykonana z jedwabnych materiałów.

– Tu będziemy mogli pomówić swobodnie – wyrzekła, stojąc przy biurku w postawie wyczekującej – co mi pan masz do powiedzenia?

Ślimak zrozumiał, że ta kobieta chce gwałtem traktować go jako istotę bardzo podrzędnego gatunku.

Zrozumiał i to jednakże, że tylko jego pewność siebie i siła mogą jej zaimponować i skłonić do wyświetlenia kwestii, co do których postanowił skierować swe badania.

Wyprostował się więc, zdobywając się na całą możliwą energię i ruchem grzecznym, ale suchym, wskazał jej krzesło.

– Zechce pani usiąść!

Baronowa zdumiona, chwilę się zawahała, usiadła jednak na pobliskim taborecie.

Ślimak zajął miejsce przy biurku i powoli, nie śpiesząc się, wyjął pugilares, a z niego pakiecik ze szpilkami.

Rozwinął bibułkę i od razu, bez żadnego wstępu, zapytał:

– To są pani szpilki? wszak prawda?

Baronowa wyciągnęła rękę, wzięła jedną ze szpilek, przyjrzała się i potakująco skinęła głową.

– Tak jest. To moja inwencja. Ja sama narysowałam takie szpilki i zamawiam je u mego jubilera w Wiedniu.

– Wiem... na Grabenie.

– Tak, u Bernarda Tauchnitza<sup>147</sup>.

– U Tauchnitza, tak.

Ślimak aż zadrzał z radości, słysząc tak szybko wypowiedziane nazwisko jubilera.

Baronowa sięgnęła ręką do swej misternej fryzury, którą Zosia nazywała „wrzodami”.

– O! tu we włosach mam kilkanaście takich szpilek, proszę... proszę...

Wysypała na biurko kilka zupełnie podobnych szpilek.

– Czy nikt oprócz pani baronowej nie posiada podobnych szpilek? – pytał dalej Ślimak.

– Tauchnitz ma surowo zakazane, aby nikomu nie sprzedawał i sądzię, że rozkaz ten wypełnia. Za dobrą jestem klientką.

Roześmiała się z dumą parwenuiszki<sup>148</sup>.

<sup>147</sup> Bernard Tauchnitz – nie udało się ustalić, czy ktoś taki rzeczywiście istniał.

<sup>148</sup> Parwenuiszka – osoba, która posiada ogromny majątek, choć nie jest to jej zasługą.

- Czy jednak pani baronowa nie darowuje albo nie gubi tych szpilek?
- Nie wiem... Naturalnie, że mi giną. Może kradną, może gubię...

Zużywam je tuzinami.

Ślimak zdążył teraz do najgłówniejszego pytania.

Ogarnął go lęk, bo wiedział i czuł, że od tego pytania wiele zawisło<sup>149</sup>.

– A czy pani baronowa... nie ofiarowała komu butonierki kwiatowej, zrobionej za pomocą takiej szpilki?

Baronowa roześmiała się i aż klasnęła w ręce.

– A to z pana czarodziej. Wiesz pan bardzo dużo...

– Proszę o odpowiedź.

– A gdybym odmówiła?

Ślimak przeraził się, widząc jak nagle zmarszczyła brwi i zacisnęła usta.

– Tego pani baronowa nie uczyni – wyrzekł z wysiłkiem – pani baronowa może zrozumie, iż chodzi tu o rzecz ważną, skoro badam panią w tak natrętny sposób.

– Ważną? dla kogo?

– Dla niewinnie posądzanego, dla kogoś, kto może życiem przypłacić milczenie pani baronowej.

Baronowa aż pobladała.

– Cóż to za sprawa? – zapytała – w którą ja jestem wpętana?

– Nie pani – wyrzekł uspokajająco Ślimak – lecz pani może przyczynić się do rozjaśnienia prawdy, do ocalenia życia człowieka, który w tej chwili kona z trwogi i smutku w więzieniu.

Baronowa zamyśliła się.

Była to w gruncie rzeczy dobra kobieta, popsuta tylko powodzeniem i szczęściem, jakim los ją obdarzał niemal od urodzenia.

– Pytaj pan – wyrzekła – odpowiem z całą szczerością, o ile tylko to będzie w mej mocy.

– A więc, powracam do mego poprzedniego pytania. Czy pani baronowa nie używała tych szpileczek do butonierek kwiatowych dla siebie i dla swych znajomych?

– Czasami, na wieczorach lub w teatrze...

– Czy pani baronowa nie przypomina sobie, komu tydzień temu mogła ofiarować butonierkę, złożoną z tuberozy, przebitej właśnie taką szpileczką?

---

<sup>149</sup> Zawisnąć – tu: zależeć.

Nastało milczenie.

Baronowa widocznie odmawiała odpowiedzi.

– Czy pani baronowa nie przypomina sobie? – nalegał Ślimak, a pot mu zaczął występować na czoło.

– Czy pan znalazłeś taką butonierkę? – zapytała wreszcie baronowa.

Ślimak sięgnął do pugilaresu i z bibułki wyjął przegniłe płatki kwiatu.

– Tak... oto tuberoza.

– I gdzie znalazłeś pan te kwiaty?

– Przy trupie młodej kobiety, którą wyłowiono z wody.

– A!...

Baronowa milczała, oddychając ciężko. Ślimak porwał się z miejsca.

– Pani baronowo! – zawołał – błagam panią... przemów... powiedz całą prawdę. Może dałaś ten kwiat tej nieznannej kobiecie? W takim razie powiesz nam wreszcie, kim ona jest i skąd się wzięła w Krakowie. Jeżeli zaś ofiarowałaś taką butonierkę komu innemu, naprowadzisz nas na właściwą drogę....

– Czego?

– Morderstwa. Dowiemy się, kto jest zabójcą.

Teraz baronowa zerwała się i oczy jej zapłonęły.

– To nieprawda! on nie mógł zabić!...

Ślimak natychmiast podchwycił.

– *On*, a więc pani przyznajesz, że dałaś ten kwiat mężczyźnie!

– Nic nie przyznaję – zawołała baronowa – nic! Dlaczego mnie pan męczysz? dlaczego podchwytujesz moje słowa?... Jakim prawem? Ja nie chcę być badaną. Nie odpowiem nic! nic!...

Upadła znów na krzesło i zaniosła się nerwowym płaczem.

Ślimak nie ruszył się z miejsca. Czekał długą chwilę, wreszcie zebrawszy całą przytomność umysłu, cały spryt i przebiegłość, odezwał się cichym głosem:

– To źle, że pani baronowa mówić nie chce. W ten sposób i pani baronowa dowiedziałyby się prawdy. Jeżeli ten *ktoś* otrzymał od pani baronowej butonierkę, a potem znaleziono ją uwikłaną przy trupie tej nieznannej, pięknej kobiety, jasnym jest, iż *ktoś* musiał znać tę kobietę. Kto wie... może jej ofiarował ten kwiat, otrzymany od pani baronowej...

Baronowa przestała płakać i widocznym było, iż zastanawia się nad słowami Ślimaka.

Wreszcie otarła oczy i spod brwi zsuniętych spojrzała na agenta.

– Tak pan sądzisz? – spytała.

– Jest to jasne i logiczne! – odparł Ślimak, nabierając nadziei, że pod wpływem zazdrości baronowa przyzna się komu i kiedy dała ową tuberozę.

– A więc? – zapytał nalegająco.

Lecz baronowa widocznie była silniej zaangażowana w tej grze, niż Ślimak przypuszczał.

– Nie! – odparła stanowczo, powstając z miejsca – nie, nie powiem nic!

Ślimak w jej głosie uczuł tyle stanowczości, że nie nalegał więcej, rozumiejąc, iż to się na nic nie zda.

Instykt kochającej kobiety kazał baronowej chronić człowieka ukochanego przed niebezpieczeństwem.

Lecz bystrość Ślimaka rozwijać się zaczęła z niezwykłą szybkością. Jego spryt budził się i nabierał wielkiej rzutkości. Stojąc tak przed milczącą baronową, Ślimak w jednej chwili nakreślił sobie cały plan działania.

Plan ten mógł powieść się doskonale, bez żadnej pomocy ze strony baronowej. Skłonił się więc i wyszedł z biblioteki, pozostawiając baronową zgnębiałą, zdumioną i przemyślającą, co jej czynić wypada.

Ślimak, wyszedłszy na taras, zastał na nim lokaja, zajętego ustawianiem nowo nabytych czerwonych, trzciniowych mebli.

Agent szybko zwrócił się do służącego i zapytał:

– Kiedy panowie wrócą ze spaceru?

– Jaśnie panowie wrócą późno w nocy, bo pojechali do Radoszyc<sup>150</sup> – odparł lokaj.

– Późno w nocy – pomyślał Ślimak, schodząc z tarasu do ogrodu – w ten sposób mam jeszcze przed sobą dosyć czasu. Muszę jednak bezwzględnie jechać do Krakowa.

I tu traf mu sprzyjał. Gdy wrócił na stację, nadjeżdżał pociąg towarowy, jadący do Krakowa. Za godzinę mógł być na miejscu. Należało natychmiast dowiedzieć się, komu mogła ofiarować tuberozę.

Na to już Ślimak miał sposób.

<sup>150</sup> Radoszyce – wieś na Kielecczyźnie, 18 km od Końskich.

## XI

**Ślimak rozwija całą energię – Kwiaty pani baronowej –  
Wiązanka róż i tuberoz dla pana hrabiego**

Gdy wreszcie agent znalazł się w Krakowie, obliczył przede wszystkim pieniądze, jakie miał przy sobie.

Chodziło mu bowiem o pośpiech, a więc musiał brać dorożki, co na jego szczupłą kasę, wyczerpaną podróżą do baronowej, było dość ciężkie.

W kasie oszczędności miał trochę pieniędzy, nie chciał jednak marnować czasu na odbieranie.

Gorączka go opanowała. Nigdy jeszcze nie był tak silnie podniecony i pełen otuchy. Nie czuł głodu, zapomniał, że nie jadł obiadu. Wskoczył w dorożkę i kazał się zawieźć do hotelu Pollera.

Jadąc, przechodził<sup>151</sup> plan działania i przyszedł do przekonania, że ten będzie najlepszy. Gdy dojeżdżał do hotelu, był ciągle zgorączkowany, ale patrzył na swoje czyny jasno i zdawał sobie z nich dokładnie sprawę.

W hotelu starał się dowiedzieć, gdzie baronowa kupowała zwykle dla siebie kwiaty. Okazało się, że przynoszono dla niej wiązanek i bukiety od Freegowej, Michalskiej, często i od Józefitów<sup>152</sup>. Stałego dostawcy nie miała.

Czasem również nadchodziły bukiety z Wiednia od Stummera z Kärtnerstrasse<sup>153</sup>, jak to widziała służba po pudłach. W ostatnich czasach jednak baronowa nie kupowała bukietów, ale je otrzymywała wiadcownie. Po ściślejszym zbadaniu okazało się, iż wiązanek kwiatów przynosił przeważnie hrabia.

Ślimak usiłował dalej wy badać pokojówkę, która bukiety owe wyrzucała, z jakich przeważnie kwiatów składały się one. Lecz wiadomo-

---

<sup>151</sup> Przechodził – obmyślał, opracowywał.

<sup>152</sup> Józefici – „Zakład św. Józefa dla osieroconych chłopców” na ul. Karmelickiej 66; firma posiadająca identyczny asortyment jak kwiaciarnie, będąca jednocześnie dużym zakładem uprawiającym rośliny, sprzedającym nasiona, drzewa, krzewy itp. Firma ta wykonywała takie same zamówienia w postaci bukietów, wiązanek i dekoracji kwiatowych jak kwiaciarnie.

<sup>153</sup> Stummer z Kärtnerstrasse – firma wiedeńska, zajmująca się tworzeniem bukietów; znajdowała się na ul. Kärtnerstrasse, czyli na znanym wiedeńskim deptaku.

ści dziewczyny z dziedziny botaniki były ograniczone i oprócz tego, że kwiaty były „śliczne”, nic więcej Ślimak dowiedzieć się nie mógł.

Wyszedł z hotelu trochę z mniejszą fantazją, lecz niezniechęcony.

Wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć do sklepów z kwiatami. W dwóch pierwszorzędnych magazynach powtórzono Ślimakowi to samo co w hotelu.

Baronowa kupowała kwiaty, zwłaszcza wiązanek do paska, które zawsze nosiła, ale od dwóch tygodni przestała je zamawiać.

– Z czego się składały te wiązanek? – pytał Ślimak – może sobie panie przypomną.

– Bardzo łatwo – odpowiedziano mu w sklepie pani Michalskiej – baronowa lubiła niezmiernie pąsowe kwiaty. Musieliśmy się zawsze starać o kwiaty sezonowe tego koloru. Róże, gwoździki, kamelie, czasem nawet maki. Wszystko jedno, byle barwa była czerwona. Przy tym baronowa nie lubiła zapachu kwiatów. Musieliśmy się starać, aby wiązanek były, o ile możliwości, bezwonne. Mówiła, że to ją nabawia migreny.

– A tuberozy? – zapytał Ślimak – czy w ostatnich dniach, tak... około tygodnia nie zamawiała baronowa bukietu, gdzie choćby przez nieuwagę wsunięto kwiaty tuberozy?

– O nie! – odpowiedział subiekt – to niemożliwe. Baronowa byłaby nam zwróciła wiązanek albo robiła wymówki. Tuberozy specjalnie baronowa znieść nie mogła.

Ślimak, wsiadłszy znów do dorożki, kazał się zawieźć do Józefi-tów. Była to ostatnia jego nadzieja. Może tam sobie przypomną, kiedy mianowicie i którego dnia baronowa miała przy sobie bukiet, w którym były tuberozy.

Na żądanie Ślimaka przejrano książki. Nie było w nich od kilku tygodni nazwiska baronowej. Przed miesiącem wysłano do hotelu Polle-  
ra kilka palm do ubrania apartamentu.

To było wszystko.

Ślimak jednak upierał się przy swoim. Oparty o kontuar, sam czy-  
tał adresy klientów. Przez otwarte okna słychać było wesołe głosy  
chłopców, pracujących w ogrodzie. W kącie kantoru stały całe szereg  
doniczek gwoździków i woń biła od nich ostra i odurzająca.

Ślimak, pochylony nad książką, doznał nagle wielkiego uczucia  
zmęczenia. Od rana żył w takiej gorączce, że dłużej w tym wytrwać nie  
mógł. Zaczął tracić nadzieję dojścia do prawdy tą drogą. Rozmyślał  
więc, co ma czynić, aby jak najprędzej dotrzeć do dna rzeczy.



Machinalnie już teraz patrzył na adresy. Powtarzały się tam nazwiska panien na wydaniu, dalej artystek, artystów, osób prywatnych w dzień imienin. Obok były podane adresa.

Ślimak odczytywał te nazwiska znużonym wzrokiem. Uczuł, że był głodny i zmęczony. Zaprzagnął zasnąć choć na chwilę, tak silne było jego wyczerpanie nerwowe.

Nagle wzrok jego zatrzymał się uparcie na następujących słowach:

– Wiązanka róż i tuberoz, ulica Studencka nr 7, parter, godzina 6-ta.

Przypomniał sobie, iż właśnie pod tym numerem na Studenckiej ulicy mieszka hrabia.

– Kto obstalował tę wiązanke?

– Hrabia L. – brzmiała odpowiedź.

Ślimak z bijącym sercem sprawdzał daty. Zgadzała się data obstalowania wiązanki z datą dwóch dni przed znalezieniem topielicy.

– Czy hrabia często obstalowywał wiązanki?

W ostatnich czasach kilka razy.

– Czy zawsze oddawaliście panowie tuberozy?

– Zawsze. Hrabia lubił ten kwiat nad inne kwiaty.

– Czy brał u was butonierki z tuberoz?

– Często musieliśmy wkładać kwiaty do osobnej tutki<sup>154</sup> z aluminium, aby nie uwiędły. Hrabia przywiózł sobie takie tutki z Paryża. Zgubił jednak ostatnią tydzień temu i był tym bardzo zirytowany. Mówił, że mu szpilka zniszczyła smoking.

– Czy panowie mu robili tę butonierkę ze szpilką?

– Uchowaj Boże! To hrabia sam ją zrobił czy ktoś mu to sfabrykował na mieście. My robimy nasze butonierki solidnie i umiejętnie. Nie niszczą ubrania.

Ślimak uczył, że go gorączka ogarnia na nowo.

– A więc hrabia był u panów po ostatnim obstalunku?

– Tak... Zamówił bukiet do podróży dla jakiejś damy. Zajechał jednak sam po niego. O... tu zapisane. Bukiet do drogi... guldenów<sup>155</sup> dziesięć....

Ślimak przepisał sobie dokładnie datę dnia, w którym zamówił hrabia na godzinę szóstą wiązanke dla baronowej. Wiedział już dużo, szło tylko o dalsze informacje.

<sup>154</sup> Tutka – zwitek papieru w kształcie trąbki, lejka.

<sup>155</sup> Gulden – moneta austriacka, złoty reński austriacki.

Wybiegł z kantoru i znów wsiadł do doróżki, lecz koń był zmęczony i Ślimak musiał przesiąść się do innej doróżki na rogu Batorego. Powrócił do hotelu Pollera. Rozpoczęły się znów badania służby.

Gdzie mianowicie baronowa spędziła wieczór, w którym dostała od hrabiego ową wiązaną kwiatów, kupioną przez niego u Józefitów.

Nikt jednak nie mógł sobie przypomnieć.

Portier pamiętał tylko, że hrabia przyszedł około siódmej, w parę minut później zeszedł i powrócił znów w niespełna kwadrans. Czy jednak później z baronową wyszli – nie przypominał sobie.

Nagle jednak uderzył się w czoło.

– A, afisz!... – zawołał.

– Tak, tak – przypomniał sobie dokładnie. – Grano dnia tego jakąś sensacyjną sztukę i baronowa przysłała po afisz, chcąc się dowiedzieć, co grają.

Prawdopodobnie byli w teatrze.

Ślimak czym prędzej udał się do teatru. Kasa była otwarta.

W okienku drzemał lub oganiał się od much kasjer.

Znał dobrze Ślimaka, więc przywitał się z nim uprzejmie.

Pora była ogórkowa<sup>156</sup>. Nikt nie przychodził po bilet. Pan kasjer umierał z nudów.

Nader zręcznie Ślimak sprowadził rozmowę na teren mu potrzebny.

Utyskując nad brakiem publiczności o tej porze, zaczął wymieniać nazwiska bywalców teatralnych, którzy jeden po drugim wyjeżdżali z miasta.

– Baronowa Bruszkowska także wyjechała – rzucił od niechcienia.

– Przyznam się, że tej nie żałuję – odparł kasjer – wiecznie z nią miałem utrapienie. Zamawiała łożę... potem nie brała lub bez zamówienia chciała, aby jej łożę zostawiano.

– Ale bywała często w teatrze?

– Dosyć. W każdym razie odetchnąłem, gdy wyjechała.

– Ostatni raz miał pan także z nią nieprzyjemności?

– Spodziewam się. Pamiętam doskonale. Zamówiła łożę numer ósmy. Nie przysłała po nią cały dzień. Sprzedaję więc łożę. Nagle przychodzi jej kaprys pójścia do teatru i przysłała po siódmej o łożę. Miałem numer dwunasty i ten jej dałem...

– Kogo przysłała?

---

<sup>156</sup> Pora ogórkowa – okres letniego zastoju w pracy, w życiu kulturalnym miasta.

– Jednego z młodzieży... nie wiem dokładnie nazwiska, bo to ktoś przejezdny. Była pomiędzy nami cała scena, bo ten pan utrzymywał, iż obowiązkiem moim było zatrzymać go do ostatniej chwili. Ja zaś zrobiłem swoje. Zatelefonowałem z zapytaniem, a baronowa, jak mi odpowiedział portier, dopiero sobie wtedy kazała przynieść afisz, aby się dowiedzieć, co grają.

– Ale w teatrze była?

– Była! była... Jeszcze się zatrzymała przed kasą, aby mi robić wymówki.

– Kto jej towarzyszył?

– Ten sam młody człowiek. Trzymał w ręku jej wachlarz i kwiaty. Zdaje mi się, że to jej narzeczony.

Zjawił się rzadki gość, pragnący spędzić upalny wieczór w teatrze. Kasjer zajął się nim, a Ślimak wysunął się cichutko z kasy na plac.

Wiedział już bardzo dużo.

Wiedział mianowicie, iż ten wieczór hrabia spędził z baronową, że mieli tuberozy i że hrabiemu szpilka podarła butonierkę smokingu.

Ślimak skierował się na Planty i tam usiadł na ławce. Mnóstwo osób siedziało pod cieniem drzew. Dzieci nawet zmęczone gorącem nie biegały i nie hałasowały jak zwykle.

Ślimak nie był zadowolony.

Cały gmach jego przypuszczeń był zbudowany na kruchych podstawach. Lecz z drugiej strony nie było przyczyny do opuszczania rąk, należało działać.

Szklanka sodowej wody pokrzepiła Ślimaka. Wypiwszy ją, zaczął znów układać dalsze plany.

Rezultatem ich było, że Ślimak powrócił znów do teatru.

Przed gmachem, na oknach suteryn siedziało kilku maszynistów<sup>157</sup>.

Wygrzewali się na słońcu i rozmawiali o wspólnej biedzie, o niezapomnianej przyszłości, o małej płacy i o innych swych troskach.

Ślimak przyjrzał się im uważnie. Skinął na jednego z nich o twarzy inteligentnej, odzianego w błękitną bluzę.

Maszynista podszedł natychmiast usłuźnie i chętnie.

Ślimak chciał się poinformować, gdzie mieszka i kim jest bileter i garderobiana, która po stronie łóż, gdzie była tego wieczoru baronowa, swe funkcje wypełnia.

<sup>157</sup> Maszynista – tu: zawiadujący maszynią w teatrze.

Traf zrządził, iż garderobianą była właśnie żona maszynisty.

– Czy wielmożny pan zostawił co w łóżu? – zapytał maszynista – w takim razie może wielmożny pan uda się do sekretarza teatru. Tam bowiem składa się rzeczy zostawione i moja żona zawsze tak robi.

– Nie – odparł Ślimak – chodzi mi tu o co innego. Muszę widzieć się z żoną waszą i prosić ją, aby sobie przypomniła pewne szczegóły.

Maszynista uśmiechnął się. Przypuszczał zapewne, że ten cichy jegomość zakochał się w jakiej młodej pannie, ba, stara się o nią. Wzruszył ramionami i odpowiedział wesoło:

– A no... to niech wielmożny pan chwileczkę poczeka. Zaraz moja przyniesie mi chleba i trochę kawy z domu, to wielmożny pan zapyta o to, co mu potrzeba.

I powrócił na murek do swych towarzyszy, pokazując nieznacznie wymownym gestem, iż według niego Ślimakowi brak jednej klepki w głowie. Ślimak zaś zaczął chodzić po placu zamyślony, nie zważając, że jest punktem obserwacji całej grupy maszynistów.

## XII

### Relacja garderobianej teatralnej – Wycieczka hrabiego na ulicę Wolską

Niedługo Ślimak czekał. Od strony Plant pojawiła się młoda kobieta czysto ubrana, w kapeluszu, niosąca mały koszyczek, a w nim podwieczorek dla męża.

Podeszła do grupy maszynistów i podała mężowi koszyk. On zaś, nie podniósłszy przykrycia koszyka, odstawił go na ziemię i zaczął coś żywo żonie opowiadać.

Wreszcie wskazał na Ślimaka. Ona szybko jak kobieta zapracowana, która nie ma wiele czasu do stracenia podeszła do agenta.

– Czego wielmożny pan sobie życzy? – zapytała grzecznie.

Ślimak spojrział na nią uważnie. Podobała mu się jej twarz wesoła i uczciwa.

– Czy zna pani baronową Bruszkowską?

– Bardzo dobrze, pani baronowa często bywa w teatrze.

– Chciałbym wiedzieć pewne szczegóły, co do bytności pani baronowej na ostatnim przedstawieniu: „Śnie nocy letniej”<sup>158</sup>. Było to przed tygodniem, jeszcze przed wylewem...

Kobieta pokręciła głową.

– To było dawniej. A potem... ja...

Ślimak uśmiechnął się.

– Pani się obawia, że będzie niedyskretną. Ale ja mam pewne prawo pytać się. Jestem z policji.

– A!...

– Zresztą pytam panią w dobrej sprawie. Chcę ocalić niewinnie osądzonego, a wykryć zbrodniarza. Pani mi może dopomóc, proszę więc zebrać całą pamięć i przypomnieć sobie, co tylko będzie w pani mocy!

Młoda kobieta, przed chwilą zaniepokojona, rozjaśniła twarz i odparła gorąco:

– O, panie inspektorze, jeżeli to chodzi o ocalenie niewinnego człowieka, to uczynię wszystko, co będzie w mej mocy, aby dopomóc panu.

– Dziękuję... A teraz uważaj pani na moje pytania. Czy możesz sobie przypomnieć, kto był wtedy w łoży z baronową Bruszkowską?

– Przypomnę sobie łatwo, bo gości było niewiele. Pani baronowa przysłała w towarzystwie jednego pana hrabiego, który zwykle siadywał w krzesłach<sup>159</sup>.

– Czy ten hrabia nie uczęszczał do kasynowej łoży<sup>160</sup>?

– Nie, to był przejezdny, z Litwy czy jeszcze dalej, już nie wiem dokładnie.

– A dnia tego – badał dalej Ślimak – czy kto jeszcze oprócz hrabiego wchodził do łoży baronowej?

Ślimak, zadając to pytanie, uczuł wielki niepokój. Jeżeli bowiem inni mężczyźni wchodziłi do łoży, jakże się zorientuje pomiędzy nimi, jakże się dowie, który otrzymał ową nieszczęsną butonierkę z rąk baronowej?

Garderobiana namyśliła się chwilkę, wreszcie odpowiedziała:

– Nie, ci państwo przesiedzieli całą połowę sztuki sami. Nikt się nie zjawił w łoży. Pamiętam dobrze ten szczegół, bo mówiłam do bilete-

<sup>158</sup> *Sen nocy letniej* – tytuł komedii (1595) Wiliama Szekspira.

<sup>159</sup> Siadywać w krzesłach – tj. na miejscu parterowym.

<sup>160</sup> Kasynowa łoża – wytorny balkonik (pomieszczenie) dla stałych członków, widzów.

ra: „Teraz w Krakowie nie ma nikogo, bo łoża pani baronowej pusta i nikt ją nie przychodzi odwiedzić”.

– Więc byli sami?

– Tak, zupełnie sami.

Ślimak przerwał na chwilę indagację<sup>161</sup>, bo radość ogarnęła jego umysł. Wiedział już teraz, jak się orientować powinien.

– Czy baronowa miała wtedy kwiaty? – zapytał nareszcie.

Młoda kobieta zaczęła się śmiać wesoło.

– Naturalnie, pani baronowa zawsze miała kwiaty, ale niewiele o nie dbała. Rzuciła je w łoży i zabierałam je do domu. I wtedy miała śliczny bukiet róż i takich białych, pachnących kwiatów. Ale te białe kwiaty wszystkie poobrywała i porzucała na ziemię.

– Tuberozy?

– Aha... tak, tak... to się podobno tak nazywa.

– Czy pani nie przypomina sobie, czy ów hrabia nie miał w klapie butonierki z takiego białego kwiatu?

Młoda kobieta ściągnęła brwi i zaczęła sobie coś usilnie przypominać.

– Zdaje mi się, że miał... choć nie jestem pewna... Gdy wychodził w połowie sztuki i brał palto, zdaje mi się, iż miał biały kwiatek w klapie. Ale tego sobie już dokładnie nie przypominam.

– Więc wychodził w połowie sztuki?

– Tak.

– Ale wrócił?

– Nie... Już więcej nie wrócił. Pomyślałam sobie, że musiał się o coś posprzeczać z panią baronową, skoro zostawił ją samą w łoży. Ale widocznie pan hrabia miał ważny interes, bo zaraz wziął dorożkę i pojechał.

– A pani skąd wie o tym?

– Nie miałam już ani jednego ubrania oddanego przez gości, bo w lecie, to pan inspektor wie, każdy przychodzi bez okrywki<sup>162</sup>, żeby nie płacić. Myślę sobie: pójdę przed teatr do mojego, porozmawiamy trochę. Maszyniści, proszę pana, mają tyle wolnego, co w czasie aktu, a że my ciągle w pracy, to nawet nie mamy nagadać się kiedy. Schodzę więc za hrabią, który był zły... zły... to zaraz mężczyźnie z oczu widać

<sup>161</sup> Indagacja – wypytywanie, badanie szczegółowe, przesłuchanie.

<sup>162</sup> Okrywka – ubranie wierzchnie.

i z tego, jak idzie, i widzę, jak hrabia idzie między dorożki, wsiada do jednej i mówi: „Jedź na Wolską”...

Ślimakowi aż tchu w piersiach nie stawało.

– Dorożkarz się pyta, czy do kasyna, a on, jak nie krzyknie: „do roгатki<sup>163</sup> ośle!”... i pojechali.

– Czy mogłaby pani wskazać dorożkę, którą pojechał hrabia?

– Co to... to trudno... dorożki są wszystkie do siebie podobne.

A potem noc już była...

Ślimak milczał przez chwilę.

Czuł, że już wszystko wydobył z tej kobiety i że nic już się więcej od niej nie dowie.

Nowa myśl zaświtała mu do głowy.

– Ale... gdyby wieczorem poprowadzić panią pomiędzy dorożki... mogłaby pani może po czym rozpoznać tę dorożkę?

Garderobiana pokręciła głową.

– Może... a... pamiętam jedno. Koń był biały...

– To już dużo... Na teraz dziękuję pani. Proszę to, o co panią pytałem, zatrzymać w tajemnicy.

Przestrach odmalował się na ładnej twarzyczce kobiety.

– Ale ja nie będę stawać przed sądem?

– Nie, nie – uspokajał ją Ślimak – proszę się nie bać. A teraz... milczenie!

Odszedł, kłaniając się uprzejmie.

Szedł szybko, bo postanowił teraz udać się na ulicę Studencką, aby tam zasięgnąć dalszych informacji.

### XIII

#### **Co stróż Jan Ślimakowi powiedział – Krawiec nadworny pana hrabiego – Naprawiona butonierka**

Przy ulicy Studenckiej, około znanych Ślimakowi sztachetek ogródka, stał właśnie stróż Jan i kręcił ze zdumieniem głową.

---

<sup>163</sup> Rogatka – bariera, szlaban.

Jakkolwiek banda Antka sprawiała się lekko i ostrożnie, najwyraźniej dostrzec było można, iż kwiaty w ogródku, trawa i krzewy były zniszczone.

Co więcej, na trawie leżała porzucona pusta butelka i resztki papierosów. Stróż Jan był tym mocno zafrasowany.

Porządny to bowiem był stróż, odziany czysto, dostatnio – jeden z tych rzadkich okazów stróży, którzy żyją tak, jak ludziom żyć się należy.

Jan miał czystą, widną izdebkę, umeblowaną przyzwoicie. Kręciła się w niej młoda Janowa, a w kołysce wrzeszczał w niebogłosey zdrowy, tłusty chłopak. Jan posługiwał u gospodyni, u lokatorów – froterował<sup>164</sup>, trzepał dywany, pracował od świtu, ale zarabiał nieźle. On to posługiwał także panu hrabiemu. O tym wiedział Ślimak i szedł do Jana, aby teraz ściągnąć z niego potrzebne mu wiadomości.

Jan, odziany w lokajską domową kurtkę z białego w niebieskie pański płótna, gotował się właśnie do wejścia wewnątrz sztachet, gdy Ślimak uderzył go lekko po ramieniu.

Jan poznał agenta, bo stróże zawsze znają agentów policyjnych. Nie zdziwiła go ta wizyta. Od pewnego czasu bowiem policja śledziła życie i środki utrzymania hrabiego, chcąc wyrobić sobie przekonanie, kim jest ów szkodny ptak niebieski.

Ślimak od razu przystąpił do rzeczy.

– Mój Janie – wyrzekł półgłosem – mam zadać wam kilka pytań.

– Proszę pana inspektora...

Oczy Jana ciągle bieżyły w kierunku wydeptanej trawy i leżącej na niej butelki.

– Czy Jan wie mniej więcej, jakie ubrania miał hrabia, który tu w tych oknach parterowych mieszkał?

– Przecież u niego posługiwał

– Wiem o tym i dlatego się Jana o to pytam. Czy hrabia zabrał na wieś wszystkie ubrania, czy pozostawił część w mieszkaniu?

Ślimak umyślnie kołował pytaniami, nie chcąc budzić zbyt wielkiej czujności stróża. Hrabia mógł niespodzianie wrócić ze wsi, a Jan, w przystępie gorliwości, mógł go objaśnić natychmiast o wszystkim.

Jan zdawał się namyślać i przypominać sobie z trudnością, czy i jakie ubrania pozostawił hrabia w mieszkaniu.

---

<sup>164</sup> Froterować – woskować i polerować szczotkami posadzki.



– A no... zostały się tam zimowe ubrania i inne jeszcze, bo pan hrabia ma mnóstwo garniturów! – powiedział wreszcie jakby z niechęcią.

– Czy frak hrabia wziął ze sobą?

– Nie, frak wisi w szafie.

– A anglez<sup>165</sup>?

Choć Jan był już bardzo otarty<sup>166</sup> i ucywilizowany, spojrział pytająco na agenta.

– No... tużurek<sup>167</sup> – powtórzył Ślimak.

– Tużurków pan hrabia ma trzy i te wziął ze sobą.

– A smoking?

Jan spojrział teraz tryumfująco na Ślimaka, wiedział bowiem, co smoking znaczy.

– Smoka? smoka nosiłem do krawca i jeszcze go nie wziąłem stamtąd. Ale go odbiorę przed powrotem hrabiego.

Ślimak uczył, jak serce znów gwałtownie bić mu zaczyna.

– A dlaczego nosiliście smoking do krawca? Przecież był prawie nowy.

– Był nowy – odparł Jan – ale u klapy poszarpane było sukno i trzeba było nowe pod spód wstawić.

– Poszarpane? cóż to hrabia bił się z kim?

Jan spojrział ze zgrozaniem na agenta.

– Co znowu! – odparł – pan hrabia mówił mi, że jak zdejmował paletę<sup>168</sup>, to się wtedy kwiat mu zaczępił, a że tam była szpilka, więc się szarpnęło i podarło...

– Tak? to musiało być na jakieś bibce<sup>169</sup>. Hrabia musiał wrócić trochę cięty<sup>170</sup> i dlatego tak szarpał na sobie ubranie.

Jan znów ze zgrozaniem spojrział na agenta.

– Pan hrabia nigdy nie wracał pijany – odpowiedział – a wtedy to pan hrabia wrócił chory, bo był bardzo błydy, aż zielony. Wrócił jak było widno, choć dopiero się rozwidniło. Jeszcze brama nie była otwarta.

<sup>165</sup> Anglez – takim mianem (oznaczającym taniec angielski albo konia angielskiego) nazywano tutaj tużurek (zob. przyp. kolejne).

<sup>166</sup> Otarty – człowiek okrzęsany, wyćwiczony.

<sup>167</sup> Tużurek – rodzaj okrycia męskiego, podobny do żakietu; miał wycięte i zaokrąglone poły, często aksamitny kołnierz, kieszonkę na lewej piersi oraz kieszonki z patkami, wąskie mankiety przy rękawach; zapinany był na pięć guzików.

<sup>168</sup> Paleta – palto.

<sup>169</sup> Bibka – mocno zakrapiana impreza, balanga.

<sup>170</sup> Cięty – pijany.

Pan hrabia zadzwonił tak słabo, że ja nic nie słyszałem... dopiero moja żona mnie zbudziła... Poszedłem otworzyć, bo pani gospodyni nie pozwala lokatorom mieć własne klucze od bramy. Jakem zobaczył pana hrabiego, to się aż przeląknęłam, bo strasznie mizernie wyglądał...

– No... no... mówcie dalej.

Ślimak sięgnął po papierośnicę i poczęstował Jana papierosem.

Stróż chętnie wziął kilka papierosów, lecz nie zapalił od razu, tylko schował je do kieszeni.

– Tak, tedy – ciągnął dalej – patrzę, a pan hrabia taki chory, że aż się oparł o ścianę. Krawatu nawet nie miał i kołnierzyk przedarty w dziurce od szpilki. A cały gors<sup>171</sup> zmięty... Boże odpuść!... Jakem otworzył bramę, pan hrabia wpadł czym prędzej do swego pomieszkania i zamknął drzwi za sobą. Moja wstała zaraz i chciała mu zanieść herbaty, ale kiedy wszedłem przez kuchnię, to pan hrabia leżał na szezlongu w salonie i płakał, ale to płakał jak dziecko.

– Płakał?

– Tak... szlochał i trząsał się cały. Tak jak wyszedłem z herbatą i czekałem, aż się uspokoi. No i w jaką godzinę pan hrabia wstał, przestał płakać, umył się, ogolił i przebrał. Wtedy ja wziąłem smoka i pokazałem panu hrabiemu, że jest kłapa zniszczona. Pan hrabia mi powiedział, jak się to stało i kazał mi powiesić smoka w szafie. Ale ja sam potem zaniósłem do krawca.

– Do którego?

– Na ulicy Św. Marka<sup>172</sup> 32 mieszka taki krawiec, co reperuje i czyści rzeczy pana hrabiego. Tam jest smoka ciągle jeszcze, bo pan hrabia wyjechał i pieniędzy mi nie zostawił!

Tu Jan zawiesił głos i po chwili dodał:

– Ale zawsze to jest bardzo porządny pan...

Ślimak jednak nie odchodził jeszcze, bo ciągle nowe pytania, jakie miał zadać Janowi, cisnęły mu się do głowy.

– Tak – wyrzekł nareszcie – pan hrabia musiał mieć jakieś zmartwienie, kiedy tak bardzo płakał.

– Ha, no!... Bóg raczy wiedzieć – odparł Jan – może miał zmartwienie.

---

<sup>171</sup> Gors – napierśna część koszuli.

<sup>172</sup> Ulica Św. Marka – ulica znajdująca się na Starym Mieście w Krakowie, biegnąca równoległe do ul. św. Tomasza.

– Musiał mieć tu dużo odwiedzin... kobiety kochały się w nim zapewne... przystojny, elegancki...

– E!... to był bardzo porządny pan. Wreszcie miał się zenić z tą panią, co stała u Pollera. Dosyć się tam nalatałem z listami i z kwiatami. Z początku, jak się tu sprowadził, to... nie mówię, było różnie. Ale na ostatku tylko nosiłem listy do pani baronowej.

– A tego dnia, w którym wrócił pan hrabia z podartym smokiem, czy nikogo u niego nie było?

Jan zaczął się namyślać. Ślimak podsunął mu znów papierośnicę.

– Była jakaś jedna... ale niedługo, bo pan hrabia sam ją na ulicę wyprowadził i widać bardzo chciał, żeby sobie poszła.

– Ładna, młoda?

– Nie widziałem dobrze, bo miała duży kapelusz i zdaje się płakała... Zastaniała twarz rękawiczką i coś mówiła, ale nie po naszymu...

– Jak to nie po naszymu?

– Ano... niby po niemiecku, czy jak, ale to nie po niemiecku... nie wiem. Tylko pan hrabia, aż się trząśł, jak ją zobaczył, ze złości. Ona zaraz, jak weszła, zaczęła krzyczeć i rzucać się... Pan hrabia się bał i zaraz ją wyprowadził, i potem w bramie jeszcze chwilę się kłócili, potem ona się uspokoiła... pan hrabia napisał jej ołówkiem coś na kartce i ona poszła...

– Czy Jan nie pamięta, jak była ubrana?

Jan śmiać się zaczął.

– Ja się na babskich strojach nie znam... Baba to baba... i tyle.

Tu urwał Jan swoje relacje i z miną tajemniczą, wskazując Ślimakowi na wydeptany trawnik, dodał:

– Lepiej niech pan inspektor spojrzy, jak to jacyś złodzieje koło okien pana hrabiego myszkowali<sup>173</sup>. O... tu i tu... a tutaj butelka... mnie się zdaje, że w nocy tu ktoś być musiał!...

– Niech Jan pozostawi to wszystko nietknięte – rzucił Ślimak – dziś jeszcze tu powrócę. Do tej chwili nie ruszać nic... proszę o to.

Przybrał wyraz twarzy surowy, brwi zmarszczył. W tej chwili był zimnym, spełniającym swą czynność urzędnikiem policyjnym. Miał w sobie pewną siłę i powagę.

Jan ukłonił mu się na znak, że rozkaz jego będzie spełniony.

– Do widzenia... Janie.

---

<sup>173</sup> Myszkować – szperać, penetrować, plądrować, poszukiwać.

– Całuję rączki panu inspektorowi!

Ślimak poszedł w stronę Plant i wsiadłszy do dorożki, kazał się zawieźć na ulicę Św. Marka.

Upadł ze znużenia, ale powodzenie obecne jego śledztwa, podtrzymywało go. Czuł, że jest na dobrej drodze i że już nic nie zdoła go z niej sprowadzić.

Jeszcze nie sformułował ostatecznego i niezbitego twierdzenia, opartego niezłomnie na faktach, lecz czuł, że jest już blisko poznania osoby zbrodniarza.

U krawca obejrzał smoking hrabiego. Był jeszcze nienaprawiony i Ślimak błogosławił w tej chwili niesłowność rzemieślników krakowskich. Podał się za kamerdynera hrabiego, który przybył z Litwy, i robił ostre wymówki krawcowi za to, że jeszcze kłapa nie jest zmieniona.

– A wreszcie można było jako zacerować – dodał z dobrze udaną niedbałością.

Krawiec, młody, lecz bardzo mizerny i widocznie zmęczony pracą człowiek, śmiać się zaczął.

– Co też pan mówi... sukno spod spodu było poszarpane jakimś ostrym narzędziem.

– Szpilką?... drutem?...

– Nie wiem... ale czymś mocnym i ostrym. Nie rozumiem, jak panowie mogą wpinać tak kwiaty i niszczyć ubranie. Gdyby choć potem ostrożnie wyciągali te kwiaty, ale szarpiać nie troszcząc się, że drą sukno...

Ślimak ogładał ciągle smoking.

– E! można było ostatecznie zacerować.

Sięgnął do kieszeni, wyjął pugilares, a z niego maluchną paczkę z resztkami przędzy i odrobinami podartego sukna.

– O!... – wyrzekł z udaną dobroduszością – to właśnie znalazłem na drucie kwiatów... Tak znów wiele drut nie wydarł i można było jakoś zacerować.

Krawiec zbliżył się, wziął delikatnie owe resztki sukna w palce i przyłożył do wydartych miejsc kłapy. Pasowały doskonale, pomimo, że woda rozszerzyła je i skrzyła.

– Jak pan chce – wymówił krawiec – ja mogę to zrobić, skoro mi pan te resztki przyniósł. Przyceruję, ale zawsze to będzie nieładnie!

Ślimak nie odpowiadał przez chwilę. Pot mu wystąpił na czoło, gdy widział tak ową przędzę i kłaczki sukna przyłożone i pasujące do smokingu hrabiego.

Przypuszczenia zmieniały się w pewność.

Wreszcie zdołał zebrać myśli i siłą woli pokonał wzruszenie.

– Namyślę się jeszcze – dodał – i poczekam, aż pan hrabia ze wsi wróci... Może rzeczywiście lepiej dać całą klapę nową, bo smoking jeszcze bardzo porządnie wygląda!

Krawiec wzruszył ramionami.

– E! to tylko tak z wierzchu, ale w gruncie to tandecka<sup>174</sup> robota. Pan hrabia bardzo źle robi, że każe robić ubrania na kredyt. Zdzierają go, nie dadzą nic porządnego. Lepiej kupić sukna i dać mi do roboty. Ja tak samo odrobię jak inni. Niech pan tak poradzi panu hrabiemu, a z pewnością... tego nie pożałuje.

– Dobrze... dobrze – odparł Ślimak – a proszę smokingu nie ruszać, aż ja przyjdę. Pan hrabia dziś, jutro powróci.

Krawiec odprowadził Ślimaka do drzwi i raz jeszcze polecił się względem kamerdynera pana hrabiego.

Ślimak zszedł na dół, jak pijany z radości, że udało mu się wreszcie znaleźć ślad konkretny i dowód niezbity.

Gdy stanął na ulicy miał już wyrobione zdanie z tej sprawie.

Zabójcą „księżniczki”, znalezionej przez Antka, nie był nikt inny, tylko piękny hrabia ze Studenckiej ulicy.

## XIV

### Ślimak u sędziego Targiewicza – Ptak niebieski – Hrabia-kelner – Postanowienie Targiewicza

Od krawca podążył Ślimak wprost do sędziego Targiewicza.

Serce go ciągnęło, aby zajrzeć do Wandzi, lecz obowiązek doradzał mu odłożyć tę bytność do chwili, w której już zupełnie ze sprawą hrabiego się załatwi. Szło przecież głównie o to, aby hrabia nie umknął. Należało więc obsadzić jego mieszkanie i na wsi dom baronowej, strzegąc pilnie każdego kroku domnianego zbrodniarza.

Sędzia Targiewicz był w domu i tam udał się Ślimak, dowiedziawszy się w kancelarii, iż Targiewicz już wyszedł przed godziną.

<sup>174</sup> Tandecka – tandetna.

Gdy służący zameldował Ślimaka, Targiewicz wyszedł na jego spotkanie szybko i przywitał się z nim dość uprzejmie.

– I cóż? i cóż? – zapytał – Czy przyprowadzasz mi pan znów jakiegoś Jazdę?

– Nie – odparł Ślimak – obecnie przyprowadzam panu sędziemu, w myśli jeszcze wprowadzić, ale prawdziwego zbrodniarza.

Sędzia zdziwiony pokręcił głową.

– No, no... i któż to taki?

Twarz agenta przybrała wyraz wielkiej powagi.

– Zanim powiem nazwisko, zechce pan sędzia wysłuchać od początku dokładnej relacji tego, co zrobiłem w tym kierunku. Gdyby na razie fakta, przeze mnie przytoczone, wydawać się mogły żadne i drobnotkowe, proszę pana sędziego, aby zechciał poczekać, aż okażę wyniki powstałe z tych właśnie faktów. Czy mi to pan sędzia przyrzeka?

Tyle gorącej prośby brzmiało w głosie agenta, tyle szczerości było w jego twarzy, że ujęty nią Targiewicz, wskazał mu krzesło, mówiąc:

– Słucham pana.

W tej chwili czuł agent, iż rozgrywa się tu niezmiernie ważna, kto wie, może najważniejsza partia<sup>175</sup> w jego życiu. Zebrał więc całą energię, całą inteligencję i zaczął mówić powoli, wyraźnie, z pozornym spokojem.

Rozpoczął od znalezienia tuberozy i szpilki w fałdach sukni topielicy i stopniowo przechodził do następnych faktów. Starał się zajmować tylko tym, co mówił i nie zwracać uwagi na twarz Targiewicza, której wyraz mógłby odebrać mu śmiałość i jasność w przedłożeniu sprawy.

Starał się również usunąć z serca wszelką prywatną nienawiść, jaką miał dla hrabiego. Pozostawiał więc na boku osobę hrabiego, a zajmował się tylko faktami, które jego domniemaną zbrodnię przedstawiały w prawdziwym oświeceniu.

Targiewicz ani razu nie przerwał słów agenta. Słuchał w milczeniu, patrząc w ziemię. Był to bardzo inteligentny człowiek i ta właśnie inteligencja nie dozwalała mu być upartym. Czuł teraz wybornie, że Jazda jest niewinnym i dowody, jakie mu przedstawił Ślimak, przekonywały go. Szło tylko o to, że Targiewicz nie umiał sobie jeszcze zupełnie jasno ugrupować zaszłych wypadków. Czuł w umyśle wielki chaos i pragnął wnikać w siebie, aby uporządkować tę serię wrażeń.

---

<sup>175</sup> Partia – sprawa, chwila, kwestia.

– Czy ma pan ściślejsze dane, kim jest ów hrabia? – zapytał wreszcie Ślimaka.

– Wiem, że jest to ptak niebieski i skończony awanturник. Właśnie policja odniosła się do władz odpowiednich i w tych dniach musiały przyjść jakieś szczegóły, dotyczące owego człowieka.

– Zaczekaj pan, zaraz będziemy wiedzieli.

Targiewicz poszedł do telefonu, mieszczącego się w jego gabinecie. Zadzwoił i kazał się połączyć z dyrekcją policji.

Ślimak dyskretnie usunął się we framugę okna i tam pozostał nieruchomy, pogrążony w myślach.

Gorączkowe podniecenie, w jakim żył od rana, wprawiło go w stan wielkiego nerwowego rozdrażnienia. Wskutek tego rozdrażnienia biedny Ślimak nie mógł trzeźwo i spokojnie patrzeć na to, co się tyczyło jego własnej osoby. Przypomnił sobie obojętność, z jaką go zawsze traktowała Wandzia, jej miłość dla hrabiego i przyszłość przedstawiała mu się nagle w najczarniejszych barwach.

– Uwolnię Jazdę – myślał zgnębiony – lecz wydam w ręce sprawiedliwości ukochanego przez Wandę człowieka. Zawsze mieć będzie do mnie żal i choć wdzięczność przeważy, żal ten pozostanie. Czymże wtedy będę dla niej? Nudnym, starym głupcem, który pozbawił wolności człowieka, tak bardzo przez nią kochanego. Oto czym będę w jej oczach jutro, pojutrze.

Gdyby jednak Ślimak lepiej znał się na charakterach kobiecych, byłby miał mniej powodów do smutku.

Wandzia bowiem należała do tych kobiet, które mają nadzwyczaj silnie rozwinięte poczucie własnej godności. Gdy widzą, że nie są jedynie kochane i że ten, któremu bez podziału oddały swe uczucia zwraca się jeszcze ku innej kobiecie, momentalnie prawie przestają kochać człowieka, za którym niedawno z miłości ginęły.

Nic nie zdoła osłabić w nich przywiązania, ani przeświadczenie o nikczemności charakteru kochanka, ani przeszkody i przeciwności, ani nędma, ani egoizm – jedynie tylko owo przekonanie, iż nie jest jedyną.

Najsilniejsza miłość zmienia się u takiej kobiety w wielką obojętność.

Nie ma żalu ani nienawiści, staje się tylko zupełnie obojętną.

Tak było w tej chwili i z Wandzią. Serce jej zabiło rozpaczliwie na wiadomość, iż hrabia zaręcza się z Bruszkowską, lecz zaraz nastąpiła re-

akcja. Odwróciła się myślą i sercem od tego człowieka. Przestał dla niej istnieć i wykreśliła go ze swego życia, nie chcąc nawet o nim myśleć.

Nie przypuszczała, iż raz jeszcze będzie musiała zatrzymać się przy nim pamięcią i pogardą.

Tego wszystkiego jednak Ślimak nie wiedział i dlatego, stojąc we framudze okna, smutny był i zgnębiony. Nagle z owego zgnębienia wyrwał go głos Targiewicza.

Sędzia odszedł od telefonu i zbliżył się do okna.

Miał wyraz twarzy nadzwyczaj poważny i surowy.

– Wiemy wszystko... wyrzekł wzburzonym głosem – ów hrabia jest to zwyczajny rzezimieszek. Był kelnerem w Odessie. Przeszłość jego świadczy, iż miał do czynienia często z policją. Przed trzema laty, podejrzany o wielką kradzież, popełnioną w jednej z osamotnionych willi podmiejskich, zdążył uciec za granicę. Miał przy sobie kosztowności i pieniądze, prawdopodobnie pochodzące z kradzieży. I tu ślad jego ginie. W rok później widziano go w Paryżu, Londynie, Brukseli, Monte Carlo w towarzystwie śpiewaczki, a właściwie szansonetki<sup>176</sup>, Idy Almoszi, którą nawet zdaje się poślubił. Nagle zjawił się w Krakowie udając hrabiego z Ukrainy czy Wołynia i zaczął prowadzić życie wystawne, a głównie na kredyt. W policji mają już dokładny spis jego długów. Brał kosztowności od jubilerów i zastawiał je natychmiast.

Targiewicz urwał nagle, wreszcie po chwili milczenia dodał:

– Tak... on jest zdolny do popełnienia zbrodni.

Ślimak aż drżał cały ze wzruszenia.

– Panie sędzio! – zawołał – ta kobieta utopiona... byłaby w takim razie Ida Almoszi...

– Prawda!... wszystko tego dowodzi. Almoszi przybyła do Krakowa blitzem<sup>177</sup>... udała się na ulicę Studencką, a on naznaczył jej schadzki na Błoniach, lękając się, aby ktokolwiek ich razem nie widział. Zresztą, kto wie, jakie miał wówczas zamiary.

– Hrabia zaręczył się z baronową Bruszkowską – podchwycił Ślimak. – Almoszi była mu zawadą i zjawiała się w chwili najniestosowniejszej. Charakter śpiewaczki był gwałtowny, dowodem sceny, o jakich mówił stróż przy ulicy Studenckiej... Hrabia mógł spodziewać się, że Almoszi nie cofnie się przed skandalem i zacznie z całą siłą dochodzić

<sup>176</sup> Szansonetka – śpiewaczka kawiarniana, ogródkowa.

<sup>177</sup> Blitz – tu: lekki samochód.



praw swoich... Przy widzeniu się na Błoniach musiała ta gwałtowność Almoszi doprowadzić do szału hrabiego, który w majątku baronowej widział dla siebie jedyny ratunek. Wszak... i pan tak myśli, panie sędzio!

– Tak, tak – wyrzekł Targiewicz.

W tej chwili nie było między nimi ani hierarchii urzędowej, ani społecznej. Obaj zajęci całą duszą odkryciem prawdy, szli już ręką w rękę, pomagając sobie wzajemnie.

– Czy będziemy czekać na telegram z Wiednia i odpowiedź z Paryża? – zapytał wreszcie Ślimak.

– Nie... – odparł stanowczo Targiewicz – ja sądzę, iż moje sumienie daje mi prawo na mocy tych dowodów kazać aresztować Maksa Proniaka... Tak bowiem nazywa się w rzeczywistości ów hrabia.

Ślimak aż doznał olśnienia.

Był to sukces nadspodziewany, niezwykle, olśniewający.

W tej chwili uczuł do Targiewicza szaloną wdzięczność i szacunek.

To przyznanie się do pomyłki było aktem szlachetnym i pięknym, a rzadszym niż właściwie być powinien. Ślimak miał ochotę pochwycić rękę Targiewicza w swe dłonie i uścisnąć ją gorąco.

Nie śmiał jednak.

Nie czekał jednak długo na spełnienie swych chęci. Oto sam Targiewicz zbliżył się do niego i podał mu swą rękę!

– Dziękuję panu – wyrzekł sędzia z prostotą – dopomogłeś mi do wyświecenia<sup>178</sup> prawdy. Wierz mi pan, nic nie jest straszniejszego dla sędziego, jak pomyłka w pierwszych krokach śledztwa. A jednak popełniamy ją niemal wszyscy. Tylko jedni brną dalej z uporem i zaślepieniem, inni się wracają.

– Ci, którzy się wracają, poznając pomyłkę, są ludźmi wielkiego serca i charakteru, panie sędzio – odparł Ślimak, a głos jego był drżący i wzruszeniem przepojony.

Sędzia uśmiechnął się smutnie.

– Nie, panie Mick – wyrzekł cichym głosem – ale ci mają poczucie sumiennego wypełnienia swego obowiązku.

Nastała chwila ciszy, jakby każdy z tych ludzi ważył w swym umyśle i sercu obowiązki, jakie nań włożyły ustawy społeczne. Był to minutowy obrachunek sumienia, krótki, ale szczerzy.

---

<sup>178</sup> Wyświecenie – wyjaśnienie.

W oczach Ślimaka zajaśniała wielka radość z wyniku tego obra-  
chunku.

Biedny, zapoznany<sup>179</sup> i niemal poniewierany ten człowiek miał tyl-  
ko widocznie spełnione obowiązkowe czyny w głębi swego serca.

I dlatego tak jasno patrzył na świat boży.

## XV

### Widzenie się Ślimaka z Wandzią – Nadzieja szczęścia – Zupełny zwrot w uczuciach Wandzi – Czarny Antek na posterunku

Wyszędłszy od Targiewicza, Ślimak był tak rozradowany, iż zda-  
wało mu się, że nie zdoła w swym sercu pomieścić tyle radości. Ponie-  
waż jeszcze się niezupełnie ściemniło, Ślimak postanowił wystać Antka  
na ulicę Studencką, aby pilnował z daleka mieszkania byłego kelnera,  
a sam zapragnął koniecznie, choć na chwilę, zobaczyć Wandzię.

Antka znalazł na Wolskiej, koło wody, która nadzwyczaj powoli  
w tym roku ustępowała.

Chłopak, dojrawszy agenta, porzucił Trąbinosa i pobiegł galopem  
ku Ślimakowi.

– I co, panie inspektorze? i co? – pytał cały rozgorączkowany.

– Wszystko dobrze mój Antku... ojciec Jazda będzie wolny.

Antkowi oczy zaszkliły się łzami.

– Jak to dobrze, jak to bardzo dobrze. – Porwał za rękę Ślimaka.

– Pan to sprawiłeś? – zapytał – prawda?

– Z twoją także pomocą – odparł Ślimak, uśmiechając się.

– E! co tam ja... furda<sup>180</sup>! Ale pan, panie inspektorze, dokonałeś  
cuda.

– Jeszcze nie.

– Ja wierzę, panie inspektorze, że ojciec Jazda będzie wolny.

Potrząsnął czupryną, uderzył się kułakiem<sup>181</sup> w piersi.

<sup>179</sup> Zapoznany – niedoceniony, nieuznawany.

<sup>180</sup> Furda – głupstwo, rzecz mało ważna, błahostka.

<sup>181</sup> Kułak – zaciśnięta pięść.

– I chyba czarnym Antkiem nie będę, jeżeli Wandzia nie zostanie panią inspektorową.

Ślimak aż pobladł ze wzruszenia.

– Co też ty mówisz, mój Antku... Wandzia by mnie nie chciała.

– Ciekawy jestem dlaczego? Cóż to ona, księżniczka? Dorożkarska córka, nic więcej. Powinna być kontenta, że jej się taka partia trafia. A jeżeli ten hrabia morowy<sup>182</sup> chciałby znowu leżeć w paradę<sup>183</sup>, to ja go...

Zacisnął pięści i pogroził w stronę miasta.

Twarz Ślimaka rozjaśniła się nagle.

– Nie, nie... o to nie ma obawy. Jestem pewien, że panna Wandzia znienawidzi tego człowieka.

Antek przybrał minę tajemniczą.

– Mnie się zdaje, że ona go już znienawidziła...

– Skąd to wnosisz?

– A no... bo brzany są rozmaite. Niektóre jak widzą, że taki ich hrabia za innymi lata, to lamentują, włosy drą i za nim znów latają. A inne, to zaraz od dumy się nadmą i ani się popatrzą nawet w tamtą stronę... A Wandzia jest strasznie dumna.

Ślimak uśmiechnął się prawie radośnie.

– Daj to Boże!... – wymówił z prostotą.

Ogarnęło go słodkie i miłe rozmarzenie.

Przedstawił sobie nagle przyszłość tak jasną, o jakiej nigdy nie śmiał marzyć nawet.

Prędko jednak postarał się powrócić do równowagi.

– Antku! – wyrzekł przyciszonym głosem – weź jednego z kolegów i pobiegnij cwałem na Studencą ulicę. Ukryj się dobrze i śledź, czy czasem hrabia nagle ze wsi nie wróci. Gdyby tak było, niech twój kolega biegnie cwałem do Wandzi, a ty śledź, co hrabia robi i gdzie się uda.

– Pan inspektor będzie u Wandzi?

– Tak, wpadnę tam na pięć minut i zaraz do was na Studencą przyjadę.

– Zrozumiano!

Antek już poskoczył i lekkim gwizdnięciem przyzwał Trąbinosa.

Nagle zatrzymał się.

– Czy nie lepiej polikierów postawić?

<sup>182</sup> Morowy – tu: człowiek zapowietrzony, zły, chory.

<sup>183</sup> Leżeć w paradę – przeszkadzać komuś, krzyżować czyjeś plany.

– Będą, a prawdopodobnie już nawet są. Ty jednak musisz tam być także w tej chwili.

– Pycha<sup>184</sup>, panie inspektorze!

Trąbinos już stał u jego boku, gotów do usług.

Antek rozpoczął komendą od uderzenia towarzysza w kark, po czym zakomenderował:

– Jazda za mną!

Z wrzaskami Zulusów<sup>185</sup> puścili się obaj ku Studenckiej.

Tylko widać było przez jakiś czas cztery bose pięty i czarną czuprynę Antka.

Ślimak zawołał na stojącą przed „Sokołem”<sup>186</sup> dorożkę i kazał się zawieźć na Dębniki.

Z daleka już, przy otwartym oknie, dostrzegł śliczną główkę Wandzi.

Siedziała panna Jazdówna przy stoliku i szyła pilnie.

Ślimak bardzo lubił Zosię, lecz z całego serca pragnął, aby Wandzia była sama.

Życzenia jego spełniły się. Wandzia od rana była sama, gdyż Zosia musiała pozostać nawet w porze obiadowej w swej pracowni, z powodu nadzwyczajnego nawału roboty.

Gdy Ślimak wszedł do pokoju, Wandzia porwała się z krzesła.

– I cóż mój ojciec? – zapytała gorączkowo.

Ślimak przytrzymał jej rozpaloną rękę w swoich dłoniach.

– Będzie wolny! – wyrzekł uroczyście i z całym przekonaniem.

– O!... panie Mick!...

Więcej Wandzia wymówić nie była w stanie. Jej oczy spoczęły na twarzy Ślimaka z tak wielką, serdeczną sympatią, iż biedny agent, nieprzyzwyczajony do takich oznak życzliwości, rzekł, że mu serce w piersiach zamiera.

Wandzia tymczasem ścisnęła jego rękę i widocznym było, iż wzruszenie ogarniające Micka i jej się udziela.

– Pan tyle dla nas zrobiłeś... tyle!... powtarzała drżącym głosem.

– Ja?

– Tak, pan. O! nie zapieraj się, wiem od Antka, od Zosi, jak pan starasz się, aby uwolnić mego ojca. Gdy ojciec wyjdzie z więzienia, ja

<sup>184</sup> Pycha – tu: super, dobrze, tak jest.

<sup>185</sup> Wrzaski Zulusów – afrykańskie okrzyki plemienne.

<sup>186</sup> [Sale Towarzystwa Gimnastycznego] „Sokół” – towarzystwo sportowe, usytuowane w budynku wybudowanym w 1889 r. przy ul. Piłsudskiego 27 (dawnej Wolskiej).

nie wiem, czym zdoła panu się odwdzińczyć za tyle dobroci i poświęcenia, które mu okazałeś.

Nagle w duszy Ślimaka zbudziła się tak gorąca dla Wandzi miłość, iż nie był w stanie powściągnąć dłużej słów, cisnących mu się na usta.

– Nie tylko dla ojca pani... tak bardzo się starałem... szło mi o niego, ale głównie i przede wszystkim myślałem o tobie... Wando!...

Przeraził się, myślał, iż Wanda uczuje się dotknięta przykro śmiałością jego słów.

Lecz ręka dziewczyny pozostała w jego dłoniach.

To mu dodało śmiałości i powróciło go do rzeczywistości.

– Panno Wando... – wyjąkał wreszcie – czy pani się na mnie nie gniewa?

Dziewczyna milczała.

– Czy nie obraziłem pani?

Wanda patrzyła teraz prosto w twarz Ślimaka. Oczy jej miały dziwny wyraz, którego agent zrozumieć na razie nie mógł.

– Dlaczego pani tak na mnie patrzy? – zapytał wreszcie nieśmiało.

Wandzia jeszcze chwilkę milczała, aż wreszcie wyrzekła z pewną nieśmiałością, ale zarazem i powagą:

– Zdaje mi się, że pana nigdy nie widziałam w rzeczywistym świecie. Wydawałeś mi się pan innym człowiekiem. Dziś dopiero rozumiem, że miałam bielmo na oczach<sup>187</sup>... i przepraszam pana.

Chwilę długą nie mówili nic do siebie, tak byli oboje dziwnie wzruszeni i pomieszani.

Było to jednak uczucie bardzo miłe i słodkie i gdy Ślimak wreszcie pochylił się, aby ucałować ręce dziewczyny, oboje mieli łzy w oczach.

Z serca Wandzi zdawało się, że zleciało nawet wspomnienie hrabiego.

Silne, czyste przywiązanie biednego Ślimaka zwyciężało złe podszepcy, które mogły się stać zgubą dobrego dziewczęcia.

Wreszcie Ślimak ocknął się z tego rozmarzenia i starał się powrócić do równowagi.

Przypomniał sobie Antka i porwał za kapelusz.

– Pan już ucieka? nie poczeka pan na Zosię? – zapytała Wandzia.

– Nie mogę... Idę kończyć rozpoczęte dzieło...

---

<sup>187</sup> Mieć bielmo na oczach – być zaślepionym, nie dostrzegać tego, co wszyscy widzą, nie rozumieć rzeczy oczywistych.

– Więc zbrodniarz będzie aresztowany?

– Tak.

W tej chwili mignęła w umyśle Ślimaka myśl, iż Wandzia, dowiedziawszy się, kto jest podejrzany obecnie o zabójstwo Ireny Almaszi, zwróci się zwykłym u kobiety uczuciem litości w stronę hrabiego.

Myśl ta była mu tak bolesna i straszna, że chciał się natychmiast przekonać, czy nie jest w błędzie.

– Pani mogę powiedzieć, kto zostanie ujęty i osadzony w więzieniu na miejscu pani ojca.

Wandzia słuchać zaczęła z uwagą.

– Pani zna tego człowieka.

– Ja?...

– Tak... Widziałem kiedyś panią w jego towarzystwie.

– Mnie? w towarzystwie zbrodniarza?

Oczy Wandzi otworzyły się szeroko, jakby z ciekawości.

– To straszne... – wyrzekła – jak to nie można nic wiedzieć o ludziach, którzy obok nas żyją!... Ale... niechże mi pan powie, kto to jest taki?

– Pewien hrabia mieszkający przy ulicy Studenckiej.

Twarz Wandzi pokryła się ciemnym rumieńcem.

– On?

Ślimak lękał się spojrzeć na Wandzię.

Wszłuchał się tylko w dźwięk jej głosu i z radością szaloną odczuł, że w głosie Wandzi było tylko zdziwienie, ale nie było rozpacz.

Chwilę panowało milczenie, wreszcie Wandzia wyrzekła, jakby sama do siebie:

– To bardzo możliwe!

Widoczne było, iż przez tę krótką chwilę obliczyła wartość moralną Maksa Proniaka.

A wartość ta musiała się jej przedstawić bardzo mizernie, skoro wynikiem było przypuszczenie zbrodni. Ślimak, uszczęśliwiony nad wyraz, uśmiechnął się radośnie.

– Och, panno Wando... jaki ja jestem szczęśliwy – wybełkotał wzruszony.

Nagle drzwi się otworzyły z impetem i wpadł przez nie Trąbinos.

– Panie inspektorze – zawołał – Antek kazał powiedzieć, że on przyjechał.

Ślimakowi krew uderzyła do głowy.

– Tu? do Krakowa?

– Tak, jest na Studenckiej w swoim mieszkaniu.

Ślimak od razu zrozumiał sytuację. Widocznie baronowa po odejściu Ślimaka, posłała w pogoń za Maksem i zawróciwszy go z drogi, opowiedziała mu bytność agenta w domu. Proniak, korzystając z popołudniowego pociągu, wpadł do Krakowa, prawdopodobnie, aby przejrzeć raz jeszcze mieszkanie i miał uciec za granicę. Nie należało tracić ani chwili.

Dorożka, którą Ślimak przyjechał, czekała na ulicy.

Agent ucałował rękę Wandzi i rzucił się ku drzwiom.

Trąbinos już wypadł na ulicę.

Lecz Wandzia zatrzymała jeszcze agenta.

– Czy „on”, to ten człowiek? – zapytała.

– Tak.

– I schwytacie go za chwilę?

– Tak.

Oczy Wandzi zabłysły nienawiścią i gniewem.

– To dobrze! Biegnij pan schwycić tego łotra... A niech się panu nie wymknie!

– Och! o to nie ma obawy!

Gdy Ślimak wsiadał do dorożki, obejrzał się na okno mieszkania Zosi. W oknie, przechylona, stała Wandzia i ślicznym uśmiechem pożegnała agenta.

## XVI

### Osaczony – Pozycja bez wyjścia – Straszna scena – Samobójstwo Maksa Proniaka

Dorożka pędem podjechała pod Studencką ulicę.

Ślimak rozglądał się, szukając agentów, którzy powinni byli już znajdować się na swych stanowiskach, wskutek dyspozycji, wydanych telefonicznie przez sędziego Targiewicza. Tymczasem nie było nikogo.

Przed kamienicą tylko stał Antek i wsadziwszy ręce w kieszenie od spodni, udawał niezmiernie zajętego tym, co się działo na dachu domu, zamieszkiwanego przez Maksa Proniaka.

W gruncie jednak krowoderski generał bacznie obserwował okna mieszkania „hrabiego” i z niekłamaną niecierpliwością wyczekiwał nadejścia Ślimaka. Zobaczywszy jak agent, wyskoczywszy z dorożki, wszedł w ulicę Studencką, pobiegł pędem ku niemu.

– Co mam teraz robić? – zapytał.

Ślimak skupił myśli i zaczął z całą siłą obmyślać plan działania.

Po kilku sekundach już wiedział co ma robić.

Sięgnął do kieszeni, wyjął notatnik, nakreślił kilka słów i oddał złożoną kartkę Antkowi.

– Biegnij co sił na policję, sprowadź kilku agentów i komisarza.

– Może wezmę dorożkę pana inspektora.

– Tak... i przywieź ich dorożką. Nie trać ani chwili. Pamiętaj, że to chodzi o to, aby mu się nie dać wymknąć.

– Rozumiem panie inspektorze.

Już rzucił się ku dorożce, gdy nagle obrócił się ku Ślimakowi.

– A pan?

– Ja będę go tu pilnował, gdyby chciał wyjść, nie puszczę...

– Ja zostanę z panem.

– Ależ...

– Trąbinos pojedzie na policję. Ja pana nie opuszczę... On może pana zabić, Bóg wie, co stać się może. Ja nie mogę pana opuścić.

Pocziwe, czarne oczy Antka patrzyły na Ślimaka z tak wielkim przywiązaniem, iż ten uległ prośbie dziecka.

– Niechże więc tak będzie.

Zwrócili się obaj do Trąbinosa, któremu aż oczy zagrały radośnie na myśl, iż będzie grał ważną rolę w tej scenie pełnej wrażeń.

Wysłuchawszy informacji, wskoczył Trąbinos jak małpka na kozioł<sup>188</sup> i porozumiał się z dorożkarzem.

Koń ruszył pędem i pędem dorożka znikła z ulicy.

Ślimak z Antkiem podeszli pod kamienicę.

Antek ustawił się przed sztachetami ogródka, Ślimak stanął koło drzwi wchodowych<sup>189</sup>.

<sup>188</sup> Wskoczyć jak małpka na kozioł [dorożki] – szybko usadowić się obok siedzenia dorożkarza.

<sup>189</sup> Drzwi wchodowe – drzwi wejściowe.



W tej pozycji widział także i część podwórza wraz z oknami kuchni i sionki należącej do mieszkania Proniaka.

Stali tak kilka minut i Ślimak bardzo dokładnie słyszał, jak po mieszkaniu chodził „hrabia”, zamykając i poruszając meble.

– Chodź! chodź!... – myślał sobie – chodzić możesz, ale wyjść nie wyjdiesz. Nagle Antek pojawił się w bramie.

– Panie inspektorze – szepnął – on wychodzi, otworzył okno i stanął w nim w palcie i kapeluszu na głowie... Oglądał się po ulicy, widocznie szukał dorożki....

– Dobrze, wracaj na swoje stanowisko!

– Panie inspektorze, ale ja pana nie opuszczę.

– Dobrze, dobrze! idź przed bramę!

Ślimak wzruszony, ale mimo to pełen energii, stanął teraz tuż przy drzwiach wejściowych, zdeterminowany na wszystko.

W rękę trzymał mały rewolwer i ukrył rękę z bronią w kieszeni od palta.

W tej chwili był zdecydowany na wszystko.

– Może przyjdzie zabić lub umrzeć! – pomyślał chłodno i bez trwogi.

Nagle spoza drzwi, wewnątrz mieszkania, dały się słyszeć przyspieszone kroki.

To Maks Proniak szedł ku wyjściu. W piersiach Ślimaka tchu nie stało.

– Idzie – pomyślał – idzie!

Oparł się silnie o ścianę i czekał. Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich „hrabia”.

Ubrany był ciemno i miał kapelusz nasunięty na oczy.

W rękę trzymał mały neseser podróżny. Zobaczywszy przed sobą agenta, cofnął się w głąb przedpokoju.

– Pan... do mnie?... – wybełkotał, siląc się na spokój.

– Tak, do pana – odparł Ślimak i w jednej chwili powziął plan powstrzymania w jakikolwiek sposób Proniaka od wyjścia.

– Ja w tej chwili wychodzę! – wyrzekł „hrabia”, wchodząc na powrót we drzwi – nie mam obecnie czasu!

– To bardzo ważny interes.

– Przyjdź pan jutro.

– Nie mogę, dziś muszę z panem pomówić.

Ślimak postąpił także kilka kroków i w ten sposób tamował najzupełniej Proniakowi wyjście.

Krew uderzyła byłemu kelnerowi do głowy.

– Proszę mnie przepuścić.

– Nie mogę!

– Cóż to za napaść? Zawołam policji.

– Nie radzę!

To słowo wyrwało się Ślimakowi prawie bezwiednie.

Żałował, gdy je wypowiedział, bo po wyrazie twarzy zrozumiał, że sprytny Proniak zrozumiał sytuację.

Rzeczywiście, kelner cofnął się w głąb przedpokoju i chwilę stał niezdecydowany, przerażony i blady jak trup.

– Puścić mnie... – zasyczał wreszcie – puścić, bo stanie się nie-szczęście!

Ślimak uczył, iż najlepiej będzie grać w odkryte karty.

– Nie boję się pogrówek – wyrzekł wyniośle – jestem na wszystko przygotowany!

– Puścić!

Proniak rzucił się naprzód jak zwierz zrozpaczony, pragnący wyrwać się z zasadzki.

Lecz Ślimak szybko jak błyskawica wpadł do przedpokoju, drzwi zatrzasnął i stanął naprzeciw Proniaka, opierając się o drzwi plecami.

– Jeżeli krok uczynisz, pożałujesz! – zawołał z całą energią w głosie.

Proniak rzucił się ku drzwiom kuchennym.

Ślimak przeraził się myślą, iż Proniak może uciec przez dziedzińiec i parkany.

– Na nic się nie zda – zawołał – na dziedzińcu są moi ludzie i ci nie puszczą, a może zabiją!

To naiwne kłamstwo podziałało na rozszalały umysł zabójcy tak, iż cofnął się znów na dawne stanowisko.

– Kim pan jesteś? – wyjąknął wreszcie eks-kelner, wpatrując się zakrwawionymi źrenicami w agenta.

– Jestem agentem policyjnym...

– Chcesz mnie pan aresztować?

– Tak!...

Słychać było przez chwilę przyśpieszony oddech Proniaka.

– Za co? – wyjąknął wreszcie.

– Za zabicie twej dawnej kochanki, Ireny Almoszi.

Z trupio-bładego Proniak stał się prawie siny.

Zdawało się, iż ktoś mu rzucił na twarz garść popiołu.

– To... kłamstwo... nie zabiłem.

– Zabiłeś! – zawołał Ślimak – zabiłeś ją na Błoniach, udusiłeś i wrzuciłeś do Rudawy koło śluzy<sup>190</sup>, aby myślano, iż sama się utopiła. Dowody są, na nic się nie przyda to, że chcesz się zapierać swej zbrodni!

Proniak nagle zmałał, tak strasznie nerwowo się zwinął niejako sam w sobie z trwogi i grozy.

I rzeczywiście... przewidywania Ślimaka, że w Proniaku obudzi się uśpiona chwilowo pod wpływem trwogi energia, sprawdziły się.

Proniak jak zwierz, który chce gwałtem wydobyć się z zasadzki, rzucił się ku drzwiom, skierowawszy ku Ślimakowi lufę rewolweru.

– Puszczaj! – syknął – bo zabiję.

Ślimak zrozumiał, że Proniak wypełni swą groźbę.

Instynktownie wyjął swój rewolwer z kieszeni i wyciągnął także rękę.

Lecz Proniak nie myślał się cofać.

– Zabiję!... – wyrzucił znów przez zęby.

I z oczu widać było, że tchórz może się zdobyć w chwili samobrony nawet na zbrodnię.

Ślimak widział teraz przed sobą dwoje oczów Proniaka, błyszczących wśród zmroku, zalegającego przedpokój.

Te oczy podziały nań strasznie.

Czuł w nich dzikiego zwierza, czyhającego na jego życie.

Prawie bezwiednie, instynktownie nacisnął cyngiel.

Rozległ się strzał, który szarpnął ręką Ślimaka i całą jego istotę nappełnił niewypowiedzianą grozą.

Przez kilka sekund zapanowało straszne milczenie.

Nagle przed tumanem mgły, jaka zasłoniła oczy Ślimaka, zaczęło się coś ciemnego chwiać i osuwać na ziemię.

Cicho, bez jęku, upadł Proniak na dywan, zaścielający podłogę.

Równocześnie dał się słyszeć turkot pędzącej dorożki.

Turkot ustał przed kamienicą. Szybkie kroki przebiegły bramę. Do drzwi zaczęły się dobijać drobne ręce Antka.

---

<sup>190</sup> Śluza – ustawienie tratw z dwóch stron rzeki, dzięki czemu woda w środku między tratwami śluzy wznosi się i płynie szybciej.

– Panie Ślimak! puść... to ja, Antek! – wołał rozpaczliwie chłopak, cały strwożony myślą, iż Ślimak jest zamknięty sam na sam z Proniakem.

Ślimak, słysząc ten hałas, oprzytomniał. W jednej chwili zdał sobie sprawę ze swego czynu i ocenił go dostatecznie.

Czuł, iż spełnił swój obowiązek, lecz czuł i to także, że jedna chwila zrobiła z niego... mordercę.

Chwiejąc się jak pijany, podszedł ku drzwiom i otworzył je.

W sieni roiło się od agentów.

– Gdzie ten człowiek? – zapytał komisarz.

– Tu! – odparł cichym głosem Ślimak.

– Zabił się?...

– Nie – odrzekł Ślimak z widocznym wysiłkiem – to ja do niego strzeliłem.

Wszyscy pytająco spojrzeli na agenta.

Czuł ten wzrok, lecz nie mówił nic dalej na swe usprawiedliwienie.

Tymczasem dwóch agentów zbliżyło się do leżącego Proniaka.

– Żyje! – wymówił wreszcie jeden z nich, powstając z klęczek.

Ślimak uczuł, iż z piersi wali mu się jakiś straszny ciężar.

– A tu jego rewolwer! – wymówił drugi agent, podając znaną na ziemi broń.

– O!... jaki ptaszek! – odparł komisarz, biorąc rewolwer – chciał pana zabić?

Zwrócił się do Ślimaka z tym pytaniem.

– Nie wiem, tak sądzę.

Proniak otwierał oczy.

Zobaczywszy policję, zamknął znów pośpiesznie powieki.

Robił wrażenie strusia, chowającego głowę w piasek w czasie śmiertelnego pościgu.

Lecz nie na wiele mu się to przydało. Jeden z agentów zręcznie starał się zbadać, gdzie utkwiała kula Ślimaka.

Proniak szarpnął się zuchwale.

– Umieram! – wyjęczał.

Lecz agent uśmiechnął się i porozumiewawczo spojrzął na obecnych. Pochylił się jeszcze i badał ramiona eks-kelnera.

– Umieram! – jęczał Proniak, widocznie nerwowo przerażony i pod wpływem tego wstrząśnienia nerwowego na serio przypuszczający, iż umiera.

Nagle Ślimak powziął myśl niezwykle śmiałą i odsuwając agentów, z kolei pochylił się nad Proniakiem.

– Tak! – wyrzekł, a głos mu drżał hamowanym wzruszeniem – tak... umrzesz za parę minut. Przyznaj się więc do zbrodni, którą popełniłeś. Zabiłeś Irenę Almoszi?

Proniak błędne, zbiełałe oczy utkwiał w bystro wpatrzone w niego źrenice Ślimaka.

– Czy zabiłeś? – zapytał Ślimak – My wiemy wszystko, wiemy jak spotkałeś się z nią za parkiem Jordana, jak poszliście w kierunku śluzy... a tam...

Na czoło Ślimaka i Proniaka wystąpiły krople potu.

Gdy tak patrzyli sobie prosto w źrenice, nie wiadomo, który miał w sobie więcej tragiczności i zgrozy.

– A tam? – nalegał Ślimak.

Ogromna siła biła mu z oczu. Cała maska twarzy przetworzyła się. Obecni stali nieruchomi, czując, iż w tej chwili odbywa się coś tajemniczego, coś niezwykłego. Jeden człowiek bierze przewagę nad drugim, przewagę tak silną, iż wydziera mu z dna duszy tajemnicę śmiertelną i straszną.

– A tam?

Proniak dyszał ciężko. Widoczne było, iż ten stan udręki jest dla niego nie do zniesienia. Usta pobladłe otwierały się kilkakrotnie, lecz z nich żaden głos nie wybiegł, wreszcie jakby wzrok Ślimaka wydobycwał z najtajniejszych głębin te słowa, padły one wśród wielkiej ciszy.

– Tak... ja zabiłem!... a teraz, zostawcie mnie w spokoju.

Upadł znów omdlały na podłogę.

Ślimak wyprostował się i zwrócił do obecnych.

– Słyszeliście? przyznał się!

Wszyscy skinęli głowami.

Była to dziwna chwila, uroczysta i przejmująca jakąś trwogą.

Pierwszy oprzytomniał komisarz.

– Zabierajcie go. Wszak nieranny?

Agenci roześmiali się.

– Nieranny, tylko z tchórzostwa mdleje!

Szybko sprawili się z eks-hrabią.

Pochwycili go za nogi i ramiona i bezwładnego wynieśli do dorożki.

Brama już pełna była ludzi.

Stróż Jan przerażony, z szeroko otwartymi oczyma, słuchał, co mu Trąbinos opowiadał.

Gdy agenci ukazali się, niosąc zemdłałego Proniaka, tłum zaszemrał gwałtownie. Wiedziano już, że aresztują w tej chwili domniemanego zabójcę nieznanym topielicy.

- Zabił... to on... – szemrano zewsząd.
- Co to? umarł?
- Nie... nie... zemdłał ze strachu.
- Łotr, nikczemnik!...
- Zabójca!...
- Powiesić go!...

Tymczasem agenci wrzucili Proniaka do dorożki. Elegancki kawaler pani baronowej robił obecnie fatalne wrażenie. Przyszedł już do przytomności, lecz wyglądał jak mysz złowiona w pułapkę. Błędny oczyma wodził dokoła. Włosy rozrzucone, usta drżące, cała twarz wykrzywiona, sprawiały odrażające wrażenie.

### Dokończenie

Tłum wzrastał z każdą chwilą.

Jak spod ziemi wyrastali ludzie, otaczający dorożkę.

Jedni drugim udzielali informacji. Cały tłum był zelektryzowany i groźny.

– Zabójca!... morderca!...

Proniak zrozumiał, słysząc te słowa. Zamknął znów oczy, sina bladeść pokryła mu twarz. W tej samej chwili dorożka ruszyła.

Tłum rozstąpił się. I nagle, jakby tknięty jedną myślą, wyrzucił okrzyk:

– Na śmierć! Na szubienicę!

Dorożka przyspieszyła biegu, lecz tłum zaczął biec i ciągle rozlegały się okrzyki:

– Na śmierć!... na szubienicę!...

W opustoszałej bramie pozostał tylko Ślimak i Antek.

Agent był strasznie blady, lecz twarz jego wyrażała wielką radość.

Antek ucpepił się jego rąk.

– To... ojciec Jazda będzie wolny? – zapytał, patrząc w oczy Ślimaka.

– Będzie... zaraz go wypuszczą!  
Z radości Antek aż skakać zaczął.  
– Pycha!... – krzyknął – pycha!... psiakrewskie dnię skończyły... Teraz będzie wesele...

Ślimak nie strofował go za ten żart, nie przeczył.

– Musi być wesele – wołał Antek – bo to pan, panie inspektorze, znalazłeś prawdziwego zbrodniarza. Wanda musi pana kochać, bo inaczej będzie mieć ze mną do czynienia...

Pogroził kułakiem w przestrzeń, a potem rzucił się Ślimakowi na szyję.

Łzy go dławily.

– Pocziwy, dobry, kochany pan Ślimak – wyjąkał wśród łez.

Przeraził się jednak, sądząc, że Ślimak obrazi się za tę nazwę.

Lecz Ślimak nie tylko, że się nie obraził, ale gorąco zaczął ścisnąć Antka.

– Tak, Ślimak... – powtórzył cicho – lecz kto wie, może to właśnie moja powolność zdziałała tyle, kto wie...

Zamyślił się, Antek pociągnął go za rękaw.

– Pan inspektor będzie awansował?...

Lecz Ślimak roześmiał się serdecznie.

– Och!... o to się najmniej troszczę. A teraz chodźmy.

– Do Wandzi?

– Później. Teraz musimy dopełnić formalności. Chodźmy jeszcze za tym łotrem.

– Jak pan inspektor sądzi, co mu będzie?

Ślimak zastanowił się.

Głęboka bruzda przecięła mu czoło.

– Nie wiem – wyrzekł cicho – sądzę, że ludzie powieszają, a Pan Bóg... przebaczy.

KONIEC



John Tenniel, *The Nemesis of Neglect*,  
rysunek dot. zbrodni Kuby Rozpruwacza, 1888



## NOTA EDYTORSKA

Tekst powieści *Kwiat śmierci* drukowany był w ciągu kilku miesięcy 1903 roku (16 maja – 29 września). Powieść – dodajmy II-tomowa – pisana i drukowana była szybko, niemal z dnia na dzień, z krótkimi przerwami. Jak się można domyślać, przyniosło to sporo pomyłek autorki, błędów drukarskich, literówek. W niniejszym wydaniu oprócz modernizacji pisowni i interpunkcji poprawiono błędy, zmieniono formy wyrazowe niezrozumiałe współcześnie na nowsze (otrzej łyzy → otrzyj łyzy), choć starano się nie zmieniać tych form, w których Zapolska stylizuje język bohaterów lub które należą do jej własnego idiolektu. Uwspółcześiono pisownię nazw geograficznych, ulic i imion własnych.

Rejestr wprowadzonych zmian:

- *lecz wprawne oko i nos Antka odczuło niebezpieczeństwo* zmieniono na *lecz wprawne oko i nos Antka odczuły niebezpieczeństwo*;
- *gwizdał na przemiany* zmieniono na *gwizdał na przemian*;
- *coś, z czym mógłby się pochwalić później* zmieniono na *coś, czym mógłby się pochwalić później*;
- *jakby kłose złote* zmieniono na *jakby kłosy złote*;
- *chwilę Antek uczył wielką trwogę* zmieniono na *chwilę Antek uczył wielką trwogę*;
- *zabiorę ją ze sobą* zmieniono na *zabiorę ją ze sobą*;
- *łśniła się stalowym blaskiem* zmieniono na *łśniła stalowym blaskiem*;
- *wzruszenia* zmieniono na *wzruszenia*;
- *Ślimak zawrócił się* zmieniono na *Ślimak zawrócił*;
- *z gatunku szpilek, nazwanych „niewidocznymi”* zmieniono na *z gatunku szpilek, nazywanych „niewidocznymi”*;
- *Staśka, zwanego Grzybem i Józka, zwanego Rudzielec* zmieniono na *Staśka, zwanego Grzybem i Józka, zwanego Rudzielcem*;
- *rozegrywali* zmieniono na *rozgrywali*;
- *dając Frankowi sijkę pod bok* zmieniono na *dając Frankowi sójkę pod bok*;
- *był „prezes od wilgoci”* zmieniono na *był „prezesem od wilgoci”*;
- *cicho kanalia* zmieniono na *cicho, kanalio*;
- *można będzie* zmieniono na *można będzie*;

- *passji* zmieniono na *pasji*;
- *ojcu Jeździe* zmieniono na *ojcu Jaździe*;
- *Velasquezem* zmieniono na *Velázquezem*;
- *kandelabrów* zmieniono na *kandelabrow*;
- *rendes vous* zmieniono na *rendez-vous*;
- *Ślimaka milczenie Wandzi ośmieliło i dodało mi siły* zmieniono na *Ślimaka milczenie Wandzi ośmieliło i dodało mu siły*;
- *wybuchnęła strasznym płaczem, który zdawał się, że jej piersi rozerwie* zmieniono na *wybuchnęła strasznym płaczem, który zdawało się, że jej piersi rozerwie*;
- *dech zaparł się niepokoju i wzruszenia* zmieniono na *dech zaparł się z niepokoju i wzruszenia*;
- *kamienich* zmieniono na *kamieniach*;
- *bardze dokumentnie* zmieniono na *bardzo dokumentnie*;
- *rzucił jej szybko, podając jej rękę* zmieniono na *rzucił szybko, podając jej rękę*;
- *miał owe ucho mocne nadwyrężone* zmieniono na *miał owe ucho mocno nadwyrężone*;
- *kogoś, który jeszcze żył* zmieniono na *kogoś, kto jeszcze żył*;
- *wściśniętą* zmieniono na *wciśniętą*;
- *nabrał wreszcie na odwagę* zmieniono na *nabrał wreszcie odwagi*;
- *ukośno* zmieniono na *ukośnie*;
- *uniknąłby hańby i nieszczęścia, jaka spadnie na niego* zmieniono na *uniknąłby hańby i nieszczęścia, jakie spadną na niego*;
- *siobie* zmieniono na *sobie*;
- *że jest ktoś, co chce się zająć* zmieniono na *że jest ktoś, kto chce się zająć*;
- *usiadła na łóżko* zmieniono na *usiadła na łóżku*;
- *otrzej tzy* zmieniono na *otrzyj tzy*;
- *wyprostowała się z podnością* zmieniono na *wyprostowała się z godnością*;
- *rad za siebie* zmieniono na *rad z siebie*;
- *bretnałówki* zmieniono na *bretnalówki*;
- *dlatego to, choć myśl, iż choć przelotnie* zmieniono na *dlatego to myśl, iż choć przelotnie*;
- *Franek posztykował* zmieniono na *Franek posztykował*;

- *coś pani widziała, na Boga?* zmieniono na *co pani widziała, na Boga?*;
- *był widocznie tym klejnotem, który poszukiwał sąd śledczy* zmieniono na *był widocznie tym klejnotem, którego poszukiwał sąd śledczy*;
- *nie trzeba zaopatrywać się na życie tak tragicznie* zmieniono na *nie trzeba zapatrywać się na życie tak tragicznie*;
- *stała ciągle na jednym miejscu* zmieniono na *stała ciągle w jednym miejscu*;
- *wolala i nie czekając nawet na Jadwigę, weszła do salonu* zmieniono na *wstała i nie czekając nawet na Jadwigę, weszła do salonu*;
- *p. sędzia* zmieniono na *pan sędzia*;
- *lecz sędzia uchylił się nad nim tak* zmieniono na *lecz sędzia nachylił się nad nim tak*;
- *zamiast skierować do mieszkania* zmieniono na *zamiast skierować się do mieszkania*;
- *zaciskał pięście* zmieniono na *zaciskał pięści*;
- *wydrapał się tak wysoko* zmieniono na *wdrapał się tak wysoko*;
- *nie grali nawet dziś karty* zmieniono na *nie grali nawet dziś w karty*;
- *hotelowego personalu* zmieniono na *hotelowego personelu*;
- *poiku* zmieniono na *pokoiku*;
- *całe popołudniu* zmieniono na *całe popołudnie*;
- *był to Rudzielec, Koziół, Adek* zmieniono na *byli to: Rudzielec, Koziół, Adek*;
- *drzemał siedzący* zmieniono na *drzemał siedząc*;
- *porozstawionych meblach* zmieniono na *porozstawianych meblach*;
- *z hrabim* zmieniono na *z hrabią*;
- *było mu to przykro* zmieniono na *było mu to przykre*;
- *szpilki* zmieniono na *szpilki*;
- *p. hrabia* zmieniono na *pan hrabia*;
- *co się dotyczyło jego własnej osoby* zmieniono na *co się tyczyło jego własnej osoby*;
- *zwróciwszy go z drogi* zmieniono na *zawróciwszy go z drogi*;
- *zawrócili się obaj do Trąbinosa* zmieniono na *zwrócili się obaj do Trąbinosa*.



Sidney Paget, ilustracja do opowiadania *Srebrny Płomień*, Arthura Conan Doyle'a  
„The Strand Magazine” 1892

Paulina Kowalczyk  
(Łódź)

## POSŁOWIE O XIX-WIECZNEJ MODZIE NA „KRYMINAŁ”

### Narodziny „kryminału”

#### *Kultura masowa*

Przełom XVIII i XIX wieku – wraz z towarzyszącą mu rewolucją przemysłową – to początek rodzącego się, nowego zjawiska, nazywanego kulturą masową. Industrializacja wydatnie zwiększyła bowiem możliwości przekazu informacji. Historycznie najwcześniejszym, a przez długi czas jedynym środkiem masowego przekazu był druk. W 1810 roku wprowadzono prasę mechaniczną, a trzydzieści sześć lat później prasę rotacyjną. Znacznie przyspieszyło to czynności wydawnicze i umożliwiło produkcję większej liczby egzemplarzy<sup>1</sup>.

Z powstaniem kultury masowej w sposób wyraźny wiąże się również zjawisko urbanizacji. Początek XIX wieku przynosi silny wzrost liczby ludności miejskiej, a także wynikający stąd nowy typ organizacji społecznej. Ludzie, zamieszkujący wcześniej mniejsze miejscowości i wsie, w nowym otoczeniu zmieniają całkowicie sposób wzajemnej komunikacji, stając się niemal anonimowym tłumem, zachowują też wzajemny dystans i przyjmują w zależności od sytuacji określone role społeczne<sup>2</sup>.

Trzecim bardzo ważnym czynnikiem, mającym wpływ na dynamiczny rozwój kultury masowej, był rozwój i upowszechnienie oświaty. Walka z analfabetyzmem przyczyniła się do zwiększenia liczby czytelników i wzmocnienia popytu na kulturę. Przeciętny robotnik, wracający z pracy i posiadający tzw. czas wolny, odczuwał potrzebę wykorzystania go w sposób, który dałby mu chwilę rozrywki i odpoczynku. Próbu-

---

<sup>1</sup> A. Kłoskowska, *Kultura masowa. Krytyka i obrona*, Warszawa 1983, s. 102-104, 112.

<sup>2</sup> Tamże, s. 102-104, 119-134.

jąc dopasować sztukę do potrzeb nowej grupy odbiorców, zaczęto na wielką skalę powielać pewne standardowe treści i formy<sup>3</sup>.

Kultura masowa od początku była ostro krytykowana i oceniano ją z reguły pejoratywnie. Zarzucano jej zamięszanie jakości w ilość i przekształcanie dzieła w towar, który należało możliwie najlepiej sprzedać. Jak wskazuje *Słownik literatury popularnej* pod redakcją Tadeusza Żabskiego:

Kultura masowa jest poddana prawom rynku, wymaga reklamy, ekonomicznej kalkulacji i wszechogarniającej kontroli. Jest bezosobowa, zhomogenizowana (rozbełtana jak śmietanka), łatwa w recepcji, kierowana do abstrakcyjnego, anonimowego (statystycznego) odbiorcy. Cechują ją standaryzacja, podporządkowanie prawom popytu, uległość wobec wymagań przeciętnego smaku<sup>4</sup>.

Głównym zamierzeniem autorów produktów owej kultury jest trafienie w gust jak największej liczby odbiorców, a co za tym idzie – osiągnięcie możliwie najwyższego zysku. Często jednak wskazuje się również na jej integrujący, gdy chodzi o społeczeństwo, cel i traktuje się ją jako środek pocieszający znudzonych monotonią życia robotników, dający im możliwość chwilowej ucieczki w świat wyimaginowany, podobny do realnego, lecz odmienny pod względem rządzących w nim praw<sup>5</sup>.

### *Literatura popularna*

Książka dla ludu ma za zadanie rozweselić pracownika, który wieczorem powraca zmęczony po dniu ciężkiego trudu, powinna go zabawić, ożywić, pozwolić na zapomnienie o wysiłku, przemienić jego kamieniste pole w różany ogród<sup>6</sup>.

<sup>3</sup> Tamże, s. 104; A. Paczkowski, *Czwarta władza. Prasa dawniej i dziś*, Warszawa 1973, s. 62-71.

<sup>4</sup> K. Dmitruk, *Kultura masowa*, [w:] *Słownik literatury popularnej*, red. T. Żabski, Wrocław 2006, s. 288-289.

<sup>5</sup> A. Kłoskowska, dz. cyt., s. 104-105; U. Eco, *Superman w literaturze masowej*, przeł. J. Ugniewska, Kraków 2008, s. 20, 72-73, 117-118; A. Zwoliński, *Słowo w relacjach społecznych*, Kraków 2003, s. 170; A. Martuszevska, „*Ta trzecia*”. *Problemy literatury popularnej*, Gdańsk 1997, s. 24.

<sup>6</sup> K. Marx, F. Engels, *Über Kunst und Literatur*, [b.m.] 1948, s. 467-468, cyt. za: A. Kłoskowska, dz. cyt., s. 167.

– Tak charakteryzował główne cele literatury popularnej Fryderyk Engels. Silny rozwój beletrystyki w XIX wieku związany był bowiem z nową grupą czytelników, którą tworzyli robotnicy i tzw. filistrzy<sup>7</sup>. Potrzebowali oni powieści w celach tylko rozrywkowych, dlatego nie przeszkadzał owym grupom brak jakichkolwiek znamion oryginalności w masowo kolportowanych utworach. Autor takich książek musiał więc również przeobrazić się z artysty w technika, mającego na uwadze głównie potrzeby czytelników i często rezygnującego z własnej ekspresji twórczej<sup>8</sup>.

Proza popularna charakteryzuje się od czasu swego powstania prostymi zdaniem i przewagą dialogów nad narracją, w której z kolei regułą niemal stają się częste powtórzenia. Powieści tego typu wyróżnia:

(...) zwartość kompozycyjna, konkretność zdarzeń i problematyki (brak symboliki, abstrakcji itp.), jednoznaczność kwalifikacji moralnej i ideowej, ostre jakości stylistyczne: patos, emfaza, hiperbolizacja, oraz takie konstruowanie fabuły, które implikuje napięcie, wzruszenie, strach, żądze, tęsknotę itd.<sup>9</sup>.

Sylwetki psychologiczne postaci są z reguły bardzo uproszczone, stereotypowe, ukazywane w czarno-białych barwach. Fabułę konstytuuje zazwyczaj konflikt dobra ze złem, w którym, co istotne, zawsze zwycięża dobro<sup>10</sup>. Często pojawia się tu postać „nadczołowieka”<sup>11</sup> lub „herosa”<sup>12</sup>, mającego nadnaturalne zdolności i ratującego słabych, zagubionych bohaterów. Czytelnik podczas lektury ma możliwość identyfikacji z którymś z bohaterów pozytywnych i najczęściej ów proces utożsamienia się z herosem zachodzi. Zakończenie książki powinno być dokładnie takie, o jakim marzył odbiorca, lecz zarazem takie, którego zupełnie się on nie spodziewał. Powinno więc go zaskoczyć<sup>13</sup>.

<sup>7</sup> J. Kolbuszewski, *Oswajanie modernizmu. O poetyce powieści popularnej lat 1896–1905*, [w:] *W kręgu historii i teorii literatury*, red. B. Zakrzewski, A. Bazan, Wrocław 1987, s. 56-57; U. Eco, dz. cyt., s. 115; J. Dunin, *Papierowy bandyta. Książka kramarska i brukowa w Polsce*, Łódź 1974, s. 197.

<sup>8</sup> T. Żabski, *Literatura popularna*, [w:] *Słownik literatury popularnej...*, s. 310-316.

<sup>9</sup> Tamże, s. 315.

<sup>10</sup> A. Martuszewska, dz. cyt., s. 129-131; T. Żabski, dz. cyt., s. 315; U. Eco, dz. cyt., s. 101.

<sup>11</sup> U. Eco, dz. cyt., s. 119-120.

<sup>12</sup> A. Martuszewska, dz. cyt., s. 121.

<sup>13</sup> U. Eco, dz. cyt., s. 22; S. Baczyński, *Powieść kryminalna*, Warszawa 1932, s. 33-34.

### *Powieść kryminalna – historia gatunku*

Motywy sensacyjno-kryminalne pojawiały się w literaturze od najdawniejszych czasów. Można je już znaleźć chociażby w *Biblii*, *Iliadzie*, *Odysei*, a także w *Baśniach tysiaca i jednej nocy*. Za prapoczątki „kryminału” uważa się często *Króla Edypa* Sofoklesa lub *Hamleta* Williama Szekspira. W podobne wątki obfituje też na przykład proza Honoriusza Balzaca i Fiodora Dostojewskiego. Przede wszystkim załączków tego gatunku należałoby jednakże szukać w romansie awanturnym, który w wieku XIX przeobraził się w powieść sensacyjną<sup>14</sup>.

Za faktyczną datę narodzin literatury kryminalnej uważa się jednak rok 1841, kiedy to w czasopiśmie „Graham’s Magazine”, wydawanym w Filadelfii, ukazało się opowiadanie Edgara Allana Poe pod tytułem *Zabójstwo przy rue Morgue*. Stworzyło ono pierwszy personalny model literackiego detektywa – C. Auguste Dupina, pojawiającego się następnie w dwóch kolejnych krótkich formach prozatorskich tego autora – w *Tajemnicy Marii Rôget* i w *Skradzionym liście*<sup>15</sup>.

Największą popularnością nowy gatunek literacki cieszył się we Francji i Anglii, gdzie w latach sześćdziesiątych znalazł kontynuatorów. Wilkie Collins stworzył sierżanta Cuffa, wyraźnie przypominającego Dupina analityczną metodą rozumowania. Natomiast bohaterem dziesięciu powieści Emila Gaboriau został Lecoq, agent tajnej policji paryskiej. Książki francuskiego pisarza szybko stały się bardzo poczytną literaturą i wywołały też pierwsze głosy niezadowolenia, nawołujące do degradacji, a nawet bojkotu tego rodzaju twórczości. Zarzucano kryminałom demoralizatorski wpływ na młodych czytelników, uważano je także za literaturę nieodpowiednią dla kobiet. Pojawiło się przeświadczenie o niższości tego typu pisarstwa wobec innych gatunków, co sprzyjało niekiedy ukrywaniu się autorów pod pseudonimami<sup>16</sup>.

<sup>14</sup> A. Martuszevska, *Powieść kryminalna*, [w:] *Słownik literatury popularnej...*, s. 464; J. Siewierski, *Powieść kryminalna*, Warszawa 1979, s. 11-12; S. Baczyński, dz. cyt., s. 35.

<sup>15</sup> J. Siewierski, dz. cyt., s. 12-14; M. Czubaj, *Emolog w Mieście Grzechu. Powieść kryminalna jako świadectwo antropologiczne*, Gdańsk 2010, s. 147. – Czubaj wspomina także o książce Williama Godwina *Caleb Williams*, opublikowanej w 1794 roku. Historycy literatury kryminalnej uważają ją bowiem za protopowieść detektywistyczną. Zob. też: *Edgar Allan Poe – artysta i wizjoner*, red. S. Studniarz, Olsztyn 2013; T. Mackiewicz, „Śledztwo będzie dla nas rozrywką”. *O opowiadaniach detektywistycznych Edgara Allana Poe’go*, „Tekstualia” 2009, nr 1; D. Brzostek, *Mury azylu, ramy dyskursu*, „Literatura Ludowa” 2013, nr 1, s. 41-48.

<sup>16</sup> J. Siewierski, dz. cyt., s. 7-17.



Za sprawą byłego angielskiego lekarza, Artura Conan Doyle'a, w roku 1887 pojawiają się po raz pierwszy na stronach powieści *Studium w szkartacie* Sherlock Holmes i jego wierny przyjaciel doktor Watson. Jak twierdzi autor, pierwowzorem głównego bohatera był jego wykładowca uniwersytecki – profesor Joseph Bell, który obserwując wygląd i zachowanie nieznaną mu wcześniej osoby potrafił podobno określić wykonywany przez nią zawód, pochodzenie społeczne i wykształcenie. Holmes przypominał także swoich literackich poprzedników, Dupina i Lecoq<sup>17</sup>. Postać Watsona była natomiast zdecydowanie nowatorskim pomysłem, często naśladowanym przez późniejszych twórców powieści kryminalnej. Jak przekonuje Jerzy Siewierski: „Genialnemu detektywowi potrzebny jest bowiem banalny, często mało rozgarnięty kolega, na którego tle niezwykle umiejętności geniusza za jasnieć mogą dopiero pełnym blaskiem”<sup>18</sup>. Doyle do swej twórczości wprowadził także elementy naukowej kryminalistyki. Odtąd znalezienie mordercy polegało na wysiłku umysłowym detektywa w oparciu między innymi o badania laboratoryjne. Sherlock Holmes tak bardzo spodobał się czytelnikom, że po lekturze *Ostatniej zagadki* – opowiadania, w którym bohater umiera – zasypali oni autora korespondencją z pogróżkami. Przestraszony Doyle zwrócił się z prośbą o pomoc do policji. Kilka lat później dał się jednak przekonać do wznowienia całej serii<sup>19</sup>.

Początek XX wieku przynosi powieści takich autorów, jak: Gaston Leroux, Edmund Clerihew Bentley i Maurice Leblanc. Ten ostatni stworzył postać Arséne'a Lupina, włamywacza wzbudzającego sympatię czytelników. Wywołało to zresztą wiele głosów oburzenia ze strony krytyki. Podobnie rzecz się miała z pojawieniem się w 1911 roku Fantomasa, wymyślonego przez Marcella Allaina i Pierre Souvestre'a<sup>20</sup>. Złą sławę literatury detektywistycznej zwiększył jeszcze napływ tzw. wydań zeszytowych – powieści kryminalne ukazywały się w ogromnych ilo-

<sup>17</sup> Autor wolał jednak wierzyć w unikatowość cech nadanych swemu bohaterowi, czego wyraz dawał czasami w dialogach, podczas których Holmes bronił się przed porównywaniem go do innych postaci (zob. A.C. Doyle, *Studium w szkartacie*, przeł. T. Evert, Warszawa 1997, s. 23). Zob. też: J. Siewierski..., dz. cyt., s. 17-21; M. Czubaj, dz. cyt., s. 92-93, 190-191; J. Thorwald, *Godzina detektywów. Rozwój i kariera kryminalistyki*, przeł. K. i K. Jaegermannowie, J. Dumański, J. Markiewicz, Kraków 1975, s. 271-272.

<sup>18</sup> J. Siewierski, dz. cyt., s. 21-22.

<sup>19</sup> Tamże, s. 23-25; J. Thorwald, dz. cyt., s. 270-277.

<sup>20</sup> U. Eco, dz. cyt., s. 142-146. Por. M. Janion, *Romantyzm, rewolucja, marksizm. Colloquia gdańskie*, Gdańsk 1972.

ściach, można było kupić je dzięki temu bardzo tanio, co wiązało się często z krótkim czasem ich powstawania, a co za tym idzie – słabą jakością. Opowiadania detektywistyczne pisał też w tym czasie nawet Gilbert Keith Chesterton<sup>21</sup>.

Dwudziestolecie międzywojenne nazywane bywa „złotym wiekiem powieści detektywistycznej”. Pojawia się wtedy bowiem wielu znakomitych autorów. Stolica tego gatunku przenosi się z Francji do Anglii. W 1919 roku wydana zostaje pierwsza książka Agathy Christie, cztery lata później debiutuje także Dorothea Sayers i tak zaczyna się współzawodnictwo obu pań o tytuł „królowej powieści kryminalnej”. Jest to czas tworzenia przez autorów różnego rodzaju zrzeszeń i wielu prób ustalenia w nich jakichś reguł dotyczących konstruowania powieści detektywistycznych. Najbardziej chyba znany zbiór norm z tamtego okresu to esej Van Dine’a z 1928 roku zatytułowany *Dwadzieścia zasad pisania powieści detektywistycznych*<sup>22</sup>.

### *Czym charakteryzuje się powieść kryminalna?*

W XX wieku powstało wiele propozycji stworzenia swoistego dekalogu, który miałyby obowiązywać twórców powieści kryminalnej<sup>23</sup>. Nigdy jednak żaden zbiór owych nakazów i zakazów nie zyskał aprobaty wszystkich autorów. Jednak, pomimo że nie istnieje uznawany powszechnie regulamin, są pewne zasady, których twórcy starają się przestrzegać<sup>24</sup>.

Jak twierdzą autorzy *Słownika literatury popularnej*, powieść kryminalna to odmiana powieści, której dominantą kompozycyjną jest fabuła związana ze zbrodnią. Od początku czytelnik spotyka się z dwoma głównymi wyzwaniem poznawczymi – kto zabił i jaka była przyczyna

<sup>21</sup> Chesterton jako jedyny spośród twórców kryminałów cieszył się uznaniem wśród polskiej krytyki (zob. J. Siewierski, dz. cyt., s. 25-29). Zob. też: S. Baczyński, dz. cyt., s. 65-68.

<sup>22</sup> S. Lasić, *Poetyka powieści kryminalnej. Próba analizy strukturalnej*, przeł. M. Petryńska, Warszawa 1976, s. 5-6; J. Siewierski, dz. cyt., s. 30-35; M. Czubaj, dz. cyt., s. 155-163; M. Kraska, *Prosta sztuka zabijania. Figury czytania kryminału*, Gdańsk 2013, s. 55-58.

<sup>23</sup> Oprócz wspomnianego wyżej artykułu Van Dine’a, warto wspomnieć o publikacji, która ukazała się w tym samym roku, autorstwa A. Knoxa pt. *A Detective Story Decalogue*, a także o tekście R. Austina Freemana z 1924 roku *The Art of the Detective Story*. – M. Czubaj, dz. cyt., s. 155-156; M. Kraska, dz. cyt., s. 54-58; A. Martuszevska, *Przepisy na powieść kryminalną*, [w:] *Słownik literatury popularnej...*, s. 498; L. Grant-Adamson, *Jak napisać powieść kryminalną*, przeł. M. Rusinek, Kraków 1999, s. 44-46.

<sup>24</sup> J. Siewierski, dz. cyt., s. 51-52.

morderstwa. Lektura powinna tę zagadkę wyjaśnić dopiero na końcu, jednak w trakcie musi przedstawiać ślady, którymi podąża zarówno detektyw, jak i sam czytelnik. W założeniu obie te osoby powinny mieć równe prawo do rozszyfrowania mordercy<sup>25</sup>.

Wskazówki nie mogą być zbyt oczywiste. Dobrze napisana powieść przedstawia je w taki sposób, że czytający uważa je za nieistotne i nie zwraca na nie specjalnej uwagi. Dużym błędem jest wprowadzanie dopiero na końcu fabuły wcześniej nieznanymi czytelnikowi faktów. Niedopuszczalne wydaje się także ustanowienie zabójcą detektywa, narratora lub osoby spoza kręgu postaci przedstawionych podczas lektury, jak również sił nadprzyrodzonych. Kiedy czytelnik ma możliwość zapoznania się z wystarczającą liczbą faktów, potrzebną do zdemaskowania sprawcy, detektyw wykonuje „pracę myślową”, analizuje przebieg śledztwa oraz zebrany materiał i w ten sposób odkrywa przestępcę<sup>26</sup>. Rozwiązanie zagadki powinno być zgodne z logiką, a mimo to zaskakujące uwiedzionych fabułą czytelników. Istotę powieści kryminalnej trafnie ujął Chesterton, pisząc:

Opowieść detektywistyczna różni się od innych podobnych opowieści tym, że czytelnik jest usatysfakcjonowany w pełni tylko wtedy, gdy na końcu historii czuje się jak głupiec. Istota takiej fabuły polega na tym, że zostajemy nagle skonfrontowani z prawdą, której byśmy nigdy nie podejrzewali<sup>27</sup>.

Powieść kryminalna powinna charakteryzować się wiarygodnością, realizmem i logiką. Oprócz zagadki istotna w tym gatunku jest fabuła, która sprawia, że książka staje się żywa, barwna i błyskotliwa. Wyjaśnienie tajemnicy nie może być przecież zbyt zawiłe; ważne, aby było samo przez się interesujące, by czytelnik za wszelką cenę pragnął je po-

<sup>25</sup> S. Lasić, dz. cyt., s. 50; J. Siewierski, dz. cyt., s. 35-51, 156; T. Bujnicki, *Między „Nocą z 3-go na 4-ty Grudnia” a „Liściami akcji” Walerego Przyborowskiego, czyli początki polskiej powieści kryminalnej*, [w:] „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historicolitteraria” XIII (2013), red. P. Borek, M. Buś, M. Chrobak, J. Grzegorzec, Kraków 2013, s. 51; T. Cieślukowska, *Struktura powieści kryminalnej na tle współczesnego powieściopisarstwa*, [w:] T. Cieślukowska, *W kręgu genologii, intertekstualności, teorii sugestii*, Łódź 1995, s. 67-68; L. Grant-Adamson, dz. cyt., s. 11; M. Kraska, dz. cyt., s. 56.

<sup>26</sup> J. Siewierski, dz. cyt., s. 36-51; A. Martuszevska, *Przepisy na powieść kryminalną...*, s. 498-499;

<sup>27</sup> G. K. Chesterton, *The Ideal Detective Story*, „The Illustrated London News”, October 25, 1930, cyt. za: M. Czubaj, dz. cyt., s. 158.

znać. Rozwiązanie, po jego ujawnieniu, musi wydawać się rzeczywiście jedynym i bezapelacyjnym. Przedstawiona historia powinna zwięźle nawet średnio inteligentnego odbiorcę. Jak zauważa Raymond Chandler – powieść kryminalna to jakby dwie powieści w jednej: „powieść o tym, co się zdarzyło, i powieść o tym, co się na pozór zdarzyło”<sup>28</sup>.

W powieści kryminalnej zaburzona zostaje chronologia, charakteryzuje ją narracja linearno-powrotna, w której czytelnik, wraz z przebiegiem akcji i odkrywaniem nowych dowodów, poznaje zarówno przyszłość, jak i przeszłość stale dziejących się zdarzeń. Budowa powieści detektywistycznej oparta jest na inwersji i gradacji<sup>29</sup>. Zostaje ponadto odwrócona w niej strategia czytelniczego odbioru dzieła. Powieść kryminalna tym różni się od obyczajowej lub na przykład powieści przygodowej, że intryguje odbiorcę w zupełnie inny, nowy sposób – zamiast poznawać kolejne losy bohaterów jest czytelnik utrzymywany w napięciu oczekiwania, stara się bowiem sam rozwiązać zagadkę. Istotną rolę odgrywa tu stopniowanie napięcia i wiedzy oraz logiczne dochodzenie do prawdy. Ważne jest również, aby tajemnica została w końcu rozwiązana, a zabójca schwytywany nie dzięki zrządzeniu przypadku, ale wskutek rygorystycznie zastosowanych procedur detektywistycznych lub policyjnych. Różni się też powieść kryminalna od literatury artystycznej tym, że koncentrując się na akcji i konkretnych czynach zbrodniarza, rezygnuje z przedstawienia wątku psychologicznego, jakim mogłaby być walka wewnętrzna bohatera<sup>30</sup>.

Od około stu pięćdziesięciu lat socjologowie, antropologowie i literaturoznawcy zadają sobie pytanie: co takiego ma w sobie powieść kryminalna, że jest masowo czytana i nic nie wskazuje na to, aby jej popularność miała w jakikolwiek gwałtowny sposób się zmniejszyć? Jedną z przyczyn tego zjawiska na pewno jest sama struktura gatunku: wartka akcja i przedstawiane w niej intrygujące historie, a także mnóstwo dialogów, które sprawiają, że literatura ta staje się w miarę prosta w odbiorze<sup>31</sup>. Niektórzy wskazują jednak również na jej psychologiczny aspekt, mówiąc, że czytający ją ludzie zastępują w ten sposób własne lęki zmy-

<sup>28</sup> R. Chandler, *Chandler o powieści kryminalnej*, [w:] R. Chandler, *Mówi Chandler*, przeł. E. Budrewicz, Warszawa 1983, s. 79-89.

<sup>29</sup> S. Lasić, dz. cyt., s. 56-69; M. Kraska, dz. cyt., s. 17.

<sup>30</sup> M. Czubaj, dz. cyt., s. 41; T. Bujnicki, dz. cyt., s. 51-52; S. Baczyński, dz. cyt., s. 37-46.

<sup>31</sup> L. Grant-Adamson, dz. cyt., s. 11.

śleniami fabularnymi<sup>32</sup>. Lektura podobnych historii może też tworzyć iluzję harmonijnego świata, w którym dobro zawsze zwycięża, a zło zostaje ukarane<sup>33</sup>. Istnieją także teorie, mówiące o tym, w jaki sposób czytanie powieści kryminalnych pozwala ludziom rozładowywać sadystryczne skłonności. Równie często pojawiają się jednakże wprost odmiennie hipotezy, twierdzące, iż książki tego rodzaju mogą stać się impulsem pobudzającym w człowieku skłonności psychopatyczne<sup>34</sup>.

### *Powieść kryminalna w Polsce*

W kraju, jeszcze podzielonym przez zabory, powieści kryminalne także nie cieszyły się najpierw zbyt dobrą sławą, a zarzuty o ich demoralizatorski wpływ pojawiały się niezwykle często<sup>35</sup>. Miała w tym pewien udział sprawa zabójstwa jednego z pierwszych autorów tego typu literatury. W 1896 roku bowiem młody mężczyzna, Władysław Grajner, wydał książkę zatytułowaną *Zbrodniarz. Powieść kryminalna*. Tekst ten został bardzo ostro skrytykowany w prasie, między innymi przez redaktora naczelnego tygodnika „Mucha”, Władysława Buchnera, który recenzję podsumował słowami:

Panie Graj, panie Nert  
Jest to bredni sterta stert –  
Panie Nert, panie Graj  
Grafomanów minął maj!

Tekst ten wywołał nadnaturalne oburzenie Grajnera, udał się więc w ataku furii do mieszkania redaktora. Doszło do szamotaniny, zakończonej wystrzałem z pistoletu i w konsekwencji śmiercią młodego pisarza. Buchner tłumaczył w sądzie, iż działał w obronie własnej. Podobno usłyszał wtedy od kogoś: „Panie Ner, panie Buch! Nie trza było strzelać w brzuch!”. W następnych latach ukazywały się u nas właściwie tylko tłumaczenia zagranicznych powieści tego gatunku<sup>36</sup>.

<sup>32</sup> Tamże, s. 40; M. Czubaj, dz. cyt., s. 56.

<sup>33</sup> J. Chmielewska, *Posłowie*, [w:] L. Grant-Adamson, dz. cyt., s. 186.

<sup>34</sup> M. Czubaj, dz. cyt., s. 58, 130; J. Siewierski, dz. cyt., s. 7-11; S. Baczyński, dz. cyt., s. 53.

<sup>35</sup> W 1911 r. gazety rozpisywały się na przykład na temat morderców: Dłużniewskiego i 16-letniego Edwarda T., u których znaleziono w mieszkaniach znaczne zbiory literatury kryminalnej. – J. Dunin, dz. cyt., s. 196.

<sup>36</sup> J. Siewierski, dz. cyt., s. 136-137.

Próba stworzenia polskiej powieści kryminalnej była także, wcześniejsza aż o dwadzieścia cztery lata, fabuła Józefa Ignacego Kraszewskiego pod znaczącym tytułem *Sprawa kryminalna* (1872). Jednak, mimo iż przedstawiono w niej zbrodnię i opis śledztwa, książki tej nie zalicza się dziś do owego gatunku<sup>37</sup>.

Literaturę detektywistyczną w Polsce reprezentują w wieku XX nazwiska takich autorów, jak: Antoni Marczyński, Marek Romański, Józef Jeremski, Adam Nasielski, Stanisław Wotowski, Tadeusz Kosteci, Maciej Słomczyński (Joe Alex), Andrzej Piwowarczyk, Anna Kłodzińska, Joanna Chmielewska, Kazimierz Korcozowicz i Jerzy Edigey<sup>38</sup>.

Stanisław Baczyński tak charakteryzował i oceniał jeszcze w 1932 roku kształt polskich powieści kryminalnych:

Znamienną cechą szczupłej produkcji oryginalnej w Polsce jest brak głębszej motywacji i przewaga dydaktyzmu policyjnego, gloryfikacja wprost stójkowych komisarzy, aspirantów oraz w narracji łatwizna, nieprzewyższająca literackiej wartości protokołów śledczych. (...) Apoteoza policji mundurowej, być może resztką tradycji carskich, pozbawia powieść polską smaku przygody, wyjaławia ją z fantazji i tajemniczości i obniża jej ogólnospołeczny walor. (...) Zbrodnię, jak policję, wulgaryzuje się i degraduje, z góry szuka się źródeł występku tylko w mętach wielkomiejskich, a ręki sprawiedliwości w brudnych komisariatach. Cały proces śledczy zaś sprowadza się do niewybrednego polowania. Jest to zjawisko wyraźnie niedemokratyczne<sup>39</sup>.

Zarzucał on nadto rodzimej literaturze tego gatunku, iż w przeciwieństwie do książek angielskich i francuskich, w których zbrodniarzem mógł być każdy, bez względu na warstwę społeczną, utwory polskich pisarzy czyniły mordercą osobę, stojącą poza społeczeństwem, nieposiadającą konkretnego zawodu, a także często będącą innej niż polska narodowości<sup>40</sup>. Akcja polskich powieści kryminalnych nierzadko roz-

<sup>37</sup> Baczyński wskazuje też na *Dzieje grzechu* (1908) Stefana Żeromskiego i *Fortunę kasjera Śpiewakiewicza* (1928) Andrzeja Struga, jako utwory, w których znaleźć można motywy kryminalne. Jednak z gatunkiem powieści kryminalnej nie mają one wiele wspólnego. – S. Baczyński, dz. cyt., 95.

<sup>38</sup> Tamże, s. 139-141; A. Martuszevska, *Powieść kryminalna...*, s. 468-470; S. Baczyński, dz. cyt., s. 95.

<sup>39</sup> S. Baczyński, dz. cyt., s. 95-96.

<sup>40</sup> Tamże, s. 96-98.

grywała się poza granicami kraju. Autorzy tych książek kryli się natomiast pod brzmiącymi tajemniczo pseudonimami<sup>41</sup>.

Jeśli jednak fabuła powieści osadzona była w Polsce, to ukazywała piękną i szczegółową panoramę ówczesnej obyczajowości. Jak pisał Jerzy Siewierski:

Autorzy są niezwykle wyczuleni na wszystkie przemiany zachodzące w tym zakresie i starają się je wiernie odnotowywać. Już wielokrotnie zauważono, że nasze „kryminały” pełnią na marginesie swych funkcji rozrykowych (i założonych dydaktycznych) także niebiałą rolę dokumentacyjną. Obraz realiów życia najrozmaitszych środowisk, wygnany w praktyce z „poważnej” literatury, znalazł swoje miejsce w literaturze kryminalnej. Gdy za lat kilkadziesiąt historyk obyczajów zapragnie zbadać, jak ubierali się, co jedli i pili, z czego się śmiali i jakich powiedzonek używali ludzie nam współcześni, to na kartkach „poważnej” literatury, stworzonej w naszych czasach, nie znajdzie zbyt wiele interesującego materiału. Powieści kryminalne będą za to prawdziwą kopalnią tego rodzaju wiadomości. (...) Panorama obyczajowości współczesnej jest w polskich powieściach kryminalnych szeroka i dość wszechstronna. Przeważają w niej opisy środowisk wielkomiejskich (z Warszawą na czele), ale nie brak też wizerunków życia w małych miasteczkach, a nawet (choć stosunkowo rzadziej) i na wsi<sup>42</sup>.

### ***Dzienniki jako środek masowego przekazu***

Dziennik – gatunek prasowy, który powstał w XVIII wieku – zapoczątkował zwyczaj umieszczania w gazecie informacji o wydarzeniach codziennych: o sensacjach dnia, opisach wypadków, relacjach ze spraw sądowych, nekrologach, ogłoszeniach, reklamach i notowaniach giełdowych<sup>43</sup>. W połowie XIX wieku nakład dzienników znacznie się zwiększył. Stało się tak między innymi za sprawą Emila de Girardin, młodego dziennikarza i wydawcy, który w 1831 roku przedstawił publicznie projekt reformy prasy. Chciał on bowiem zreorganizować dzienniki na wzór dochodowych przedsiębiorstw kapitalistycznych. Uważał, że aby dotrzeć do jak największej liczby odbiorców, prasa powinna być adresowana do wszystkich warstw społecznych. Apelował o obniżenie ceny egzemplarza, ażeby na kupno gazety stać było każdego. Przekonywał też, że jeśli prasa chce dotrzeć do ludzi o różnych po-

<sup>41</sup> J. Siewierski, dz. cyt., s. 138-149; A. Martuszevska, *Powieść kryminalna...*, s. 469-470.

<sup>42</sup> J. Siewierski, dz. cyt., s. 152-153.

<sup>43</sup> A. Paczkowski, dz. cyt., s. 60.

gładach politycznych, musi odejść od komentowania na rzecz obiektywnego przekazywania informacji. Pięć lat później, zgodnie z przedstawionymi pomysłami, zaczął wydawać dziennik „La Presse”<sup>44</sup>.

Jednocześnie Armand Dutacq stworzył gazetę „Le Siècle”. I tak odtąd przez lata oba francuskie pisma konkurowały ze sobą. W rywalizacji tej znaczny udział odegrało wprowadzenie na łamy gazety powieści w odcinkach. Widząc sukces wspomnianych wyżej wydawnictw, inne dzienniki także zaczęły masowo obniżać swoje ceny, wzbogacać działy informacyjne, a także drukować podzielone na części utwory literackie. Trzydzieści lat później pojawił się „Le Petit Journal” Polyodora Maillauda, który szczególny akcent położył na dokładny opis aktualnych wydarzeń sensacyjnych. Znacznie zwiększył się dzięki temu nakład owej gazety. Po sukcesie Maillauda pojawił się we Francji nowy rodzaj dziennikarstwa, określanej niekiedy drastyczną formułą „krew na pierwszej stronie”. Podobnie działo się już od lat w Stanach Zjednoczonych, choć tam gazety do roku 1883 nie były aż tak masowo kupowane.

Statystyki czytelnictwa prasy zmienił w Ameryce Joseph Pulitzer, wydawca dziennika „The World”, którego motto brzmiało: „Nie drukuj nigdy tego, czego twoja służąca nie może zrozumieć”. Dążył on przede wszystkim do uproszczenia języka artykułów, a także do publikacji jak największej ilości informacji o zbrodniach i wszelkiego rodzaju skandalach<sup>45</sup>. Podobny kierunek rozwoju prasy, nacechowanie jej sensacyjnością i adresowanie do masowego odbiorcy, widoczny był w drugiej połowie XIX wieku także w innych krajach<sup>46</sup>.

### ***Zbrodnie, o których na świecie było głośno***

W wieku XIX odnotowywano znaczny wzrost przestępczości w wielkich miastach. W samym chociażby Paryżu w roku 1835 na sto tysięcy mieszkańców przypadało 237 przestępców. Trzydzieści trzy lata później liczba ta niemal się podwoiła, osiągając „pułap” 444 kryminali-

<sup>44</sup> Tamże, s. 72.

<sup>45</sup> Tamże, s. 71-83; K. Stępnik, M. Gabryś, *Wstęp*, [w:] *Zbrodnie, sensacje i katastrofy w prasie polskiej do 1914 roku*, red. K. Stępnik, M. Gabryś, Lublin 2010, s. 5-6; H. Bałabuch, *Katastrofa na Polu Chodyńskim: prasa a cenzura*, [w:] *Zbrodnie, sensacje i katastrofy...*, s. 36; W. Władyka, *Krew na pierwszej stronie. Sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1982, s. 16.

<sup>46</sup> A. Paczkowski, dz. cyt., s. 88; S. Dziki, *Prasa w rozwoju historycznym*, [w:] *Dziennikarstwo i świat mediów*, red. Z. Bauer, E. Chudziński, Kraków 2000, s. 37.



stów<sup>47</sup>. Gazety rozpisywały się o szokujących morderstwach, a głodne sensacji społeczeństwo zaczytywało się w często szczegółowych i dramatycznych opisach zbrodni.

Najgłośniejszą aferą kryminalną II połowy XIX wieku była prawdopodobnie historia Kuby Rozpruwacza, który w 1888 roku zamordował od pięciu do siedmiu londyńskich prostytutek. Wszystkie kobiety zaatakowane zostały nożem, niektórym z nich sprawca usunął i zabrał narządy wewnętrzne<sup>48</sup>. We Francji w latach 1894–1897 grasował z kolei Joseph Vacher, postać bardzo podobna do wspomnianego Kuby Rozpruwacza. Zabił on czternaście osób: osiem kobiet i sześciu mężczyzn. Wszystkie ofiary znaleziono z rozprutymi brzuchami i dowodami na to, iż po śmierci zostały wykorzystane seksualnie. Na ciałach niektórych z nich widoczne były ślady zębów<sup>49</sup>.

Inną głośną sprawą było odkrycie w lipcu 1901 roku zmasakrowanych ciał młodych chłopców, zakopanych w lesie, na niemieckiej wyspie Rugia. Aresztowano czeladnika stolarskiego, Ludwika Tessnowa, którego widziano w dniu zaginięcia dzieci rozmawiającego z nimi. Dodatkowym dowodem, świadczącym wyraźnie przeciw niemu, były znajdujące się na jego ubraniu dziwne brązowe plamy. Podejrzany tłumaczył, iż pochodzą one z krwi bydlęcej i zaprawy stolarskiej, z którą ma do czynienia na co dzień. Wyjaśnienie to przypomniało sędziemu śledczemu podobną sprawę sprzed trzech lat. W Greifswaldzie zamordowano bowiem wtedy dwie dziewczynki, których ciała zostały potraktowane podobnie i także ukryte w lesie. O dokonanie tej zbrodni również podejrzewano czeladnika stolarskiego, pracującego w tym mieście. Szybko okazało się, iż w tamtym przypadku oskarżonym był Tessnow, którego z powodu braku możliwości analizy pochodzenia plam wypuszczono. Jednak przez owe trzy lata medycyna sądowa poczyniła pewne postępy i tym razem zbrodnia została udowodniona, a przestępca ukarany<sup>50</sup>.

W 1860 roku doszło w Anglii do zabicia trzyletniego chłopca. Tragedia ta wydarzyła się w rodzinie inspektora fabryki, Samuela Savile Kenta, który mieszkał z trojgiem dzieci z pierwszego małżeństwa i z trojgiem z drugiego oraz ze swą obecną żoną. Jego synek został zabi-

<sup>47</sup> M. Czubaj, dz. cyt., s. 130.

<sup>48</sup> J. Białecka, *Czarny leksykon*, Olsztyn 1988, s. 77-83; J. Thorwald, *Stulecie detektywów. Drogi i przygody kryminalistyki*, przeł. W. Kragen, K. Bunsch, Kraków 1992, s. 54-55.

<sup>49</sup> J. Białecka, dz. cyt., s. 58-64.

<sup>50</sup> J. Thorwald, *Stulecie detektywów...*, s. 165-168.

ty w nocy, znaleziono go w ogrodowym ustępie z podciętym gardłem. Z niewiadomych przyczyn nadinspektor tamtejszej policji zamiast zbierać dowody robił wszystko, aby je zatuszować. Pozwolił na przykład zniknąć znalezionej zakrwawionej koszuli damskiej, a krwawy odcisk dłoni na szybie po prostu zmasał, nie chcąc bardziej przstraszyć rodziny. Niechętnie potraktował przysłanego na miejsce detektywa, Jonathana Whichera, który, postępując podobnie do bohaterów powieści kryminalnych, za pomocą obserwacji i dedukcji po kilku dniach pobytu w domu zabitego chłopca wskazał zbrodniarza. Była nim zazdrosna o miłość rodziców siostra zamordowanego, Konstancja Kent<sup>51</sup>.

Interesującą dla kryminalistyki i niewyjaśnioną do tej pory jest też sprawa Adelaide Bartlett z 1886 roku. Kobieta ta zabiła prawdopodobnie własnego męża po jedenastu latach udanego z pozoru małżeństwa. W żołądku mężczyzny znaleziono ogromną ilość chloroformu. Nie wiadomo jednak, w jaki sposób miałaby ona podać mu truciznę, aby nie wypaliła mu gardła i nie spowodowała przy tym krzyku, będącego przyczyną ogromnego, naturalnego w takim przypadku, bólu<sup>52</sup>.

Głośną sprawą w Stanach Zjednoczonych była z kolei historia Norweżki, Belli Gunnes, matki trójki dzieci i trzykrotnej wdowy. Jej mężowie ginęli szybko po ślubie i w dość tajemniczych okolicznościach. Ona natomiast dostawała po nich wysokie odszkodowania. Kiedy zauważyła, że jej sytuacja zaczyna być podejrzana, wpadła na pomysł innego zdobywania pieniędzy. Umieszczała w gazecie ogłoszenia matrymonialne, a potencjalnych kandydatów na męża zabijała siekierą w noc po przyjeździe do niej. Na terenie jej posiadłości znaleziono 28 zmasakrowanych ciał<sup>53</sup>.

Opisanych wyżej historii było oczywiście znacznie więcej. Te przywołane tu stanowią jedynie przykłady tego typu kryminalnych transgresji i perwersji, którymi namiętnie żywiła się w drugiej połowie XIX wieku prasa codzienna.

---

<sup>51</sup> Tamże, s. 51-52.

<sup>52</sup> J. Białecka, dz. cyt., s. 185-190; R. Chandler, *Chandler o znanych przestępstwach*, [w:] R. Chandler, dz. cyt., s. 227-229, 245-250.

<sup>53</sup> J. Białecka, dz. cyt., s. 168-174.

### *Z archiwum polskiej kryminologii*

W drugiej połowie XIX wieku zainteresowanie sprawami kryminalnymi prowadzi także do reformy sądownictwa. Odbywające się do tej pory tajne procesy stają się kwestią publiczną, w której uczestniczyć może każdy, kto wykupi bilet uprawniający go do wejścia na salę. Na najbardziej kontrowersyjne rozprawy owe bilety sprzedawane były w zastraszającym tempie<sup>54</sup>.

Jednym z bardziej znanych morderców tego okresu był Jan Czesak z Grójca, który w 1866 roku brutalnie zabił czwórkę z siódemki dzieci strażnika leśnego o nazwisku Myszkowski. Dwójce dzieci udało się uciec, a jedno odratowano. Motywem zbrodni była chęć obrabowania mieszkania ich ojca<sup>55</sup>. Z dzieciobójstwem spotykamy się także w roku 1890 w Warszawie w sprawie Marianny Skublińskiej, w której mieszkaniu znaleziono ciała szesnastu noworodków. Rodziła ona dzieci, a potem je zabijała, aby móc dalej pracować jako mamka<sup>56</sup>.

Szeroko opisywane przez prasę były także morderstwa popełniane przez służbę<sup>57</sup>, dlatego może warto wspomnieć tu o sprawie zabicia profesora Ludwika Zejsznera. Był to bowiem jeden z najznakomitszych polskich geologów, publikował swe prace w kilku językach. Pod koniec 1870 roku zatrudnił poznanego na ulicy, nowego lokaja. Zwolnił poprzednią służbę, a z tego, co mówił, wynikało, iż dopiero co poznanemu mężczyźnie ufa bezgranicznie. Niestety, tragicznie się to dla niego skończyło. Znaleziono go martwego 3 stycznia 1871 roku. Śledztwo w tej sprawie toczyło się niemal rok. Zabójca posługiwał się fałszywymi nazwiskami i składał kłamliwe zeznania. W końcu jednak i on przyznał się do winy<sup>58</sup>.

Bardzo głośna stała się także sprawa niejakiej Barbary Ubryk, pięknej podobno kobiety, przebywającej od 1840 roku w klasztorze Karmelitanek. Do Sądu Krajowego w Krakowie trafił w 1869 roku anonimowy list, donoszący, iż to w owym zakonie przetrzymywana jest ona

<sup>54</sup> M. Kominek, *Przestępczość kobieca u schyłku XIX wieku. Na podstawie „Gazety Sądowej Warszawskiej”*, [w:] *Zbrodnie, sensacje i katastrofy...*, s. 154.

<sup>55</sup> A. Pachocka, *W lokalnej skali: zbrodnie i sensacje w „Kurierze Lubelskim” 1865–1878*, [w:] *Zbrodnie, sensacje i katastrofy...*, s. 111.

<sup>56</sup> M. Kominek, dz. cyt., s. 157.

<sup>57</sup> A. Pachocka, dz. cyt., s. 110.

<sup>58</sup> J. Szwaia, *Zamordowanie profesora Ludwika Zejsznera*, [w:] S. Salmonowicz, J. Szwaia, S. Waltoś, *Pitaval krakowski*, Warszawa 1962, s. 226-245.

w nieludzkich warunkach. Postanowiono więc fakt ów sprawdzić. Okazało się, iż kobietę więziono przez dwadzieścia jeden lat w malutkiej, ciemnej i obskurnej celi. Znaleziona została w przerażającym stanie, zarówno psychicznym, jak i fizycznym – ważyła 34 kg. Pomimo starań lekarzy, w szpitalu psychiatrycznym nigdy nie doszła już do siebie. Historia ta mocno poruszyła opinię publiczną. Kilka tysięcy oburzonych, zachowujących się bardzo agresywnie osób udało się potem pod klasztor Karmelitanek, wybijając szyby i próbując wedrzeć się do środka. Tłum został jednak uspokojony przez policję<sup>59</sup>.

Jedną z najbardziej kontrowersyjnych spraw toczących się w Warszawie było zabójstwo dokonane 12 maja 1892 roku przez czterdzieścioletnią Bogusławę Brzezińską. Wśród publiczności na sali sądowej znalazł się nawet Bolesław Prus. Był to też temat atrakcyjny dla prasy, szczególnie z tego względu, iż morderczyni była kobietą wykształconą, szlacheckiego pochodzenia i do tej pory nienagannego prowadzenia. Uchodziła bowiem za wzór kochającej matki i żony. Z niewiadomych przyczyn dokonała jednak rabunku i rozbiła młotkiem głowę właścicielce mieszkania, do którego weszła. Zbrodnia wyglądała na starannie zaplanowaną, a sprawczyni była prawdopodobnie w pełni władz umysłowych<sup>60</sup>.

Przedstawione sprawy kryminalne oraz wiele innych, rozgrywających się w drugiej połowie XIX wieku, były drobiazgowo opisywane w prasie, a także stawały się wielokrotnie inspiracją powstających wtedy utworów literackich o charakterze popularnym<sup>61</sup>.

---

<sup>59</sup> R. Kaleta, *Sensacje z dawnych lat*, Wrocław 1986, s. 484-490; S. Salmonowicz, *Sprawa Barbary Ubryk*, [w:] *Pitaval krakowski...*, s. 179-203. Historia ta stała się głośna w całej Europie, jej literackie i publicystyczne echa znajdujemy w Niemczech, Anglii, Bułgarii. Zob. W. Jaworski, *Barbara Ubrykówna czyli Sprawa Karmelitanek Bosych w Krakowie*, Kraków 1869; S. Tomkowicz, *Prawda o Barbarze Ubrykównie*, Kraków 1909; S. F. Smith, *The true story of Barbara Ubryk*, London 1890.

W Bułgarii sensacyjną powieść o Ubrykównie przypisano J. I. Kraszewskiemu. Zob. M. Grigorova, *Historia starych butów. Recepcja dzieł Kraszewskiego i utworów mu przypisanych w Bułgarii*, [w:] *Kraszewski i wiek XIX*, idea i układ J. Ławski, red. A. Janicka, K. Czajkowski, P. Kuciński, Białystok 2014.

<sup>60</sup> M. Kominek, dz. cyt., s. 160-161.

<sup>61</sup> Tamże, s. 153-154.

### *Powieść w odcinkach*

Powieść dziewiętnastowieczna – także ta o tematyce kryminalnej – drukowana była najczęściej w odcinkach. Za pomysłodawcę umieszczenia podzielonej na części fabuły w gazecie uważany jest Girardin – wydawca dziennika „La Presse”, ukazującego się w Paryżu od 1836 roku<sup>62</sup>. Początkowo drukowano istniejące już utwory znanych pisarzy. Jednak druga połowa stulecia obfitowała w powieści tworzone specjalnie na potrzeby gazet. Klasy średniej, tworzącej nową grupę publiczności literackiej, często nie stać było na kupno książki, która była wtedy dość droga. Czytelnicy oczekiwali ciągłego zaskakiwania, wartkiej akcji i elementów sensacji, dlatego bardzo często jedyną literaturą drukowaną w dziennikach były powieści kryminalne. Redakcjom zależało, aby utwory te przyciągały uwagę odbiorców i zachęcały do regularnego kupowania kolejnych numerów gazety<sup>63</sup>.

Literatura drukowana w częściach i pisana specjalnie w takim właśnie celu kierowała się określonymi zasadami. Po przeczytaniu pierwszego odcinka w umyśle odbiorcy tekstu powinno było pojawić się pytanie, choćby takie: „Kto zabił?”. Problemy takiego utworu natomiast musiały być jak najbardziej aktualne i bliskie przeciętnemu czytelnikowi. Najlepiej, jeśli akcja powieści rozgrywała się w mieście, w którym wydawana była określona gazeta. Wskazane było także, aby czas fabularny był tożsamy z czasem rzeczywistym. W każdym z odcinków powinno znaleźć się rozwiązanie problemu zasygnalizowanego w poprzednim numerze. Za to na końcu odcinka pisarz musiał zostawić jakąś kwestię niewyjaśnioną, aby skłoniło to czytelnika do zakupienia następnego numeru. W powieści należało też ukazać niewinną postać, gnębioną przez złych ludzi, najlepiej młodą kobietę lub szlachetnego mężczyznę<sup>64</sup>.

---

<sup>62</sup> Możliwe, że pierwszym dziennikiem, w jakim pojawiła się powieść w odcinkach, był jednak „Le Siècle”, wydawany przez Dutacqą. Informacje na ten temat nie są zgodne. – A. Paczkowski, dz. cyt., s. 73; J. Jastrzębski, *Powieść odcinkowa*, [w:] *Słownik literatury popularnej...*, s. 474.; J. Ławski, *Od cykliczności do seryjności i z powrotem. Paradoxy romantycznej sztuki elitarnej*, [w:] *Między powtórzeniem a innowacją. Seryjność w kulturze*, red. A. Kisielewska, Kraków 2004, s. 51-74.

<sup>63</sup> J. Jastrzębski, *Powieść odcinkowa...*, s. 473-476; J. Jastrzębski, *Czas relaksu. O literaturze masowej i jej okolicach*, Wrocław 1982, s. 66-78; M. Kraska, dz. cyt., s. 16.

<sup>64</sup> W. Władysław, dz. cyt., s. 224-225; U. Eco, dz. cyt., s. 6-22.

Czytelnicy powieści odcinkowych często brali udział w tworzeniu ich fabuły. Gdy nie spodobało im się zakończenie, pisali do redakcji listy, w których prosili o kolejne części opowieści. Podobnie rzecz się miała w przypadku, gdy uważali, że w utworze brakuje jakiejś postaci. Autor miał wtedy możliwość szybkiej reakcji na wyrażone dobitnie zapotrzebowanie i mógł na bieżąco zaspokajać wymagania odbiorców<sup>65</sup>. Co, rzecz jasna, zwiększało nakład gazety.

## Powieść kryminalna Zapolskiej

### *Zainteresowanie pisarki motywami sensacyjno-kryminalnymi*

W czasach, gdy tematyka sensacyjno-kryminalna stawała się tak popularna, a pisanie literatury zaspokajającej nowe gusta czytelnicze umożliwiało autorom lepszy zarobek, niektórzy polscy pisarze zaczęli sięgać po do niedawna postponowany gatunek. Wśród nich znalazła się również Zapolska, pisząc w 1903 roku *Kwiat śmierci*. Oprócz tej powieści kryminalnej warto jednak wspomnieć dwa inne utwory jej autorstwa o charakterze sensacyjnym: *Małazkę* i *Nerwową awanturę*.

*Małazkę* napisała Zapolska w 1883 roku<sup>66</sup>. Drukowano ten szkic powieściowy w „Kurierze Lwowskim”, a następnie w „Przeglądzie Tygodniowym”. W 1885 roku autorka włączyła utwór do wydanego tomu nowel *Akwarele* (1885). *Małazka* wzbudzała wiele kontrowersji i stała się przyczyną głośnej sprawy sądowej między Garielą Zapolską a Janem Ludwikiem Popławskim i Aleksandrem Świętochowskim. Oskarżono Zapolską o splagiatowanie rosyjskich utworów. Zarzucano dziełu również demoralizatorski wpływ. Nie podobały się także krytykom i oburzwały ich występujące w tym szkicu sceny naturalistyczne<sup>67</sup>. Przypomnijmy fabułę utworu.

Już na początku dzieła występuje bowiem szczegółowy opis wyglądu młodej, wiejskiej dziewczyny, która siedząc na płocie z odkrytymi brudnymi kolanami, uderza piętami w drewniane sztachetki. Co więcej,

<sup>65</sup> J. Jastrzębski, *Powieść odcinkowa...*, s. 474; J. Jastrzębski, *Czas relaksu...*, s. 66-78.

<sup>66</sup> Zob. G. Zapolska, *Małazka*, Kraków 1922.

<sup>67</sup> J. Czachowska, *Gabriela Zapolska. Monografia...*, s. 27-30; A. Janicka, *Sprawa Zapolskiej. Skandale i polemiki*, Białystok 2013; M. Płachecki, *Kazus „Małazka”*, [w:] *Literatura w granicach prawa (XIX – XX w.)*, red. K. Budrowska, E. Dąbrowicz, M. Lul, Białystok 2013, s. 417-426.

przyznaje się spotkanemu koledze, iż myśla się ostatnio trzy dni temu, co uważa za wystarczające, aby mogła czuć się czystą. Dziewczyna ta jest tytułową Małazką, a jej rozmówca to zakochany w niej Julek – chłopak pracujący we dworze. Marzeniem czternastolatki, któremu bohaterka podporządkowuje swoje życie, wszystkie myśli i późniejsze czyny, jest dostanie się na wspomniany dwór. W tym celu rozkochuje w sobie Julka.

Pewnego dnia pilnie potrzebne jest na dworze lekarstwo, które podane w przeciągu pół godziny jako jedyne może uratować córkę właścicieli – młodą dziewczynę cierpiącą na suchoty. Jediną osobą ze służby, oferującą się pojechać po specyfik do miasta, jest Julek. Chlebodawcy, w podziękowaniu za uratowanie córki, dają mu chatę na terenie własnej posiadłości oraz czynią z niego swego dżokeja. Niedługo potem osiemnastoletnia już wtedy Małazka zostaje żoną Julka. Podczas ceremonii weselnych panna młoda widzi narzeczonego uratowanej wcześniej przez swego męża dziewczyny. Wymieniają długie spojrzenie. Hrabia Jerzy nie może bowiem oderwać oczu od tej pięknej wiejskiej kobiety. Odtąd w jej myślach i snach pojawiać się będzie nieustannie postać panicza, ubranego w dworskie stroje i uosabiającego wymarzone przez nią życie.

Po jakimś czasie przypadek sprawia, iż ci obcy, a tak pociągający się wzajemnie ludzie, spędzają razem noc. „Ona chciała zadowolić swą dumę, on żądzę zmysłową” – pisze Zapolska<sup>68</sup>. Niedługo odbywa się wesele Jerzego z narzeczoną – Ellą. Potem zarówno jedna, jak i druga kobieta zostają matkami. Hrabina szuka zdrowej i pięknej mamki dla swego niemowlęcia i w ten sposób znajduje Małazkę. Dziewczyna ucieka od rodziny, aby móc pracować u państwa, którzy teraz mieszkają w Warszawie. Porzucony przez nią syn szybko umiera, a szalejący z rozpaczny mąż popada w obłęd.

W Warszawie spełniają się marzenia chłopki o drogich strojach i bogatym życiu. Uwielbiana przez swą chlebodawczynię, traktowana jest lepiej niż ktokolwiek inny ze służby. Pięknie i przekonująco gra troskliwą nianię, w rzeczywistości nienawidząc dziecka powierzonego jej opiece. Do pełni szczęścia brakuje jej hrabiego, którego chciałaby zobaczyć na kolanach, błagającego o romans. Także i to w końcu udaje się chłopce uzyskać. Nie dochodzi jednak do żadnej schadzki, gdyż aby

---

<sup>68</sup> G. Zapolska, *Małazka...*, s. 65.

wymknąć się na pierwszą z nich, dziewczyna bezmyślnie wlewa wódkę w usta dziecka, chcąc zapewnić sobie jego milczenie. Nie przewidziała jednak, że zamiast snu przyniesie dziecku w ten sposób śmierć – wódka wypala narządy wewnętrzne podopiecznego. Wyrzucona na bruk morderczyni wraca do domu, szukając ukojenia u własnego syna, który powinien mieć wtedy około dwóch lat. Odkrywa jednak smutną prawdę, iż zabiła nie tylko jedną, ale dwie małe istoty, a kochającego ją mężczyznę doprowadziła do szaleństwa. Widząc nienawistne spojrzenie męża, wybiega z domu, bezwiednie powodując pożar. Po chwili wraca, gdyż uświadamia sobie, że zostawiła tam spódnicę – jedyny dobytek, który pozwolono zabrać jej z Warszawy. Nieszczęśliwe małżeństwo umiera w płomieniach. Oboje zostają pochowani we wspólnej mogile wraz z synem.

W 1886 roku przerobiła Zapolska *Małaskę* na czteroaktowy utwór dramatyczny, z którego była bardzo zadowolona. Jednak brak powodzenia sztuki na scenie, mimo usilnych prób wprowadzenia jej do najlepszych teatrów, mocno autorkę frustrował<sup>69</sup>.

*Nerwowa awantura* powstała natomiast w 1912 roku, została jednak wydana dopiero sto lat później, razem z trzema innymi dziełami w dwutomowej edycji *Niedrukowanych dramatów Gabrieli Zapolskiej*<sup>70</sup>. Utwór składa się z trzech aktów. Opowiada o grupie Polaków przebywających w Monte Carlo. Akcja pierwszej i ostatniej części rozgrywa się w pokojach hotelowych. Miejscem wydarzeń drugiego aktu jest z kolei kasyno. Dialogi w dramacie początkowo prowadzone są w języku francuskim.

Pierwszymi Polakami pojawiającymi się w utworze są: pokojówka Motruna i jej chory na płuca syn oraz zakochani w sobie, lecz udający, iż łączą ich jedynie przyjacielskie uczucia – Osmólska i Romański. Wszyscy w hotelu szykują się na przyjazd ekskluzywnych gości. Okazuje się, że jednego z nich dobrze zna Romański. Bardzo szybko dowiaduje się też o celu przybycia owego znajomego.

Frankowski, gdyż tak właśnie nazywa się ów oczekiwany w hotelu mężczyzna, znany był z prowadzenia rozwiązłego życia. Tym razem uciekł od rodziny z guwernantką o imieniu Maria. Kobieta jest w nim bardzo zakochana. Zdaje sobie jednak sprawę, iż jej uczucie pozostaje

<sup>69</sup> Tamże, s. 47-49.

<sup>70</sup> Zob. G. Zapolska, *Nerwowa awantura*, [w:] *Niedrukowane dramaty Gabrieli Zapolskiej*, red. J. Jakóbczyk, t. I, Katowice 2012, s. 15-143.



nieodwzajemnione. Frankowskiemu i towarzyszącym mu dwóm kolegom zależy bowiem jedynie na hazardzie i uwodzeniu przebywającej z nimi Peruwianki. Romański stawia więc sobie za zadanie uwolnić niešťczęśliwą dziewczynę od mężczyzny, z którym uciekła, i sprawić, aby niewierny mąż opamiętał się i wrócił do rodziny. W tym celu namawia Marię do wyjazdu i, dowiadując się o opłakanej sytuacji materialnej obojga, wręcza jej pieniądze na podróż. Frankowski podstępnie przechwytuje jednak darowaną przez sąsiada gotówkę, po czym wydaje ją na kolejne gry hazardowe w kasynie.

Po dwóch tygodniach Maria ponownie podejmuje decyzję o opuszczeniu ukochanego. Gdy jest już prawie spakowana, do jej pokoju wchodzi Peruwianka, będąca w rzeczywistości, jak się okazuje, Żydówką urodzoną na Ukrainie. Proponuje ona dziewczynie pomoc finansową i ogłasza, że zabiera jej ukochanego do Paryża. W Marii budzi się zazdrość i gniew z powodu niesprawiedliwie doznanego poniżenia. W czasie rozmowy z Frankowskim, widząc swe bezskuteczne próby zatrzymania go przy sobie lub odesłania do żony, wyciąga pistolet i parokrotnie do niego strzela. Dramat kończy się lamentami aresztowanej dziewczyny. Nagromadzenie sensacyjno-melodramatycznych motywów jest w tym tekście ogromne.

### „Kwiat śmierci” – powieść z „Nowin dla Wszystkich”

O powieści *Kwiat śmierci* wspominała w swej monografii Jadwiga Czachowska, wskazując tytuł i numery gazety, w której utwór był drukowany, a także opisując pokrótce okoliczności powstawania dzieła i nastawienie do niego jego autorki<sup>71</sup>. Z tytułem tym można spotkać się również przy okazji rozważań na temat *Nerwowej awantury* w komentarzu do I tomu *Niedrukowanych dramatów Gabrieli Zapolskiej*<sup>72</sup>. Przede wszystkim jednak najistotniejsze źródło informacji, dotyczących przychyny i okoliczności powstania utworu, znajduje się w listach Zapolskiej<sup>73</sup>.

*Kwiat śmierci* ukazywał się w odcinkach w 1903 roku w krakowskim dzienniku „Nowiny dla Wszystkich”. Utwór podpisany był pseu-

<sup>71</sup> J. Czachowska, *Gabriela Zapolska. Monografia...*, s. 302, 312-313.

<sup>72</sup> *Niedrukowane dramaty...*, s. 271-272.

<sup>73</sup> G. Zapolska, *Listy*, zebra. S. Linowska, t. II, Warszawa 1970, s. 63-64, 66-67, 68, 71, 73-74, 78, 88, 90-91, 96-97, 102-104, 115, 553-554.

donimem *Walery Tomicki* – i składał się z siedemdziesięciu dziewięciu części.

Jasnym jest, iż autorka postanowiła napisać powieść kryminalną ze względów komercyjnych, finansowych. Wielokrotnie bowiem przyznaje się do tego w listach adresowanych do redaktora naczelnego gazety, Ludwika Szczepańskiego. Pisze oto na przykład:

Teraz co do ceny, to stanowczo trochę za tanio. Prosiłabym o dołożenie choć 50 koron, bo ja tego robić byle jak nie mogę i właśnie takie nakładanie hamulca subtelności mego talentu (który jest obecnie w tej fazie) będzie dla mnie cięższe niż pisanie wprost rzeczy idącej mi spod pióra. Za tydzień nadesłę Panu 1000 wierszy i proszę o wysłanie mi wtedy 50 guld[enów], ażebym miała tę pewność, iż mogę dalej pisać bez obawy, że ta rzecz, która jedynie może być zrobiona „na obstalunek” pozostanie mi na ręce<sup>74</sup>.

W kolejnym liście Zapolska posuwa się nawet do szantażu, jasno stawiając sprawę, iż bez otrzymania oczekiwanej sumy pieniędzy przestanie pisać powieści. Tak wygląda znaczący, zasadniczy passus tego listu:

Napisałam 1560 wierszy *Kwiatu śmierci*. Jest zajmujący i barwny. Mąż mój [Stanisław Janowski], który przyjedzie tu w niedzielę, a odjedzie we wtorek, przywiezie Szanownemu Panu 2000 wierszy. Proszę więc zaraz nadesłać mi do Zakopanego pieniądze, abym dalej pisała. Przed nadejściem pieniędzy dalszego ciągu pisać nie będę, bo mam inne roboty. Skoro dostanę, dalej napiszę, tak że 15 maja mieć Pan będzie w ręku połowę powieści, a ja muszę mieć połowę pieniędzy<sup>75</sup>.

Kwestia wypłaty wynagrodzenia poruszana jest nader szeroko również w kilku następnych listach do redaktora<sup>76</sup>.

Nie dziwi także fakt, iż powieść została podpisana pseudonimem, w dodatku takim, którym Zapolska nigdy już więcej się nie posłużyła. Autorka zdawała sobie bowiem sprawę z tego, że literatura kryminalna, mimo iż była tak bardzo w epoce popularna, nie cieszyła się najlepszą sławą, uchodziła bowiem za demoralizatorską, trywialną i pozbawioną wszelkich cech artystycznych. Jak wielu innych autorów tego gatunku, Zapolska postanowiła więc napisać powieść tylko pod warunkiem uzy-

<sup>74</sup> Tamże, s. 67.

<sup>75</sup> Tamże, s. 73.

<sup>76</sup> Tamże, s. 78, 96-97, 102-104.

skania za nią sporych pieniędzy oraz obietnicy, iż kwestia autorstwa pozostanie dla czytelników tajemnicą:

Teraz proszę Pana o bezwzględną tajemnicę. Nikt nie może wiedzieć, kto to pisze [...], bo u nas w kraju nie ludzie, ale są psy, nie cenią tego, ile to musi być przykro robić tę rzecz dla chleba, lecz gryzą potem, drwią i szargają literackie imię człowieka<sup>77</sup>.

Ku niezadowoleniu autorki tajemnicy jednak nie udało się utrzymać. 2 lipca 1903 roku rozgoryczona Zapolska pisała więc do Szczyńskiego:

Rozniosło się to wszędzie, że to ja piszę tę powieść i z tego powodu mam masę przykrości. Sądziłam, że to będzie sekret. Tymczasem przedostało się z redakcji, a jedynie sądząc, że będę miała zapewnioną tajemnicę, pisałam<sup>78</sup>.

Siedem lat później autorka *Kwiatu śmierci* myślała jednak już o jego wydaniu książkowym, aczkolwiek planu tego nigdy nie zrealizowała<sup>79</sup>.

### ***Utwór Zapolskiej wobec reguł klasycznej powieści kryminalnej***

Trudno stwierdzić, aby przedstawione w rozdziale poprzednim podstawowe zasady, którymi kierowali się twórcy powieści kryminalnych, były przez autorkę *Kwiatu śmierci* w pełni przestrzegane. Owszem, na początku utworu pojawi się zbrodnia, a co za tym idzie – pytanie, kto i dlaczego zabił. Jednak u Zapolskiej nie ma charakterystycznej dla tego gatunku zagadki, za sprawą której pojawiłoby się kilku podejrzanych, a detektyw, wykonawszy pracę myślową, wskazałby spośród nich zbrodniarza. Tutaj osobą posądzaną o zbrodnię jest tylko hrabia. Wprawdzie zostaje początkowo aresztowany Jazda, ale ani agent, ani prawdopodobnie czytelnik nie podejrzewają go o popełnienie przestępstwa. Zagadka jest więc dosyć prosta, a wskazówki, zarówno w postaci śladów, jak i nieprzyjemnej osobowości mordercy, dość oczywiste.

---

<sup>77</sup> Tamże, s. 67.

<sup>78</sup> Tamże, s. 104.

<sup>79</sup> J. Czachowska, *Gabriela Zapolska. Monografia...*, s. 313; *Niedrukowane dramaty...*, s. 271.

W zaklasyfikowaniu tekstu do gatunku powieści kryminalnej przeszkadza też wprowadzenie wątku romansowego. Głównym celem agenta jest bowiem nie tyle samo wykrycie przestępcy, ile uzyskanie przy tej okazji serca ukochanej. Wiele miejsca poświęcono w utworze opisowi uczuć policjanta, a także miłości Wandzi do hrabiego. Miesza się więc ta powieść kryminalna trochę z romansem i powieścią społeczno-obyczajową.

Wiele z głównych zasad klasycznej powieści kryminalnej odnajdziemy jednak w *Kwiecie śmierci*. Wszystkie postaci odgrywające tu znaczącą rolę zostają czytelnikowi szybko przedstawione, a narrator niczego przed nim nie ukrywa – cały proces dedukcji detektywa został dokładnie opisany. Zachowana też jest, charakterystyczna dla powieści kryminalnej, chronologia. Zbrodnia pojawia się na początku, a aresztowanie zabójcy na końcu. Zgodnie z zasadą, iż morderca nie może zostać ukarany przez los i wykryty przez przypadek, po znalezieniu ciała nieżywej kobiety agent policyjny wszczyna śledztwo. Dzięki cechom charakteru detektywa, które ujawniają się pod koniec powieści, zabójca nie tylko zostaje schwytany, ale także – nakłoniony podstępem – przyznaje się do winy. Spotykamy się więc w powieści z oczekiwany przez odbiorcę literatury popularnej zakończeniem – dobro zwycięża, zło zostaje definitywnie pokonane.

### *Sylwetki: detektywów i zbrodniarza*

Głównym bohaterem powieści, tj. detektywem, jest pogardzany przez otoczenie mężczyzna, flegmatyczny agent, Florian Mick, nazywany przez wszystkich Ślimakiem. Jest on człowiekiem samotnym, nieśmiałym, w otoczeniu wzbudza częściej pobłażliwość niż szacunek. Ma on dwa życiowe marzenia: pierwszym z nich jest pozyskanie uczuć córki zaprzyjaźnionego dorożkarza – Wandy Jazdówny – inspektor zakochany jest w niej bowiem „po uszy”. Drugim pragnieniem jest natomiast odkrycie jakiegś zbrodni. Dlatego, gdy detektyw jako pierwszy po Antku ma możliwość zbadania wyłowionego z Rudawy trupa, czuje, iż nadarza się właśnie okazja realizacji tych ambitnych planów. Wie, iż tylko w ten sposób mógłby uzyskać szacunek społeczny i – co za tym idzie – pierwsze marzenie stałoby się możliwe do ziszczenia.

W powieści dochodzi do przemiany wizerunku bohatera. Ten sam człowiek, który początkowo budzi w kolegach niemal pogardę, jako nierozgarnięty i mało spostrzegawczy (mówią o nim: „Ten Ślimak nie do-

strzeże nigdy nic”<sup>80</sup>), podczas schwytania mordercy odznacza się tak wielkim sprytem, iż wywołuje w otoczeniu pełną respektu powagę i momentami ciszę. Zmienia się także w oczach Wandzi, awansując z „idioty” na mężczyznę, którego kobieta żegna pełnym uznania uśmiechem, patrząc za nim przez okno. Podobnie jest z postrzeganiem go przez Antka i sędziego Targiewicza. Nieujawniane wcześniej cechy agenta wraz z odkryciem mordercy przeobrażają go w innego, lepszego człowieka.

Ślimak nie działa jednak w pojedynkę, nieustannie pomaga mu i naprowadza go na trop młody chłopak, Antek. On znajduje trupa, wyławia go z wody, a następnie śledzi (choć w innym celu niż agent) hrabiego i to on też przeszukuje jego mieszkanie. Znalezione rzeczy przynosi od razu Ślimakowi.

Antoni Kipiel to, jak można przypuszczać ze znajdujących się w utworze opisów, chłopak około dwunastoletni, urwis z czarną czupryną, posiadający silnie rozwinięte cechy dowódcze. Jest wodzem bandy nazywanej od jego imienia Czarne Antki. Uchodzący za niegrzecznego i roztrzepanego, jest w rzeczywistości bardzo dobrym dzieckiem o wielkim sercu. Poświęca się, by ratować innych, nierzadko też niesprawiedliwość ludzka doprowadza go do silnych wzruszeń. Odgrywa w powieści bardzo ważną rolę, właściwie można powiedzieć, iż jest tu drugim detektywem.

Hrabia Jasnosław Zamierowski, hrabia L. i Maks Proniak – to imiona, pod którymi kryje się postać mordercy. Od początku utworu postać ta odznacza się jakąś niebudzącą sympatii tajemniczością. Zostaje więc obnażonych wiele jej niepochlebnych cech – w tym: egoizm, pycha, pogardliwy stosunek do innych, fałsz i niemoralny styl życia. Bohater kreuje się na kogoś z wysokiego rodu, zamożnego i zasługującego na szacunek. W rzeczywistości, jak można się domyślić, jego bogactwo jest tylko iluzoryczne. Dzięki miłej aparycji udaje mu się oszukać wiele osób. Jednak w literaturze popularnej zazwyczaj bywa tak, iż kłamstwo szybko wychodzi na jaw, a odarty z niego bohater okazuje się wzbudzącym jedynie litość tchórzem.

---

<sup>80</sup> Oczywiście, znaczące przezwisko wiele wnosi do charakterystyki tej postaci.

### *Obraz Krakowa i polskiej obyczajowości*

W powieści występuje piękna, choć nieco mroczna panorama Krakowa. Z wymienionych w niej ulic można by praktycznie stworzyć mapę tego miasta. Pojawiają się też nazwy sklepów, kościołów, kwaciarni oraz wizerunek działającego tutaj teatru. Ważną rolę odgrywa w tekście Rudawa – rzeka będąca lewym dopływem Wisły. Z historii Krakowa wiadomo, iż 12 i 13 lipca 1903 roku rzeczywiście doszło tu do powodzi<sup>81</sup>. Rudawa wstąpiła się też w XVI wieku historią samobójczą, która stała się swoistą legendą tej rzeki. W 1515 roku podobno utopił się w niej rycerz z powodu nieodwzajemnionej miłości<sup>82</sup>.

Kraków był dla Zapolskiej miastem „dzikim” i „straszonym”, pełnym ludzi umierających „z głodu i syfilisu” – taki przynajmniej kreśliła jego obraz w listach do Adama Wiślickiego<sup>83</sup>. Nic więc dziwnego, że wybrała właśnie tę idiosynkratyczną przestrzeń miasta jako tło rozgrywających się wydarzeń powieści kryminalnej. Już na początku utworu czytelnik spotyka się z mrocznym opisem krajobrazu:

Martwo, spokojnie podnosiły się fale i jakby podstępnie zagarniały coraz to większą przestrzeń, lśniąca żółtawą swą powłoką.

Niebo przybrało także ten zgniły rdzawy ton Rudawy.

I wszystko tam w dali zdawało się być jedną masą gnijącej, błotnistej mazi. (s. 42-43)

Tak oto w powieści Zapolskiej przyroda harmonijnie współgra z akcją, zapowiada bowiem nie tylko powódź, ale i odnalezienie zwłok topielicy.

Mieszkańcy Krakowa, przedstawieni w utworze jako typy reprezentujące cechy tamtejszego społeczeństwa, także nie wypadają korzystnie. Wyłania się bowiem z powieści obraz ludzi uwielbiających plotkę i pochopnie oceniających siebie wzajem, bezkrytycznie wierzących w to, o czym napisze prasa. O tym, jak wielką rolę opiniotwórczą miały w tamtych czasach gazety, świadczyć może wymowny fragment powieści:

<sup>81</sup> *Historyczne widoki i plany Krakowa – Plany z XX wieku i współczesne. Plan miasta Krakowa – 1903 r.*, [w:] *Magiczny Kraków* ([http://www.krakow.pl/nasze\\_miasto/1531\\_artykul,widoki\\_krakowa.html](http://www.krakow.pl/nasze_miasto/1531_artykul,widoki_krakowa.html)) [dostęp: 04.05.2015 r.].

<sup>82</sup> R. Kaleta, dz. cyt., s. 320-322.

<sup>83</sup> G. Zapolska, *Listy...*, t. I, s. 69-70.

Gdy szła przez Rynek, posłyszała, jak chłopcy, roznoszący wieczorne nadzwyczajne dodatki do pism, obwieszczali skrzeczącym głosem:

– Aresztowanie zabójcy!... Maciej Jazda, zabójca topielicy z Rudawy!... sensacyjny dodatek, jutro portret zabójcy!...

– Tak – pomyślała Wandzia – dla nich ojciec mój jest zabójcą... bez sądu... bez dowodów już go potępili!... Po co mi żyć wśród takich strasznych ludzi! (s. 139)

„Nowiny”, będące gazetą, w której utwór się ukazywał, są zresztą przez bohaterów przywoływane wielokrotnie. Anonimowe postaci odznaczają się tu niesamowitą naiwnością. Na początku wierzą, że topielica wyłowiona z Rudawy to samobójczyni, łatwowiernie dopisują też historię, iż zabiła się z miłości. Potem bardzo szybko przyjdzie im zaufać informacji, jakoby zabójcą był porządny krakowski dorożkarz, a na koniec pałać nienawiścią do hrabiego, żądając dla niego szubienicy. Syntezą obrazu tego społeczeństwa mogą być ostatnie słowa powieści, wypowiedziane przez Ślimaka, który odpowiada Antkowi na pytanie, co stanie się z ujętym przed chwilą zbrodniarzem. „Sądzę, że ludzie powieszą, a Pan Bóg... przebaczy” (s. 219) – mówi agent, zauważając rozdźwięk między miłosierdziem Boga a sercami wierzących w niego ludzi<sup>84</sup>.

Ciekawy obraz obyczajowości, której współcześnie już nie spotykamy, wyłania się ze sceny pod teatrem, kiedy to banda młodych chłopców pod dowództwem Antka, podczas przerwy w sztuce, podpala bogatszym od siebie papierosy, licząc zapewne na jakąś nagrodę. Dzisiaj raczej trzymamy się z daleka od takich osób, bojąc się o własne portfele. Interesującym może wydać się też fakt, iż agent policyjny, nachylając się nad trupem młodej kobiety, pewny jest, iż nie mieszka ona w Krakowie, gdyż musiałyby już ją gdzieś widzieć. Prowincjonalizm i małomiasteczkowość – to cechy stereotypu, który tworzy Zapolska.

Lecz kto była ta piękna złotowłosa kobieta?

Ślimak nie znał jej zupełnie. A przecież od lat dwudziestu, pełniąc obowiązki agenta, nauczył się dobrze rozpoznawać twarze krakowskich mieszkańców. Sięgnął po kapelusz nieznajomej. (s. 56)

Minęło sto lat od tej epoki, a dzisiaj wydaje nam się nieprawdopodobne, by policjant znał wszystkich mieszkańców tego szacownego, drugiego pod względem liczby mieszkańców, miasta w Polsce.

<sup>84</sup> Znów znać tu krytykę filistra, mieszczaucha, hipokryty.

### ***Konstrukcja odcinków***

Zgodnie z założeniami tworzenia tekstu literackiego, przeznaczonego do druku w odcinkach, *Kwiat śmierci* jest powieścią, której akcja rozgrywa się w Krakowie, czyli w mieście, gdzie wydawane są „Nowiny dla Wszystkich”. Biorąc pod uwagę fakt, iż tutejsi mieszkańcy właśnie zmagają się z powodzią, Zapolska motyw wylewu rzeki eksponuje także w utworze – czytelnik spotyka się z nim już na samym początku. Pierwszy odcinek zapowiada jakieś nieszczęście, przygotowuje na pojawienie się zwłok i zagadki kryminalnej. Kończy się bowiem słowami:

Wszyscy zdawali się czekać nadejścia jakiegoś wroga, z którym zmierzyć się bynajmniej nie pragnęli. Nie chcieli także walczyć z nim, bo wszelka walka była tu trudną i bezowocną.

Wiele z kolejnych odcinków kończy się jakąś nierozwiązaną kwestią, której wytłumaczenie przynosi następna część. Mimo zapewnień Zapolskiej wyrażonych w listach do Szczepańskiego, w których przeczytać można, iż obiecywała „zbrodnię zaraz od 1. numeru”<sup>85</sup>, zwłoki topielicy zauważa Antek nie wcześniej niż pod koniec trzeciego odcinka, nie wiedząc jeszcze, co widzi. Czytelnik o tym, że jest to trup, dowiaduje się dopiero w części czwartej.

W powieści to Wandzia pełni rolę niewinnej postaci, gnębionej przez złych ludzi. Zapewne niejedna czytelniczka utożsamiała się z nią. Niewinna heroina, ofiara to jeden z obowiązkowych motywów literatury popularnej, który sprawia, że czytający mają komu współczuć i zarazem kibicować, oczekując, że w końcu nadejdzie sprawiedliwość i życie tej dobrej oraz pięknej, lecz nękaney przez zły los kobiety pomyślnie się ułoży.

\*

Zapolska – znów jako jedna z pierwszych – odpowiedziała na rynkowe zapotrzebowanie na powieść kryminalną w odcinkach. Podejmując to artystyczne ryzyko, jakim był *Kwiat śmierci*, była w pełni świadoma i tego, czego się od niej jako pisarki oczekuje, i konsekwencji,

---

<sup>85</sup> G. Zapolska, *Listy...*, t. II, s. 66.



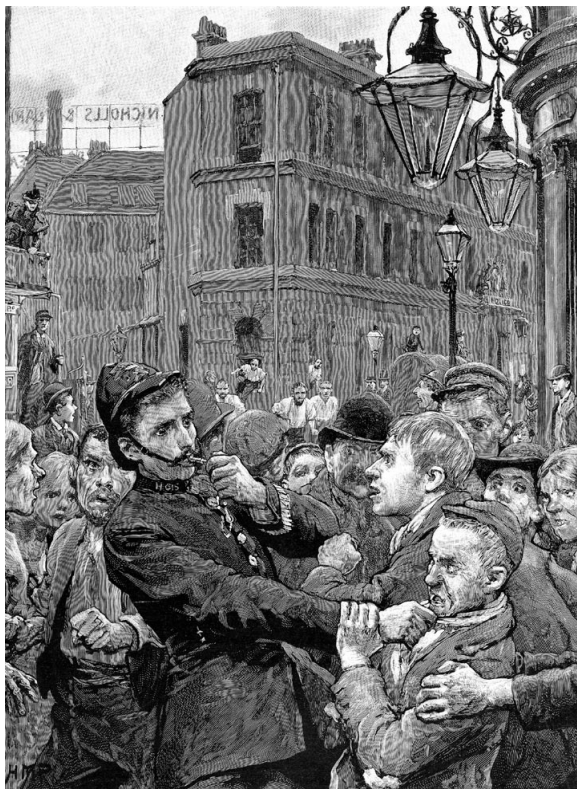
---

gdyby rzecz się wydała. Jak na autorkę poczytnego kryminału przystało, kazała więc sobie za to ryzyko płacić:

Teraz co do ceny, to stanowczo trochę za tanio. Prosiłabym o dołożenie choć 50 koron, bo ja tego robić byle jak nie mogę i właśnie takie nakładanie hamulca subtelności mego talentu (który jest obecnie w tej fazie) będzie dla mnie cięższe niż pisanie wprost rzeczy idącej mi spod pióra. Za tydzień nadeszła Panu 1000 wierszy i proszę o wysłanie mi wtedy 50 guld[enów], ażebym miała tę pewność, iż mogę dalej pisać bez obawy, że ta rzecz, która jedynie może być zrobiona „na obstalunek” pozostanie mi na ręce. Teraz proszę Pana o bezwzględna t a j e m n i c ę . Nikt nie może wiedzieć, kto to pisze, n i k t , ani Pietrzycki, ani nikt, bo u nas w kraju nie ludzie, ale są psy, nie cenią tego, ile to musi być przykro robić tę rzecz dla chleba, lecz gryzą potem, drwią i szargają literackie imię człowieka<sup>86</sup>.

---

<sup>86</sup> Tamże, s. 67.



Praca policji w East-End (Londyn), 1895

## Bibliografia

### Podmiotowa:

- Tomicki Walery [Gabriela Zapolska], *Kwiat śmierci*, „Nowiny dla Wszystkich” 1903, nr 1-37, 41-47, 49, 53-54, 58-61, 64-67, 75-85, 87, 88, 101-111.
- Zapolska G., *Nerwowa awantura*, [w:] *Niedrukowane dramaty Gabrieli Zapolskiej*, red. J. Jakóbczyk, t. I, Katowice 2012.
- Zapolska G., *Małuszka*, Kraków 1922.

### Przedmiotowa:

- Bachórz J., *Romantyzm a romanse. Studia i szkice o prozie polskiej w pierwszej połowie XIX wieku*, Gdańsk 2005.
- Baczyński S., *Powieść kryminalna*, Warszawa 1932.
- Białecka J., *Czarny leksykon*, Olsztyn 1988.
- Bieniasz J., *Gabriela Zapolska. Opowieść biograficzna*, Wrocław 1960.
- Bohater, idol, osobowość medialna*, red. A. Kisielewska, współpraca T. Maliszewski, Białystok 2004.
- Borkowska G., *Cudzoziemki. Studia o polskiej prozie kobiecej*, Warszawa 1996.
- Breiter E., *Gabriela Zapolska. (Mistrzyni polskiego naturalizmu)*, „Romans i Powieść 1922, nr 7.
- [Breiter E.] –eb-, *Zapolska*, „Skamander” 1922, nr 16 (*Varia*).
- Brodzka A., *Kobieta pisząca – Warszawa, lata 70.-80. XIX wieku. (Głosa do tematu)*, [w:] *Kobiety w literaturze. Materiały z II Międzuczelnianej Sesji Studentów i Naukowców z cyklu „Świat jeden, ale nie jednolity”*, red. i wstęp L. Wiśniewska, Bydgoszcz 1999.
- Budrewicz T., *Nad trumnami pozytywistów*, [w:] *Literatura Młodej Polski. Między XIX a XX wiekiem*, red. E. Paczoska i J. Sztachelska, Białystok 1998.
- Budrewicz T., *Pokuta bez rozgrzeszenia. Samobójstwo i jego skutki w powieści drugiej połowy XIX wieku*, „Napis” 19, Warszawa 2013.
- Budrowska K., *Język kobiet i mężczyzn w „Menażerii ludzkiej” Gabrieli Zapolskiej*, „Test” 1995, nr 1.
- Budzińska-Tylicka J., *Macierzyństwo wobec równouprawnienia kobiety*, „Ster” 1911, nr 7.
- Bujnicki T., *Między „Nocą z 3-go na 4-ty Grudnia” a „Liściem akacji” Walerego Przyborowskiego, czyli początki polskiej powieści kryminalnej*, „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historicolitteraria XIII (2013)”, red. P. Borek, M. Buś, M. Chrobak, J. Grzegorzek, Kraków 2013.

- Burdziej B., *Prus, Orzeszkowa i inni o pornografii. Zapomniane wypowiedzi w antykwarycznej Bibliotece Sodalitacji Akademickiej z 1909 roku*, „Pamiętnik Literacki” 1984, nr 1.
- Cegielski T., *Detektyw w krainie cudów. Powieść kryminalna i narodziny nowoczesności (1841–1941)*, Warszawa 2015.
- Chandler R., *Mówi Chandler*, przeł. E. Budrewicz, Warszawa 1983.
- Cieślakowska T., *Struktura powieści kryminalnej na tle współczesnego powieściopisarstwa*, [w:] T. Cieślakowska, *W kręgu genologii, intertekstualności, teorii sugestii*, Łódź 1995.
- Czachowska J., *Gabriela Zapolska. Monografia bio-bibliograficzna*, Kraków 1966.
- Czachowska J., *Gabriela Zapolska*, [w:] *Obraz literatury polskiej XIX i XX w.*, red. J. Kulczycka-Saloni, H. Markiewicz, Z. Żabicki, t. IV *Literatura polska w okresie realizmu i naturalizmu*, Warszawa 1971.
- Czubaj M., *Etнолог w Mieście Grzechu. Powieść kryminalna jako świadectwo antropologiczne*, Gdańsk 2010.
- Doyle A.C., *Studium w szkarłacie*, przeł. T. Evert, Warszawa 1997.
- Dunin J., *Papierowy bandyta. Książka kramarska i brukowa w Polsce*, Łódź 1974.
- Dziki S., *Prasa w rozwoju historycznym*, [w:] *Dziennikarstwo i świat mediów*, red. Z. Bauer, E. Chudziński, Kraków 2000.
- Eco U., *Superman w literaturze masowej*, przeł. J. Ugniewska, Kraków 2008.
- Gemra A., *Balladyna: „cudny, chociaż trujący kwiat”*, „Acta Universitatis Wratislaviensis. Prace Literackie” 2009, nr 14.
- Gemra A., *„Kwiaty zła” na miejskim bruku. O powieści zeszytowej XIX i XX wieku*, Wrocław 1998.
- Głowiński M., *Powieść młodopolska. Studium z poetyki historycznej*, [w:] tegoż, *Prace wybrane Michała Głowińskiego*, pod red. R. Nycza, T. I, Kraków 1997.
- Grant-Adamson L., *Jak napisać powieść kryminalną*, przeł. M. Rusinek, Kraków 1999.
- Historyczne widoki i plany Krakowa – Plany z XX wieku i współczesne. Plan miasta Krakowa – 1903 r.*, [w:] *Magiczny Kraków* ([http://www.krakow.pl/nasze\\_miasto/1531,artykul,widoki\\_krakowa.html](http://www.krakow.pl/nasze_miasto/1531,artykul,widoki_krakowa.html)).
- Jakóbczyk J., *Nota wydawcy*, [w:] *Niedrukowane dramaty Gabrieli Zapolskiej*, red. J. Jakóbczyk, t. I, Katowice 2012.
- Janicka A., *Lesia Ukrainka i Gabriela Zapolska – dramaturgia przekroczenia. Propozycje wstępne*, [w:] *Dramat w nowych ujęciach teoretycznych. Studia slawistyczne*, red. N. Maljutina, J. Ławski, Białystok – Odessa 2014.
- Janicka A., *Sprawa Zapolskiej. Skandale i polemiki*, wyd. 2, Białystok 2015.
- Janion M., *Kobiety i duch inności*, Warszawa 1996.
- Jarosiński Z., *Postowie*, [w:] *Doświadczenie prowincji w literaturze polskiej II połowie XIX i XX wieku*, red. E. Paczoska, R. Chodźko, Białystok 1993.
- Jastrzębski J., *Czas relaksu. O literaturze masowej i jej okolicach*, Wrocław 1982.
- Kaleta R., *Sensacje z dawnych lat*, Wrocław 1986.
- Kłosińska K., *Ciało, pożądanie, ubranie. O wczesnych powieściach Gabrieli Zapolskiej*, Kraków 1999.
- Kłosińska K., *Fantazmaty: Grabiński, Prus, Zapolska*, Katowice 2044.

- Kłosiński K., *W stronę inności. Rozbiory i debaty*, Katowice 2006.
- Kłosowska A., *Kultura masowa. Krytyka i obrona*, Warszawa 1983.
- Kłys T., „Targowisko Próżności” – powieść jako serial, [w:] *Między powtórzeniem a innowacją. Seryjność a kulturze*, Kraków 2004.
- Kochanowski M., *Nie tylko o łotrach. Melodramatyzm w wybranych utworach Stefana Żeromskiego*, [w:] *Żeromski. Tradycja i eksperyment, idea i układ* J. Ławski, red. A. Janicka, A. Kowalczykowa, G. Kowalski, Białystok – Rapperswil 2013.
- Kolbuszewski J., *Oswajanie modernizmu. O poetyce powieści popularnej lat 1896–1905*, [w:] *W kręgu historii i teorii literatury*, red. B. Zakrzewski, A. Bazan, Wrocław 1987.
- Kraska M., *Prosta sztuka zabijania. Figury czytania kryminału*, Gdańsk 2013.
- Kulczycka-Saloni J., *Literatura polska lat 1876–1902 a inspiracja Emila Zoli*, Wrocław 1974.
- Lasić S., *Poetyka powieści kryminalnej. Próba analizy strukturalnej*, przeł. M. Petryńska, Warszawa 1976.
- Lorentowicz J., *Spojrzenie wstecz*, Kraków 1957.
- Ławski J., *Temat Zapolskiej*, [w:] *Życie i twórczość Gabrieli Zapolskiej*, red. H. Ratuszna, A. Jarosz, Stuttgart 2013.
- Martuszevska A., „*Ta trzecia*”. *Problemy literatury popularnej*, Gdańsk 1997.
- Mazan B., *Pozytywizm warszawski z perspektywy mikroświatów tekstowych*, Łódź 2002.
- Między powtórzeniem a innowacją. Seryjność w kulturze*, red. A. Kisielewska, Kraków 2004.
- Modernizacje tradycji w wybranych utworach współczesnej kultury popularnej. Analizy i interpretacje*, red. M. Kochanowski, P. Stasiewicz, Białystok 2013.
- Paczkowski A., *Czwarta władza. Prasa dawniej i dziś*, Warszawa 1973.
- Paczoska E., *Dojrzewanie, dojrzałość, niedojrzałość. Od Bolesława Prusa do Olgi Tokarczuk*, Warszawa 2004.
- Płachecki M., *Kazus „Małazska”*, [w:] *Literatura w granicach prawa (XIX–XX w.)*, red. K. Budrowska, E. Dąbrowicz, M. Luł, Białystok 2013.
- Rurawski J., *Gabriela Zapolska*, Warszawa 1987.
- Salmonowicz S., Szwaja J., Waltoś S., *Pitaval krakowski*, Warszawa 1962.
- Siewierski J., *Powieść kryminalna*, Warszawa 1979.
- Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, wyd. pod red. F. Sulimierskiego, B. Chlebowskiego, W. Walewskiego, t. I–X, Warszawa 1975–1977.
- Słownik literatury popularnej*, red. T. Żabski, Wrocław 2006.
- Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich oraz Polski dotyczących*, oprac. A. Bar, t. II, Kraków 1980.
- Słownik pseudonimów pisarzy polskich*, oprac. zespół pod red. E. Jankowskiego, t. III, Wrocław 1996.
- Thorwald J., *Godzina detektywów. Rozwój i kariera kryminalistyki*, przeł. K. i K. Jaegermannowie, J. Dumański, J. Markiewicz, Kraków 1975.
- Tomkowski J., *Dzieje literatury powszechnej*, Warszawa 2009.

- Tomkowski J., *Młoda Polska*, Warszawa 2001.
- Thorwald J., *Stulecie detektywów. Drogi i przygody kryminalistyki*, przeł. W. Kragen, K. Bunsch, Kraków 1992.
- Tramer M., *Literatura i skandal. Na przykładzie okresu międzywojennego*, Katowice 2000.
- Weiss T., *Gabriela Zapolska: życie i twórczość*, Kraków 1968.
- Władyka W., *Krew na pierwszej stronie. Sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1982.
- Z problemów prozy. Powieść o artyście*, red. W. Gutowski i E. Owczarz, Łysomice 2003.
- Zacharska J., *Filister w prozie Gabrieli Zapolskiej i Władysława S. Reymonta*, [w:] tejże, *Filister w prozie fabularnej Młodej Polski*, Warszawa 1996.
- [Zadurawicz T.] Elf, *Głośna sprawa pani Śnieżko-Zapolskiej*, „Ognisko Domowe” 1886, nr 87.
- Zalewski C., *Lalki, lustra, klepsydry. Motyw fotografii w polskiej prozie lat 1863–1939*, „Pamiętnik Literacki” 2006, z. 1.
- Zapomniany dramat*, t. 1-2, red. M. Olszewska, K. Ruta-Rutkowska, Warszawa 2010.
- Zbrodnie, sensacje i katastrofy w prasie polskiej do 1914 roku*, red. K. Stępnik, M. Gabryś, Lublin 2010.
- Zwoliński A., *Słowo w relacjach społecznych*, Kraków 2003.

**GABRIELA ZAPOLSKA [WALERY TOMICKI]. *FLOWER OF DEATH. A TWO-VOLUME CRIME NOVEL ON SOCIAL CIRCLES IN CRACOW.* PREFACE AND EDITING BY ANNA JANICKA. PREPARATION FOR PUBLICATION AND AFTERWORD BY PAULINA KOWALCZYK. THE FIRST CRITICAL EDITION. SCHOLARLY PUBLISHING PROJECT, SERIES “WATERSHEDS/BORDERLANDS”. BIAŁYSTOK 2015**

## Summary

The present volume is the first book edition of a two-volume crime narrative *Flower of Death* (1903), a novel “on social circles in Cracow” written by Gabriela Zapolska and originally published in installments in the daily “Nowiny dla Wszystkich” [>News for Everybody<] in Cracow from May to September 1903. A prolific playwright, novelist, short story writer and journalist, Gabriela Zapolska was a notorious figure. Working as an actress, she enjoyed a significant popularity on the stages of Warsaw, Lvov, Cracow, Lublin and Paris, but her life in Cracow was marked by constant conflicts with fellow actors, theatre managers and the public, so she would often scorn the city for being parochial and, as she saw it, underdeveloped.

Commissioned by Ludwik Szczepański, Zapolska started working on an intriguingly plotted crime novel under the flamboyant title *Flower of Death*. She did it in secret, and only for money. Seen from today’s perspective, the whole undertaking shows how a sophisticated author managed to adjust her talent to the demands of popular culture. Possibly one of the first Polish crime narratives, the novel remained unpublished for years, even despite the fact that the writer herself – upon being scandalously exposed by the readers of the newspaper – wanted to do have it released in a book form.

Zapolska would write a lot and is still remembered as the author of theatre plays (*Morality of Ms Dulska*, *Skiz*, *Miss Maliczewska*, *Froggy*) and novels (*Seasonal Love*, *Tuska’s Daughter*) that fiercely attacked the hypocrisy of Polish middle-class. 2012 saw the publication of two-volume *Gabriela Zapolska’s Unpublished Plays* (Katowice, ed. by Jan Jakóbczyk), but part of miscellaneous short prose that originally appeared in newspapers at the turn of the 19<sup>th</sup> century still remains in obscurity.

The publication of *Flower of Death* was made possible by Anna Janicka (PhD), the University of Białystok, a researcher in Zapolska's *oeuvre*; and Paulina Kowalczyk (MA), a graduate in Polish Studies at the University of Łódź, the author of *Afterword*, which outlines the history of crime novel as a genre. Commonly pigeonholed as a representative of naturalism in literature, Zapolska in *Flower of Death* displays the gift for constructing clever plots, successfully reconciling the conventions of melodrama, crime novel and realistic prose.

Przeł. Jacek Partyka



**GABRIELA ZAPOLSKA [WALERY TOMICKI], *DIE BLUME DES TODES. KRIMINALROMAN AUS DEN KRAUKAUER BEZIEHUNGEN IN ZWEI BÄNDEN*, VORWORT UND REDAKTION DES BANDES VON ANNA JANICKA, BEARBEITUNG DES TEXTES UND NACHWORT VON PAULINA KOWALCZYK, 1. KRITISCHE AUSGABE, WISSENSCHAFTLICHES VERLAGSPROJEKT – „UMBRÜCHE/BERÜHRUNGSGEBIETE“, BIAŁYSTOK 2015**

## **Zusammenfassung**

Dieser Band enthält die erste Buchpublikation des Kriminalromans in zwei Bänden *Die Blume des Todes* aus dem Jahre 1903. Dieser Roman „aus den Krakauer Beziehungen“ wurde von Gabriela Zapolska in der Krakauer Tageszeitung „Nachrichten für Alle“ in Presseabschnitten (Mai – September 1903) publiziert. Gabriela Zapolska – eine fruchtbare polnische Dramatikerin, Autorin zahlreicher Romane, Novellen, Erzählungen, Feuilletonistin – in ihrer Epoche galt sie als Skandalistin. Auch als Schauspielerin wurde sie auf Bühnen in Warschau, Lemberg, Krakau, Lublin und sogar in Paris populär. Ihr Aufenthalt in Krakau war an Konflikten in der Arbeit, mit Direktoren der Theater, dem Publikum reich. Zapolska fühlte oftmals Abneigung gegen Krakau und empfand es als eine träge und ihrer Meinung nach nicht moderne Stadt.

Wegen des Geldes begann sie in Krakau, im Geheimnis vor Lesern, mit dem Schreiben eines Romans mit der sensationellen, kriminellen Handlung unter dem Titel *Die Blume des Todes* auf Bestellung von Ludwik Szczepański. Der Roman ist nicht nur ein Beispiel der Anpassung der erhabenen Autorin an die Regeln des Pressemarktes, den Anforderungen der Massenkunst. Man soll sie auch als eine der ersten polnischen Kriminalhandlungen anerkennen. Das Werk wurde nie in der Buchform publiziert. Trotz der schnellen Entdeckung der Autorschaft von den Lesern der Zeitung (diesem war ein Skandal begleitet), wollte Zapolska es herausgeben.

Zapolska schrieb sehr viel. Sie ging in die Literaturgeschichte als Autorin der Dramen (*Moralność pani Dulskiej*, *Skiz*, *Panna Maliczewska*, *Żabusia*) und Romane (*Sezonowa miłość*, *Córka Tuśki*) ein, die die Heuchelei des Bürgertums anprangern. Im Jahr 2012 wurden die zweibändigen *Nichtgedruckte Dramen von Gabriela Zapolska* herausgegeben (Red. von Jan Jakóbczyk, Kattowitz). Auf die Heraus-

gabe warten viele Prosawerke, die man in den Zeitungen um die Jahrhundertwende vom 19. zum 20. Jahrhundert finden kann.

Die Edition des Werkes *Die Blume des Todes* von Gabriela Zapolska haben vorbereitet: Dr. Anna Janicka, Forscherin des Schaffens von Zapolska an der Universität in Białystok, Mag. Paulina Kowalczyk – Absolventin der Polnischen Philologie an der Universität zu Łódź, die Autorin vom *Nachwort*, in sie die Geschichte des Kriminalromans in Erinnerung bringt. Zapolska, die als Vertreterin des Naturalismus gilt, zeigte sich in der *Blume des Todes* als eine geschickte Konstrukteurin der Handlung, die gemeinsame Merkmale des Melodramas, Kriminalromans und des Romans des Realismus verbindet.

Przeł. Małgorzata Biergieł

GABRYJELA ZAPOLSKA  
(Józef Maskoff)

PAN POLICMAJSTER  
TAGIEJEW

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA



WYDAŁ ODDZIAŁ WARSZAWSKI  
INSTYTUTU LITERACKIEGO „LEKTOR”. SP. Z OGR. ODP.  
WARSZAWA — LWÓW — POZNAŃ — KRAKÓW — LUBLIN

1922

Gabriela Zapolska, *Pan Policmajster Tagiejew*, wydanie Lektora (strona tytułowa)



William Hogarth, *Sqd*, 1758, Fitzwilliam Museum, Cambridge

## Indeks nazwisk

### A

Adamczyk Zdzisław Jerzy – 5,  
Adamkowicz-Iglińska Bożena – 29,  
Allain Marcel – 229,  
Anna, św. – 80, 147, 160,

### B

Bachórz Józef – 5, 255,  
Baczyński Stanisław – 227-228, 230,  
232-234, 255,  
Balzac Honoriusz – 228,  
Bałabuch Henryk – 236,  
Bar Adam – 35, 257,  
Bartlett Adelaide – 238,  
Bartos Ewa – 29,  
Batory Stefan, król Polski – 45,  
Bauer Zbigniew – 236, 256,  
Bazan Andrzej – 25, 227, 257,  
Bell Joseph – 229,  
Bentley Edmund Clerihew – 229,  
Białecka Joanna – 237-238, 255,  
Bieniasz Józef – 255,  
Biergiel Małgorzata – 2, 262,  
Bogusławski Wojciech – 20,  
Borek Piotr – 231, 255,  
Borkowska Grażyna – 5, 255,  
Breiter Emil – 255,  
Brockway Connie – 29,  
Brodzka Alina – 255,  
Bronisława, św. – 42,  
Brzezińska Bogusława – 240,  
Brzostek Dariusz – 228,  
Buchner Władysław – 233,  
Budrewicz Ewa – 232, 256,  
Budrewicz Tadeusz – 255,  
Budrowska Kamila – 242, 255, 257,  
Budzińska-Tylicka Justyna – 255,  
Bujnicki Tadeusz – 25, 231-232,  
255,

Bunsch Karol – 237, 258,  
Burdziej Bogdan – 5, 256,  
Burzka-Janik Małgorzata – 2,  
Buś Marek – 231, 255,

### C

Caillouis Roger – 25,  
Cegielski Tadeusz – 256,  
Chandler Raymond – 232, 238, 256,  
Chesteron Gilbert Keith – 230-231,  
Chlebowski Bronisław – 179, 257,  
Chłędowski Kazimierz – 15-16, 25,  
Chmielewska Joanna – 233-234,  
Christie Agatha – 230,  
Chrobak Małgorzata – 231, 255,  
Chodźko Ryszard – 256,  
Chudziński Edward – 236, 256,  
Chwin Stefan – 26,  
Cieślakowska Teresa – 231, 256,  
Collins Wilkie – 228,  
Czabanowska-Wróbel Anna – 26,  
Czachowska Jadwiga – 16-18, 23,  
242, 245, 247, 256,  
Czajkowski Krzysztof – 240,  
Czermińska Małgorzata – 5,  
Czesak Jan – 239,  
Czubaj Mariusz – 24, 228-233, 237,  
256,

### D

Data Jan – 18,  
Dąbrowicz Elżbieta – 242, 257,  
Dickens Charles – 26,  
Dmitruk Krzysztof – 226,  
Dostojewski Fiodor – 228,  
Doyle Arthur Honan – 229, 256,  
Dumański Jerzy – 229, 257,  
Dunin Janusz – 227, 233, 256,

Dutacq Armand – 236, 241,  
Dziedzic Joanna – 2,  
Dzierzkowski Józef – 26,  
Dziki Sylwester – 236, 256,

**E**

Eco Umberto – 226-227, 229, 241,  
256,  
Edigey Jerzy – 234,  
Ekielski Władysław – 41,  
Engels Fryderyk – 226-227,  
Evert Tadeusz – 229, 256,

**F**

Florian, św. – 89,  
Freege Ludwik – 49,  
Freeman Austin Richard – 230,  
Frymus-Dąbrowska Ewa – 2,

**G**

Gaboriau Émile – 102, 228,  
Gabryś Monika – 236, 258,  
Gemra Anna – 29, 256,  
Gertruda z Helfty, św. – 75,  
Girardin Émile de – 235, 241,  
Głowiński Michał – 5, 256,  
Godwin William – 228,  
Grabiński Stefan – 256,  
Grajnert Władysław – 233,  
Grant-Adamson Lesley – 230-233,  
256,  
Grigorova Margreta – 5, 240,  
Grzegorzek Jolanta – 231, 255,  
Grzelak Agnieszka – 29,  
Gunnes Bella – 238,  
Gutowski Wojciech – 11, 258,

**H**

Hendrykowska Małgorzata – 14-15,  
Herschel William James – 10,  
Hertz Aleksander – 15,  
Hogarth William – 264,  
Horwath Irena – 17,  
Hugo Wiktor – 26,  
Hurnikowa Elżbieta – 26,

**I**

Ihnatowicz Ewa – 18, 28,

**J**

Jaegermann Kazimierz – 229, 257,  
Jaegermann Krystyna – 229, 257,  
Jakowska Krystyna – 5,  
Jakóbczyk Jan – 9, 11, 244, 255-256,  
259, 261,  
Janicka Anna – 2-4, 7, 9, (11-30), 12,  
16, 18-20, 240, 242, 256-257, 259-  
262,  
Janion Maria – 26, 229, 256,  
Jankowski Edmund – 35, 257,  
Janowska Malwina – 18,  
Janowski Czesław – 6,  
Janowski Stanisław – 246,  
Januszewski Radosław – 29,  
Jaracz Stefan – 15,  
Jarosiński Zbigniew – 256,  
Jarosz Adam – 18, 257,  
Jastrzębski Jerzy – 241-242, 256,  
Jaworski Władysław – 240,  
Jeremski Józef – 234,  
Jeske-Choński Teodor – 16, 21-22,  
Jezus Chrystus – 64, 75,  
Jokiel Irena – 5,  
Jordan Henryk – 44,  
Józef z Nazaretu, św. – 187,

**K**

Kaleta Roman – 240, 250, 256,  
Kalinowska Maria – 2,  
Kamiński Henryk – 66,  
Kamiński Kazimierz – 15, 17-18,  
Kania Ireneusz – 29,  
Kaźmierczak Zbigniew – 2,  
Kaźmierczyk Zbigniew – 5,  
Kelly Ned – 34,  
Kent Konstancja – 238,  
Kent Samuel Savile – 237,  
Kielak Anna Maria – 29,  
Kiezuń Anna – 5,  
Kisielewska Alicja – 241, 255, 257,  
Klimt Gustaw – 2,

Kłodzińska Anna – 234,  
Kłosińska Krystyna – 9, 11, 19, 256,  
Kłosiński Krzysztof – 5, 257,  
Kłoskowska Antonina – 225-226,  
257,  
Kłys Tomasz – 257,  
Knake-Zawadzki Stanisław – 15,  
Knox Ronald A. – 230,  
Kochanowski Marek – 257,  
Kolbuszewski Jacek – 25, 227, 257,  
Kominek Maria – 239-240,  
Kopernik Mikołaj – 77,  
Korkozowicz Kazimierz – 234,  
Korotkich Krzysztof – 29,  
Korzeniowski Józef – 26,  
Kostecki Tadeusz – 234,  
Kościuszko Tadeusz – 42,  
Kowalczyk Paulina – 2-3, 7, 9, 12,  
24, (225-253), 259-262,  
Kowalczykowa Alina – 5, 257,  
Kowalski Grzegorz – 2, 257,  
Kragen Wanda – 237, 258,  
Kralkowska-Gątkowska Krystyna –  
9, 11,  
Kraśniński Zygmunt – 41,  
Kraska Mariusz – 230-232, 241, 257,  
Kraszewski Józef Ignacy – 234, 240,  
Krukowska Halina – 2, 29,  
Krzesiński Andrzej, ks. – 14,  
Kuciński Paweł – 240,  
Kukielko Dariusz – 2,  
Kulczycka-Saloni Janina – 256-257,  
Kulesza Dariusz – 2,  
Kurkiewicz Marek – 29,  
Kuryłowicz Beata Iwona – 29,

**L**

Lasić Stanko – 230-232, 257,  
Leblanc Maurice – 229,  
Leończuk Jan – 5,  
Leroux Gaston – 229,  
Leszczyński Bolesław – 15,  
Linowska Stefania – 12, 245,  
Lombroso Cesare – 21,  
Lorentowicz Jan – 257,

Loth Roman – 31,  
Löw Ryszard – 5,  
Lubicz-Sarnowska Stanisława – 17,  
Lul Marcin – 242, 257,

**Ł**

Ławski Jarosław – 2, 29, 240-241,  
257,

**M**

Macioti Maria Immacolata – 29,  
Mackiewicz Tomasz – 228,  
Maliszewski Tomasz – 255,  
Maliutina Natalia – 5,  
Marczyński Antoni – 234,  
Marek Ewangelista, św. – 198,  
Maria z Nazaretu, matka Jezusa  
Chrystusa – 75, 89-90,  
Markiewicz Jan – 229, 257,  
Markiewicz Henryk – 256,  
Martuszevska Anna – 226-228, 230-  
231, 234-235, 257,  
Marx Karol – 226,  
Marzec Lucyna – 26,  
Masłowski Ludwik – 17,  
Mastalerz Marek – 28-29,  
Matuszek Gabriela – 5,  
Mazan Bogdan – 2, 9, 257,  
Michalska Karolina – 49,  
Mikos Michael J. – 5,  
Millaud Polydore – 236,  
Modrzejewska Helena – 18,  
Mohl Aleksander, ks. – 22,  
Musijenko Swietłana – 5,

**N**

Nałkowska Zofia – 26,  
Napoleon Bonaparte, cesarz Francu-  
zów – 29,  
Nasielski Adam – 234,  
Nawarecki Aleksander – 26,  
Nawrocka Ewa – 5,  
Nietresta-Zatoń Agnieszka – 2,  
Nikorowicz Ignacy – 23-24,  
Nycz Ryszard – 256,

**O**

Olech Barbara – 2, 11,  
Olesiewicz Marek – 2,  
Olszewska Maria Jolanta – 5, 258,  
Orzeszkowa Eliza – 29, 256,  
Ostrowska Bronisława – 11,  
Owczarz Ewa – 258,

**P**

Pachocka Anna – 239,  
Paczkowski Andrzej – 226, 235-236,  
241, 257,  
Paczoska Ewa – 5, 255-257,  
Paget Sidney – 36, 224,  
Partyka Jacek – 2, 260,  
Paszek Jerzy – 5, 9, 11,  
Pawlicki Stefan, ks. – 22,  
Pawlikowska-Jasnorzewska Maria –  
26,  
Petryńska Magdalena – 230, 257,  
Piekara Magdalena – 9, 11,  
Piekarczyk Dorota – 29,  
Piłsudski Józef – 41, 208,  
Piwowarczyk Andrzej – 234,  
Płachecki Marian – 242, 257,  
Poe Edgar Allan – 228,  
Poller Kasper – 109,  
Popiel Magdalena – 5, 29,  
Popławski Jan Ludwik – 21, 242,  
Prus Bolesław – 240, 256-257,  
Przyborowski Walery – 15-16, 25,  
231,  
Przybyszewski Stanisław – 15,  
Przytkowski Tadeusz – 121,  
Pulitzer Joseph – 236,

**R**

Radyszewski Rościsław – 5,  
Rajal Ignacy – 147,  
Raszewska Anna – 11,  
Raszewski Zbigniew – 11, 20,  
Ratuszna Hanna – 18, 257,  
Rembrandt Rijn Hermenszonn van –  
89,  
Reymont Władysław – 258,

Ritz German – 5,  
Romański Marek – 234,  
Rurawski Józef – 257,  
Rusek Iwona E. – 2,  
Rusinek Michał – 230, 256,  
Ruta-Rutkowska Krystyna – 258,  
Rychter-Janowska Bronisława – 13,

**S**

Saganiak Magdalena – 5,  
Salmonowicz Stanisław – 239-240,  
257,  
Sawicka-Lewczuk Barbara – 29,  
Sayers Dorothy Leigh – 230,  
Shobin David – 28-29,  
Siedlecki Michał – 2,  
Siemaszko Piotr – 29,  
Siewierski Jerzy – 228-231, 233,  
235, 257,  
Sikora Ireneusz – 29,  
Skreczko Adam – 5,  
Skublińska Marianna – 239,  
Słomczyński Maciej (pseud. Joe  
Alex) – 234,  
Słowacki Juliusz – 29,  
Smith Samuel Francis – 240,  
Snopek Jerzy – 5,  
Sofokles – 228,  
Souvestre Pierre – 229,  
Stachura-Lupa Renata – 15, 25, 29,  
Stasiewicz Piotr – 257,  
Stępnik Krzysztof – 236, 258,  
Straszewski Florian – 41,  
Strug Andrzej – 234,  
Studniarz Sławomir – 228,  
Sulimierski Filip – 179, 257,  
Szamryk Konrad – 2,  
Szczepańska Lucyna – 31,  
Szczepański Ludwik – 12, 16, 31,  
246, 252, 259, 261,  
Szekspir William – 193, 228,  
Szocki Józef – 29,  
Sztachelska Jolanta – 255,  
Szturc Włodzimierz – 5,  
Szwaja Janusz – 239, 257,



**Ś**

Śliowski Mariusz – 2,  
Świętochowski Aleksander – 242,

**T**

Tenniel John – 38,  
Tessnow Ludvig – 237,  
Thorwald Jürgen – 229, 237, 257-258,  
Tokarczuk Olga – 257,  
Tomasz z Akwinu, św. – 45, 198,  
Tomczok Marta – 29,  
Tomkowicz Stanisław – 240,  
Tomkowski Jan – 257,  
Tramer Maciej – 2, 19, 258,  
Trzynadłowski Jan – 25,

**U**

Ubryk Barbara – 239-240,  
Ugniewska Joanna – 226, 256,

**V**

Vacher Joseph – 237,  
Van Dine S. S. – 230,  
Velázquez Diego – 89,

**W**

Walewski Władysław – 179, 257,  
Waltoś Stanisław – 239, 257,  
Weiss Tomasz – 258,

Węgrzyn Józef – 15,  
Whicher Jonathan – 238,  
Wiślicki Adam – 250,  
Wiśniewska Lidia – 255,  
Władyka Wiesław – 236, 241, 258,  
Wotowski Stanisław – 234,  
Wydrycka Anna – 2, 11,  
Wyspiański Stanisław – 20,

**Z**

Zabielski Łukasz – 2,  
Zacharska Jadwiga – 258,  
Zadurowicz T. – 258,  
Zakrzewski Bogdan – 25, 227, 257,  
Zalewski Cezary – 258,  
Zapolska Gabriela (pseud. Tomicki Walery) – (3-263), 6-9, 11-13, 16-19, 21, 23, 26, 28, 35, 242-247, 250, 252-253, 255-263,  
Zarebianka Zofia – 5,  
Zawadzka Danuta – 29,  
Zejszner Ludwik – 239,  
Zelwerowicz Aleksander – 15,  
Zwoliński Andrzej – 226, 258,

**Ż**

Żabicki Zbigniew – 256,  
Żabski Tadeusz – 226-227, 257,  
Żeromski Stefan – 15, 234, 257,  
Żuk Igor – 5



**NAUKOWY PROJEKT WYDAWNICZY  
– SERIA „PRZEŁOMY / POGRANICZA”**

Pragniemy, by książki publikowane w Naukowej Serii Wydawniczej „Przełomy/Pogranicza” tworzyły niewielkie cykle tematyczne, skoncentrowane wokół pojedynczego dzieła, osoby, wątku, tematu. Jednym z takich projektów – planowanych jako cykl sympozjów i publikacji – są studia o przemianach formuł emancypacji kobiet.

**TOMY WYDANE W NPW– SERII „PRZEŁOMY/POGRANICZA:**

- I. *Piękno Juliusza Słowackiego*, Seria I, *Principia*, red. J. Ławski, K. Korotkich, M. Bajko, Białystok 2012.
- II. Barbara Olech, *Harmonia, liryzm, trwoga. Studia o twórczości Bronisławy Ostrowskiej*, Białystok 2012.
- III. Marcin Bajko, *Heroiczna apokalipsa. W kręgu idei i wyobraźni Tadeusza Micińskiego*, Białystok 2012.
- IV. *Pogranicza, cezury, zmierzchy Czesława Miłosza*, red. A. Janicka, K. Korotkich, J. Ławski, Białystok 2012.
- V. Anna Janicka, *Sprawa Zapolskiej. Skandale i polemiki*, Białystok 2013 [wydanie II: 2015].
- VI. *Żeromski. Tradycja i eksperyment*, tom I, wstęp J. Ławski, red. A. Janicka, A. Kowalczykova, G. Kowalski, Białystok – Raperswil 2013.
- VII. *Piękno Juliusza Słowackiego*, tom II: *Universum*, red. J. Ławski, G. Kowalski, Ł. Zabielski, Białystok 2013.
- VIII. Ryszard Löw, *Literackie podsumowania polsko hebrajskie i polskozraelskie*, red. J. Ławski, M. Siedlecki, postłowie B. Olech, Białystok 2014.
- IX. Alina Kowalczykova, *Wokół romantyzmu. Estetyka – polityka – historia*, T. I: *Pisma rozproszone i zarzucone*, red. A. Janicka, G. Kowalski, Białystok 2014.
- X. *Żeromski. Piękno i wolność*, idea i układ J. Ławski, red. A. Janicka, I. E. Rusek, G. Czerwiński, Białystok – Rapperswil 2014-2015.
- XI. Dariusz Kulesza, *W poszukiwaniu istoty rzeczy. Studia i portrety*, Białystok 2015.

- XII. Jarosław Poliszczuk, *Ukraińskie rozstaje. Studia*, red. i opr. M. Siedlecki, J. Ławski, 2015.
- XIII. *Kraszewski i wiek XIX*, idea i wstęp J. Ławski, red. A. Janicka, K. Czajkowski, P. Kuciński, Białystok 2014-2015.
- XIV. *Kraszewski i nowożytność*, idea i układ J. Ławski, red. A. Janicka, K. Czajkowski, Ł. Zabielski, Białystok 2014-2015.
- XV. *Piękno Juliusza Słowackiego*, tom III: *Metemorphosis*, red. J. Ławski, A. Janicka, Ł. Zabielski, Białystok 2015.
- XVI. Jarosław Ławski, *Miłosz: „Kroniki” istnienia. Sylwy*, Białystok 2014.
- XVII. Gabriela Zapolska, *Kwiat śmierci*, red. i wstęp A. Janicka, opr. i posłowie P. Kowalczyk, Białystok 2015.

#### **UKAŻĄ SIĘ W SERII MIĘDZY INNYMI:**

- XVIII. Halina Krukowska, *„Pan Tadeusz” jako poezja czysta. Studia o Mickiewiczu*, Białystok 2015.
- XIX. *Studia o młodych pozytywistach warszawskich*, Seria I, red. A. Janicka, Białystok 2015.
- XX. Alina Kowalczykowska, *Pisma rozproszone i zarzucone*, tom II, red. A. Janicka, G. Kowalski, Białystok 2016.
- XXI-XXII. *Przemiany formuły emancypacji kobiet od XVIII wieku do XX-lecia międzywojennego*, Białystok 2016.

[Tytuły zapowiedzianych tomów w wersji roboczej.]